

Amanda Scott

Niebezpieczne złudzenia

1

18 czerwca 1815, Waterloo

- Powiadają, że lady Daintry lubi mieć w różnych sprawach własne zdanie, Gideonie - stwierdził wicehrabia Penthorpe, opierając swą wychudłą, przemoczoną do nitki osobę o mokry bok konia - ale chociaż nie znam się na płci pięknej tak dobrze jak ty, założyłbym się, że jeżeli mnie wcześniej nie dopadnie Bonaparte, to kiedy się z tą dzierlatką ożenię, wkrótce będzie mi z ręki jadła.

Major Gideon Deverill, wyższy od Penthorpe'a o głowę i obdarzony przez los dużo bardziej imponującą posturą, pilnie przyglądał się przez teleskop przymglonej scenerii, która rozpościerała się przed nimi, i tylko jednym uchem przysłuchiwał się wynurzeniom przyjaciela dotyczącym jego niedawnych zaręczyn. Czul się mokry, przemarznięty i bardzo był świadom tego, że zwykle nieskazitelny mundur ma ciężki od błota; wiedział, że jego ludzie są równie jak on zaszargani i zziębnięci; zdawał też sobie sprawę z narastającego wśród nich napięcia. I chociaż był przekonany, że napięcie to ma swoje źródło nie w lęku, ale w oczekiwaniu, jako że żołnierze byli odważni i wypróbowani w bojach, przypominało mu ono, jak wielką ponosi odpowiedzialność, będąc ich dowódcą.

Przez całą, ciągnącą się pozornie w nieskończoność, deszczową noc i przez cały ten paskudny poranek zajmowali stanowisko na długim, niskim grzbiecie, graniczącym z wyżyną Mont-Saint-Jean, o milę na południe od belgijskiej wioski Waterloo; na prawej flance mieli pozostałą część brygady generała-majora sir Williama Ponsonby'ego, a na lewej generała-

-majora Somerset. Pozostałe dziewięć brygad dzielnej kawalerii lorda Uxbridge'a czekało na tyłach w dolinie, a zbocze pagórka pod nimi aż skręcało się od niespokojnych jednostek piechoty. Artyleria angielska ustawiła się wzdłuż całego grzbietu wzgórze.

Gideon ponownie zwrócił uwagę na Penthorpe'a, kiedy ten westchnął, zerknął na szare niebo i powiedział:

- Przynajmniej padać przestało, ale, na Jowisza, duszę bym oddał za suche łóżko i chętną dziewczkę, zamiast tak czekać i czekać. Czy jesteś w stanie zobaczyć, co się tam dzieje, Gideonie? Kiepsko to wygląda, psiakość, i przynajmniej tym razem nie wydaje mi się, żeby księżę wiedział, co robi. Mówią, że Napoleon tak jest pewny zwycięstwa, iż swoim ludziom rozkazał pozabierać ze sobą te ich czerwono-niebieskie galowe mundury, by mieli je pod ręką, kiedy będą wkraczali do Brukseli. Ten mały parwienuszek może nas jeszcze wykończyć!

- Nonsens - zareagował energicznie Gideon. Poczłł nagły przypływ litości dla przemarzniętych ciał i zaszarganych ubrań swoich ludzi; zdusił więc w sobie chęć, by powiedzieć coś więcej, by zbesztać człowieka, którego od lat uważał bardziej za przyjaciela niż podwładnego. Twarz Penthorpe'a tak była umazana błotem, że piegi stały się niemal niedostrzegalne. Nawet jego płomiennie rude, zwykle już z daleka widoczne włosy wysuwały się teraz spod hełmu w postaci błotnistych kosmyków.

Deszcz, który strumieniami lał przez całą noc, rzeczywiście chyba ustawał, ale mgła miejscami była gęsta, ziemia nasyciona wodą, a błotniste kałuże wypełniały każde zagłębienie. Pomiędzy ich armią a armią Bonapartego przez ćwierć mili opadały łagodnie w dół nawilgłe, przecięte dwoma gościńcami pola pszenicy, a potem wznosiły się na tę samą odległość w kierunku przeciwnego grzbietu. Gideon przyjrzał się znowu bacznie okolicy przez teleskop i w odległości niecałych sześciuset jardów zobaczył ciemne armaty nieprzyjaciela, rysujące się na tle szarego widnokrzęgu.

Pomimo posępnej pogody widok wcale nie był szary, jako że bojowe mundury Francuzów były jeszcze bardziej ko-

lorowe niż ich mundury galowe. Nie dość że każdy regiment nosił barwy odmienne niż inne, wiele mundurów miało kolory zbliżone do brytyjskich, holenderskich i pruskich. W gorączce walki, uświadomił sobie ponuro Gideon, z trudem da się odróżnić armię koalicyjną od francuskiej. A zerknąwszy ponownie na swoich ludzi, uświadomił sobie z zamierającym sercem, że kiedy już rozpocznie się bitwa, wszystkich równo pokryje błoto i niemal niemożliwością będzie odróżnić przyjaciela od wroga.

Na lewo, w dole, widać było jakieś zabudowania, mur otaczający ogród i niewielki zagajnik. Skupiały się one wokół Chateau de Goumont, który to zamek zajmowały obecnie armie sprzymierzone. Bezpośrednio przed nim, na samym środku pszenicznych pól, leżała farma, znana pod nazwą La Haye Sainte, na której noc spędził dowódca armii koalicyjnej, ksiązę Wellington.

Stojące teraz naprzeciw siebie armie były niemal równe co do wielkości; Gideon widział, że Bonaparte ustawił swoich ludzi w szyk rozwinięty, trzyszeregowy. Najwyraźniej atak miała przypuścić piechota, a za nią kawaleria. Słynna francuska gwardia, niesłychanie groźna i przerażająca, ustawiła się z tyłu, by wkroczyć do walki w kulminacyjnym momencie.

- Co tam widzisz, Gideonie? - powtórzył bardziej już natarczywie Penthorpe, przysuwając się bliżej. - Psiakość, nawet stąd widać, że Francuzi gotowi są chyba ruszać. Już niedługo będzie po nas.

- Wcale nie - odparł Gideon, ignorując cichutki głosik, który gdzieś w głębi duszy nakłaniał go zdradziecko do podzielenia obaw Penthorpe'a. - Ksiązę dokładnie wie, co robi.

- Psiakość, jak ty coś takiego możesz mówić? - zapytał Penthorpe. - Już musieliśmy się raz wycofywać!

Patrząc mu prosto w oczy, Gideon odpowiedział:

- Tamto cofanie się, chłopcze, było czymś kompletnie innym niż odwrót. No, zastanówże się - dodał, widząc sceptyczną minę Penthorpe'a. - Przesunięcie wojsk z Quarte Bras dokonało się krokiem nie szybszym niż na defiladzie. Ksiązę chciał znaleźć się bliżej Bluchera, to wszystko; zoriento-

wał się, iż Bonaparte usiłuje wbić klin pomiędzy obydwie armie. I niemalże mu się to udało - dodał pośpiesznie, ale w tej samej chwili na wspomnienie, że Wellington zdołał jednak przechytryć Napoleona, poczuł ponownie falę pewności siebie. Można wierzyć, że jeżeli księciu raz udało się czegoś takiego dokonać, uda mu się na pewno wyczyn powtórzyć.

- Mówią, psiakostka, że z Blucherem był już prawie koniec - powiedział Penthorpe.

- Koń pod nim upadł - sprostował Gideon i znowu przyłożył teleskop do oka. - Blucher jest potłuczony, nic więcej.

- Tylko potłuczony - mruknął Penthorpe. - Słuchaj no, Gideonie, mam takie diabelnie dziwne przeczucie, że nie zobaczymy już więcej Anglii. Przypuszczam, że ta moja zuchwała młoda dama nigdy się nawet nie dowie, co straciła. Ja zresztą też nie - dodał bardziej przygnębionym tonem. - Na oczy dziewczyny jeszcze nie widziałem, ale wuj zapewniał mnie, że warta jest dwadzieścia tysięcy rocznie, a prawdę powiedziawszy, przydałby mi się taki dochód. Tak czy owak nie należę do ludzi, którzy rzucają się w jakąś sprawę na łeb na szyję. Na Jowisza - wykrzyknął nagle, uderzając się dłonią po głowie - o czym ja właściwie myślę? Przecież ona pochodzi z Konwalii, prawda? Psiakostka, nie wpadło mi to wcześniej do głowy, ale tobie musi być lepiej znana niż mnie. Mieszkałeś tam przez lata, zanim twój ojciec odziedziczył tytuł, prawda?

Gideon, wdzięczny za zmianę tematu, opuścił teleskop, uśmiechnął się i rzekł:

- Deverill Court znajduje się w Kornwalii, co do tego masz rację, a mój ojciec chyba nadal spędza tam sporą część roku; jednak nie mogę powiedzieć, żebym tam mieszkał. Po części winna temu była szkoła, po części wojsko, ale nie byłem tam od lat.

- Niemniej jednak musisz znać tę rodzinę - upierał się Penthorpe.

Uśmiech Gideona stał się jeszcze szerszy.

- Niewykluczone, że ją znam, oczywiście. Ale nie dość że wcześniej niemal słowem nie wspominałeś o swoich zaręczynach, to jeszcze nigdy mi nie powiedziałeś, jak ta dzier-

latka ma na nazwisko. Przyznaję, że imię „Daintry” pewnie zapamiętałbym, zwłaszcza że wiem tylko o jednej rodzinie, w której mogłaby zdarzyć się dziedziczka takiej fortuny. Ale o ile sobie przypominam, córka hrabiego St. Merryna ma na imię Susan, więc nie może chodzić o nią.

- On ma dwie córki - odpowiedział Penthorpe. - Rzecz w tym, że w ogóle pogodziłem się z tymi pioruńskimi zaręczynami wyłącznie dlatego, iż Daintry jest siostrą lady Susan Tarrant, a nie mówiłem o tym zbyt wiele, bo nie spieszyło mi się do udzielania wyjaśnień, jak to się stało, że nigdy na oczy nie widziałem dziewczyny, z którą mam się zamiar ożenić.

- Rzecz w tym - odparł, drocząc się z nim, uśmiechnięty Gideon - że odkładałeś mówienie o tym na później, ponieważ zawsze odkładasz na później to, na co nie masz ochoty. Nie znam nikogo, kto potrafiłby tak się ociągać jak ty. Powiedz mi jednak, co ma z tym wspólnego lady Susan. Nie znam jej, ale mówiono mi, że można ją uznać za piękność.

Penthorpe westchnął.

- Nie mam nic przeciw temu, żeby opowiedzieć ci o całej sprawie. Gdybym przed dziesięciu laty, kiedy wchodziła w świat, nadawał się na kandydata na męża, zrobiłbym wszystko co w mojej mocy, by wysadzić Seacourta z siodła, chociaż do pięt mu nie dorastam, jeśli chodzi o postępowanie z niewiastami. Wtedy miałem dopiero dziewiętnaście lat. Pamiętasz go, prawda? Starszy od nas o parę lat i tak jak *my* etończyk.

Gideon skinął głową i ściągnął brwi na niektóre wspomnienia o sir Geoffreju Seacourcie, ale Penthorpe nie czekał na komentarze.

- To zresztą bez znaczenia - ciągnął dalej - ponieważ nie miałem wtedy pojęcia, że odziedziczę tytuł wicehrabiego. Stało się to dopiero cztery lata temu, jak wiesz, a wcześniej grosza przy duszy nie miałem. Gdybym się wtedy pokazał na oczy St. Merrynowi, kazałby mi się wynosić, ale teraz, z powodów znanych najlepiej sobie, no i mojemu wujowi... chyba wiesz, że byli kolegami szkolnymi, jak i my... nie może doczekać się, by połączyć młodszą córkę z twoim pokornym sługą, a do tego chce, by cała sprawa odbyła się *per pro-*

cura, przez co podejrzewam, że lady Daintry musi być beznadziejna. W końcu skończyła już dwadzieścia lat, więc to prawie stara panna. Kiedy wuj nalegał, zgodziłem się na te zaręczyny, ale, psiaakostka, chcę zobaczyć ją osobiście, zanim się z nią ożenię. Każdy mężczyzna by tego chciał. Mówisz, że znasz tę rodzinę?

- O, tak. Ich posiadłości sąsiadują na wrzosowisku z naszymi na długości kilku mil. Rzecz w tym, że mój ojciec...

- Dobry Boże, nie mów mi tylko, że Jervaulx żywi jakieś mające z tobą związek nadzieje w tym kierunku! Oczywiście byłoby to całkiem naturalne, skoro córki St. Merryna mają odziedziczyć po dwadzieścia tysięcy rocznie, ale słuchaj, Gideonie, gdybym był wiedział...

- Nie, nie - roześmiał się Gideon. - Wręcz przeciwnie. Przecież ci właśnie mówiłem, że nawet nie miałem pojęcia o istnieniu drugiej córki. Pierwszej na oczy nie widziałem i nie spodziewam się, bym ją miał zobaczyć, chyba że w jakichś nieprzewidzianych okolicznościach przetną się nasze drogi. Mój ojciec i ich ojciec nie utrzymują stosunków towarzyskich; o ile wiem, nigdy ze sobą nie rozmawiali. Nasi dziadkowie posprzeczaali się na długo przed moimi narodzinami i od tego czasu rodziny nie zamieniły ze sobą jednego przyjaznego słowa. Nie umiałbym ci o rodzinie Tarrantów powiedzieć nawet tego, czy lady Daintry jest równie urodziwa, jak jej siostra.

- Nie jest, wiem, jak ona wygląda - stwierdził Penthorpe, sięgnął za pazuchę i wyjął niewielką, owalną, oprawną w złoto miniaturę. Podał ją Gideonowi ze słowami: - Sam popatrz. Dostałem to od wuja. Na mój gust jest trochę za ciemna, ale pewnie dosyć nawet ładna. Chociaż z miniatury trudno się zorientować.

Gideon popatrzył na miniaturę, którą podał mu Penthorpe. Miał przed sobą parę roześmianych niebieskich oczu, zadarty nos, pełne, wiśniowe wargi, a wszystko to w pikantnej twarzyczce okolonej chmurą kruczoczarnych loków. Dziewczyna policzki miała zaróżowione i gdyby nie to, że malarzowi udało się uchwycić wesoły błysk w oczach, wy-

glądałaby równocześnie na kruchą i gwałtowną. Usta jej aż prosiły się o pocałunek, a rzęsy były tak gęste, że zdawały się obciążać powieki w dół, nadając oczom uwodzicielskie spojrzenie. Gideon poczuł, jak po całym ciele rozlewa mu się nagłe, intrygujące, łagodne ciepło, podniecając jego ciekawość i inne, dużo bardziej prymitywne emocje. Uświadomił sobie, że pragnie, by dziewczyna uśmiechnęła się do niego.

- Mam wrażenie, że wygląda na dosyć rozpuszczoną - powiedział Penthorpe. - Jej siostra tak samo wyglądała, dopóki nie wyszła za Seacourta. Ale może nie wiedziałeś, że za niego wyszła. Właściwie to od dawna nie było cię w kraju. Ja w zeszłym roku pojechałem do domu, ale ty przez cały czas byłeś tutaj, hulając i bawiąc się z ludźmi lorda Hilla, prawda?

Gideon przytaknął, wciąż jeszcze patrzył na miniaturę. Niechętnie i z dziwnym poczuciem straty oddał ją przyjacielowi i cofnął się w myślach do dnia, kiedy w kilka miesięcy po śmierci matki jako młody chłopak powiedział swojemu bratu, Jackowi, że zamierza dowiedzieć się wszystkiego o waśni między Deverillami a hrabią St. Merrynem, nawet gdyby musiał w tym celu udać się Tuscombe Park i zażądać, by hrabia powiedział mu to, czego nie chciał powiedzieć ojciec. Oczywiście Jack narzucił ojcu na niego i Gideon dostał lanie za coś, co ojciec nazwał przekłątą zuchwałością. Na całe lata zapomniał o tej waśni, ale teraz, kiedy patrzył na fascynującą podobiznę lady Daintry, przyszło mu na myśl, że absolutnie nie powinien był dopuścić, by zwykłe lanie powstrzymało go od dowiedzenia się czegoś więcej o rodzinie Tarrantów.

Chociaż nieczęsto miewał po temu okazję. Wkrótce po tamtym niefortunnym wydarzeniu wysłano go do Eton i po za okresem wakacji, które równie często spędzał z dziadkami ze strony matki, co z ojcem, niewiele przez te wszystkie lata bywał w Kornwalii. Najpierw studiował w Cambridge, a potem, ponieważ był młodszym synem, czekała go kariera w wojsku. Fakt, że ojciec przed rokiem został szóstym markizem Jervaulx (po niespodziewanej śmierci ostatniego męskiego potomka starszej gałęzi rodziny Deverillów), niewiele zmienił w życiu Gideona. Natomiast, jeśli sądzić po

tym jednym jedynym liście, jaki otrzymał od brata, gałągan Jack wykorzystywał do maksimum pozycję nowego następcy wspaniałego tytułu.

- Popatrz no, Gideonie - odezwał się nagle Penthorpe, a jego słowom towarzyszył groźny grzmot armat z przeciwległej grani - Bonaparte ruszył na *chateau!*

Zaskoczony Gideon z miejsca zorientował się, że Penthorpe ma rację, i wyrzucił z głowy wszelkie myśli o Kornwalii, a jego uwagę zajęły obowiązki chwili.

Początkową salwę z dział, której towarzyszyło rytmiczne bicie w bębny i przeraźliwe granie rogów, słysząc było na wiele mil dookoła; napełniła ona zamglone powietrze ciężką chmurą dymu. Osiem tysięcy ludzi uderzyło na Chateau de Goumont, ale Gideon natychmiast zorientował się, że zdobycie tej olbrzymiej fortecy było niemal niewykonalne. Ta świadomość dodała mu pewności i powiedział spokojnie:

- Mogą zająć sad, Andy, ale nasi chłopcy utrzymają się w środku. - Podał mu teleskop i dodał: - Obserwuj teraz ty, ja muszę się zająć resztą ludzi. I trzymaj w ryzach swoje obawy, człowieku. Mamy silną pozycję. Nasze linie rozciągają się wzdłuż grzbietu na trzy mile, a Francuzi nie domyślają się nawet, jakie rezerwy mamy w dolinie za plecami. Czeka ich wstrząs. Możesz mi wierzyć na słowo.

Z niezmienną pewnością na twarzy Gideon podchodził kolejno do ludzi ze swego szwadronu; sprawdzał, czy wszyscy się obudzili i czy zarówno ludzie, jak i konie gotowi są bronić ich obecnej pozycji albo atakować, gdyby nadszedł taki rozkaz.

Kiedy wrócił na swoje miejsce przy wicehrabim Penthorpe, z satysfakcją zobaczył, jeszcze zanim zdążył wziąć teleskop do ręki, że Brytyjczycy utrzymali zamek. Fortecę otaczał wieniec martwych żołnierzy francuskich. Ich niedgdyś jaskrawe mundury trudno było rozpoznać, tak pokryło je błoto, w którym leżeli.

- Diabelnie to nierozważne z ich strony poświęcać tyle wysiłku na cel nie do zdobycia - mamrotał Gideon - ale przecież dla Bonapartego to typowe: pozwala sobie na stratę ty-

lu ludzi i zasobów, jakby miał niewyczerpane zapasy żywności. Z pewnością doprowadzi go to w końcu do zguby.

- Mam nadzieję, że za bardzo na to nie liczysz - odpowiedział z rozdrażnieniem Penthorpe - bo tam widać Neya, który prowadzi swoich ludzi do ataku na farmę. Wiem, że to on, rozpoznałem te jego rude włosy nawet bez teleskopu, kiedy zdjął na moment hełm, zanim ruszyli.

Gideon roześmiał się.

- Mam nadzieję, że kto jak kto, ale ty nie masz temu Francuzowi za złe koloru jego włosów.

- Sam się też nie masz czym chwalić - skrzywił się Penthorpe. - Może na tyle ci teraz ściemniały, że mogą uchodzić za kasztanowe, ale o ile sobie przypominam, życie w Eton zaczynałeś jako Marchewa Młodszy.

- Tak było - odpowiedział wesoło Gideon. - Pamiętaj, że Jack również miał wtedy rudawe włosy. Udało mu się już dawno przekonać wszystkich, by mówili do niego „Deverill”, tak więc był jeszcze bardziej niezadowolony niż ja, kiedy przyłgnęło do mnie przezwisko Marchewy Młodsze, ponieważ z miejsca co zuchwalsi chłopcy zaczęli jego przezywać Marchewa Starszym.

- Ciekawe, jakby się to podobało tej bandzie za naszymi plecami, gdyby mogli się zwracać do ciebie „majorze Marchewa” - mruknął Penthorpe.

- Tylko spróbuj czegoś takiego, chłopcze, a zobaczysz, jak źle na tym wyjdiesz - uprzedził go Gideon, prostując się na całą swoją wysokość.

- Och, słówka nie pisnę - wyszczerzył zęby Penthorpe, ale jego uśmiech przygasł na dobiegające z dołu odgłosy następnej salwy i dodał już bardziej ponuro: - Słuchaj, Gideonie, nie potrafię pozbyć się myśli, że dzisiejszy dzień jest moim ostatnim na tej ziemi. Jeżeli tak się stanie, to czy pojedziesz do Tuscombe Park i powiesz im, że okropnie mi przykro i w ogóle...

- Wiem, ale przestań pleść bzdury, Andy. Przeżyjesz dzisiejszy dzień i to, co po nim nastąpi, chociażby po to, żeby udać się do Tuscombe Park i na własne oczy zobaczyć, czy

ta podstarzała i zramolała panna jest choć trochę podobna do swojej miniatury.

Zapadła nagle cisza, którą niemal natychmiast przerwał grzmot bębnow i granie trąbki. Penthorpe wbił wzrok w dołinę i powiedział cicho:

- Mam nadzieję, że się nie mylisz, ale chociaż wyciągałeś mnie już nie raz z okropnych tarapatów, nie wydaje mi się, żeby ci się udało tego dziś dokonać. Naprawdę, nie jestem tchórzem, ale proszę...

- Nie zwracaj sobie tym głowy - przerwał mu Gideon szorstko. - Jeżeli będzie trzeba, załatwię tę sprawę. - Musiał dawać baczenie na to, co działo się w dole, i nastawiać uszu, czy nie słysząc rozkazów, a równocześnie chciał skierować myśli Penthorpe'a na inny tor, więc zapytał: - Jak to się stało, że lady Daintry jest tak bogatą dziedziczką, jeżeli ma starszą siostrę? A skoro już o tym mowa, to majątek St. Merryna powinien zostać przekazany razem z posiadłością. Wydawało mi się, że hrabia ma syna?

- O, tak, oczywiście, ona ma brata, Charlesa Tarranta. Biedaczysko chodził do Harrow, dlatego go nie znasz. To jemu naturalnie przypadną dobra Tarrantów, ale wychodzi na to, że oprócz zapisu, który na rzecz mojej narzeczonej zrobi ojciec, odziedziczy ona majątek po ciotecznej babce, ponoć, zdaniem wuja Tattersalla, naprawdę przerażającej, starej damie. Dama ta jest już jednak po siedemdziesiątce, więc długo nie pożyje. Z tych czy innych względów sama dysponuje własnymi pieniędzmi. Ja tego nie rozumiem, ponieważ nie jest wdową, tak więc zgodnie ze zdrowym rozsądkiem nie powinna mieć wiele, a do tego mieszka u St. Merryna, ale wuj zapewniał mnie, że dziewczyna ma odziedziczyć po niej co najmniej dwadzieścia tysięcy rocznie.

Uwagę Gideona przyciągnął znowu głos francuskiego rogu, który wzywał w dole do ataku. Z miejsca zorientował się, że pod osłoną gęstego dymu armatniego Francuzi zamierzali przedrzeć się przez środek wojsk Wellingtona i utworzyć sobie drogę na Brukselę. Kanonada francuska skupiła się na dywizjach holendersko-belgijskich; Gideon

wyrwał żołnierzowi, który trzymał mu konia, cugle z ręki i szorstko rzucił Penthorpe'owi rozkaz, by udał się do swojej jednostki. Widział już, że cudzoziemskie oddziały załamują się i rzucają broń. W dzikim zamieszaniu, popychając się i ślizgając po błotnistej ziemi, podały tyły i niczym fala popłynęły w górę zbocza, szukać schronienia w pobliżu głównej linii sprzymierzeńców, a Francuzi szli za nimi w przerażająco małej odległości.

Gideon skoczył na siodło i krzyknął na swoich oficerów, żeby przygotowali się do wsparcia piechoty. Rozkaz ataku przyszedł w ułamek sekundy później.

Jadąca na potężnych koniach kawaleria brytyjska zaatakowała z morderczą furia; wymachując ciężkimi szablami wbiła się w gęsto skupionych Francuzów, niosąc im przerażające okaleczenia i śmierć. Stratowana pszenica zrobiła się czerwona od krwi i nawet w wirze walki, poprzez zgiełk rogów, bębnow, szczęk broni, huk kopyt i dział, Gideon słyszał wstrząsające krzyki i przerażające jęki rannych i umierających koni i ludzi.

Usilnie starał się nie dopuścić do rozproszenia swoich oddziałów, ale wkrótce ludzie rozsypali się po polu; armia koalicyjna trzymała się jednak dzielnie. Kiedy w jakiś czas później przegrupowywali się u podnóża grzbietu, Gideonowi nie udało się zobaczyć Penthorpe'a, ale czekał tam na nich Wellington na swoim wspaniałym bojowym kasztanie, Copenhagen. Księżę, który zwykle odnosił się do ludzi z rezerwą, był tak zadowolony, że przyjął ich lekkim uniesieniem trójgraniastego kapelusza i słowami: „Gwardio Królewska, dziękuję ci!” Gideon uśmiechnął się szeroko do najbliższego oficera i w jego rozszerzonych oczach zobaczył odbicie swej własnej dumy.

Ale do końca bitwy było jeszcze daleko. Piechota brytyjska szybko uformowała się w czworoboki, zmieniając pole w szachownicę i chwytając francuską kawalerię w pułapkę, po czym rozpoczęła się ponowna szarża brytyjskiej konnicy, która odepchnęła Francuzów do tyłu. W tym momencie Bonaparte ponowił natarcie odwodem, jego armia skupiła siły, zagroziła centrum zgrupowania Wellingtona i zmusiła

księcia do wezwania rezerw. Około wpół do siódmej tego wieczora, kiedy słońce zbliżało się do zachodniego horyzontu, główna linia Brytyjczyków była już fatalnie osłabiona.

Gideon dostrzegł Penthorpe'a w pobliżu gospody o nazwie *La Belle Alliance*, ale zaraz potem Bonaparte rzucił na Wellingtona potężne uderzenie i niemal udało mu się przebić; zanim odepchnięto Francuzów, Gideon ponownie stracił Penthorpe'a z oczu.

Przewaga jest po stronie Bonapartego, myślał, przyglądając się Francuzom i posępnie wydając swoim ludziom rozkazy do przegrupowania. Żołnierze tego parweniusza nadal przekonani byli, że założą galowe mundury, by wmaszerować w nich do Brukseli, ale księżę mógł jeszcze dowieść, że się *mylą*.

Działa francuskie dały ognia, brytyjskie odpowiedziały tym samym, a dym zrobił się tak gęsty, że na jakiś czas stracili nieprzyjacielskie oddziały z oczu. Słyszając okrzyki *Vive l'Empereur!* Gideon zorientował się, że Francuzi przystąpili do ataku, ale nadal nic nie było widać. Uniósł szablę, uprzedzając swoich ludzi, że powinni spodziewać się rozkazu, a tymczasem dym przerzedził się na chwilę i niebezpiecznie blisko, dużo bliżej niż się major spodziewał, pojawił się szereg migocących bagnetów.

- Ognia! - krzyknął, a rozkaz echem odbijał się wzdłuż szeregu, póki nie zagłuszyła go grzmiąca eksplozja salwy armatniej. Kiedy dym znowu się rozwiął, na ziemi leżało trzysetu rannych lub umierających żołnierzy ze starej gwardii Napoleona. W chwilę później Wellington na swoim wspinałym Copenhagen przejechał galopem od końca do końca przed linią frontu, wymachując w powietrzu kapeluszem i krzycząc:

- Naprzód! Do ataku!

Bitwa została wygrana. Francuska piechota, kawaleria i artyleria zmieszały się ze sobą w jedną kipiącą masę. Niektóre jednostki usiłowały zachować szyk i walczyć, podczas gdy inne próbowały wycofywać się w zdyscyplinowany sposób, ale ogarnięta paniką większość żołnierzy pragnęła tyl-

ko uciec Z przesiąkniętych krwią pól pszenicy tak szybko, jak ją konie lub własne nogi poniosą.

Słońce zaszło, zapadł szary zmierzch, a chmury snującego się nisko nad ziemią dymu ogarniały całe połacie pól, kiedy armia Wellingtona parła do przodu przez pozostałą po bitwie ruinę. Posplatane razem, okaleczone ciała zmarłych oraz rannych ludzi i koni leżały wśród wszelakiego bitewnego śmiecia.

Gideon usiłował opanować reakcję żołądka na widok tej krwawej jatki i zmuszał się do myślenia o swoich obowiązkach. Uświadomił sobie, że znajduje się w pobliżu gospody, i rozejrzał się dookoła z niepokojem, szukając Penthorpe'a, ale go nie zobaczył. Jego ludzie czekali na rozkazy i kiedy Wellington uniósł dłoń, Gideon ubódł konia ostrogą, chcąc podjechać bliżej i usłyszeć, co książę ma do powiedzenia. I w tym samym momencie zauważył jakiegoś piechociarza, który pochylił się i podniósł coś z ziemi; było jeszcze na tyle jasno, że dostrzegł matowy błysk złota. Skręcił w jego stronę i warknął:

- Cóż tam znalazł, żołnierzu?

Piechociarz podniósł oczy, zobaczył epolety majora i pospiesznie oddał mu honory.

- A niech mnie, jeżeli to nie portret jakiejś damy, panie majorze - zdziwił się. - Te żabojady pozostawiały tu najprzedziwniejsze rzeczy.

- Pokaż no to - polecił Gideon, a żołądek skurczył mu się Z niepokoju. Żołnierz podał mu miniaturę; była ubłocona, ale rozpoznał ją bez trudu. Ogarnęła go trwoga. Rozejrzał się po najbliższym terenie. Wszędzie naokoło leżały ciała, a jęki i krzyki bólu brzmiały tak potwornie, że wiedział, iż jeszcze latami będzie je słyszał we snach. Nagle wzrok jego przykuło jakieś wychudłe, ubłoczone ciało, leżące w zagłębieniu niezbyt daleko od miejsca, gdzie znaleziona została miniatura. Człowiek ów padł twarzą w błoto, ale hełm zsunął mu się na bok i widać było kilka pasemek stosunkowo czystych rudawych włosów.

Zeskoczył z siodła na ziemię, popędził do leżącego, chwycił go za ramię i pociągnął. Gęste, lepkie błoto czepiało się ciała, jakby nie miało chęci go puścić, a chociaż Gideon oka-

zał się silniejszy, jego wysiłki poszły na marne. Zrobiło mu się niedobrze. Twarz mężczyzny roztrzaskała kula.

I dokładnie w tym momencie Wellington krzyknął:

- Bonaparte ucieka konno do Quatre Bras! Za nim, chłopcy!

Walcząc z mdłościami Gideon odwrócił się do czekającego piechociarza i pokazał na ciało.

- To był mój przyjaciel - powiedział. - Miniatura należała do niego, więc ją zatrzymam, ale teraz muszę się oddalić. Zostań tu, by chronić to ciało przed łupieżcami, i dopilnuj, żeby zostało przyzwoicie pochowane. Masz tu parę groszy za fatygę - dodał, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu pieniędzy. Rzucił kilka gwinei żołnierzowi, schował miniaturę bezpiecznie za pazuchę, skoczył na siodło i zmusił się do skupienia uwagi na swojej załośnie przetrzebionej brygadzie oraz zadaniu, które ich czekało.

Bitwa pod Waterloo zakończyła się, ale ksiączę nie zrezygnował z pościgu za Francuzami; tym razem zdecydowany był zapędzić Napoleona aż do Paryża, jeżeli okaże się to konieczne, a potem zająć to miasto. Tylko polegli, leżący na przesiąkniętym krwią polu, będą odpoczywać tej nocy, pomyślał sobie Gideon.

Zmówił w myśli modlitwę za duszę Penthorpe'a i bezwzględnie poskromił wyobraźnię, podsuwającą mu obraz łoż, pojawiających się zamiast śmiechu w niebieskich oczach kornwalijskiej panny. Potem obejrzał się jeszcze ostatni raz za siebie i zobaczył mnóstwo porozrzucanych tu i tam po błocie, wciąż jeszcze barwnych, czerwono-niebieskich galo-wych mundurów, które powypadały z podartych plecaków Francuzów.

2

26 września. 1815

Lady Daintry Tarrant skończyła czytać ostatni fragment romantycznej opowieści z „Ladies Monthly Museum”, westchnęła, odłożyła pismo na bok i odezwała się do jedynej oprócz niej obecnej w pokoju osoby, siwowłosej damy:

- Po prostu tego nie rozumiem, ciociu Ophelio, dlaczego każda niemądra niewiasta swoją opowieść kończy z nadzieją, że będzie szczęśliwie żyć aż do śmierci, tylko dlatego że wychodzi za męża. Intryguje mnie to, iż tak często, przynajmniej w literaturze, kobieta znajduje odpowiedniego dla siebie mężczyznę, i wystarczy, by ten skinął palcem czy mruknął okiem, a już ogarnia ją płomienne uczucie do niego.

Lady Ophelia Balterley podniosła oczy znad pamiętnika, w którym właśnie pisała, i rzekła:

- Miłość człowieka nie ogarnia, drogie dziecko. Raczej można w nią wdepnąć, jak w coś na podwórzu przed stajnią. Jest to fakt, z którego powinnaś już sobie zdawać sprawę, skoro trzem bez wątpienia nadającym się na męża konkurentom kazałaś zrobić w tył zwrot, zanim wzięłaś sobie na kark tego czwartego młodego człowieka.

Daintry westchnęła raz jeszcze, odgarnęła pasemko włosów, które łaskotało ją w nos, i odwróciła się, by wyrzecz przez okno. Pogoda bardziej przypominała luty niż koniec września. Szare chmury sunęły nisko nad drzewami Tuscombe Park, okolica wilgotna była od lekkiej mżawki. Nie był to dzień odpowiedni na przejażdżkę konną, tak więc siedziała na sofie i czas mogła zabijać tylko czytaniem czasopisma, niczym więcej.

Zerknęła na cioteczna babkę, która siedziała chyba zbyt blis-

ko kominka, i zobaczyła, że lady Ophelia wciąż jeszcze się jej przypatruje w nadziei na rozmowę poniechawszy pamiętnika, który spoczywał na prawej, szerokiej poręczy fotela-biurka. Lady Ophelia była mocno zbudowaną damą niskiego wzrostu i w równym stopniu lubiła długie, codzienne spacery, jak i swoje lektury. Rozpoczęła siedemdziesiąty siódmy rok życia i była znakomicie zakonserwowaną starszą panią. Wciąż potrafiła wspaniale czytać i pisać bez pomocy okularów, a umysł miała bardziej bystry niż większość ludzi w dowolnym wieku. Była zdeklarowaną sawantką i wielbicielką niewiast o radykalnych poglądach, takich jak Mary Wollstonecraft i Mary Ansell.

- Czy ciocia przypuszcza, że naprawdę istnieje coś takiego, jak prawdziwa miłość, mam na myśli między mężczyzną a kobietą? - zapytała Daintry z uśmiechem. - Od czasu do czasu pociąga mnie któryś z panów, za każdym razem usiłuję uwierzyć, że może ten właśnie się nada, a koniec końców przekonuję się, że nie nada się wcale, no i proszę! Jestem zaręczona z mężczyzną, którego nigdy nawet na oczy nie widziałam, tylko dlatego, że papa doszedł do wniosku, iż nie jestem w stanie sama wybrać sobie męża.

- Na litość boską, trudno powiedzieć, by twój ojciec był lepszym znawcą ludzi niż ty - odparła lady Ophelia. - Popatrz tylko na ten okaz, który wybrał dla twojej siostry, Susan, nie mając żadnego lepszego powodu niż ten, że cyfel Seacourt Head leży naprzeciw cypla Tuscombe Point.

- Ależ Seacourt to pełen uroku dżentelmen - zaprotestowała Daintry. - Jest bardzo przystojny, a papa nadal utrzymuje, nawet po tych dziesięciu latach, że Susan zrobiła doskonałą partię, ponieważ teraz cała ziemia wokół zatoki St. Merryn należy do rodziny.

- Wcale nie należy, ponieważ część Seacourta przypadnie bez wątpienia synowi sir Geoffreya, jeżeli go kiedyś będzie miał, ale dla angielskiego dżentelmena liczą się wyłącznie majątek i pieniądze. Dokładnie tak samo było za moich panięskich czasów. Ja jednak miałam szczęście, ponieważ mój papa był człowiekiem przewidującym i nie widział żadnego powodu, żebym po jego śmierci musiała żyć pod kon-

trolą finansową innego mężczyzny, czy może raczej pod jego dominacją, co oczywiście wydaje się dużo bardziej prawdopodobne. Znalazłam doskonałego człowieka do interesów w sir Lionelu Werringu, ale to on skacze, jak ja mu zagram. Doprawdy, moja droga, nie ma żadnej palącej potrzeby, by St. Merryn w ogóle zmuszał cię do małżeństwa, ponieważ odziedziczysz przecież po mnie połowę mojego majątku, przez co staniesz się całkowicie niezależna od mężczyzn.

- Tak, ciociu, ale jeszcze go nie odziedziczyłam i wcale mi się nie spieszy, żeby go w niedalekiej przyszłości odziedziczyć - powiedziała Daintry z wesołym błyskiem w oku. - A dopóki tak się nie stanie, posłuszeństwo wobec ojca jest moim obowiązkiem.

- Obowiązkiem, który narzucili nam mężczyźni, bo tak im się podobało - odparła lady Ophelia. - To mężczyźni cały ten świat uformowali tak, by im odpowiadał.

Daintry rozchichotała się.

- Wie ciocia, że mama zawsze dostaje spazmów, jak ciocia tak mówi, a i wielebny Sykes nie aprobeuje tego.

- Och, doskonale wiem, ale nie zmienia to faktu, że mężczyźni we wszystkim stawiają na swoim. Nie mów mi, że jakakolwiek kobieta miała swój udział w rozszyfrowywaniu słowa Bożego, bo wiem, że nie miała; żadna niewiasta nie współtworzyła Biblii ani nie wymyśliła tych bzdur, jakie napisano o stworzeniu świata. Co więcej, kiedyś kobiety miały dużo więcej do powiedzenia niż dziś, przypomnij sobie tylko, że wśród Greków i Rzymian boginie były równie potężne jak bogowie, a w jeszcze dawniejszych społeczeństwach wszystkim dyrygowały kobiety. Uważano wtedy, co dosyć naturalne, że mężczyzna rodzi się z niewiasty, a nie odwrotnie, tak więc pierwszym mieszkańcem ziemi musiała być Ewa, nie Adam. Ale kiedy już mężczyźni zabrali się do wyjaśniania problemów religii zgodnie ze swoimi upodobaniami, bezzwłocznie postanowili zrobić z Ewy czarny charakter, obwiniając ją o całą tę głupią historię z jabłkiem, jakby Adam nie miał z nią nic wspólnego. Cieszę się na samą myśl o tym, że gdyby cała ta historia miała miejsce w An-

gli, sądy uznałyby, iż odpowiedzialność za jabłko ponosi Adam, chociaż zrobiłyby tak w imię bzdurnej idei, że tylko mężczyzna ma na tyle rozumu, by podejmować ważne, życiowe decyzje.

- Tak, ciociu, często mi to ciocia mówiła - powiedziała Daintry, nie próbując ukrywać rozbawienia - ale nie jestem pewna, czy jakikolwiek angielski sędzia posunąłby się do tego, by w tym szczególnym przypadku stanąć po stronie Ewy.

- No tak, cieszę się, że wciąż potrafisz mieć własne zdanie - oznajmiła z animuszem lady Ophelia. - Za to musisz mnie podziękować. Twój ojciec nigdy by cię w ten sposób nie kształcił, nie byłby też skłonny zaangażować dla ciebie guwernantki, zdolnej nauczyć czegoś więcej niż tylko podstawowych umiejętności, które uznaje się za odpowiednie dla niewiasty. Nie uczyłabyś się wcale łaciny ani greki, chociaż może liznęłabyś odrobinę włoskiego i pewnie pozwoliłby ci się uczyć francuskiego. Na przekór temu łotrowi Napoleonowi francuszczyzna wciąż cieszy się względami *beau monde*, chociaż nie takimi jak kiedyś, to pewne. Może teraz, kiedy podróżowanie po kontynencie przestało być niebezpieczne, znowu stanie się modna.

Daintry roześmiała się.

- Pod warunkiem, że ten zatracony Bonaparte nie wyrwie się ponownie na wolność, jak to zrobił w zeszłym roku. A jeśli chodzi o moją naukę łaciny i greki, wie ciocia dobrze, że nie mam najmniejszych zdolności do żadnego z tych języków.

- Umiesz równie wiele, jak każdy z kawalerów, którzy marnują swój czas w Oxfordzie czy Cambridge - stwierdziła cierpko lady Ophelia - a więcej niż gros kobiet. Jeżeli mamy kiedyś odzyskać należne nam na tym świecie miejsce, musimy być lepiej wykształcone. A co do twego ojca, to tylko mężczyzna może być na tyle głupi, by wierzyć, że dziewczyna, która w trzy lata trzy razy zrywała zaręczyny, wytrwa w związku z czwartym narzeczonym tylko dlatego, że on jej tak kazał.

- Papa groził mi poważnymi konsekwencjami, jeżeli nie okażę mu posłuszeństwa, proszę cioci, a wie ciocia dosko-

nale, że zdolny będzie słowa dotrzymać. Tak czy owak nie będę chyba miała odwagi odrzucić Penthorpe'a, przecież go nawet nie znam. Jakież więc mogłabym podać powód?

- Gdyby mnie ktoś pytał, powiedziałabym, że fakt, iż go nie znasz, jest wystarczającym powodem. Na Boga, dziecko, przecież może okazać się hulaką i łajdakiem. Nie zna go nawet twój ojciec, a zaplanował wszystko w taki sposób, ponieważ doprowadzasz go do rozpacz. Poza tym chłopiec jest wicehrabią, a St. Merrynowi odpowiadają powiązania z bratankiem starego przyjaciela. Nie wątpię, że ojca Penthorpe'a też znał.

- Tak, ponieważ wszyscy byli razem w Harrow. U Penthorpe'a papa potrafił znaleźć jedną jedyną wadę, taką mianowicie, że z tego czy innego powodu biedak miał pecha i uczył się w Eton.

- No cóż, twój ojciec również byłby w dawnych czasach poszedł do Eton i wcale nie uważałby tego za żadne nieszczęście - stwierdziła kwaśno lady Ophelia. - Gdyby nie sprzeczka pomiędzy jego papą i lordem Thomasem Deverillem, nigdy by nie pojechał do Harrow ani nie wysłałby tam twojego brata Charlesa. Ta ich waśń to jedna wielka bzdura. Kiedy Jervaulx na kilka dni przed Waterloo stracił starszego syna w tragicznym wypadku, twój ojciec raczył tylko powiedzieć, że ma on gdzieś jeszcze jednego syna i że sam powinien wracać do Jervaulx Abbey, zamiast mitrężyć czas w Kornwalii i udawać, że interesują go górnicy, którzy stracili pracę, bo przecież naprawdę chce tylko utrzymać wysoką cenę na zboże z Gloucester. Ale to nawiasem mówiąc. Chciałam ci jedynie wyjaśnić, że przed tą idiotyczną waśnią właśnie Eton był zawsze szkołą męską Tarrantów i że twój ojciec z pewnością nie pozwolił, by fakt, że Seacourt chodził do Eton, zniechęcił go do oddania mu twojej siostry.

- Nie potrafię udawać, że obchodzi mnie, ciociu, do jakiej szkoły ktoś uczęszczał. To wszystko są surowe instytucje, prawda? Zauważyłam, że dopiero kiedy mężczyzna opuści szkołę, zaczyna nabierać do niej sympatii.

. W tej właśnie chwili do saloniku wpadła bardzo podob-

na do Daintry panienska, z tą samą różaną cerą, ciemnymi lokami i błyszczącymi oczami; białą, muślinową sukienkę podwinęła do góry i zatknęła za błękitną szarfę, prawa pończocha zwinęła jej się wokół kostki. Jej śladem podążała wdzięcznie i cicho druga dziewczynka, wiotka, jasna i smukła, szare oczy miała szeroko otwarte i czujne.

- Charlotta - wykrzyknęła lady Ophelia - jak ty wyglądasz? Proszę natychmiast podciągnąć pończochę i próbować pamiętać, że dama wchodzi do pokoju z godnością, a nie wpada jak jakiś derwisz tańczący.

Widząc, że Charley szybko pochyliła się, by zrobić co jej kazano, Daintry uśmiechnęła się do drugiej dziewczynki, poklepała miejsce obok siebie na sofie i powiedziała:

- Chodź, usiądź przy mnie, Melisso, i opowiedz mi, co robiłyście i czym zajmowałyście się w ten ponury poranek.

Melissa popatrzyła z poczuciem winy na Charley, ale posłusznie podeszła i usiadła obok Daintry, nie udzielając odpowiedzi na pytanie.

Nie musiała jej udzielać. Charley, podciągając drugą pończochę, podniosła roześmiana wzrok, oczy jej figlarnie rozbłyły i popatrując to na ciotkę, to na lady Ophelię, powiedziała:

- Pozbyłyśmy się kuzynki Ethelindy. Postanowiłyśmy się dziś zabawić bez niej.

Daintry zdusiła śmiech i spojrzała na lady Ophelię, ale starsza pani, chociaż nie lubiła niestaranego stroju w równym co Daintry stopniu, uodporniła się już na szokujące wypowiedzi Charley.

- Jakże się wam udało tego dokonać? - zapytała pogodnie. - Czy zamordowałyście tę biedaczkę?

- Nie, chociaż często nas kusi, proszę cioci - zaśmiała się Charley. - Taka jest sentymentalna, wie ciocia, i tak naprawdę nie nie umie.

- Nie mogę kwestionować faktów - powiedziała lady Ophelia - ale wątpię, czy takie stwierdzenia powinny padać z ust dziewczynki mającej nie więcej niż dziesięć lat.

- Ależ ciociu Ophelio, jest przecież już koniec września, jak ciocia na pewno wie, bo obchodziliśmy urodziny cioci

ponad sześć tygodni temu, tak więc moje jedenaste urodziny są za niecałe pół roku, a Melissa skończy dziesięć lat o dwa miesiące wcześniej. My się już powoli starzejemy. Jeszcze trochę, a przedłużymy sukienki i upniemy włosy do góry. Wcale nam się nie podoba nauka haftu, a kuzynka Ethelinda niczego innego dla nas nie umie wymyślić.

Daintry zerknęła na Melissę, która siedziała spokojnie z rękami splecionymi na podolku.

- Ale przecież z pewnością nasza kuzynka uczy was również gry na pianinie, posługiwania się globusem i czytania rozwijających młode umysły dzieł. Wiem, że posiada wiele cennych umiejętności, a mnie moja guwernantka także tego wszystkiego uczyła, oprócz przedmiotów, które zdaniem cioci Ophelii powinnam była opanować.

- Przynajmniej to, czego uczy ciocia Ophelia, jest ciekawe - powiedziała Charley. - Nie chcę, żeby ze mnie wyrosła taka wierzba płacząca jak kuzynka Ethelinda. Zresztą ona nie jest prawdziwą guwernantką, usiłuje tylko wyświadczać rodzinie grzeczność, żeby nikt nie pomyślał, że przyszała się do babci jak pijawka, i tyle.

- Charley, nie wolno ci się wyrażać w taki niegrzeczny sposób - skarciła ją Daintry. - To nie wypada, żeby mała dziewczynka mówiła lekceważąco o osobach starszych od siebie.

- Ale taka jest prawda - zaprotestowała Charley. - Nawet Melissa wie, że kuzynkę Ethelindę mamy na karku tylko dlatego, że dziadek powiedział, że to nie jego sprawa, i że to papa powinien wybrać dla mnie odpowiednią guwernantkę, kiedy już nie ma panny Pettibone. Melissa w domu u siebie ma oczywiście własną guwernantkę i tylko dzieliłyśmy się panną Pettibone, ale ponieważ obydwoj nasi ojcowie są nadal w Brighton, kuzynka Ethelinda uparła się, że się nami zajmie i jeżeli tylko nie krząta się przy babci, to każe nam robić te głupie hafty. A my chcemy się przejechać konno, ciociu Daintry, za twoim pozwoleniem.

Daintry potrząsnęła jednak głową i powiedziała:

- Nie możecie nigdzie jechać, kochane, dopóki drogi nie podeschną. Ta mżawka wystarczy, żebyście w kilka minut

przemokły do suchej nitki. I nie ma co mnie błagać. Byłoby jednak lepiej, gdyby dziadek nie dowiedział się, że uciekłyście od kuzynki Ethelindy.

Melissa z miejsca podniosła się, ale Charley machnięciem ręki kazała jej znowu usiąść.

- Dziadek nigdy tu nie wraca, kiedy już raz zejdzie na dół do swojej biblioteki, a ten pokój jest cieplejszy niż pokój szkolny. Niech nam ciocia opowie jakąś historię z czasów swojej młodości, ciociu Ophelio.

- Och, tak, prosimy - odezwała się delikatnym głosem Melissa, przerywając typowe dla siebie milczenie.

Lady Ophelia wcale nie była bardziej odporna na takie błagania niż Daintry, a chociaż historia, którą im opowiedziała, nie działa się, dokładnie rzecz biorąc, w czasach jej młodości, zaciekała ona dziewczynki, ponieważ dotyczyła buntu jakobitów*.

Daintry słyszała tę opowieść wielokrotnie i usiadła teraz wygodnie, by obserwować dziewczynki. Widziała w ich oczach tę samą fascynację, z jaką - jak pamiętała - sama po raz pierwszy słuchała ciotecznej babki. Lady Ophelia umiała o historii mówić w taki sposób, że przypominała ona bajkę, i dopiero po latach człowiek orientował się, jak wiele się od starszej pani nauczył. Daintry przyłapała się na tym, że się zasłuchiwała, i była równie zła jak dzieci, kiedy im przerwano.

- Och, tu jesteście, wy niegrzeczne dziewczynki - wykrzyknęła lady Susan Seacourt, pospiesznie wchodząc do pokoju; bladoniebieska, muślinowa suknia zawirowała wokół jej szczupłych kostek. Wyższa od Daintry, jasnowłosa i smukła jak jej córka, zachowywała się na ogół łagodnie, ale w tej chwili wyraźnie była niezadowolona. - Kuzynka Ethelinda szuka was po całym domu. Są tutaj, mam - zawołała przez ramię - całe i zdrowe, z Daintry i ciocią Ophelia.

*Jakobici - stronnicy Jakuba II Stuarta oraz jego potomków, usiłujących po rewolucji 1688-89 bez powodzenia odzyskać panowanie w Anglii i Szkocji (przyp. red.).

- Dzięki Bogu - powiedziała słabym głosem lady St. Merryn, wchodząc do saloniku za Susan i przygarniając bliżej do swej chudej osoby liczne szale, jakby jej było chłodno. Opierając się na ramieniu pulchnej kobiety o udręczonej twarzy i spłowiałych blond włosach, podreptała w kierunku sofy stojącej najbliżej kominka.

Charley natychmiast się podniosła i zapytała:

- Ojej, czy babcia i ciocia Susan myślały, że myśmy się zgubiły? Przecież babcia i ciocia wiedzą, że ja się zawsze troszczę o Melissę. Nigdy bym jej nie zgubiła.

- Tak, kochanie - powiedziała lady Susan - wiem, że nie zgubiłabyś jej, ale musisz pamiętać, że dobrze wychowane młode damy nie uciekają, by robić to, na co im przyjdzie ochota. - Odwróciła się do córki i dodała łagodnie: - Dziwię się, że pozwoliłaś się namówić kuzynce na niegrzeczne zachowanie, kochanie.

Melissa, która również grzecznie wstała, kiedy do pokoju weszli dorośli, nic nie powiedziała, ale jej oczy napełniły się łzami na tę wymówkę.

Panna Ethelinda Davies, która pomagała lady St. Merryn usadowić się na sofie, podniosła wzrok i zaczęła pospiesznie trzepać:

- Błagam, nie karć jej, kuzynko, jako że jestem pewna, iż to nie jej sprawka, a i nic dziwnego w tym, że dzieci nie zważają na mnie. - Zakrywszy twarz dłonią, roześmiała się i dodała: - Obawiam się, że nie należę do tyranów, którzy potrafią wymusić posłuszeństwo. A teraz, kuzynko Letitio, pozwól, że poszukam dla ciebie poduszki, bo wiem, że musiały cię te schody zmęczyć. Och, dziękuję - wykrzyknęła, kiedy Charley podała jej poduszkę, na której siedziała. Panna Davies wsunęła ją lady St. Merryn pod plecy i dodała uprzejmie: - No, już. Flakonik z solami masz pod ręką. Zadzwońię po lokaja, by przyniósł ci z bawialni twój ulubiony parawanik. Nie chciałybyśmy, by ci od gorąca nadmiernie poczerwieniały policzki, prawda?

Lady St. Merryn zatrzepotała w odpowiedzi dłonią, a lady Ophelia stwierdziła cierpko:

- Na miłość boską, przestań paplać, Ethelindo. Letty nie

może czuć się wyczerpana po pokonaniu jednej kondygnacji schodów, a ten jej bezcenny róż też się nie rozpuści od tak nędznego ogienka. Co więcej, spacer na świeżym powietrzu dużo lepiej by jej zrobił niż te wstrętne sole, ale jeżeli już masz dzwonić po lokaja, to powiedz mu, by przyniósł więcej polan. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego nikt nie napełnił koszyka. Jeszcze kwadrans i na kominku zostaną same popioły.

- Idźcie teraz, dziewczynki, z kuzynką Ethelindą - odezwała się lady Susan - i zajmijcie się lekcjami. Może, jeżeli będziecie bardzo grzeczne, to ciocia Daintry zabierze was na przejażdżkę konną, kiedy się przejaśni.

- Tak, zabiorę was - obiecała Daintry. - Przejaśni się już wkrótce, tak jak każdego popołudnia w tym tygodniu, a jeżeli będziecie chciały, to wybierzemy się nad morze.

- A czy będziemy mogły zjechać na kamienistą plażę? - zapytała Charley. - Melissa mówi, że już się nie będzie bała i chce pojechać prosto do największej jaskini przemytników.

Daintry popatrzyła na mniejszą z dziewczynek.

- Naprawdę, kochanie? Byłaś dosyć wystraszona, kiedy zjeżdżałyśmy na dół poprzednim razem.

- Fale były wtedy takie głośne - półgłosem odpowiedziała Melissa. - Mojej kłaczy się to nie podobało, a kiedy ona jest niespokojna, ja się boję, że mnie poniesie.

- Delicja? Przecież ta stara krowa nie poniosłaby nawet wtedy, gdybyśmy jej wsadziły osty pod siodło - rzuciła Charley.

- Co za okropna sugestia! - zawołała Susan.

- Przecież bym tego nie zrobiła naprawdę - odparła Charley. - Chodziło mi tylko o to, że Delicja po prostu przypomina ślimaka.

- Och, idźże już, dziecko - słabym głosem odezwała się lady St. Merryn. - Zabierz ją stąd, Ethelindo. Nie wiem, dlaczego pozwalasz, żeby ona tak głośno mówiła. Okropnie od tego boli mnie głowa.

Daintry powstrzymała spojrzeniem Charley, która już otwierała buzię, i skinęła na Melissę. Obydwie dziewczynki wyszły za panną Davies z pokoju.

- Tak bym chciała - jęknęła żałośnie lady St. Merryn -

żeby Charles i Davina wrócili do domu i utrzymywali to dziecko w karności.

- Jest tu dwoje dzieci, mamó - powiedziała Susan lekko.

- Czyżbyś udawała, że nie wiesz, o utrzymanie którego dziecka w karności chodzi twojej matce? - odezwała się lady Ophelia. - Całe szczęście, że ani Charles, ani Davina nie są na tyle niemądrzy, by uważać, że należy stłamsić ducha Charlotty albo zdusić jej ciekawość; szczerze powiedziawszy, jest mi dużo łatwiej uporać się z nią niż z Melissą. O wiele jest za spokojne to twoje dziecko, Susan.

- Melissa jest niesłychanie dobrze wychowaną panią - stwierdziła lady St. Merryn, sięgając znowu po swoje sole - ale ponieważ zachowuje się tak, jak powinna, ma jej ciocia coś do zarzucenia. Jest ciocia bardzo twarda.

- Gdyby mnie ktoś pytał - powiedziała sztywno Susan - to ani Charles, ani Davina nie okazują Charley wystarczającego zainteresowania. Za bardzo zajmuje ich uczestniczenie w życiu *beau monde* i te ciągłe wyjazdy, to do Londynu na sezon, to do Brighton na urodziny regenta. Niedługo zaczną się przyjęcia myśliwskie i zabawy, a potem, po Bożym Narodzeniu, polowania w hrabstwach. Potem znowu Londyn. Jeżeli zatrzymają się gdzieś wystarczająco długo, by zdążyć zaangażować guwernantkę, to będą zdumiona.

- Phi - prychnęła lady Ophelia - sama dobrze bawisz się w Londynie, moja droga, a już z pewnością lepiej ode mnie; bawiłabyś się dużo gorzej, gdybyś tam miała takie kłopoty z zasypianiem jak ja. Co więcej, w okamgnieniu pojechałabyś do Brighton, gdyby nie to, że rozłożyło cię to przeziębienie z gorączką. Muszę jednak przyznać, że chyba nikt nigdy nie mógłby cię oskarżyć, że zaniedbujesz swoje dziecko. Twoje głębokie przywiązanie do Melissy jest oczywiste dla każdego, kto cię zna.

Susan zarumieniła się, a lady St. Merryn powiedziała:

- Musicie przyznać, że Susan zupełnie nie nadała za modą, do tego stopnia zajmując się Melissą. Oczywiście lepiej byłoby, gdyby miała jeszcze dwoje czy troje dzieci. Nie mogę zrozumieć, dlaczego ma tylko jedno.

Daintry przyglądała się siostrze; pomyślała, że wygląda dużo lepiej, niż kiedy przyjechały z Melissą do Tuscombe Park ponad sześć tygodni temu. Obydwie były wtedy przeziębione, przy czym przeziębienie Susan było szczególnie ciężkie. W tej chwili przypominała dawną siebie, chociaż była nieco onieśmielona nietaktowną uwagą matki. Daintry poklepała siostrę po ręce i powiedziała:

- Melissa jest grzeczna jak aniołek.

Susan uśmiechnęła się.

- Prawda? Geoffrey mówi, że Charlotta... muszę pamiętać, żeby nie mówić do niej Charley; on nie znosi takich chłopięcych przezwisk... że ona ma zły wpływ na Melissę, ale powiedziałam mu, że jest dużo bardziej prawdopodobne, iż najdroższa Melissa będzie miała dobry 'wpływ na Charlotte. Czy nie sądzisz?

Daintry niemalże roześmiała się na cały głos, ale pewien niepokój w spojrzeniu Susan powstrzymał ją i kazał zareagować bardziej dyplomatycznie.

- Przypuszczani, że jeżeli ktoś może wpłynąć na Charley, to będzie to Melissa. Ale Charley to niesforne dziecko.

- Diabelskie nasienie, takie jest właśnie to dziecko - wtrąciła się lady Ophelia - ale tym lepiej dla niej. Niewieście dużo trzeba odwagi, żeby poradziła sobie na tym świecie.

- Dobre maniere dalej ją zaprowadzą niż odwaga, ciciu - powiedziała łagodnie Susan. - Geoffrey twierdzi, że powinna mieć surowszą guwernantkę, a mówił to jeszcze, zanim odeszła panna Pettibone. Oczywiście nie wiedział, że ma zamiar odejść, ale powiedział...

- Na litość boską - fuknęła lady Ophelia - oszczędź nam wysłuchiwanie każdego słowa, które Seacourt wygłosił w ciągu minionych dziesięciu lat. Czy ty, dziewczyno, nie potrafisz już niczego sama powiedzieć? Słowo daję, od sześciu tygodni słyszymy tylko, co mówił Geoffrey, a na ile mogę się zorientować, nigdy nie powiedział czegoś, czego by warto wysłuchać!

Susan spłoniła się i przygryzła wargę; nagle zrobiła się bardzo podobna do własnej córki.

- Prze... przepraszam ciocię. Nie chciałam cioci obrazić.
- Nie obraziłaś jej, Susan - odezwała się miękko Daintry.
- Sama wiesz, że nie. Tylko że ciocia woli słyszeć, co ludzie naprawdę myślą, a nie to, co uważają, że powinni myśleć. Rozumiesz, o co mi chodzi, prawda?

- O, tak - powiedziała, wzdychając, Susan. - Wyraziłaś się całkiem jasno. Mnie się to nigdy nie udaje i może dlatego tak często przytaczam słowa innych. Jeżeli pozwolicie, to pójdę teraz na górę. Geoffrey i cała reszta pewnie niedługo wróca; powinnam zabrać do porządkowania rzeczy Melissy i moich, by Rosemary mogła je zacząć pakować.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, lady Ophelia mruknęła ponuro:

- Uporządkować rzeczy, jakby Rosemary nie była idealnie dobrą służącą! Susan zaczyna się robić podobna do ciebie, Letty, nic tylko same migreny i żale. Dzięki Bogu, że twoje córki mają różne usposobienie. Tak straszliwie bym się tu nudziła, że musiałabym chyba zacząć prowadzić własny dom.

Daintry roześmiała się.

- Do tego by na pewno nie doszło. Proszę sobie tylko wyobrazić tę frustrację: wyobrażałaby sobie ciocia ciągle, w co myśmy się tu mogli uwikłać, i nie była w stanie niczego naprawić! A życie stałoby się tutaj naprawdę bardzo nudne - dodała z figlarnym spojrzeniem.

Starsza pani odpowiedziała jej uśmiechem, a lady St. Merryn wtrąciła rozdrażniona:

- Niech tylko ciocia zaczeka, ciociu Ophelio, aż Daintry w końcu wyjdzie za męża, a przekona się ciocia, czy nie zmieni się tak samo, jak Susan się zmieniała, i jak się zmieniałam ja. Małżeństwo każdego może ustatkować, z czego być może ciocia nie zdaje sobie sprawy, skoro nigdy się jej nie oświadczano.

Daintry rzuciła pospieszne spojrzenie na cioteczną babkę w obawie, że może się ona poczuć urażona; ale odprężyła się, widząc, że starsza pani z trudem powstrzymuje śmiech.

- Z pewnością nie z powodu braku kandydatów nie wyszłam za męża, Letty - powiedziała - ale jeżeli usiłujesz dać

mi do zrozumienia, że powinnam była to zrobić, to po prostu nie mogę się z tobą zgodzić.

Lady St. Merryn podrzuciła głową w sposób typowy dla drażliwej piękności, którą niewątpliwie kiedyś była.

- 2 pewnością nie okazałabym takiej impertynencji, by mówić cioci, co ciocia powinna była zrobić, ale udzielać mężątkom rad, kiedy się nie ma jakiegokolwiek w tej materii doświadczenia, to przekracza wszelkie granice!

- Bywają sprawy, których nie trzeba doświadczyć, by wiedzieć, że nie wyjdą człowiekowi na zdrowie - stwierdziła lady Ophelia. - Skoro mężczyźni nie budzili we mnie żadnego szacunku, czemu miałabym jednemu z nich oddać pod kontrolę zarówno swój umysł, jak ciało?

- Absolutnie nie wypada mi się z czymś takim zgadzać - oznajmiła lady St. Merryn i przeniosła wzrok na Daintry. - Przekonasz się, moja droga, że jako wicehrabim Penthorpe będziesz musiała zmienić swój sposób postępowania. Żaden dżentelmen nie będzie tolerował, by niewiasta kwestionowała jego zdanie, a ty aż do przesady jesteś do tego właśnie skłonna. Powtarzam za twym ojcem, że postępując nadal tak, jak zwykłaś postępować, doprowadzisz się wkrótce do zguby.

Daintry skrzywiła się; od kiedy ojciec kazał jej przestać tak niemądrze brykać i wyrazić zgodę na poślubienie człowieka, którego nigdy nie widziała na oczy, nie po raz pierwszy pomyślała, że nie będzie jej łatwo. Wiedziała też, że jeżeli zostanie dłużej w pokoju, to na pewno powie coś, czego później będzie żałowała. Stwierdziła więc, że powinna dać znać do stajni, by osiodłano konie dla niej i dla dziewczynek, jak tylko się przejaśni. Ani lady Ophelia, ani lady St. Merryn nie wyraziły sprzeciwu, a Daintry, zamknawszy za sobą drzwi do saloniku, odetchnęła z ulgą.

Doszła do wniosku, że równie dobrze może pójść do stajni sama, zamiast posyłać tam lokaja, i udała się do sypialni po czerwoną, wełnianą pelerynę z kapturem. Narzuciła ją sobie na ramiona, naciągnęła parę jasnobrazowych rękawiczek z Yorku i wróciła na galerię. Zbliżyła się właśnie do prawego skrzydła wdzięcznych schodów, które opadały do

przestronnego holu na froncie domu, kiedy z biblioteki wyszedł ojciec, a odźwierny rozchylił ciężkie drzwi frontowe, w których pojawił się gość, wysoki, szeroki w barach dżentelmen w eleganckiej pelerynie do jazdy konnej.

Jego lśniące buty z cholewami zdawały się zadawać kłam panującej na zewnątrz wilgoci. Przekroczył próg, wszedł na czarno-białą marmurową posadzkę i zdjął bobrową czapę, spod której wychynęła wyrazista, przystojna twarz i gęste, kasztanowe włosy.

- Słowo daję - wykrzyknął St. Merryn, pospiesznie idąc go powitać - przecież to Penthorpe, nieprawdaż? Na Boga, chłopcze, poznałbym cię wszędzie przez te twoje włosy, chociaż niech mnie, porządnie ściemniały, od kiedy widziałem cię po raz ostatni. Nie mogłeś mieć wtedy więcej niż dziesięć lat, więc nie ma się czemu dziwić. Wejdźże do środka, wejdź. Jesteś Penthorpe, prawda? Przyznaj się, człowieku. W końcu przyjechałeś po moją córkę i powiadam ci, ani o jeden dzień nie za wcześnie!

Gość sięgnął do klamry spinającej u góry pelerynę, podniósł przy tym brodę do góry i jego spojrzenie padło na Daintry. Zobaczyła, że oczy ma głęboko osadzone pod ciemnymi brwiami, nos prosty, a kości policzkowe i kwadratową szczękę dość mocno zarysowane. A więc to był Penthorpe. Wydał jej się przystojny, ale bardzo duży. Wargi jego rozchyliły się, ukazując równe, białe zęby i wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią tylko, a potem zamknął usta. Na koniec, wyraźnie usiłując pozbierać myśli, odezwał się miłym, głębokim głosem:

- Tak, panie, jestem Penthorpe.

Gideon przynajmniej na razie nie żałował, że odruchowo przedstawił się cudzym nazwiskiem. Lady Daintry Tarrant była piękniejsza niż jej podobizna.

Nie poruszyła się, tylko stała, opierając lekko jedną dłoń w jasnobrązowej rękawiczce na wypolerowanej poręczy. Szkarłatna peleryna podkreślała rumieniec na jej policzkach, a oczy miała jaskrawo niebieskie. Drobną bródką uniosła się w górę, kiedy St. Merryn nazwał go Penthorpe'em, a pełne, czerwone wargi się rozchyliły, widział jednak, że nie jest szczególnie uszczęśliwiona, iż narzeczony w końcu przyjechał. Ta myśl podniosła go na duchu, ale ocknął się gwałtownie z miłego rozmarzenia, kiedy lokaj odebrał od niego kapelusz, a St. Merryn chwycił go za rękę, by ją ucisnąć.

- Zachwycony jestem, że cię widzę, chłopcze - wykrzykiwał St. Merryn. - Wypatrywałem cię już od miesiąca. Wiedziałem, że odejdziesz z armii, jak tylko uda im się ponownie uwięzić tego łotra Bonapartego, ale pewnie przed powrotem do Anglii musiałeś załatwić wiele spraw, no i nie wątpię, że wybrałeś się do Tattersall Greens, zanim skierowałeś się tu do nas.

- Tak, panie - powiedział Gideon rad, że przynajmniej to było prawdą. Odszedł z armii, ale nie tak szybko, jak byłby to zrobił Penthorpe, bo uczynił to dopiero wtedy, gdy otrzymał wiadomość o śmierci swego brata Jacka, a zanim ta tragiczna wieść do niego dotarła, minęło ponad sześć tygodni. Ale rzeczywiście pojechał do Tattersall w przekonaniu, że wuj Penthorpe'a będzie chciał się dowiedzieć, jak zginął jego bratanek. Nie przyszło mu na myśl, że lord Tattersall może nie mieć pojęcia o jego śmierci, lecz nie poczuł się tym specjalnie zaskoczony, ponieważ poniesione pod Waterloo straty były tak olbrzymie - czterdzieści do pięćdziesięciu tysięcy ludzi - że niektóre rodziny oficjalnych zawiadomień mogą nigdy nie otrzymać. Zostaną jedynie powiadomieni, że ich bliscy zaginęli i prawdopodobnie nie żyją, a minie wiele miesięcy, zanim nawet taka informacja do nich dotrze.

Zawahał się na tę myśl, ale jedno spojrzenie na wyniosłą, milezącą piękność na galerii nad schodami i na jej rozpromienionego rodzica utwierdziło go w postanowieniu. Był człowiekiem honoru, ale był też pierwszorzędnym oficerem kawalerii, wyszkolonym tak, by iść po linii najmniejszego oporu, by przyjmować każde wyzwanie, które przed nim stanie, by ko-

rzystać z najdrobniejszej nawet szansy, jaką rzuci mu los. Tak więc, chociaż w pierwszej chwili miał zamiar z miejsca hrabiego poprawić, widok lady Daintry w połączeniu z przekonaniem, że St. Merryn wyrzuci go w tej samej chwili, w której dowie się, że gość nosi nazwisko Deverill, utwierdził go w decyzji. Nic w tym złego, jeżeli poudaje Penthorpe'a przez krótki czas potrzebny, by lepiej poznać młodą damę.

Zorientował się, że St. Merryn domaga się wieści o wuju Penthorpe'a, i skupił całą uwagę na hrabim.

- Powiedziałbym, że czuje się tak dobrze, jak się można spodziewać, sir.

- Wciąż pewnie męczy go podagra. - St. Merryn pokiwał głową. - Miałem od niego list na wiosnę i skarżył się wtedy na tę dolegliwość. Oczywiście kuruje się sam. Kiedyś był ze starego Olliego wspaniały myśliwy, a teraz przez tę podagrę tylko siedziałby w fotelu i kwękał. Fatalnie mu ona psuje humor, ale pewnie ucieszył się, kiedy cię zobaczył. O ile wiem, narzekał tylko na jedną twoją wadę, a mianowicie, że masz skłonności do odkładania wszystkiego na później. Ale tym razem chyba nie miał powodów, by gderać, co?

- Nie, sir. Lady Tatt... to jest moja ciotka, również dobrze się czuje - dodał Gideon; chciał już zmienić temat, ale równocześnie miał tak ogromną ochotę dowiedzieć się, co jego lordowska mość sądzi o tej groźnej damie, że nie zdołał się powstrzymać.

St. Merryn skrzywił się.

- Nie znoszę tej kobiety. To przez nią Ollie zmienił się w drażliwego tyрана. A co z niej za pożytek? Dała mu tylko jedno dziecko, a teraz jest już za stara, by sytuację naprawić. Miliony razy powtarzałem mu, że to do niczego niepodobne, żeby niewiasta brała nad człowiekiem górę. Pamiętaj o tym, mój chłopcze - dodał i odwrócił się, by spiorunować spojrzeniem córkę. - Daj im jeden palec, a wezmą całą rękę.

Gideon zduśił śmiech i podniósł wzrok, ale przekonał się, że jaśnie panienka nie podziela jego rozbawienia. Jej śliczne usta zacisnęły się w wąską kreskę, a bródka uniosła się dumnie. Coraz mocniej zaintrygowany gość uśmiechnął

się do niej i odwrócił znowu do St. Merryna, mówiąc:

- Nie tak łatwo mnie zastraszyć, sir.

- Muszę przyznać, że nie wyglądasz mi na kogoś, kto pozwoliłby jakieś spódniczce sobą rządzić - odpowiedział St. Merryn. - Chodź, zapoznam cię teraz z rodziną, chłopcze. Daintry, nie stój tam, jakbyś w ziemię wrosła, i zdejmij z siebie tę wstrętną pelerynę. Nie mam pojęcia, gdzie się mogłaś wybierać.

- Wybieram się do stajni, papo.

- Nie pleć bzdur. Dygnij przed człowiekiem, którego masz poślubić, i niech już słowa nie słyszę o żadnych stajniach.

- Obiecałam zabrać Charley i Melisę na przejażdżkę, kiedy przestanie padać - powiedziała Daintry - a wydaje mi się, że właśnie przestało.

- No to wyślij z wiadomością lokaja - warknął ojciec, ruszając w kierunku schodów. - Nie ma najmniejszej potrzeby, żebyś schodziła na dół sama. Słyszane to rzeczy?

Gideon odnosił wrażenie, że Daintry niezbyt się złym humorem ojca przejmuje. Przyglądał się jej, podążając za hrabią, i poczuł nawet pewne zadowolenie, kiedy nie dała za wygraną i nawet nie zaczęła zdejmować denerwującej ojca peleryny. Nie unikała też spojrzeń gościa i patrzyła mu prosto w oczy, dopóki hrabia nie dotarł na szczyt schodów. Wtedy, dokładnie w momencie, kiedy zdaniem Gideona St. Merryn bliski był wybuchu, przykucnęła w głębokim dygu, wciąż nie odwracając oczu od narzeczonego.

- Zuchwała dzierlatka - warknął St. Merryn i obejrzał się przez ramię, jakby chciał ocenić reakcję Gideona. - Muszę cię z miejsca ostrzec, Penthorpe. Ma w głowie pełno przeróżnych zatraconych bzdur. Spodziewam się, że dosyć szybko jej to wyperswadujesz, ale równie dobrze możesz wiedzieć, co cię czeka.

- Niewątpliwie lepiej jest znać przeciwnika, sir - przytaknął Gideon półgłosem, obserwując oczy Daintry. - Miło mi panią poznać, panno Daintry.

- Czy tak, sir? Jest pan wyższy, niż się spodziewałam. Znam lorda Tattersalla i o ile sobie przypominam, jest on

dosyć niskiego wzrostu, tak więc spodziewałam się, że i pan taki będzie.

- Mam nadzieję, że nie rozczarowałam pani.

Oczy Daintry rozszerzyły się i Gideon znowu miał się ochotę roześmiać, ale zanim zdążyła odpowiedzieć, St. Merryn warknął:

- Dużo by jej to dało, jakby się rozczarowała. Gdzie twoja matka, dziewczyno? Muszę jej przedstawić Penthorpe'a, jeżeli się znowu nie położyła czy coś takiego. - Spojrzał skrzywiony na Gideona. - To żaden sekret, że moja Letty ciągle się kuruje, a ta jej zatracona kuzynka Ethelinda bez przerwy wymyśla dla niej jakąś kolejną chorobę.

- Mama jest z cicią Ophelią w bawialni, papo - wtrąciła gładko Daintry, a potem, oglądając się przez ramię, dodała od niechcenia: - Może lepiej uprzedzę pana na samym początku, lordzie Penthorpe, że byłam już zaręczona trzy razy i za każdym razem wycofywałam się tuż przed ślubem.

St. Merryn chwycił córkę za ramię, okręcił i mocno nią potrząsnął.

- Tym razem się nie wycofasz, na Boga, i nie zapominaj o tym! Słowo daję, dziewczyno, mam tego dosyć!

Daintry zeszytniała, a w jej oczach zabłysło ponownie buntownicze światełko. Gideon zdumiał się jednak, kiedy groźnie popatrzyła na ojca, a ten ją puścił.

- Obiecałam, że się nie wycofam, papo, lecz jak sam zwykłeś powtarzać, narzeczony ma prawo dowiedzieć się o mnie tego, co najgorsze.

- Tak, na pewno ma prawo - wykrzyknął St. Merryn - ale jeżeli masz nadzieję, że to on się wycofa, dowiedziawszy się o twoim niedorzecznym postępowaniu, robisz mu krzywdę, dziewczyno. Penthorpe jest dżentelmenem.

Gideon, świadom, że jego zachowania w żadnym wypadku dżentelmeńskim nazwać nie można, powstrzymał się od okrzyków oburzenia i nie zażądał, by podano mu szczegóły dotyczące zerwanych zaręczyn. Było w tej dziewczynie coś takiego, co go kusiło, by prowokować ją, budzić jej namiętne reakcje. Widział, że ojcu w najmniejszym stopniu nie uda-

ło się jej okiełznać, i aż go brała chęć, by samemu spróbować tego dokonać. Bez wątpienia byłoby to ambitne zadanie, a nigdy nie należał do ludzi, którzy lękają się wyzwania.

Doszli do podwójnych drzwi na końcu galerii. Daintry pchnęła je i powiedziała swobodnie:

- Mamy dla was niespodziankę. Pojawił się lord Penthorpe. Pewnie wszyscy możecie mi złożyć gratulacje.

- Nie w taki sposób powinnaś przedstawiać dżentelmena swojej matce - zareagował z rozdrażnieniem St. Merryn.

- Jeżeli nie umiesz zrobić tego jak należy, nie mów nic, ja będę czynił honory domu. Wejdz, Penthorpe.

Gideon znalazł się w pokoju, jak mu się zdawało, pełnym kobiet, i odetchnął z ulgą, stwierdziwszy, że nie zna żadnej z nich. Dopiero kiedy przekraczał próg, przyszło mu na myśl, że bez trudu może spotkać kogoś znajomego; wszak jego dom położony był na tyle blisko Tuscombe Park, że musieli mieć wielu wspólnych znajomych. Dobry żołnierz z ciebie, pomyślał cierpko. Po prostu głupi ma szczęście i tylko dlatego nie wszedłeś prosto w pułapkę!

Spojrzenie Gideona padło na najgroźniejszą z dam, jak się okazało tylko czterech, kanciąstą, starszą panią z siwymi włosami ściągniętymi w niemiłosiernie ciasny kok na karku. Nie tylko nie uśmiechnęła się na dźwięk nazwiska Penthorpe, ale jej bladoniebieskie oczy zwięziły się z namysłem i przyjrzała mu się z miną, z jaką mogłaby szukać szczurów we własnej spiżarni. Zanim przeniósł wzrok na drugą damę, wydało mu się, że starsza pani zajrzała mu prosto w duszę.

Pulchna dama, która kręciła się w pobliżu kanapy, przycisnęła dłonie do łona i wykrzyknęła:

- O mój Boże, prawdziwy angielski bohater!

- Nie bądź głupia, Ethelindo - warknął St. Merryn. - Nie zwracaj na nią uwagi, Penthorpe. Moja żona - dodał wskazując spoczywającą na sofie chudą damę o mysich włosach. - Letty, kochana, przedstawiam ci twego przyszłego zięcia. Bądź tak dobra i powstrzymaj się od ataku waporów, dopóki cię lepiej nie zdąży poznać. Nie będę w tej chwili niczego takiego tolerował.

- Ani w tej chwili, ani kiedykolwiek - podsunęła najstarsza z dam i kiedy Gideon się do niej odwrócił, zapytała nagle: - Mówił pan, że nazywa się Penthorpe, młody człowieku?

Gideon nie był w stanie skłamać jej prosto w oczy i z trudem ukrył ulgę, kiedy St. Merry narknął:

- Chyba właśnie tak powiedziałem, Ophelio, czyż nie? Poznałem go, jak tylko zobaczyłem te rude włosy. Niech mnie kule biją, chyba się na stare lata robisz głucha. Ta... ta niewiasta to ciotka mojej żony, lady Ophelia Balterley - dodał wyjaśniająco.

- To wielka radość poznać panią, milady - powiedział Gideon uprzejmie, a potem odwrócił się do damy, która okrzyknęła go prawdziwym angielskim bohaterem - i panią również.

Po raz pierwszy, od kiedy się pojawił, Daintry się do niego uśmiechnęła. Chociaż był to tylko blade uśmiech, doszedł do wniosku, że warto było na niego czekać.

- To kuzynka Ethelinda, sir... Chcę powiedzieć, panna Ethelinda Davies, która jest najbardziej oddaną towarzyszką mamy i chyba najbardziej życzliwą osobą w całym naszym domu. Ale wydawało mi się, kuzynko, że poszłaś na górę z dziećmi.

Panna Davies zaczerwieniła się gwałtownie i wymamrotała, że zadała im listy do napisania, a potem tylko na moment wyskoczyła na dół, by upewnić się, czy najdroższej Letty jest wygodnie. Zorientowawszy się w sytuacji, Gideon głęboko się przed nią skłonił. Kiedy się wyprostował, z wielkim zadowoleniem stwierdził, że Daintry patrzy na niego niemalże przychylnie.

Spojrzał jej wesoło w oczy i w nagrodę obdarowany został następnym, niepewnym uśmiechem. Potem Daintry najwyraźniej wzięła się w karby, pokazała na czwartą damę i oznajmiła:

- A to moja siostra, lady Susan Seacourt.

Gideon uprzytomnił sobie z konsternacją, że Penthorpe opisywał mu lady Susan; pewien był, że za chwilę otworzy mu się przepaść pod nogami. Zaufał twierdzeniu wicehrabiego, że nikt w tym domu go nie zna, a teraz przypomniało mu się, że Penthorpe przystał na te osobliwe zaręczyny

i zgodził się ożenić z Daintry tylko dlatego, że tak bardzo podziwiał jej siostrę. Uprzejme spojrzenie lady Susan dodało mu otuchy. Najwyraźniej nie uważała go za oszusta.

- Wydaje mi się, że chodziłem do szkoły z pani mężem, lady Susan - powiedział spokojnie. - Oczywiście był o całe lata wyżej ode mnie i jeżeli mnie będzie pamiętał, to pewnie tylko jako wstrętnego pętaka.

- Przykro mu będzie, że się z panem rozminął - odrzekła cicho Susan. - Przebywa obecnie z moim bratem w Brighton.

- No cóż, dobrze, że wojnę mamy już za sobą - oznajmił z zadowoleniem St. Merryn. - To bardzo pięknie, jeżeli młody człowiek służy swojemu krajowi w potrzebie. Pewnie mój Charles o niczym tak nie marzył, jak o sprawieniu sobie munduru, ale skoro jest moim jedynym synem i dziedzicem hrabstwa, było to nie do pomyślenia.

- Mamy szczęście, że nie powstrzymało to lorda Uxbridge'a, sir - odpowiedział mu bez zastanowienia Gideon. - Gdyby nie stracił nogi pod Waterloo, pewnie do dziś pozostałby w wojsku. Oczywiście, nie był jedynym synem, ale jego obydwaj bracia również służy w armii.

- Dzielny bohater z tego Uxbridge'a - stwierdził St. Merryn. - Obecnie, kiedy za swoje heroiczne czyny dostał tytuł markiza, musimy go tytułować Anglesey.

- Być może jest bohaterem - odezwała się sucho lady Ophelia - ale nie pomoże mu się to dostać na większość londyńskich salonów, St. Merrynie, skoro tak bezwstydnie potraktował swoją pierwszą żonę, a przypomnę ci, że była ona córką hrabiego, i skoro drugą uwiódł, kiedy jeszcze była zamężna za biednym bratem Wellingtona. Jeżeli na sumieniu mężczyzny ciążyą dwa rozwody, ma się czego wstydić. A jeśli chodzi o jego braci - dodała, patrząc wprost na Gideona - to przynajmniej sir Arthur Paget jest taki sam jak Anglesey, skoro skradł lordowi Borindonowi żonę i przyczynił się do następnego skandalicznego rozwodu.

- Nie wypowiadaj tego słowa - zareagowała ostro lady St. Merryn. - Moje nerwy po prostu tego nie wytrzymają. Poza tym nie możesz winić Uxbridge'a; przecież to jego

własna żona wniosła sprawę przeciw niemu, a jestem przekonana, że to kompletnie niezgodnie z naturalnym porządkiem rzeczy, by coś takiego robiła niewiasta. Mogło się to zdarzyć tylko w tak zacofanym miejscu, jak Szkocja.

Gideon, któremu wady Uxbridge'a były równie dobrze znane, jak jego zalety, czekał niecierpliwie, jak odpowie na to lady Ophelia, ale uprzedziła ją lady Daintry, która rzekła nieoczekiwanie:

- Z pewnością Charles byłby w równym stopniu jak ja zaskoczony, dowiedziawszy się, że pragnął iść na wojnę, papo. Zawsze uważałam go za szczerego tchórza.

- Trzymaj język za zębami, dziewczyno. Jak śmiesz tak mówić! Charles fantastycznie radzi sobie przy konnych polowaniach z psami, a do tego wspaniale strzela. Byłby z niego świetny oficer kawalerii.

Gideon nie znał Charlesa Tarranta, ale wydawało mu się, że bardziej na wiarę zasługują słowa lady Daintry niż hrabiego. Zdał sobie sprawę, że Daintry z rozmysłem ściągnęła na siebie gniew ojca, i czekał z zainteresowaniem, co powie hrabia. Zaraz jednak wtrąciła się lady St. Merryn.

- Przekonana jestem, że chcesz mnie, sir, za młodu wpędzić do grobu. Przecież doskonale wiesz, że moje nerwy nie zniosłyby tego, gdyby mego najdroższego Charlesa zabrano od mego boku. Słabo mi się robi na samą myśl o tym.

- Nie musi ci się robić - odparł hrabia, patrząc na żonę wilkiem. - Przecież nigdzie nie pojechał, prawda? Mówiłem tylko, że świetnie radziłby sobie jako żołnierz. Kto wie, może skończyłby nawet w sztabie lorda Hilla albo Stuarta?

- Taka sugestia - odezwała się Daintry, lekko pochylając głowę na bok - mieści się bez przeszkód w zakresie prawdopodobieństwa, ponieważ wielokrotnie słyszałam, że dżentelmeni ci najlepiej są znani ze swych szlacheckich koneksji, rycerskiego podejścia do płci pięknej i wielkich umiejętności wykazywanych przy stolikach do gry.

- Świetnie też sobie radzą na polowaniach - dodał Gideon ze śmiechem, zanim się zdołał powstrzymać. A potem, widząc wyraz gwałtownego oburzenia na twarzy St. Merry-

na, uzupełnił pospiesznie: - Ale bez dwóch zdań, w sztabie Hilla jest wielu wspaniałych ludzi. Książę kilku z nich wymieniał w swoich rozkazach dziennych.

- To prawda, że Charles lubi polować - przyznała Daintry - ale nie sądzę, by miała mu się spodobać bliskość poła pod Waterloo. Co do reszty, jego żona Davina często ma mu za złe ogromne doświadczenie w postępowaniu z płcią piękną i to, że wiele czasu spędza przy zielonym stoliku.

- A niech to, Daintry - warknął St. Merryn - kazałem ci trzymać język za zębami! Rozumiesz już, co miałem na myśli, Penthorpe? Życzę ci szczęścia z tą dzierlatką, zapewniam cię. Ale powinieneś w samą noc poślubną spuścić jej porządne lanie, żeby pokazać, kto jest panem.

Lady St. Merryn uniosła pospiesznie do nosa flakonik z solami trzeźwiącymi, a panna Davies przyklękała szybko u jej boku, zaczęła poklepywać ją po ręce i niespokojnie szeptać.

Daintry wyprostowała się gniewnie, policzki jej spurpurowiały, w oczach zabłyśły iskry, a Gideonowi wydała się jeszcze piękniejsza niż przedtem. Pragnąc zapobiec wybuchowi gniewu dziewczyny, podszedł do niej, jednym ruchem rozpiął jej pod szyją klamrę peleryny i powiedział:

- W pokoju jest o wiele za ciepło na tę pelerynę, milady. Powinna była pani zadzwonić po lokaja, żeby ją zabrał. Proszę, niech mi będzie wolno zrobić to za panią.

Zanim Daintry zdążyła zareagować, Gideon zsunął jej pelerynę z ramion. Okręciła się jak fryga, a szybkość, z jaką poderwała dłoń do uderzenia, dowiodła, że jest równie porywcza jak on. Spojrzał tyłko na nią ostrzegawczo, a ona zdołała się opanować, piorunując go jedynie wzrokiem.

Miała na sobie bladozieloną, poranną sukienkę z wysokim stanem, haftowaną z przodu na różowo w grecki ornament, ale Gideon prawie nie zauważył takich detali, zajęty podziwianiem, jak efektownie wpływał przyspieszony oddech Daintry na jej delikatnie zaokrąglone piersi. Różowa, jedwabna, związana schludnie nieco niżej szarfa dodatkowo podkreślała ich urodę.

- Sznur od dzwonka - odezwała się sucho lady Ophelia - znajduje się przy kominie, milordzie.

Gideon, ściągnięty z obłoków na ziemię, zerknął na starą damę, idąc do dzwonka, i nie wiadomo dlaczego poczuł ulgę, zauważwszy błysk wesołości w jej bladych oczach. Kiedy jednak, szarpnąwszy ostro za sznur, odwrócił się znowu do Daintry, ta oznajmiła:

- Właśnie zadzwonił pan po kamerdynera.

- I bardzo dobrze - wtrącił St. Merryn. - Będzie nam mógł przynieść trochę wina. Przypuszczam, że chętnie napijesz się kropelkę po podróży, Penthorpe.

- Jest jeszcze na mnie nieco za wcześnie, sir, ale proszę sobie nie odmawiać z mojego powodu. Czy mam również zadzwonić po lokaja, lady Daintry? Wyrażała pani wcześniej chęć przesłania wiadomości do stajni, czyż nie?

- Medrose może się tym zająć - odpowiedziała Daintry - ale skoro już postanowił pan się do czegoś przydać, może będzie pan na tyle uprzejmy, by poprawić parawan mojej matce. Mamo, czy nie jest mamie za gorąco?

- Słowo daję, dziewczyno - wykrzyknął rozdrażniony St. Merryn - przestań traktować tego człowieka jak chłopca na posyłki i usiądź. Możesz też zapomnieć o przekazywaniu jakichkolwiek wiadomości do stajni, bo zapowiadam ci tu i teraz, że na żadną przejażdżkę się nie wybierzesz, kiedy mamy w domu gości. Bo przecież oczywiście się pan u nas zatrzyma - dodał z pewnością w głosie, patrząc na Gideona.

- Ależ, sir - zaczął Gideon, zastanawiając się pospiesznie, jak postąpić - nie zachowałem należytych form i nie przedziłem o swoim przyjeździe.

- Człowieku, nie opowiadaj głupot - odparł St. Merryn i urwał, kiedy drzwi za jego plecami otworzyły się i wszedł kamerdyner, a za nim wysoki, młody lokaj. - A, jesteś, Medrose. Weź pelerynę lady Daintry od lorda Penthorpe'a i przynieś nam trochę sherry. I powiedz pani Medrose, żeby przygotowała pokoje dla jego lordowskiej mości.

- Naprawdę, sir... - przerwał mu pospiesznie Gideon.

- Medrose, wyślij kogoś do stajni z wiadomością, by osiodłał konie dla mnie i dla dwóch młodych dam, jak tylko przestanie padać - wtrąciła Daintry, bezceremonialnie mu przerywając.

Kiedy kamerdyner i lokaj wyszli, zapadła cisza, którą przerwała panna Davies. Podniosła się nagle i z zapalonym, od którego aż dech jej zapierało w piersiach, powiedziała:

- Niechże pan siądzie, lordzie Penthorpe. Nie potrafisz zrozumieć, dlaczego tak długo trzymaliśmy pana na nogach, kiedy wszyscy nie możemy się wprost doczekać, by usłyszeć o pana szlacheckich, bohaterskich działaniach przeciw temu okropnemu Bonapartemu.

- Nie rób z siebie idiotki, Ethelindo - przerwała jej cierpko lady Ophelia. - Najbardziej bohaterskich czynów musiał dokonać pod Waterloo, a nawet ty nie jesteś chyba do tego stopnia niewrażliwa, by pragnąć usłyszeć ze szczegółami opis tak przerażającego starcia. Jego lordowska mość musiał tamtego dnia stracić wielu przyjaciół, nie wolno nam prosić, by przeżywał to jeszcze raz tylko dla naszej rozrywki. Siadaj natychmiast, i ty też usiądź, Daintry. Nie ma żadnego powodu, byś zachowywała się tak, jakby cię źle wychowano. A teraz, sir - dodała, kiedy Daintry posłuchała jej bez szemrania - pan również może zająć miejsce i powiedzieć nam wprost, czy ma pan zamiar zatrzymać się u nas z wizytą, czy nie.

- Ależ oczywiście, że się zatrzyma - oznajmił St. Merryn, patrząc na Gideona rozpromieniony. - Musimy przecież wszystko zaplanować, słowo daję.

Gideon, świadom, że stąpa po bardzo kruchym lodzie, zdecydowany był uniknąć pułapek, które niosłaby ze sobą dłuższa wizyta, odrzekł więc ostrożnie:

- Ponieważ nie bardzo mogłem liczyć na aż tak serdeczne przyjęcie, skoro wcześniej słowa nie napisałem, sir, postanowiłem zatrzymać się gdzie indziej w sąsiedztwie, złożwszy tylko państwu najpierw wyrazy uszanowania.

- A gdzież to chce się pan zatrzymać, milordzie? - zapytała lady Ophelia.

Gideon uświadomił sobie, że ani razu nie zwróciła się do niego *per* Penthorpe; zastanawiał się, czy nie podejrzewa go o oszustwo. Tak czy owak trzeba z tym szybko skończyć, by uniknąć na przyszłość fałszywej sytuacji. W nadziei, że dawna waśń nie pozwoli im złożyć mu oficjalnej wizyty, powiedział:

- W Deverill Court, pani. Przypuszczam, że wie pani....
- Och, my znamy Deverill Court, czyż nie, St. Merrynie?
- pokiwała głową lady Ophelia.

- Słowo daję, chłopcze - wykrzyknął hrabia - a po cóż to masz się zatrzymywać u Jervaulxa? Nie dość że wrócił do Kornwalii, kiedy już myśleliśmy, żeśmy się go pozbyli na dobre... a do tego pewnie nie wiesz nic o stosunkach pomiędzy naszymi dwoma rodzinami! Niech mnie kule biją, nie pozwolę, żebyś tam zamieszkała! Musisz się z miejsca do nas przeprowadzić.

Gideon zeszytniał, ale zareagował z wymuszonym spokojem:

- Przekonany jestem, że to ja muszę podjąć tę decyzję, sir. Court leży o niecałą godzinę jazdy stąd, więc przypuszczam, że dosyć często będziecie mnie państwo widywali w najbliższych dniach. Z całego serca pragnę poznać lepiej lady Daintry, zanim ustalimy datę naszego ślubu.

- A niech mnie, człowieku, Ollie miał rację. Rzeczywiście jest z ciebie zatracony guzdrała!

Już drugi raz tego dnia Gideon błogosławił powszechnie znaną, opieszłą naturę swego przyjaciela.

- Może i tak, sir - powiedział - ale nie widzę, żebym miał przez to coś stracić, a wiele mogę zyskać, postępując delikatnie. - Tu znacząco popatrzył na lady Daintry, która wybrała akurat ten moment, żeby wyrzeć znowu przez okno, jakby w ogóle nie interesowała jej rozmowa.

St. Merryn podążył spojrzeniem za jego wzrokiem, skrzywił się i oznajmił:

- No, dobrze już, dobrze, ale rozczarowałeś mnie, chłopcze. Nie sądziłem, że z taką łatwością odrzucisz moje doskonałe rady.

Drzwi do bawialni otworzyły się z trzaskiem. Gideon odwrócił się i zdumiony zapatrzył w mały cyklon w ludzkiej postaci, który wpadł do pokoju.

- Ciociu Daintry, deszcz ustał, mamy już amazonki i wszystko. Och, proszę, czy możemy jechać od razu? - Dziewczynka do złudzenia przypominała miniaturową kopię ciotki. Wobec takiej eksplozji entuzjazmu Gideon prawie nie zauważył szczy-

płej blondyneczki, która niczym duch wsunęła się za pierwszą dziewczynką do pokoju.

- Na moją duszę, Charley! - warknął z oburzeniem St. Merryn.

- Charlotta - odezwała się spokojnie lady Ophelia. - Proszę wyjść i wejść jeszcze raz, tym razem jak prawdziwa dama.

Nie tracąc ni chwili, dziecko odwróciło się na pięcie, wybiegło z pokoju i zamknęło za sobą drzwi. Zanim się znowu otworzyły, minęła dłuższa chwila, a potem pojawił się w nich majestatyczny Medrose z tacą, karafką i kieliszkami. Wkroczył do pokoju, zatrzymał się dla większego efektu, a następnie oznajmił z godnością:

- Jaśnie panienska Charlotta Tarrant, proszę pani.

Gideon z trudem zmusił się do opanowania śmiechu, kiedy spojrzął na drzwi. Panna Charlotta, poruszając się z godnością królowej, wkroczyła do pokoju i wykonała przed obecnymi głęboki, a nawet wdzięczny ukłon. Oczy błyszczały jej figlarnie. Gideon zauważył, że mają inny kolor niż u Daintry, tak ciemny, że wydawały się niemal czarne; ale rumieniec na policzkach obu dam był identyczny i niewątpliwie za kilka lat dziewczynka w każdym calu dorówna urodą swojej ciotce.

Druga panienska nie ruszyła się nawet z miejsca, które zajęła, kiedy obydwie weszły do bawialni. Stała tak spokojnie, że wydawała się prawie nie oddychać; ona również mu kogoś przypominała. Przez moment nie umiał sobie uprzytomnić, kogo. A potem aż się wzdrygnął: uświadomił sobie, że matką dziecka musi być lady Susan Tarrant. Susan była co prawda obecna w pokoju przez cały czas, ale niemal słowem się nie odzywała, przez co nie zwrócił uwagi na ich podobieństwo. Zerknął na nią teraz; siedziała spokojnie pod oknem. Zauważył, że przygląda się z niepokojem nie swojej nieokiełznanej bratanicy, tylko St. Merrynowi.

Daintry również rzuciła spojrzenie na ojca, a potem dopiero podeszła, by przytulić Charlotte.

- Charley, ty okropna dziewczynko, czy nigdy się nie nauczysz grzecznie zachowywać?

- Ale za drugim razem zrobiłam to tak, jak się powinno

robić, prawda, ciociu Daintry, więc obiecaj, że nas zabierzesz. Kim jest ten pan? - zapytała obcesowo, kiedy jej wzrok padł na Gideona.

- Dzieci powinny być widziane, ale nie słyszane - warknęła St. Merryn.

- Nonsens - fuknęła lady Ophelia. - Jak się ma dziecko czegokolwiek dowiedzieć, skoro nie wolno jej zadawać pytań? Przedstawcie go.

Twarz hrabiego pociemniała z gniewu, a Daintry powiedziała pospiesznie:

- To wicehrabia Penthorpe, kochanie.

- Ten, którego ma ciocia poślubić?

Daintry zawahała się, ale Gideon, ku własnemu zaskoczeniu, stwierdził stanowczo:

- Ten sam.

Dziewczynka zmierzyła go spojrzeniem od stóp do głów, potem radośnie uśmiechnęła się do ciotki.

-Jest dużo przystojniejszy, niż się ciocia spodziewała, prawda?

Daintry dech zaparło, zerknęła na Gideona z pełnym rozbawienia zażenowaniem, a potem powiedziała:

-Jeżeli mam zabrać was, dziewczynki, na przejażdżkę, to muszę zmienić suknię. Gdybyście więc teraz wszyscy pozwolili mi się oddalić...

Widząc, że St. Merryn znowu ma zamiar wyrazić sprzeciw, Gideon wtrącił szybko:

- Wspaniały pomysł. Z radością będę paniom towarzyszył.

Jeżeli nawet Daintry była mu wdzięczna za tę interwencję, nie pokazała tego po sobie, stwierdziła tylko lakonicznie:

- Wybieramy się nad morze, sir, a nie w kierunku Bodmin Moor.

Gideon, nadal zdecydowany obrócić wniwecz opór St. Merryna, powiedział spokojnie:

- A więc możemy jechać razem, dopóki będziemy mieli wspólną drogę, milady. Z pewnością nie ma pani ochoty stać tu i rozważać tej kwestii, skoro mogłaby pani lepiej wykorzystać czas, przebijając się w amazonkę.

Przez moment wyglądało na to, że Daintry nie ustąpi, ale potem spojrzała przelotnie na dziewczynki, skinęła głową i poleciła:

- Zaczekajcie na mnie w holu, Charley.

Po czym opuściła pokój z tą samą godnością, z jaką wcześniej wkroczyła do środka dziecko. Tylko że w przypadku Daintry postawa ta najwyraźniej była Czymś wrodzonym i w najmniejszym stopniu nie pobudzała Gideona do śmiechu.

- Ślicznie - powiedział St. Merryn, któremu gwałtownie poprawił się humor. - Stanowczość, oto co jest potrzebne w postępowaniu z tą dzierlatką. Pokaż jej tylko, chłopcze, kto tu rządzi, a nie pożałujesz.

- Wszystko się może zdarzyć - rozchichotała się lady Ophelia.

4

Skoro tylko za Daintry zamknęły się drzwi bawialni, z jej twarzy zniknęła pełna godności mina. Pospieszyła na górę, do swojej sypialni, której ściany, pokryte u dołu białą, ozdobioną faltwerkiem boazerią, a u góry tapetą w pseudohinduski wzór z kolorowych kwiatów i ptaków na niebieskim polu, stanowiły eleganckie tło dla mebli z ciemnego drewna. Jedwabne zasłony przy łóżku i oknach były w tym samym odcieniu błękitu co tapeta, a na kominku z białego marmuru trzaskał wesoło ogień.

Daintry zadzwoniła po pokojówkę, przeszła po dywanie w pastelowe kwiaty i otworzyła drzwi szafy. Potem zrzuciła różowe aksamitne pantofelki, które założyła do porannej sukni, i rozwiązując jedną ręką szarfę, drugą przesuwiała wiszące w szafie ubrania.

- Na miłość boską, Daintry, co ty wyprawiasz? - zapytała od drzwi Susan. - Zaczekajże, na miłość boską, aż Nance ci pomoże. Wiesz, jak ją to irytuje, kiedy robisz bałagan w szafie.

- Boże drogi, Susan, czy ty nawet służącej starsz się przypodobać? Nance jest bardzo dobra na swój sposób i wolę, żeby mnie ona obsługiwała niż ta okropna garderbiana, przy której uparła się ciotka Ophelia i którą musiałam zaangażować na swój pierwszy sezon w Londynie, ale nie staram się jakoś specjalnie wkradać w jej łaski. I gdzie ona się, do diabła, podziewa? I co ty tutaj robisz?

- Przyszłam oczywiście po to, żeby pomóc ci wybrać coś, co mogłabyś założyć, i żeby dowiedzieć się, co myślisz o swoim narzeczonym.

- Typowy mężczyzna, apodyktyczny i arogancki - powiedziała ze śmiechem Daintry - ale mnie nie oszukasz, moja droga. Miałaś po prostu ochotę wymknąć się z bawialni. Czy papa nie będzie niezadowolony z tak podłej dezercji?

- Przypuszczam, że nawet nie zauważy, iż poszłam za tobą - stwierdziła spokojnie Susan. - Nikt na mnie nigdy nie zwraca uwagi.

Daintry uniosła w górę brew i zapytała kpiąco:

- Nikt? Nawet sir Geoffrey? Daj spokój, posunęłaś się za daleko, jak mi się zdaje. A może zmieniłaś zdanie na temat tego swojego przystojnego męża? Pamiętam doskonale, że uważałaś go za najwspanialszego, najbardziej uroczonego, najbardziej idealnego z ludzi.

- No cóż, ciocia Ophelia nigdy tak nie uważała - odparła Susan, podchodząc do niebieskiej jedwabnej zasłony, udrapowanej przy wysokim oknie.

- Ciotka Ophelia nie docenia męskich uroków. Mnie również na ogół nie ciągnie do jasnowłosych dżentelmenów o estetycznym wyglądzie, ale nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Czy zmieniłaś co do niego zdanie?

- Nie bądź niemądra - odparła, nie odwracając się Susan. I dodała z troskany tonem: - Czy uważasz, że to bezpieczne zabierać dziewczynki na przejażdżkę zaraz po deszczu? Bruk na dziedzińcu jest jeszcze całkiem mokry.

- Przecież nie będziemy jeździły po bruku, głuptasie. Wybieramy się nad morze - oznajmiła Daintry - ale nie musisz się trapić; będę się nimi doskonale opiekować, jak zawsze

zresztą. Porozpinaj mi guziki, dobrze? Mam ich chyba z pięćdziesiąt przy tej sukni i do większości nie mogę się dostać. Gdzie, u diabła, podziwia się Nance? Dzwoniłam po nią już wieki temu.

- Taka jesteś niecierpliwa - powiedziała Susan, spoglądając na siostrę z pełną czułości irytacją. Ale uporała się szybko z guzikami, a zanim skończyła, pojawiła się Nance.

- Najwyższy czas! - wykrzyknęła Daintry, piorunując pokojówkę wzrokiem. - Potrzebna jest mi czerwona amazonka, czarne buty i czarne rękawiczki. I niech to nie trwa cały dzień, Nance, proszę. Dziewczynki na mnie czekają.

- O, tak, czekają - potwierdziła Nance, szeroko uśmiechając się do Susan. Była pulchną Kornwalijką o serdecznych, brązowych oczach i rumianej cerze i służyła w St. Merryn przez całe swoje życie, podobnie jak wcześniej jej siostra, matka i babka. Jeżeli kiedyś umiała zachowywać się oficjalnie, dawno się tej umiejętności wyżyła. Teraz powiedziała ze śmiechem: - Jakbyśmy to wszyscy w domu nie wiedzieli, kto przyjechał z wizytą. I jakby to panienka miała we zwyczaju zakładać w taki ponury dzień swoją najlepszą amazonkę. Do dziś dla panienki Charley i panienki Melissy wystarczająco dobra była ta stara, niebieska. - Na twarzy Daintry pojawił się nieco bardziej surowy wyraz i Nance natychmiast przestała się z nią droczyć. - Jaki on jest, panno Daintry? Pytałam Medrose'a, czy przystojny, i w ogóle, ale sama panienka wie, jaki z niego sztywniak. Drętwy, to do niego dokładnie pasuje, słowa nie chciał mi powiedzieć o lordzie Penthorpe.

- I bardzo odpowiednio się zachował - stwierdziła Daintry. - Mam nadzieję, że ty nie plotkujesz ze służbą o moich sprawach, Nance.

- No pewno, że nie - potwierdziła Nance, wyciągając z szafy czerwoną amazonkę i kładąc ją na wysokim łóżku. Potem wróciła do szafy i sięgnęła na półkę nad wieszakami, mówiąc przy tym: - Ale wciąż chciałabym się czegoś dowiedzieć o tym młodym człowieku, panno Daintry. Słowa nikomu nie pisnę....

- Nie włożę dziś kapelusza - oznajmiła Daintry.
- Nonsens - odparła Nance. - W życiu panienska nie założy tej ślicznej amazonki bez kapelusza, który się do niej należy.
- Nie możesz jechać z gołą głową, moja droga - dodała cicho Susan. - Byłby to bardzo niedobry przykład dla dziewczynek.

Daintry zacięła zęby. Susan miała rację. Nie wolno jej uczyć dziewczynek, że mogą lekceważyć nakazy mody. A przynajmniej jeszcze nie teraz.

W mgnieniu oka pozbyła się sukni i już miała na sobie amazonkę. Nance cofnęła się, by jej się przyjrzeć.

- Ten czerwony kolor pięknie pasuje do cery panienki. Ślicznie w nim paniencie. Naprawdę bardzo się cieszę, że panienska i lady Ophelia zdołałyście przekonać mamę panienki, by nie szyła amazonki z jasnoniebieskiego muślinu, który jej się tak dla panienki spodobał.

- Muślin ma dostać Susan - odpowiedziała Daintry, uśmiechając się do siostry. - Będzie jej w nim bardzo do twarzy i wyjdzie z tego dokładnie taka amazonka, jakiej będzie potrzebowała na przejażdżki w Hyde Park, kiedy w lutym udamy się do Londynu. Co więcej, chociaż muślin jest taki modny, nie jest to moim zdaniem odpowiedni materiał na amazonkę.

- Jego lordowskiej mości na pewno bardziej spodoba się panienska w tej czerwonej tafcie - stwierdziła Nance. - Niechże panienska siądzie i pozwoli, żebym jej przyczesła włosy, zanim założymy kapelusz. A więc, czy jest przystojny? Niech mi panienska o nim wszystko opowie.

- Nie najgorszy, powiedziałabym - oznajmiła Daintry. Widziała w lustrze, jak Nance zerknęła na Susan, i wcale nie poczuła się zaskoczona śmiechem siostry. - Ty pewnie uważasz, że to istne wcielenie męskiej urody. - Osobiście uważała, że Penthorpe prezentuje się dużo lepiej niż jej szwagier, ale miała wątpliwości, czy siostra zgodziłaby się Z nią.

Susan roześmiała się.

- Lord Penthorpe jest bardzo rostry i przystojny na swój surowy sposób, Nance, i wydaje mi się, że bardziej się Daintry podoba, niż ma ona ochotę przyznać. Nie potrafię so-

bie wyobrazić, jak mogłam na niego nie zwrócić uwagi w Londynie. Ma przecież tak władczy sposób bycia. Nawet papie się sprzeciwił, kiedy papa chciał go u nas zatrzymać.

- Nie chce się tu zatrzymać? A dlaczego?

Nance doprowadzała niesforne loki Daintry do jakiego takiego porządku, a Susan wyjaśniała:

- Ma zamiar zatrzymać się u przyjaciół w sąsiedztwie i mogę wam powiedzieć, że nie bardzo to cieszy papę, ponieważ przyjaciele wicehrabiego mieszkają nie gdzie indziej, tylko w Deverill Court.

- Susan. - Daintry nie powiedziała nic oprócz imienia siostry, ale ta zaczerwieniła się aż po korzonki włosów i spuściła wzrok na własne dłonie.

- Niech się panienka nie gniewa, panno Daintry - wtrąciła Nance. - I tak niedługo bym się o tym dowiedziała, jeżeli nie od którejś służącej, to od Annie, bo przecież jej kuzynka Sarah dochodzi do pracy do Court. - Odłożyła szcztokę na toaletkę i starannie ułożyła kapelusz ze szkarłatnego jedwabiu na ciemnych włosach swojej pani, przy-mocowując go ozdobioną klejnotami mosiężną szpilą. Po-tem stwierdziła: - Lepiej, żeby panienka sama mówiła mi, co się dzieje, to jak jakiś głupek zacznie opowiadać bajdy w pokoju dla służby, będę go mogła poprawić.

- Niczego takiego nie zrobisz, Nance. - Daintry popatrzyła w lustro prosto w oczy służącej.

Nance zaczerwieniła się nawet bardziej niż przed chwilą Susan i wymamrotała:

- Nie, oczywiście, że nie. Nie jestem taka głupia, żeby gadać o tych, co stoją wyżej ode mnie, i powinna panienka sama o tym wiedzieć.

- Mam nadzieję, że tak jest, Nance, i że powstrzymasz się nawet od rozmów na ten temat z Annie, skoro ona już tu nie pracuje. Teraz możesz odejść. Zadzwońię po ciebie, jak wrócę.

Nance wyszła z pokoju bez słowa.

- Zrobiłaś jej przykrość - stwierdziła Susan.

- Nonsens - odparła Daintry, zaglądając do lustra i sprawdzając, czy nie byłoby jej jeszcze ładniej przy nieco

innym nachyleniu kapelusza. Uświadomiła sobie, że niczego takiego nie robiłaby ani dla Charley, ani dla Melissy i odwróciła się twarzą do siostry. - Dlaczego sądzisz, że sprawiłam Nance przykrość? Niełatwo ją poskromić. Kiedy się z nią znowu zobaczę, pewnie będzie mnie besztać za to czy tamto. Sama wiesz, że tak będzie.

Susan uśmiechnęła się.

- Przypuszczam, że masz rację.

- Mam. Fakt, że ty podwijasz ogon pod siebie, jak tylko ktoś kosym okiem na ciebie popatrzy, nie oznacza, że wszyscy tak postępują.

- Naprawdę to robię?

- Naprawdę.

Susan przygryzła dolną wargę.

- Wcale tego nie chcę, ale nie lubię głośnych rozmów i nie mogę znieść, jak się ktoś przeze mnie złości. A ty... Ty zrobiłaś się taka bardzo...

Daintry zachichotała, podeszła do Susan i przytuliła ją.

- Taka się zrobiłam, prawda? Pierwszy raz wpadłam we wściekłość, jak miałam niecałe trzy lata. Już wtedy postawiłam na swoim.

Susan przeszedł dreszcz.

- To tylko dowodzi, jak różnie się sprawy układały dla ciebie i dla mnie. Ja tylko jeden jedyny raz sprzeciwiłam się mamie, a ona przełożyła mnie przez kolano i biła szczotką, aż zaczęłam krzyczeć. I nie było to jedyne lanie, pozwól sobie powiedzieć.

Daintry skrzywiła się.

- Nie robiła już tego, od kiedy ciocia Ophelia sprowadziła się do nas na stałe, prawda?

- A przynajmniej nie biła aż tak. - Susan westchnęła. - Ale nigdy nie przestałam się bać, że może znowu zacząć. Z tobą było inaczej. Nawet papa...

- Och, dajże spokój - roześmiała się Daintry - nie chcesz chyba powiedzieć, że papa mnie nigdy nie karał, bo doskonale wiesz, że...

- Och, wiem, że cię karał, ale chyba nigdy się na ciebie

aż tak nie gniewał jak na mnie. No i na Charlesa, skoro już o tym mowa.

Daintry wzruszyła ramionami.

- Pewnie dlatego, że oboje byliście starsi. Więcej po was oczekiwał niż po mnie. A poza tym, jak byłam mała, prawie cały czas spędzałam z ciocią Ophelią, chyba że siedziałam akurat z guwernantką. Ciocia nie pozwoliłaby mamie mnie uderzyć, a nawet papa liczy się z jej wolą. Co do Charlesa, to rozumiem każdego, kto miałby chęć mu przylać. Sama mam całkiem często na to ochotę i serdecznie mi żał Daviny, chociaż nie powinna tak flirtować z innymi, jak to robi.

- To prawda - zgodziła się Susan. - A mówiąc o innych...

- Tak, wiem - powiedziała Daintry i wzięła szpicrutę z zarzuconej przeróżnymi drobiazgami toaletki. - Chociaż pewnie świetnie by to temu panu zrobiło, gdyby musiał czekać parę chwil. Nadmiernie przyzwyczał się do rozkazywania innym, co mają robić. Jeżeli mam go poślubić, musi się to bez wątpienia zmienić.

- A więc podoba ci się - szepnęła Susan, podniosła się i ruszyła za siostrą do drzwi.

Daintry obejrzała się przez ramię.

- Czy mi się podoba? Phi, mężczyzna jak każdy inny, chociaż nieco lepszy, niż się spodziewałam - dodała, przypominając sobie jego wyjątkowo sympatyczny uśmiech, serdeczne, złotobrazowe oczy i zdezorientowane spojrzenie, jakim ją obdarzył, kiedy tylko wszedł do holu.

- Jest bardzo rośły - zauważyła Susan, kiedy szły w kierunku schodów.

- Rzeczywiście jest chyba dosyć rośły, a zachowuje się zbyt arogancko i apodyktycznie, by miało mi to odpowiadać - odparła Daintry. - Tyle ci mogę rzec, że nie podobało mi się ani to, jak zabrał ode mnie pelerynę, ani to, jak wprosił się na naszą przejażdżkę.

- Wolałabym nie widzieć go w gniewie - szepnęła Susan.

- Też coś! Wcale bym się tym nie przejęła. Och, świetnie, dziewczynki już są. - Zerknęła w kierunku bawialni

i dodała: - Jeżeli Penthorpe sądzi, że pójdę po niego albo zaczekam, aż się wyguzdra, to pewnie się zdziwi.

Ruszyła w dół po schodach i dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę, że Susan już zniknęła. Potem uwagę jej zwrócił jakiś odgłos przy drzwiach bawialni, obejrzała się i zobaczyła, jak z pokoju wychodzi wysoki mężczyzna.

- Mam nadzieję, że nie chciała się pani ukradkiem wymknąć - powiedział.

- Przynajmniej nie zabrał pan ze sobą papy. On upierałby się przy miłej, spokojnej przejażdżce po wrzosowisku, sir. Obiecałam dzieciom, że pojedziemy na kamienistą plażę i że zobaczą jaskinię przemytników. A ja nie łamię danego słowa.

- Nigdy? - Podszedł do niej i stanowczym gestem ujął ją pod łokieć. Czuła przez materiał rękawa ciepło jego dłoni, a chociaż nie potrzebowała pomocy przy schodzeniu ze schodów, doszła do wniosku, że niestosownie byłoby odebrać mu rękę. Trzeba Penthorpe'owi przyznać, że udało mu się ten gest wykonać tak zgrabnie i naturalnie, że ku swemu zdumieniu przekonała się, iż się jej spodobał.

- Jest ciocia, ciociu Daintry! - wykrzyknęła Charley. - Lordzie Penthorpe, czy chce się pan z nami przejechać?

- Tak, przynajmniej kawałek, i obiecuję, że nie będę was namawiał na przejażdżkę po wrzosowisku.

- Och, dobrze - roześmiała się Charley. - Oczywiście wcale się nie bałam, żeby miał pan tak zrobić, bo ciocia Daintry przecież obiecała. Chociaż Melissie pewnie by to nie przeszkadzało. Lubi jeździć po wrzosowisku. Ale dziś - tu lekko pchnęła Melissę w stronę drzwi - pojedziemy na plażę, żeby zobaczyć jaskinie. Czy pojedzie pan z nami aż tak daleko, sir?

Daintry zeszytniała, ale ponieważ postanowiła sobie, że w towarzystwie dzieci będzie unikała jawnej niegrzeczności, trzymała język za zębami.

Gideon uśmiechnął się bardzo sympatycznie.

- Pewnie dzisiaj nie - powiedział, a potem dodał półgłosem do Daintry: - Nie wtrącałem się tylko po to, by narzucić pani swoje towarzystwo, raczej chciałem powstrzymać

pani szacownego rodzica, który miał ochotę całkowicie zabronić tej eskapady.

Daintry odrzekła mu tym samym tonem, chociaż dzieci zniknęły już za drzwiami:

- Nie jestem niewdzięcznicą, sir, i oczywiście nie będę pana podejrzewać o żadne inne motywy.

- A gdzie dokładnie chce pani jechać?

- Do St. Merryn Bay. Jest tam wiele jaskiń, które podobno wykorzystują od czasu do czasu przemytnicy, chociaż przypuszczam, że równie dobrze mogą to być ludzie zbierający dobra wyrzucone przez morze czy wolni handlarze.

- Znam te jaskinie z dzieciństwa - powiedział Gideon i zmarszczył brwi. - Ścieżka prowadząca w dół z klifu jest wyjątkowo stroma, czyż nie?

- Obydwie dziewczynki doskonale jeżdżą konno, sir - zapewniła Daintry, opanowując irytację. - Charley potrafiłaby zjechać po tej ścieżce z zawiązanymi oczami i siedząc tyłem na koniu, a chociaż Melissa bardziej się denerwuje w czasie jazdy, ona również nie będzie miała najmniejszych problemów, zapewniam pana.

- Niemniej jednak uważam, że powinienem paniom towarzyszyć - stwierdził Gideon. - Ścieżka po mżawce będzie śliska, a chociaż z pewnością zabierzecie panie ze sobą stajennego, sądzę, że rade będziecie, mając jeszcze jakąś pomoc.

- Ta decyzja raczej nie należy do pana - oznajmiła Daintry poirytowana.

Milczał, dopóki nie podniosła wzroku; wyraz oczu miał zagadkowy, ale kiedy popatrzyła na niego, odpowiedział jej surowym spojrzeniem i stwierdził:

- Nasze narzeczeństwo daje mi takie prawo.

Daintry zagryzła wargę, a potem oznajmiła:

- Zbyt szybko się pan posuwa, sir, jeżeli przypisuje pan sobie prawo wydawania mi rozkazów po tak krótkiej znajomości.

- Czy zaprzeczy pani, że mam do nich prawo? Słyszałem, jak mówiła pani, że dała słowo, iż uszanuje te zaręczyny; a może nie więcej jest to słowo warte niż w przypadku innych panien?

Daintry nie posiadała się z oburzenia.

- Nie łamię danego raz słowa, ale jeżeli wydaje się panu, że będzie pan mógł mną pomiatać, milordzie, to niech pan lepiej sobie sprawę przemyśli. Gdyby pan czegoś takiego spróbował, doprowadzę do tego, że pożałuje pan, iż się pan urodził.

Gideon uśmiechnął się.

- Może dogonimy nasze podopieczne, zanim odjadą bez nas?

Daintry zacięła zęby, ale nie wyraziła sprzeciwu. Dziewczęta siedziały już na koniach, Charley na Victorze, swoim ukochanym, gniadym wałachu, a Melissa na ładnej, małej, siwej kłaczy. Żyłasty stajenny Daintry trzymał wodze dereszowatego wałacha, którego panienka najbardziej lubiła i wielkiego, karo-dereszowatego ogiera z białą gwiazdką między oczami

- Och, jaki on piękny! - wykrzyknęła Daintry i podeszła pogłaskać konia po jedwabistym pysku. - Taki wysoki i potężny, a przecież taki dziarski i czujny.

- Moje konie muszą być duże, żeby zdołały mnie unieść - powiedział Gideon. - To jest Cień. Ale proszę, moja droga, pani podopieczne zaczynają się niecierpliwić.

Ujął ją w talię i zanim się zorientowała, jakie ma zamiary, została posadzona na siodle.

Wręczając jej wodze, Gideon zapytał:

- Czy nie trzeba pani dopasować długości strzemienia lub dociągnąć popręgu?

- Nie, dziękuję. Clemons umie je założyć dokładnie tak, jak lubię.

Przyglądała mu się, kiedy lekko dosiadł konia, i z rozbawieniem zauważyła, że pomimo obecności stajennego, który w dyskretnej odległości podążał za nimi, bacznie obserwuje nie tylko jadące podjazdem w stronę bramy dziewczynki, ale i ją.

Dumna była z dziewczynek. Obydwie prowadziły konie lekką ręką i miały wspianiały, niewymuszony dosiad. Natychmiast zauważyła, że Charley nie może doczekać się galopu, więc powiedziała:

- Pozwolimy koniom iść stępa przez piętnaście minut, moje drogie, ale potem możecie pogalopować, jeżeli nie okaże się, że droga za bardzo rozmiękła od deszczu.

Jej towarzysz spojrział na nią z uniesionymi w górę brwiami, ale nie skomentował wypowiedzi. Daintry westchnęła i zwróciła się do niego:

- Pewnie uważa pan, że powinny jeździć na lonży, Penthorpe.

- Wcale nie - odparł i uśmiechnął się tak, że pospiesznie przeniosła wzrok na żwirową drogę przed sobą. - Byłbym może jednak nieco zaczekał z obietnicą pozwolenia na galop. Te drogi muszą być w fatalnym stanie.

- Być może - zgodziła się - ale gdybym im coś takiego powiedziała, Charley tak bardzo zależałoby, by dowieść mi, że się mylę, że jej niepokój udzieliłby się koniowi. A teraz zadowoli się powolną jazdą i szybko zda sobie sprawę, jakie ryzyko niesłaby ze sobą zbyt szybka jazda po śliskiej drodze, jeżeli nawet nie ze względu na nią, to na Melisę.

Gideon miał nadal niezdecydowany wyraz twarzy, ale przez kilka minut nie odzywał się i nawet wydawał się z rozważaniem przysłuchiwać jednostronnej rozmowie, toczony przed nimi. Jak zwykle mówiła tylko Charley, a Melissa słuchała i kiwała głową. Po jakimś czasie odwrócił się znowu do Daintry i powiedział:

- Chociaż nie ośmieliłbym się sugerować lonży, przyznaję, że spodziewałem się, iż w ich wieku będą nadal jeździły na kucykach.

Daintry, która wcale nie poczuła się zaskoczona jego opinią, zauważyła:

- Zgadza się tej materii z sir Geoffreyem, sir. Melissa ma w domu kucyka, ale nieczęsto na nim jeździ i ja osobiście uważam, że to bardzo dobrze. Wyraźnie widać, że nigdy nie uczył pan jeździć konno dziecka. Widzi pan, na kucykach absolutnie nie można polegać. Mają nierówny krok i dużo częściej niż koniom zdarza im się ponieść bez żadnego powodu albo zatrzymać się, wierząc czy stawać dęba po prostu dla zabawy. A ponieważ biegają szybko, ich figle mogą wprowadzić dziecko w konsternację i nawet jeżeli utrzyma się ono w siodle, straci opanowanie i może się bardzo przerazić.

Gideon znowu zamilkł i przez chwilę Daintry myślała,

że będzie chciał dowodzić swoich racji, ale tylko skinął głową i powiedział:

- Nie zastanawiałem się nad tym, ale sądzę, że ma pani absolutną słuszność.

- Oczywiście, że mam, chociaż mógłby pan nie mówić tego tak nieznośnie protekcyjnym tonem. Mój ojciec nadal przekonany jest, że dziewczęta w ogóle nie powinny dosiadać koni, dopóki nie ukończą szesnastu lat. Natomiast jeśli chodzi o chłopców, sądzi oczywiście, że są w stanie jeździć konno, jak tylko zaczną chodzić. Jestem pewna, że musiał posadzić Charlesa na pierwszego kucyka jeszcze przed tym pomyślnym zdarzeniem.

- Jeżeli pani ojciec tak zdecydowanie potępia jazdę konną, jak to się stało, że pozwolił się wam wszystkim uczyć przed ukończeniem szesnastu lat?

- Och, to zasługa cioci Ophelii. Uważa ona, że dziewczęta w każdym calu dorównują zdolnościami chłopcom. A nawet więcej, uważa, iż niewiasty to płeć lepsza, a mężczyźni tylko dlatego je zdominowali, że mają silniejsze mięśnie.

Gideon roześmiał się.

- Lady Ophelia to bardzo groźna niewiasta.

- Obdarzano już ją dużo gorszymi epitetami.

- Nie wątpię. Przeraża mnie.

- To absolutnie powszechna reakcja - powiedziała, uśmiechając się słodko do narzeczonego. - Mam zamiar być dokładnie taka jak ona.

- Czy tak? - Nadał widziała w jego oczach ten pełen ciepła uśmiech, a chociaż nie mogła mu zarzucić, że z niej kpi, podejrzewała, że traktuje ją z pobłażaniem. Podjęli rozmowę i Daintry poczuła ogromną ochotę, by dowiedzieć się, co on naprawdę myśli o niej i w ogóle o wszystkim, ale Gideon starannie unikał wygłaszania sprecyzowanych opinii. Daintry nie potrafiła się zdecydować, czy bardziej podziwia jego sprawność językową, czy pogardza wykrętym charakterem. Ale zanim zdołała to rozstrzygnąć, dojechali do ścieżki prowadzącej w dół na kamienistą plażę.

Kanał nie prezentował się tego dnia najlepiej. Niebo i wo-

da miały w przybliżeniu ten sam odcień szarości, a fale oblamowane były koronkami białej piany. Ryk przyboju dochodził do ich uszu, jeszcze zanim zobaczyli wodę, a lekki powiew nasilił się i zmienił w wiatr.

- Popatrzcie - wykrzyknęła Charlotta - widać dom Melissy, tam daleko, na cyplu, a tu jest ścieżka w dół! Ja pojedę pierwsza.

- O, nie, nie pojedziesz - powiedziała Daintry. - Ja pojedę. Jej towarzysz potrząsnął głową.

- Najlepiej będzie, jeżeli poprowadzi najcięższy koń - oznajmił spokojnie. - Cień ma bardzo pewny krok, a jeżeli Charley pojedzie za mną, Melissa może podążać za nią, zaś pani razem ze stajennym możecie zamykać kawalkadę. Z waszej pozycji najlepiej da się ocenić bezpieczeństwo - dodał, kiedy Daintry otwierała usta, by zaprotestować.

Protest zamarł jej na ustach. Musiała przyznać, chociaż zrobiła to z wielką niechęcią, że narzeczony ma rację.

Przyglądał się jej pilnie, a kiedy skinęła głową, powiedział:

- Grzeczna dziewczynka. Wiedziałem, że nie jest pani głupia.

I znowu jego zachowanie wzbudziło w niej mieszane uczucia. Wdzięczna była za komplement, ale równocześnie zastanawiała się, czy on przypadkiem nie uważa, że głupia jest większość kobiet.

Uporali się ze ścieżką z urwiska bez żadnych trudności, bo chociaż miejscami była wilgotna, mocny wiatr prawie całą wysuszył i trzeba było uważać tylko trochę bardziej niż zwykle. Nawet Melissa nie wydawała się zdenerwowana. Na samym dole, kiedy srebrzysty deresz Daintry zrównał się z wielkim ogierem, jadący na nim mężczyzna powiedział:

- Teraz panie zostawię.

- A więc nie będzie nam pan towarzyszył? - Poczuli się zaskoczona i troszeczkę zawiedziona.

Charley, usłyszawszy te słowa, zapytała pospiesznie:

- Czy nie ma pan ochoty zobaczyć jaskiń? Jedna z nich jest taka wielka, że pomieściłaby całą armię!

- Nie, dziękuję ci - odrzekł z uśmiechem. - Wiedziałem je

już wcześniej, a pojechałem tak daleko tylko dlatego, że mogły panie potrzebować mojej pomocy. Przekonałem się jednak, że z powrotem poradzicie sobie świetnie same.

Daintry nie mogła temu zaprzeczyć, ale przykro jej było, że Penthorpe odjeżdża.

Kiedy obejrzał się ze szczytu urwiska, zobaczył, że wszystkie trzy panie jeszcze go obserwują. Pomachał, a one odpowiedziały mu tym samym. A potem Charley zawróciła nagle gnadosza i ruszyła z najwyższą szybkością po kamkach. Niemalże bez chwili wahania pozostałe dwie amazonki pojechały za nią.

Gideon zawrócił w kierunku domu i zaczął się zastanawiać, w co się, na litość boską, wdał. Przez następną godzinę powtarzał sobie to pytanie wielokrotnie; wmawiał w siebie, że nie żałuje odruchu, który kazał mu podać się za Penthorpe'a, ale samego oszustwa żałował z bardzo prostego powodu: w końcu będzie musiał się do niego przyznać i przyjąć konsekwencje swego czynu. A ani przez chwilę nie wątpił, że te konsekwencje będą niemiłe. Wystarczająco długo przebywał już z Daintry Tarrant, by zorientować się, że nie spojrzysz ona łaskawym okiem nawet na przelotne szachrajstwo.

Nie wyobrażał sobie, że będzie aż taka śliczna; do tego było w niej coś, co zbudziło w nim jakieś nowe, nieznanne mu dotychczas emocje. Oczywiście zdarzało mu się uczestniczyć w przeróżnych kawalerskich eskapadach, zwłaszcza wtedy, kiedy jako beztroski młodzieniec należał do sztabu lorda Hilla, ale żadna z piękności nie poruszyła w nim od pierwszej chwili takich uczuć.

Nie zwracał większej uwagi na to, którądy jedzie, bo kiedy już znalazł się na niegościnnych wyżynach Bodmin Moor i zobaczył wznoszące się na północnym wschodzie, przypominające dwóch strażników skały Rough Tor i Brown Willy, wiedział, że sam Cień zaniesie go do domu i że prawie nie trzeba nim kierować. Posłuchał polecenia, nakazującego mu stawić się w Jervaulx Abbey w hrabstwie Gloucester, jak tylko wystąpi z wojska, ale nie spodziewał się, że zaledwie

w dwa tygodnie później zastanie ojca w jego rezydencji w Kornwalii i zastanawiał się, jak zostanie tam przyjęty. W Abbey odnosił wrażenie, że tak bardzo jest markizowi niepotrzebny, iż z ulgą pojechał wypełnić niemiły obowiązek, który go wzywał do Tattersall. Teraz jechał tak głęboko zamyślony, że niemal zaskoczył go widok wznoszących się na widnokręgu nad zachodnim brzegiem rzeki Fowey murów Deverill Court. Wkrótce potem minął wysoką, kutą bramę i żwirowym podjazdem podjechał pod dom.

Podjazd po obu stronach obsadzono gęstymi krzewami, kameliami, azaliami oraz rododendronami i wczesną wiosną widok był wprost wspaniały. Teraz, chociaż krzewy dawno już przekwitły, zieleniły się nadal bujnie i tworzyły ramę dla szarego, granitowego budynku na drugim końcu podjazdu; budynek wyglądał tak samo jak za czasów Tudorów, a za nim rozciągały się należące do majątku lasy. Ostatnim poważniejszym dodatkiem do budowli w stylu Tudorów była północno-zachodnia wieża z 1627 roku z salą archiwum.

Gideon kochał ten stary dom, ale od kiedy wyjechał do Eton, nie spodziewał się, by miał być w nim kimś więcej niż tylko gościem, nawet po niespodziewanym odziedziczeniu przez ojca tytułu i obowiązków markiza. Chociaż śmierć brata wiele zmieniła w jego życiu, wciąż jeszcze trudno przychodziło mu pogodzić się z faktem, że któregoś dnia Deverill Court będzie należał do niego. Chyba tylko samemu markizowi trudniej było się z tym faktem pogodzić niż jemu. Wydawało się, że ojciec niemal niechętnie przyjmuje do wiadomości, że jego główną siedzibą jest teraz rozległy majątek w hrabstwie Gloucester.

Gideon kazał stajennemu zająć się koniem, wszedł do domu, wesoło pozdrowił odźwiernego, a potem przez strzelisty hol ze skomplikowanymi podporami sklepienia i ogromnymi, otwartymi kominkami z czasów Tudorów ruszył w kierunku głównych schodów, okiem nawet nie rzuciwszy na wielką kolekcję broni i zbroi. Zatrzymał się tylko na moment, by pozwolić czekającemu lokajowi odebrać od siebie kapelusz i rękawiczki i zapytać, gdzie może zastać ojca.

- Lord Jervaulx jest w kancelarii, wielmożny panie.

W połowie schodów Gideon zwolnił kroku, a tuż przed drzwiami, ujrawszy przelotnie swoje odbicie w lustrze między oknami, zatrzymał się, poprawił fular i przygładził włosy. Potem głęboko zaczerpnąwszy powietrza, wszedł do środka.

- Dzień dobry, ojcze.

Jervaulx, dżentelmen o orlim profilu, mający na swoim koncie już około pięćdziesięciu pięciu lat, siedział przy dużym, krytym skórą biurku i coś pisał. Nie podniósł wzroku od razu, tylko pisał dalej.

Gideon przypatrywał mu się w milczeniu.

W końcu, położywszy końcowe esy-floresy na piśmie, markiz odłożył pióro, oparł się i zwrócił uwagę na syna.

- A więc przyjechałeś do domu.

- Jak ojciec widzi - powiedział Gideon, żałując, i to nie po raz pierwszy w życiu, że nie potrafi z wyrazu twarzy ojca odczytać jego myśli. Jervaulx nigdy nie okazywał gniewu ani emocji, nie spieszył się ani nie irytował. Jako chłopiec Gideon przeżył wiele go bał, pewien, że pod tą chłodną powierzchnią czyha potencjalna zguba, ale po latach lęk złagodniał do czegoś w rodzaju - niekiedy pełnej frustracji - czujności.

- Należy założyć, że Tattersall był wdzięczny, iż go odwiedziłeś - rzekł Jervaulx. - Wieść o niefortunnej śmierci Penthorpe'a musiała go bez wątpienia zmartwić.

- Nie wiedział o niej jeszcze i nie posiadał się z żalu - odparł Gideon. - Może sobie ojciec wyobrazić, jak wstrząsnęła nim śmierć bratanka, który wcześniej zajął miejsce syna.

- Był pewien, iż Jervaulx musi być pogrążony w smutku po śmierci Jacka, ale nie potrafił powstrzymać się od tej uwagi - zgodnie ze swoim zwyczajem, markiz niczego po sobie nie pokazywał; niczego też nie pokazał i teraz.

- Przez cały ten czas byłeś w Tattersall Green?

- Tak, ojcze, aż do dzisiaj. - Początkowo nie zamierzał wyjawiać ojcu, że złożył wizytę w Tuscombe Park, ale uznał, że już wystarczająco długo powodowały nim nieszlachetne instynkty, tak więc dodał bez ogródek: - Obiecałem Penthorpe'owi, że zawiozę wieść o jego śmierci młodej da-

mie, z którą był zaręczony. Zatrzymałem się tam po drodze do domu.

- Wystarczy czytać „The West Briton” czy „Royal Cornwall Gazette”, by wiedzieć o tych zaręczynach - oznajmił Jervaulx spokojnie. - Czy to znaczy, że odwiedziłeś Tuscombe Park?

- Tak, ojcze.

- Noga żadnego szanującego się Deverilla nie powstała tam od czterdziestu lat, ale ty bez wątplenia zechciałeś zignorować ten fakt.

- Przekonany byłem, że złożona przeze mnie Penthorpe'owi obietnica przeważa takie osobiste względy.

- Człowiek skrupulatny stawiałby honor rodziny wyżej niż prośbę przedłożoną mu przez obcego, ale należało się spodziewać, że pójdziesz swoją własną drogą, nawet gdyby twe czyny miały stać się wodą na młyn dla okolicznych plotkarzy.

- Przykro mi, że naraziłem się na niezadowolenie ojca, ale musiałem zrobić to, co uważałem za słuszne, a mówiąc szczerze, po spotkaniu z ojcem w hrabstwie Gloucester, nie spodziewałem się go zobaczyć tutaj.

- Niedługo zaczyna się zimowa sesja wyjazdowa sądu. Żeby móc sądzić sprawiedliwie, należy spędzić na miejscu kilka tygodni, zwłaszcza obecnie, kiedy czeka tak wiele spraw dotyczących miejscowych górników, a związanych z brakiem żywności i zamykaniem licznych kopalń, w tym i kopalni Mulberry, które zatrudniają wielu ludzi z tego właśnie okręgu.

- Świadom jestem, że przez wiele lat pełnił ojciec tutaj obowiązki sędziego, ale z pewnością teraz nie wchodzi to już w zakres powinności ojca.

- A kto wedle ciebie zdolny jest przejąć to stanowisko?

- Bezsprzecznie, tego nie umiem powiedzieć, ale...

- No właśnie - przerwał mu Jervaulx. - Jeżeli na teraz to już wszystko, czeka tu korespondencja, którą muszę się zająć jeszcze przed obiadem.

- Oczywiście. - Gideon skłonił się i opuścił kancelarię, powtarzając sobie w myśli, że im prędzej wyjaśni wszystko w Tuscombe Park, tym lepiej. Najmniejszej ochoty nie

miał, by Jervaulx odkrył, iż miejscowi plotkarze z zapałem omawiają nie tyle zaskakującą wizytę Deverilla w Tuscombe, co wizytę nieżyjącego już Penthorpe'a.

Tak więc zaraz następnego dnia zebrał się na odwagę i wrócił do Tuscombe Park z mocnym postanowieniem przyznania się do wszystkiego, nawet gdyby miało to oznaczać, że straci wszelkie szanse u lady Daintry. Lokaj uprzedzie go, że lady St. Merryn nie przyjmuje.

- A więc chciałbym zobaczyć się Z lady Ophelią - powiedział Gideon.

- Oczywiście, wielmożny panie. Już pana prowadzę.

Gideon poszedł za lokajem do bawialni i z pewną ulgą zobaczył, że chwilowo lady Ophelii towarzyszy tylko lady Daintry. Zaczekał, aż lokaj zapowie Penthorpe'a i zamknie za sobą drzwi, po czym zaczerpnął tchu i chciał zacząć przemowę.

Ale uprzedziła go lady Ophelia.

- Przez jakiś czas bawiło mnie pana oszustwo, sir, ale nim zacnie pan znowu prawić słodkie słówka, myślę, że powinien pan skończyć z udawaniem i powiedzieć mojej brataniicy, jak się sprawy mają. Jest pan bardzo podobny do swego dziada, więc o ile nie popełniam jakiegoś wielkiego błędu, musi nazywać pan się Deverill, a nie Penthorpe.

5

Dopóki lady Ophelia się nie odezwała, Daintry dokładała wszelkich starań, by ukryć niespodziewaną radość, że widzi go znowu. Nigdy dotąd nie czuła się tak zainteresowana żadnym dżentelmenem.

Po odjeździe tego młodego człowieka wyprawa na morski brzeg z dziewczynkami wydała jej się nudna; a później, zamiast rozsądnie zasnąć, zmarnowała wiele czasu, próbując wyobrazić sobie, jak by to było, gdyby pojechał z nimi, razem z nimi cieszył się rześką morską bryzą i echemi dzwo-

niącymi w największej jaskini, do której wnętrza wjechały konno.

Słowy lady Ophelii podziały teraz niczym kubeł zimnej wody, spłynęły po niej lodowatą strugą i kazały się podnieść z fotela. Na ruch Daintry gość przeniósł spojrzenie z lady Ophelii na nią. Dziewczyna nie umiałaby powiedzieć, co czuje w tym momencie, bo miała wrażenie, że tkwi zawieszona w czasie pomiędzy chwilą, kiedy się pojawił, a chwilą, kiedy słowa ciotki zmieniły go w kogoś ponownie obcego.

Wrażenie to minęło, kiedy młody mężczyzna, patrząc jej prosto w oczy, powiedział:

- To prawda. Nazywam się Gideon Deverill.

Oniemienie Daintry wyparowało w nagłym wybuchu gniewu. Postąpiła kilka kroków w jego kierunku, ręka sama skoczyła jej do góry i wymierzyła mu tęgi policzek. Jakby z wielkiego oddalenia usłyszała skonsternowany okrzyk lady Ophelii, ale nie zwróciła na niego uwagi.

- Jak śmie pan przekraczać choćby próg tego domu!

- Przybyłem tu, żeby...

- Proszę się do mnie nie odzywać - warknęła. - Jest pan łajdakiem bez żadnych zasad i nic nie usprawiedliwia pana chęci, by wdrzeć się na ziemię Tarrantów. Deverillowie reprezentują sobą wszystko, co godne jest potępienia; powinien się pan wstydzić, że w ogóle należy pan do takiej zbrodniczej rodziny, ale żeby udawać, że się jest Penthorpe'em, po to, by wkraść się do mojej...

- Dosyć - powiedział ponuro Deverill.

- W żadnym wypadku nie dosyć! Mam panu jeszcze wiele do powiedzenia i chociaż jest pan synem markiza, wysłucha pan każdego mojego słowa!

- Proszę na mnie. nie podnosić głosu.

- Proszę mi nie wydawać rozkazów! To mój dom, a pan nie ma tu żadnego prawa przebywać!

- Jeżeli zechciałaby mnie pani choć przez moment posłuchać - przerwał jej Deverill, wyciągając rękę - to wyjaśnię...

Daintry gwałtownie odsunęła się od niego krzycząc:

- Nie chcę słyszeć żadnych pana wyjaśnień. Jest pan

kłamcą i oszustem, i nie uwierzę w nic, co pan mi powie, więc... Niech mnie pan nie dotyka!

Ale Gideon już chwycił ją za ramiona, odwrócił twarzą do siebie, potrząsnął nią i powiedział szorstko:

- Niech pani zamilknie, powiadam, albo nie będę odpowiadała za swoje czyny. Pozwoliłem, by mnie pani spoliczkowała, ponieważ zasłużyłem na pani gniew, ale jeżeli nie chce pani, bym ją potraktował podobnie, radzę, by przestała pani na mnie wrzeszczeć jak jakaś przekupka.

Daintry wpatrywała się w niego, zaskoczona tyleż furia w jego spojrzeniu, co słowami. Niemalże wszyscy jej znajomi próbowali ją zawsze udobruchać, kiedy wpadała w gniew, a teraz przyszło jej na myśl, że jeżeli posunie się za daleko, to Deverill spełni swą groźbę. Nie pozwoliła się jednak zastraszyć i powiedziała z udawanym spokojem:

- Nigdy nie ośmieliłby się pan uderzyć mnie w domu mego ojca, kiedy świadkiem pana gwałtowności byłaby moja ciotka.

- Lepiej będzie dla pani, jeżeli uwierzy pani w to, co mówię - odparł. - Nie zawahała się pani całej mojej rodziny nazwać godną potępienia. O ile mi wiadomo, nie zna pani ani mnie, ani mego ojca, a mocno powątpiewam, czy miała pani kiedyś przyjemność poznać mego brata. Tak więc cóż może pani wiedzieć o Deverillach, milady?

Daintry patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Przyczyna, dla której pytanie zbiło ją z pantałyku, była bardzo prosta: nie umiała mianowicie na nie odpowiedzieć. Nigdy w życiu nie spotkała jeszcze nikogo takiego jak on.

Jeżeli ojciec wpadał w gniew, to krzyczał i awanturował się, a zdarzało się nawet, że chwycił za różgę czy pas, ale nie patrzył jej prosto w oczy i nie domagał się odpowiedzi na pytania, na które odpowiedzi nie było.

Lady Ophelia nie miała zwyczaju się złościć. Podobnie jak lady St. Merryn. Daintry dokładała jednak starań, by nie denerwować żadnej z nich, jako że ta pierwsza miała język ostry jak igła, a ta druga w denerwujący sposób wykorzystywała łzy, wapory i inne temu podobne, niegodziwe chwyt, kiedy tylko uraziło się jej wielką wrażliwość.

Ani Susan, ani jej brat, Charles, nigdy nie próbowali działać wbrew woli Daintry, więc chociaż jej doświadczenie z osobami o woli silniejszej niż jej własna było bardzo ograniczone, uznała Gideona za człowieka, którego wybuchowy temperament co najmniej dorównywał jej własnemu.

Ścisnął ją mocno za ramiona i nie odrywał od niej wzroku w oczekiwaniu na odpowiedź.

Spiorunowała go spojrzeniem i podjawszy mocne postanowienie, że będzie robiła wrażenie równie opanowanej, jak on, wycodziła przez zęby:

- Zadaje mi pan ból. Proszę mnie puścić.

- Wcale nie zadaję pani bólu - odparł. - Chcę tylko, by mnie pani wysłuchiwała.

Niemniej jednak jego uścisk osłabł, a ona się wyrwała, krzycząc triumfalnie:

- Wcale nie będę pana słuchiwała! Skłamał pan wcześniej i bez wątpienia znowu pan skłamię. Dokładnie czegoś takiego Tarrant spodziewa się po Deverillu! I niech się pan nie ośmieli twierdzić, że nic nie wiem o Deverillach. To wrogowie mojej rodziny, tyle mi wystarczy. A co do pana, mam tylko nadzieję, że kiedy Penthorpe się tu pojawi, za to, co się pan ośmielił zrobić, pobije pana tak, że się pan nie pozbiera!

- Musiałby wstać z martwych - stwierdził szorstko Deverill. - Zginął pod Waterloo.

- Nie żyje? - Dłoń Daintry sama podskoczyła do ust; patrzyła na niego zszokowana.

- A niech to! - wykrzyknął Gideon, znowu podchodząc do Daintry, ale tym razem na jego twarzy malował się tylko żal. - Proszę mi wybaczyć.

- Nie najlepszy to sposób na przekazywanie złej wiadomości, młody człowieku - rzekła lady Ophelia sucho. - A nawet żenująco nietaktowny.

- Przykro mi, że powiedziałem to tak bez ogródek, proszę pani - przeprosił Gideon, rzucając okiem na lady Ophelię. - Przyjechałem tu dziś, żeby wszystko państwu wyznać i opowiedzieć o śmierci Penthorpe'a, co oczywiście powi-

nieniem był zrobić wczoraj. Kiedy jego lordowska mość wziął mnie za mojego przyjaciela, ja... to jest...

- Był pan bez wątplenia równie ciekaw naszej rodziny, jak niektórzy jej członkowie ciekawi są Deverillów - odpowiedziała mu lady Ophelia. - Można zrozumieć impuls, który kazał panu wykorzystać okazję, by dowiedzieć się czegoś więcej, zwłaszcza że okazję tę nastęrczył bez wątplenia sam St. Merryn.

- Tak... tak to było - przyznał Deverill, patrząc na Daintry.

Więść o śmierci Penthorpe'a wstrząsnęła Daintry; zdawała sobie sprawę, że powinna odczuwać z tego powodu smutek, skoro sprawy przybrały tak przerażający obrót, ale tak samo żal jej było tych tysięcy innych żołnierzy, którzy oddali życie pod Waterloo. Nad wszystkimi uczuciami dominował jednak gniew na Deverilla, a wzmagało go jeszcze przeświadczenie, że została przez niego zdradzona.

- Jest pan godzien pogardy - rzuciła w końcu - że w tak niegodziwy sposób wykorzystał pan czyjąś śmierć i próbował z wulgarnej ciekawości zająć miejsce zmarłego. Zając miejsce kogoś, kto, mężnie walcząc, zginął za swój kraj...

- Chciałbym pani przypomnieć, że ja również walczyłem pod Waterloo.

- Och, z pewnością - odparła, a głos jej ociekał sarkazmem - ale pan przeżył! Czyż nie dlatego, że dzielniejsi od pana, tacy jak biedny, nieszczęsny Penthorpe...

- Dość tego - zawarczał groźnie Deverill. - Nie ma pani najbledszego pojęcia, o czym pani mówi, proszę więc usiąść i milczeć, a ja wyjaśnię pani kilka faktów.

- Niech mi pan nie wydaje rozkazów! Słyszysz pan? Mówiłam już wcześniej...

- Jeżeli pani nie siądzie sama, to panią posadzę.

Po tonie jego głosu i twardym spojrzeniu Daintry zorientowała się, że teraz Deverill był już wściekły. Zerknęła na lady Ophelię, ale uznała, że nie należy się z jej strony spodziewać żadnej pomocy. Cofnęła się więc o krok i powiedziała groźnie:

- Jeżeli ośmieli się pan mnie dotknąć, sir, to ja...

- No, co pani zrobi? - Zbliżył się o krok i znalazł się blisko niej. O wiele za blisko. Powtórzył pytanie: - Co pani zrobi, milady?

Daintry nie mogła oderwać od niego wzroku.

- Ja... ja...

Spojrzenie złocistobrazowych oczu stało się ciepłe, kuszące.

- Proszę mi powiedzieć - szepnął, nie spuszczając z niej wzroku. - Chcę wiedzieć.

Lady Ophelia odchrząknęła, a Daintry i Gideon odskoczyli od siebie, jakby ich coś ugryzło. Policzki dziewczyny zapłonęły, a kiedy zobaczyła, że Deverill również się czerwieni, odwróciła wzrok.

- Wie pan, Deve... A niech to, jak właściwie mam się do pana zwracać, młody człowieku? - zapytała lady Ophelia. - Nie mam najbledszego pojęcia, jaki przydomek przybrał brat pana po śmierci tego biednego młodego kuzyna panów, kiedy ojciec pana został markizem Jervaulx.

- Wystarczy Deverill, pani - wyjaśnił Gideon. - Mój kuzyn był pogrobowcem i całymi latami istnieli tylko domniemani następcy, chociaż słyszałem, że mój brat wystąpił o tytuł następcy prawowitego, to znaczy hrabiego Abreston, jeżeli nie został on już wcześniej komuś przyznany. Przyjdzie na to czas, kiedy zapoznam się z moimi nowymi obowiązkami, ale chwilowo, jako nowy następca przeszedłem tylko z lorda Gideona na lorda Deverilla.

Lady Ophelia z satysfakcją pokiwała głową.

- Przyznam, że cieszę się, iż nie nadyma się pan swoją nową ważnością ponad rozsądną miarę, niemniej jednak wydawałoby się, że jeżeli przyjechał pan tutaj powiadomić nas, iż młody Penthorpe padł w walce, z pewnością ten smutny obowiązek powinien być przewyciężyć pana cczą ciekawość. Co więcej, nieczęsto zdarza mi się mylić w ocenie ludzi, a moje pierwsze wrażenie, kiedy pana ujrzałam, było niezwykle korzystne, jeśli wziąć pod uwagę pana pleć, tak więc może niech pan lepiej wyzna, jaki był prawdziwy powód tego podstępu.

Gideon zaczerwienił się jeszcze silniej, wyprostował, przesunął palcami po gęstych włosach i powiedział:

- Podle stchórzyłem, przyjmując podsunięte mi przez panią wyjaśnienie faktu, dlaczego zachowałem się w tak godny potępienia sposób, ale nagle uświadomiłem sobie, że nie pragnę zdradzić paniom prawdy.

- A więc nie tylko jest pan zwykłym kłamcą - zareplikowała z miejsca Daintry - ale do tego kłamcą nałogowym. Czy w ogóle można wierzyć w to, co pan mówi?

Oczy Gideona zabłyśły i zobaczyła z satysfakcją, że traci on panowanie nad sobą, ale kiedy się odezwał, głos miał spokojny.

- Postąpiłem impulsywnie. Nie leży to w moim zwyczaj, ale kiedy ojciec pani stwierdził, że muszę być Penthorpe'em, postanowiłem z powodów, których ujawnienie stało się w tej chwili bezcelowe, iż pragnę zaznajomić się lepiej z członkami pani rodziny. Nie wątpiłem ani przez chwilę, że kiedy ujawnię, kim jestem, St. Merryn z miejsca rozkaże mi odejść, i wykorzystałem jego pomyłkę, jak pani już zauważyła, w najpodlejszy sposób. Żałuję, że tak postąpiłem, ponieważ mój czyn spowodował tylko zaognienie się wcześniejszych animozji między naszymi rodzinami.

Zanim Daintry zdążyła zwrócić mu uwagę, że trudno przyjąć jego słowa za przeprosiny, dodał:

- Notabene, ja tych animozji nie podzielam. A jeżeli ma pani informacje, co legło u podstaw naszej starej waśni, to wie pani więcej niż ja, ponieważ ani nie mam pojęcia, od czego się zaczęła, ani mnie to nie obchodzi. Taka drobna zwada blednie w obliczu krwawej łaźni pod Waterloo.

Przynajmniej tym razem Daintry zabrakło słów. Nie lepiej niż on znała przyczynę rozdźwięku między rodzinami. Wiedziała tylko, że kiedy dorastała, powtarzano jej, iż Tarrantowie i Deverillowie nie rozmawiają ze sobą i nigdy rozmawiać nie będą, iż Deverillowie godni są pogardy, iż każdy kontakt z nimi jest Tarrantom nienawistny. Bezradna, popatrzyła tylko pytająco na lady Ophelię.

Deverill podążył wzrokiem za jej spojrzeniem, a lady Ophelia w końcu powiedziała:

- A niech to, nie oczekujcie, że ja wam to wyjaśnię. Błatego pojęcia nie mam, co mogło być przyczyną tej waśni.

- A więc ma ona swoje źródło, ciociu, w jeszcze dawniejszych czasach, niż sądziłam. Czy naprawdę jest aż tak stara?

- Nie, oczywiście, że nie jest, chociaż Tarrantowie od pokoleń zamieszkiwali tę część Kornwalii. A Deverillowie... - Uniosła pytająco brwi w kierunku Deverilla.

- Deverill Court, pani, należy do posiadłości rodzinnych od prawie pięciuset lat, chociaż niewątpliwie nigdy nie był siedzibą markizów Jervaulx. Wiem, że w czasach mojej praprababki został wniesiony do rodziny w posagu; tam dorastał mój dziadek i tam nadal rezydował, kiedy jego brat odziedziczył tytuł. Mój ojciec urodził się w tym domu, podobnie jak mój brat i ja. Wydaje mi się, że waśń zaczęła się w czasach mojego dziadka, ale jeżeli to prawda, to z pewnością pani będzie wiedziała... to znaczy... - Urwał, najwyraźniej zastanawiając się, jak może taktownie dać do zrozumienia, o co mu chodzi.

- Ma pan absolutną rację - powiedziała lady Ophelia. - Tom Deverill i Ned Tarrant byli jako chłopcy najlepszymi przyjaciółmi. Jak mi się zdaje, byli niemalże w tym samym wieku i obydwaj poszli razem do Eton, radośni jak ptaszki, a potem razem do Oxfordu, gdzie mieli wspólnych korepetytorów. A kiedy udali się do Londynu, by wyrosnąć na dżentelmenów, z wielką ochotą obydwaj starali się o względy tych samych niewiast.

- A więc może jakaś niewiasta była przyczyną waśni - podsunęła Daintry. - Zdarzały się już wcześniej takie rzeczy - rzekła, patrząc na cioteczną babkę.

- Och, nie. - Lady Ophelia roześmiała się. - Jeżeli chcecie we mnie widzieć kość niezgody, to nic takiego nie miało miejsca, bo chociaż każdy z nich mi się oświadczył, obydwaj wiedzieli, że nie mam najmniejszego zamiaru wychodzić za mąż. Ani jeden, ani drugi absolutnie nie mógł mieć poważnych zamiarów.

- Czy jest pani tego całkiem pewna? - spytał Deverill.

- Z pewnością nie mogło zaistnieć żadne nieporozumienie. Co więcej, pana dziadek poczułby się mocno wytracony z rów-

nowagi, gdybym przyjęła jego propozycję. Thomas Deverill, podobnie jak inni panowie, pogardzał uczonymi niewiastami. Kobieta powinna była umieć szyć, prowadzić odpowiednio dom i dawać zdrowe dzieci. Pana babka była w pełni do tego zdolna. Mam wrażenie, że dała mu sześcioro.

Deverill roześmiał się.

- Siedmioro, pani, chociaż sześcioro z nich to były dziewczęta, ale z pewnością...

- No cóż, Ned Tarrant miał tylko St. Merryna, który jako swego następcę ma teraz tylko Charlesa - przerwała mu cierpko Lady Ophelia. - A Charles i Davina, chociaż są po ślubie jedenaście lat, mogą się pochwalić tylko naszą kochaną Charlottą. Nawiasem mówiąc, czy wiedział pan, że pana babka miała aspiracje do pisania powieści, zanim wyszła za mąż?

- Dobry Boże, nie! - Wyglądało na to, że Gideon jest przerażony.

- Mimo wszystko tak właśnie było. Jednak Tom nie pochwalał tego, więc oczywiście zrezygnowała ze swoich ambicji i poświęciła się dogadaniu mu. Prawdę powiedziawszy, to poświęcenie wielką stratą dla świata literatury nie było, jako że jej jedyna powieść absolutnie nie nadawała się do czytania: swawolny i słodki romans, zupełnie przypominający Harriet!

- Rozumiem, że nie jest pani blisko spokrewniona z rodziną Tarrantów, milady. Skąd więc pani powiązania z nimi, jeżeli wolno mi zapytać? - zagadnął Deverill.

- Córka mojego brata, Letitia, wyszła za mąż za papę Daintry - wyjaśniła lady Ophelia. - A mogę panu powiedzieć, że kiedy się to stało, St. Merryn... chodzi mi tu o Neda Tarranta, a nie twojego papę, Daintry... zachowywał się tak, jakby wygrał o punkt z Tomem Deverillem. Ned zawsze szukał okazji do napełnienia sobie kieszeni, tak więc chętnie uwierzę, że kiedy sam ożenił się z kobietą mającą siedem tysięcy rocznego dochodu, a potem udało mu się wżenić syna w rodzinę Balterleyów, przekonany był o własnej wygranej.

- To prawda, że ożenił się lepiej niż mój dziadek - zgodził się Deverill. - A przynajmniej nigdy nie słyszałem, by moja babka była majątną partią.

- Nie była - potwierdziła lady Ophelia - ale zawsze miała słabość do Toma. Moim zdaniem Harriet nigdy na markizę się nie nadawała, lecz chociaż starsza gałąź pana rodziny zawsze była słabowita, wymarła zbyt późno, by mogła ona odnieść z tego jakieś korzyści. Tak czy owak Tom ożenił się dopiero w kilka lat po tym, jak rozpoczęła się waśń między rodzinami, więc babka wam nic teraz nie pomoże. Sam Tom nie żyje od niemal trzydziestu lat. Pan pewnie nawet go nie pamięta.

Deverill potrząsnął głową.

- Przykro mi, że nie mogę wam bardziej pomóc - zakończyła lady Ophelia.

Deverill odwrócił się do Daintry.

- Zgodzi się pani chyba ze mną, że jest rzeczą absurdalną krzyżeć na mnie z powodu tej starej waśni, skoro przypuszczalnie wszystkie osoby z nią związane wiedzą o niej równie niewiele, jak my.

Daintry musiała się z nim zgodzić, ale lady Ophelia strześliła językiem w irytacji i oznajmiła:

- Chyba powinien pan wykazywać więcej rozsądku, sir. Przecież musi pan zdawać sobie sprawę, że w tego rodzaju przypadkach rozum rzadko bierze górę. Jeżeli uda się panu przekonać St. Merryna, iż nie istnieją już przyczyny, by przeciągać ten spór, powinszuję panu serdecznie.

- Może z biegiem lat różne inne zdarzenia dolewały oliwy do ognia? - spytał z namysłem Deverill, zwracając się do Daintry. - Uważam, że powinniśmy dołożyć wszelkich starań, by wreszcie tę waśń zakończyć i bliżej się poznać.

Patrzył jej prosto w twarz, w jego oczach dostrzegła światłość, od którego zrobiło jej się ciepło na sercu. Chociaż Gideon Deverill oszukał ją, było w nim coś takiego, co pozwoliło jej z łatwością przebaczyć mu to przewinienie. Uznała też, że chętnie ośmieli go w jego atencjach, ponieważ po śmierci Penthorpe'a ojciec z pewnością zacznie aranżować dla niej nowe małżeństwo, jeżeli kogoś sobie nie znajdzie, i to szybko.

- Muszę pana przeprosić, sir - powiedziała. - Miał pan całkowitą rację, mówiąc, że nie powinnam tak pochopnie potępiać pana i pana rodziny.

Deverill uśmiechnął się.

- Może gdyby pani porozmawiała z ojcem, zgodziłby się pogrzebać całą sprawę.

- Nie robi tego - wtrąciła lady Ophelia.

- Nie wiem, czy uda mi się owinąć sobie papę dookoła małego palca, ale mam zamiar spróbować - oznajmiła Daintry. - Może zgodzi się na to, by składał nam pan od czasu do czasu przyjacielską wizytę, Deverill.

Lady Ophelia znowu z irytacją strzeliła językiem, ale to, co miała zamiar powiedzieć, utonęło w rozgwarze, kiedy drzwi do bawialni otworzyły się i do środka weszło kilka osób.

- Na Boga, Charles i Davina wrócili do domu - wykrzyknęła Daintry, znalazłszy się w niedźwiedzim uścisku brata.

- Straciłyście z Susan wspaniałą zabawę w Brighton - powiedział ze śmiechem Charles Tarrant.

Był mężczyzną średniego wzrostu, o muskularnym ciele myśliwego, ale ubierał się jak dandys. Kasztanowe włosy miał modnie zaczesane do tyłu, *śnieżnobiały* fular wykrochmalony był na sztywno, a rogi kołnierzyka koszuli sterczały stanowczo zbyt wysoko, by mógł swobodnie poruszać głową.

Obejmując wciąż Daintry ramieniem, uniósł oprawny w złoto monokl, by przyjrzeć się Deverillowi, i stwierdził:

- Na Boga, pan musi być Penthorpe. Szalenie rad jestem, że pana widzę, Penthorpe! - Z szerokim uśmiechem podał Deverillowi prawą dłoń. - Miło mi pana poznać.

Deverill ujął podaną sobie dłoń, ale jeżeli nawet chciał zdradzić swoją tożsamość, nie miał po temu okazji, ponieważ Charles machnął za siebie ręką, chwycił szczupłą, ciemnowłosą damę, która razem z nim weszła do pokoju, i powiedział:

- Davino, pozwól, że przedstawię ci Penthorpe'a. Och, a oto Geoffrey i lady Catherine. Chodźcie i poznajcie się z Penthorpe'em. Papo, uprzedziłem cię, na Jupitera. Witaj, mam... kuzynko Ethelindo. Dobry Boże, prawdziwy zjazd rodzinny, dokładnie! Jeżeli nie będziemy uważać, zaraz się nam pod nogami zaczną plątać dzieci!

_ Jestem tu, papo - wykrzyknęła Charley, która podskakiwała na jednej nodze u jego boku. - Niech papa tylko za-

czeka, aż mu *pokażę*, jakich nowych sztuczek nauczyłam Victora, kiedy papy nie było! Co mi papa przywiózł?

- Co ci przywiózłem? - Charles miał skonsternowaną mi-nę. - A *co* ci miałem przywieźć? Davino, czy przywieźliśmy coś dla niej?

- To bardzo niegrzecznie żądać prezentów, jak tylko rodzice pojawiają się w drzwiach, Charlottto - skarciła ją surowo Davina.

- Ale papa obiecał! - wykrzyknęła Charley. - Ja sama o nic nie prosiłam. Mama wie, że tak było.

- My mamy prezent i dla ciebie, i dla Melissy - odezwał się za ich plecami wysoki, smukły i jasnowłosy sir Geoffrey Seacourt - przestań więc skrzeczeć jak sroka, Charlottto, i chodź pocałować swego ukochanego wujka. Ale gdzie jest Melissa i twoja ciotka Susan?

- Już idą, wujku Geoffrey - powiedziała Charlotta, posłusznie cmokając go lekko w policzek. Kiedy ją przytulił, wysunęła się pospiesznie z jego objęć, mówiąc: - Wujek wie, że nie lubię, by mnie tak tulić, chociaż dziękuję wujkowi bardzo serdecznie za podarunki. Gdzie one są? I kim jest ta dama?

- Proszę wszystkich o wybaczenie - zawołał sir Geoffrey z chłopięcym uśmiechem - zapomniałem, że nie znacie Catherine. To jest w pewnym sensie moja kuzynka, lady Catherine Chauncey z hrabstwa York, która na nieszczęście w zeszłym roku owdowiała. Spotkaliśmy ją w Brighton i wyraziła zgodę, byśmy ją zabrali ze sobą, żeby mogła zobaczyć nasze hrabstwo w Kornwalii. Catherine, ta rozczochrana młoda dama to bratanica mojej żony, Charlotta.

- Lady Catherina jest ładna - oznajmiła Charlotta. - O, przyszła już ciocia Susan, sir. I Melissa też.

Sir Geoffrey pospiesznie się odwrócił, mówiąc:

- Moja najdroższa, mam nadzieję, że czujesz się już całkiem dobrze. Przez to, że nie mogłaś towarzyszyć nam do Brighton, ominęła cię wspaniała zabawa. I bardzo za toba tęskniłem - dodał, obejmując ją i mocno całując w usta. - Za toba, moja kochana Melisso, też.

Melissa zarzuciła ojcu ręce na szyję i ucałowała go w po-

czeka, aż mu pokażę, jakich nowych sztuczek nauczyłam Victora, kiedy papy nie było! Co mi papa przywiózł?

- Co ci przywiozłem? - Charles miał skonsternowaną mi-nę. - A co ci miałem przywieźć? Davino, czy przywieźliśmy coś dla niej?

- To bardzo niegrzecznie żądać prezentów, jak tylko rodzice pojawią się w drzwiach, Charlotta - skarciła ją surowo Davina.

- Ale papa obiecał! - wykrzyknęła Charley. - Ja sama o nic nie prosiłam. Mama wie, że tak było.

- My mamy prezent i dla ciebie, i dla Melissy - odezwał się za ich plecami wysoki, smukły i jasnowłosy sir Geoffrey Seacourt - przestań więc skrzeczeć jak sroka, Charlotta, i chodź pocałować swego ukochanego wujka. Ale gdzie jest Melissa i twoja ciotka Susan?

- Już idą, wujku Geoffrey - powiedziała Charlotta, posłusznie cmokając go lekko w policzek. Kiedy ją przytulił, wysunęła się pospiesznie z jego objęć, mówiąc: - Wujek wie, że nie lubię, by mnie tak tulić, chociaż dziękuję wujkowi bardzo serdecznie za podarunki. Gdzie one są? I kim jest ta dama?

- Proszę wszystkich o wybaczenie - zawołał sir Geoffrey z chłopięcym uśmiechem - zapomniałem, że nie znacie Catherine. To jest w pewnym sensie moja kuzynka, lady Catherine Chauncey z hrabstwa York, która na nieszczęście w zeszłym roku owdowiała. Spotkaliśmy ją w Brighton i wyraziła zgodę, byśmy ją zabrali ze sobą, żeby mogła zobaczyć nasze hrabstwo w Kornwalii. Catherine, ta rozczochrana młoda dama to bratanica mojej żony, Charlotta.

- Lady Catherina jest ładna - oznajmiła Charlotta. - O, przyszła już ciocia Susan, sir. I Melissa też.

Sir Geoffrey pospiesznie się odwrócił, mówiąc:

- Moja najdroższa, mam nadzieję, że czujesz się już całkiem dobrze. Przez to, że nie mogłaś towarzyszyć nam do Brighton, ominęła cię wspaniała zabawa. I bardzo za tobą tęskniłem - dodał, obejmując ją i mocno całując w usta. - Za tobą, moja kochana Melisso, też.

Melissa zarzuciła ojcu ręce na szyję i ucałowała go w po-

liczek, a on zawołał Medrose'a i *kazał* mu przynieść paczki, które ze sobą przywieźli.

- Wszystkie, Medrose.

Daintry skorzystała z zamieszania, żeby odciągnąć Charleya trochę na bok.

- Proszę, podciągnij pończochy, kochanie i przestań tak podskakiwać. Dziadek ci się przyglądał i ciocia Ophelia też, nie chcesz chyba, żeby cię później surowo skarcili, więc zrób od razu to, co powiedziałam.

Dziecko pochyliło się posłusznie, a Daintry zerknęła w kierunku Deverilla i zobaczyła, że przygląda się on wszystkim z wyrazem zagubienia na twarzy. Ojciec ruszył ku niemu z promiennym uśmiechem i Daintry zastanawiała się, kiedy Deverill ujawni swoją prawdziwą tożsamość. Nie czuła się zaskoczona, że nie zrobił tego od razu, bo musiałby podnieść głos, by go ktoś usłyszał. Tę sprawę da się szybko załatwić, jak tylko się wszyscy uciszą.

- Czy mogę pójść teraz rozpakować moje prezenty? - Charley pociągnęła ją za rękaw.

- Tak, kochanie, ale nie zapomnij podziękować wujowi, mamie i papie, że byli tak uprzejmi i ci je przywieźli.

- Oczywiście, że podziękuję wujkowi Geoffreyowi, bo on na pewno o nich pamiętał, ale nie będę dziękowała mamie ani papie, bo jestem równie pewna, że oni nie pamiętali.

Daintry też była o tym przekonana, ale powiedziała stanowczo:

- Mimo to podziękuj im, Charley. Twoje dobre maniere nigdy nie mogą zależeć od zachowania innych.

- Bardzo dobrze, zrobię tak. - Znowu aż tańczyła z niecierpliwości, więc Daintry pogoniła ją do prezentów. A potem, widząc że Davina i Charles oddalili się od reszty towarzystwa i usiedli na sofie, sir Geoffrey rozdawał prezenty, a St. Merryn zajął Deverilla rozmową w pobliżu okna, z obowiązku skierowała uwagę na nieznaną damę.

Lady Catherine, rzeczywiście bardzo ładna, jak to zauważyła już Charley, była hożą, złotowłosą pięknoscią o szafirowych oczach i brzoskwińowo-śmietankowej cerze. Stała

6

Daintry wydawało się, że ma przed oczami jakiś żywy obraz. Charley, trzymając w rękach jedwabny, niebieski szal w tureckie wzory, siedziała z otwartą buzią i rozszerzonymi oczami wpatrywała się w dziadka. Melissa, która akurat wsuwała na szczupły przegub złotą bransoletkę, zamarła w bezruchu. Sir Geoffrey i Susan wbili wzrok w St. Merryna, a Charles i Davina, do których Daintry podprowadzała właśnie lady Catherine, całkiem znieruchomieli.

Lady St. Merryn, sięgając po flakonik z solami, poruszyła się pierwsza, a czujna jak zawsze kuzynka Ethelinda skoczyła, by oszczędzić jej nawet tego niewielkiego wysiłku.

- Niech to szlag najjaśniejszy, nie pozwolę na to! Musi pan być Penthorpe'em! - warknął St. Merryn.

- Bądź łaskaw mitygować się w irytacji, St. Merrynie - odezwała się lady Ophelia. - W pokoju obecne są dzieci i damy.

- Przecież nigdy nie podnoszę głosu - warczał dalej St. Merryn - a ty nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy, Ophelio. Zobacz tylko, do czego nas to doprowadziło!

- Nie potrafię w żaden sposób powiązać tej pogmatwanej sytuacji ze sobą - odparła starsza pani. - Wszystko zaczęło się od twojej pochopnej konkluzji. Gdybyś pozwolił temu młodemu człowiekowi podać swoje nazwisko albo nawet może raczej podać swoją wizytówkę lokajowi, a nie od razu przejmował inicjatywę, jak to masz często w zwyczaju.

- Przestań mi recytować nonsensy na temat niedoskonałości mężczyzn - krzyknął na nią St. Merryn, - Mężczyźni górują nad kobietami, ponieważ nad nimi górują, i nie ma o czym więcej gadać.

- Mężczyźni górują tylko pod względem umięśnienia, dziadku - wtrąciła trzeźwo Charley. - Wie dziadek, zostało

dowiedzione, a przynajmniej tak czytałam, że umysł kobiecy jest w pełni zdolny do logicznego myślenia...

- Idź do swego pokoju, ty wyrodne dziecko! - ryknął St. Merryn, odwracając się w do wnuczki z szaleństwem w oczach.

- Ale...

Daintry podeszła do Charley, poniosła dziewczynkę z podłogi i wyprowadziła pospiesznie za drzwi. Zamknęła je w chwili, kiedy jej oburzony ojciec powtórzył:

- Ale, do diabła, musi pan być Penthorpe'em!

Na korytarzu panowała błogosławiona prawie-cisza; Charley odezwała się z godnością raczej nie licującą z faktem, że ciotka nadal stanowczo trzymała ją za rękę:

- Okropnie mi przykro, ale on się mylił, wie ciocia.

Daintry potrząsnęła nią i odparła:

- Mógł się nawet mylić, ale to nie ma znaczenia, młoda damo. Nie powinnaś się do dziadka w ten sposób odzywać.

- Wiem. Uczciwie mówiąc, ciociu Daintry, odezwałam się bez zastanowienia, ale to, co dziadek powiedział, naprawdę nie miało sensu. Ciocia Ophelia twierdzi, że...

- Niekiedy wydaje mi się - westchnęła Daintry - że ciocia Ophelia zrobiłaby lepiej, kierując naszą uwagę na robótki ręczne. Niezależność dla kobiety to wspaniała idea, ale w rzeczywistości... - Nastawiła uszu, by zrozumieć coś z cichego porykiwania, które nieprzerwanie dobiegało z bawialni.

Charley skorzystała z chwili milczenia i spytała:

- Jeżeli ten pan naprawdę nie jest lordem Penthorpe, to kim...?

Daintry pokazała na schody.

- Idź, Charlotto.

Charley poszła już bez słowa, a Daintry wróciła do bawialni. Zanim otworzyła drzwi, przystanęła na moment, by głęboko zaczerpnąć powietrza. Pierwszą osobą, którą ujrzała, był Deverill, a kiedy ich oczy się spotkały, w jego wzroku dostrzegła i rozbawienie, i frustrację. Rozbawienie zniknęło, gdy ponad inne głosy wybił się donośny głos sir Geoffreya:

- Ale niech mnie, pytam raz jeszcze, jeżeli to nie Penthorpe, to kim on, u diabła, jest?

Daintry spojrzała znowu Deverillowi w oczy, zdumiona, że tej kwestii jeszcze nie wyjaśniono. Deverill z rezygnacją wzruszył ramionami, a ten gest w połączeniu wrzawą, jaka podniosła się na pytanie sir Geoffreya, pozwolił jej zrozumieć, że po prostu nie podjął jeszcze próby przekrzywienia obecnych.

- Diabli nadali - warczał St. Merryn - nie obchodzi mnie, kim jest, jeżeli nie jest Penthorpe'em. Mnie jest potrzebny Penthorpe. Pytam was, gdzie się ten chłystek, u diabła, podziawa? Nie muszę chyba dodawać, że skoro wysłał w zastępstwie tego pana - tu spiorunował Deverilla wzrokiem - to ma pewnie zamiar odwlekać złożenie nam wizyty bez końca albo w ogóle uciec z podwiniętym ogonem. Ale ja na to nie pozwolę! Jest zaręczony z moją córką i Bóg mi świadkiem, że ją poślubi. Sprawa jest przesądzona i nie ma już o czym gadać.

- Co za nonsens - odezwała się lady Ophelia.

Kiedy hrabia odwrócił się, by z oburzeniem spiorunować ją wzrokiem, Deverill rzekł spokojnie:

- Obawiam się, że jest o czym mówić, sir. Penthorpe nie żyje. Padł pod Waterloo.

- Co? Na mą duszę, a po cóż miałyby coś takiego robić? Jest pan pewien?

- Całkowicie pewien. Widziałem jego ciało. Ściśle rzecz biorąc, miał przecucie, że tak się stanie, i prosił mnie, bym przekazał państwu informację, jeżeli zginie. Kiedy omyłkowo wziął mnie pan za niego, mowę mi odebrało i źle się zachowałem. Cała wina leży po mojej stronie i pozostaje mi tylko błagać pana o przebaczenie, chociaż na nie nie zasługuję.

- Dajmy teraz temu pokój - powiedział z rozdrażnieniem St. Merryn. - Ja chciałbym przede wszystkim wiedzieć, kto się ożeni z moją córką? Mam aż nadto kobiet w tym domu, jak pan sam widzi, i już sobie myślałem, że będę mógł się pozbyć jednej z nich. A teraz muszę wszystko zaczynać od początku. Słuchaj no, chłopcze - dodał ze spojrzeniem pełnym namysłu - nie jesteś mężczyzną żonatym, co?

- Nie, sir, nie mam tego zaszczytu.

- Jaki to zaszczyt! Wszechmogący *źle tę* rzecz urządził.

Kazać mężczyznom się żenić, kiedy sam tego nie zrobił, to cholernie nie w porządku!

Lady St. Merryn zaparło dech.

- Błuznierstwo! Och, jak możesz mówić coś takiego? Gdzie moja chusteczka, Ethelindo? Zadzwoń, proszę, niech natychmiast przyniosą te drugie sole. Zaczyna mi być słabo.

Kuzynka Ethelinda rzuciła się wykonywać jej polecenie, a St. Merryn prychnął i zwrócił się do Deverilla:

- No, sam pan widzi, chłopcze. I tak już mam za wiele bab w tym domu, a teraz jeszcze twój przyjaciel Penthorpe zostawił mnie z Daintry na karku. Ale niech to, jeszcze nie wszystko stracone. Kim ty, do diabła, jesteś, chłopcze? Jeżeli nadajesz się na męża, to, na Boga, możesz ją sobie wziąć!

- St. Merryn wziął się pod boki i czekał na odpowiedź. Reszta towarzystwa również trwała w pełnym napięcia milczeniu.

Deverill przyjrzał się im kolejno, potem wyprostował się i po raz pierwszy Daintry pomyślała, że wygląda na syna markiza.

- Nazywam się Deverill - powiedział ze spokojną godnością.

W bawialni zapanowało milczenie zupełnie innego rodzaju, jakby cały pokój wstrzymał dech. Zaraz jednak St. Merryn, niemal krztusząc się tym słowem, powtórzył:

- Deverill?

- Tak, sir.

- Syn Jervaulxa?

- Tak, sir, jego młodszy syn. Od momentu, kiedy wyszedłem z Oxfordu, przebywałem za granicą z Wellingtonem. Służyłem pod Waterloo jako major brygady, pod Uxbridge'em, Penthorpe był moim najlepszym przyjacielem, sir.

- Nie wspominaj mi więcej o nim - zawarczał St. Merryn. - Ale co ty, u diabła, robisz w moim domu?

- Wyjaśniłem to już. Penthorpe prosił...

- A niech mnie, nie pozwolę, żeby w moim domu przebywał Deverill! Wynoś się pan!

Daintry, widząc, że Deverill gotów jest posłuchać tego polecenia, wtrąciła pospiesznie:

- Papo, on nawet nie wiedział o tej waśni. Chcę powiedzieć, że wiedział, ale nie wie, co jest jej przyczyną, i ja też nie, albo...

- Na mą duszę, dziewczyno, nie ma konieczności, byś cokolwiek wiedziała. To sprawy mężczyzn i takimi pozostaną. Jeżeli nie masz nic więcej ciekawego do dodania, to milcz.

- Ależ ja mam bardzo wiele do powiedzenia - upierała się Daintry. - Nie może go ojciec wyrzucać tylko z powodu jakiejś zadawnionej sprzeczki między naszymi dziadkami.

- Milcz - warknął St. Merryn. - My, Tarrantowie, nie utrzymywaliśmy żadnych stosunków z Deverillami przez ponad sześćdziesiąt lat i nie mam zamiaru tego zmieniać. Proszę natychmiast opuścić moją posiadłość, sir, i niech się pan nie odważy więcej tu pokazywać.

Daintry, już na dobre rozwścieczona, zawołała:

- Jesteś niesprawiedliwy, papo! Nawet gdyby przyczyną tej waśni było coś okropnego, to Deverill nie miał z tym nic wspólnego, a jeżeli lord Jervaulx nigdy nie przywiązywał na tyle wielkiej wagi do szczegółów, by mu je przekazać, to nie mogą się one wiązać z czymś, co usprawiedliwiłoby obecnie taką wrogość.

- Deverill dopiero niedawno został następcą tytułu - odparł St. Merryn. - Rozumie się samo przez się, że niczego nie wie. Jervaulx nie miał jeszcze czasu mu powiedzieć.

Daintry, odwracając się do brata, zapytała:

- A czy ty, Charlesie, znasz fakty? Czy papa ci powiedział? No jak, powiedział ci?

Zaskoczony Charles miał skonsternowany wyraz twarzy.

- Słuchaj, to nie moja sprawa. Davino, powiedz jej. Absolutnie nie moja sprawa, ale Daintry nie powinna się tak zuchwale odzywać do mojego ojca. Powiedz jej.

Davina zacisnęła wargi i nie odezwała się.

Daintry rozejrzała się w poszukiwaniu sojuszników. Poparcia mogła spodziewać się wyłącznie po lady Ophelii.

- Ciociu, proszę.

Ale lady Ophelia potrząsnęła głową.

- W żaden sposób nie mogę zapobiec temu, by twój oj-

ciec zrobił z siebie głupca na własne życzenie, moja droga. Mimo wszystko Tuscombe Park należy do niego i może odmówić prawa wstępu na swoją ziemię każdemu, kto mu się nie spodoba. - Uśmiechnęła się do Deverilla. - Znajomość z panem była niezmiernie inspirująca, młody człowieku.

- Wszystko jedno - warknął St. Merryn. - Czy mam wezwać służbę, żeby wyprowadziła pana z domu, sir?

- To nie będzie konieczne. Znajdę drogę. Pański sługa. - Deverill ukłonił się z pozornie nienaruszoną godnością i skłonił głowę przed sir Geoffreyem, który przytrzymał mu drzwi, jakby był lokajem.

Daintry zaczęła tylko, aż Geoffrey zamknie znowu drzwi, i natychmiast zaatakowała ojca.

- Papo, jesteś w błędzie...

- Milcz, powiedziałem! - ryknął St. Merryn. - Jak śmiesz odzywać się do mnie w taki sposób? Czy taki właśnie rezultat dało to twoje cenne kształcenie? Widzisz, Ophelio, do czego doprowadziły te twoje niemądre bzdury? Susan przynajmniej miała na tyle rozumu, żeby... - Urwał nagle i zdeorientowany rozejrzał się po pokoju. - Gdzie jest Susan? I Melissa?

- Kazałem im stąd wyjść, sir, kiedy stało się jasne, że nie mają z tą dyskusją nic wspólnego - rzekł Geoffrey.

- Kazałeś? Żebym tak zdrów był, pojęcia nie mam, jak ci się to udaje, chłopcze.

- Mężczyzna jest przecież panem w swoim domu.

- Och, z pewnością, ale chciałbym wiedzieć, jak ma o tym fakcie przekonać swoje kobiety. Ale przynajmniej tu, w St. Merryn, jestem panem. Wciąż tu jesteś, Daintry? Nakazałem ci chyba iść do sypialni, dziewczyno.

- Nie, papo, nie kazałeś - odpowiedziała. - Kazałeś mi tylko milczeć.

- No to teraz ci nakazuję wyjść i jeszcze coś na dodatek, dziewczyno. Masz więcej nie zadawać się tym kłamliwym gałganem, Deverillem. Słyszysz?

- Słyszę, sir, ale nie mogę obiecać, że nie będę się z nim zadawała. Kiedy go spotkam w towarzystwie, co jest w naj-

wyższym stopniu prawdopodobne, grzeczność będzie wymagała, bym była dla niego uprzejma.

- A niech to, przestań kręcić. Wynos się!

Zamknęła drzwi, a w kilka sekund później usłyszała, że ktoś wyszedł za nią. Odwróciła się, zobaczyła bratową i zdusiła pełne irytacji westchnienie.

- Naprawdę, Daintry - Davina zaczęła mówić, zanim ją dogoniła - nie potrafię zrozumieć, dlaczego ciągle upierasz się, żeby wywoływać takie zamieszanie. Tak się cieszyłam, że przynajmniej tutaj, w Tuscombe Park, zaznam odrobiny spokoju.

- Przypuszczam, że to znaczy, iż znów poróżniliście się z Charlesem - powiedziała Daintry. - Kim jest ta śliczna lady Catherine Chaucey, Davino? Czy to zemsta Charlesa za twoje niedyskrecje w Brighton, czy ostatnia flama Geoffreya?

Davina zeszytniała.

- Nigdy mnie nie przestajesz zadziwiać, Daintry. Takie wulgarne oskarżenia nie mają żadnego uzasadnienia, zapewniam cię. To kuzynka sir Geoffreya, tak jak zresztą powiedział, wdowa, w stosunku do której poczuwa się w naturalny, a nawet chwalebny sposób, do odpowiedzialności. Jej mąż zginął pod jedną z tych okropnych miejscowości na kontynencie. Powinnaś się wstydić.

Daintry rzeczywiście zrobiło się nieco przykro, ale nie widziała powodu, by się do tego przyznawać. Zamiast tego spytała:

- Masz nową suknię? Czy kazałaś uszyć też jakieś nowe rzeczy dla Charley?

Szare oczy Daviny rozbłysły rozbawieniem.

- Na Boga, czy chcesz mi powiedzieć, że Charlotta ma ochotę na nowe sukienki? Jestem przekonana, że wolałaby amazonkę, ale, wierz mi, nie widziałam żadnego powodu, by coś takiego zamawiać po cenach londyńskich albo w Brighton. Wystarczy, że musimy znaleźć nową guwernantkę. Chciałabym jednak się dowiedzieć, w jaki sposób Charlotcie udało się wystraszyć pannę Pettibone.

- Zadawała jej wiele pytań, na które ta zacna dama nie była w stanie odpowiedzieć - wyjaśniła bez ogródek Dain-

iry. - Panna Pettibone, moja droga Davino, spodziewała się, że będzie uczyć wykwintnych haftów, wypowiedania po francusku kilku modnych zwrotów oraz gry na pianinie w eleganckim stylu. Nie była przygotowana na dziecko, którego francuszczyzna była lepsza niż jej własna i które na dodatek czytało po łacinie i odrobinę po grecku. Nie była też godnym Charley przeciwnikiem, kiedy dziewczynkę należało namówić na naukę manier czy muzyki, czym w najmniejszym stopniu nie była zainteresowana. Mam tylko nadzieję, że ta nowa guwernantka okaże się lepsza.

Davinę przeszedł dreszcz.

- Nie mam pojęcia, jak twoja ciotka może się spodziewać, że uda nam się znaleźć męża dla takiego dziecka.

- Za wcześniej jeszcze, żeby się tym przejmować - parsknęła Daintry.

- Och, dobrze ci się śmiać - powiedziała z goryczą Davina - a przecież kto jak kto, ale ty powinnaś zdawać sobie sprawę, jakim trudnościom będzie musiała stawić czoło. Nie ja jedna podejrzewam, iż to wcale nie ty dałaś swoim wielu konkurentom odprawę, ale sami umknęli w popłochu. Który dżentelmen życzyłby sobie poślubić niewiastę lepiej wykształconą niż on sam?

- Pozwól sobie powiedzieć, Davino - odparła Daintry ostro - że ani jeden z moich konkurentów nie obawiał się mojego wykształcenia, ponieważ ani jeden z nich nie miał na tyle rozumu, by zdolny był się go obawiać. Idę teraz na górę do Charley - dodała. - Pójdiesz ze mną?

- Nie - odrzekła pospiesznie bratowa - muszę dopilnować rozpakowywania naszych rzeczy. Dziadek pozwoli chyba Charlotcie zejść na obiad?

- Pewnie tak. - Daintry żałowała już swego wcześniejszego wybuchu; wiedziała, że Charlotta będzie nadaremnie czekała, by matka przyszła do niej na górę. - Tęskniła za wami, wiesz.

- Czy tak? - Ton Daviny był sceptyczny. - Dostaliśmy od niej przez cały czas naszej nieobecności nie więcej niż trzy listy.

- A ile listów napisaliście do niej z Charlesem? - zapytała ostro Daintry.

Davina zaczerwieniła się i odwróciła.

- Muszę dopilnować rozpakowywania.

Daintry westchnęła, miała świadomość, że nie postępuje w stosunku do Daviny właściwie. Udała się na górę do zachodniego skrzydła domu, gdzie znajdował się pokój szkolny i sypialnia Charley. Wcale nie czuła się zaskoczona, zastawszy Susan i Melissę razem z Charley w szkolnym pokoju. Dziewczynki podniosły się uprzejmie, kiedy weszła do środka, i Daintry zobaczyła, że Charley ma na przegubie złotą bransoletkę Melissy.

- Prześliczna bransoletka - powiedziała Daintry. Uśmiechnęła się szeroko do siostry i dodała: - A i te twoje ciężarki do uszu są oszałamiające, Susan. Wydaje się, że jestem jedyną osobą, której sir Geoffrey nie przywiózł podarunku. Nawet kuzynka Ethelinda dostała nowy jedwabny szal.

- Pewnie raczej zapomniał dać ci to, co dla ciebie przywiózł - oznajmiła pogodnie Susan. - Zrobiło się odrobinę niespokojnie, tam na dole, prawda?

- Niewątpliwie można to i tak ująć.

Susan skrzywiła się.

- Czy papa zabronił Deverillovi przekraczać próg tego domu?

- Tak. Bardzo był niesprawiedliwy.

- Och, Daintry, nie mów mi tylko, że serce cię ciągnie do tego kłamliwego młodego człowieka! Nic z tego nie będzie, papa rozkrzyczałby się tak, że mógłby dostać jakiegoś ataku, albo jeszcze gorzej.

- Nonsens, Susan. Przecież sam powiedział, że nigdy nie podnosi głosu.

Charley zachichotała i nawet Melissa się uśmiechnęła.

- Kochana Melisso, czy papa przywiózł ci coś jeszcze? - spytała Daintry.

- To - odpowiedziała Melissa, pokazując porcelanową lalkę o jasnych włosach. Podała ją Daintry.

- Och, jaka śliczna! Przypomina dokładnie ciebie, moja droga.

- Lalki - oznajmiła pogardliwie Charley - są dla małych dzieci. Melissa na pewno dużo bardziej wolałaby szpicrutę.

- To ty dużo bardziej wolałabyś szpicrutę - odparła Daintry.

- Możesz zatrzymać tę bransoletkę, skoro aż tak ci się podoba, Charley - odezwała się Melissa. - Bardzo ci w niej ładnie.

- Och, nie, kochanie - wykrzyknęła Susan - papa byłby w najwyższym stopniu rozczarowany, gdybyś oddała podarunek od niego.

- Och - szepnęła Melissa. - Pomyślałam sobie tylko, że skoro Charley tak rzadko podoba się jakaś damska błyskotka, papa nie miałby nic przeciw temu, gdybym...

- Nie - powiedziała Susan z nietypową dla siebie stanowczością.

- Bardzo dobrze, ale możesz ją nosić przez popołudnie, Charley.

- Świetnie, założę ją, jeżeli pozwolą nam zejść na dół na obiad - stwierdziła Charley - ale ponieważ mam zamiar pojechać sobie dziś popołudniu na Victorze, lepiej ją do tego czasu zatrzymaj.

- Przykro mi, że tak ci robię na przekór, Charlotta - powiedziała Susan cicho - ale Melissa musi mieć na ręce tę bransoletkę, kiedy obydwie zejdziecie na dół. Co więcej, zapominasz, że dziadek kazał ci iść do sypialni i chociaż mówię to niechętnie, tam właśnie powinnaś się teraz znajdować, a nie tu razem z nami.

Domyślając się, że Charley ma na końcu języka jakąś zuchwałą odpowiedź, w rozmowę wmieszała się Daintry.

- Ciocia Susan ma rację, przypominając ci, że nie cieszysz się w tej chwili powszechnym poparciem. Musisz pogodzić się z dziadkiem.

- Ale...

- Nie - powiedziała Daintry. - Równie ważne jak to, byś nauczyła się samodzielnie myśleć i wypowiadać własne zdanie, jest to, byś nauczyła się, że istnieją pewne granice. Musisz nauczyć się rozpoznać przeszkody i stawiać im czoło, a nie ignorować je w błędnej nadziei, że znikną.

Zanim Charley zdążyła zaprotestować, otworzyły się drzwi i stanęła w nich pokojówka.

- Przepraszam panią, lady Susan - powiedziała - ale sir Geoffrey prosi, by pani natychmiast pojawiła się w bawialni. Powiedział... - tu pokojówka zawahała się, przełknęła, spuściła oczy, a potem wymamrotała: - Powiedział, że pani zaniedbuje swojego gościa, madame.

Kiedy służąca wyszła, Daintry oznajmiła:

- Mam nadzieję, Susan, że wygarniesz Geoffreyowi całą prawdę w oczy i powiesz mu, co myślisz o przysyłaniu do ciebie służby z tak niestosownym poleceniem.

Susan uśmiechnęła się.

- Och, nie, to nic by nie dało, a wydaje mi się, że biedna lady Catherine musi czuć się skonsternowana całym tym zamieszaniem i pewnie marzy tylko o tym, by ktoś zabrał ją gdzieś, gdzie będzie mogła spokojnie odpocząć. Przecież nawet nie widziała jeszcze przydzielonej sobie sypialni. Zaniedbaliśmy nasze obowiązki.

- Moim zdaniem ona świetnie się tym wszystkim bawiła - stwierdziła Daintry - chociaż nie wątpię, że z radością wykorzysta okazję, by uciec od papy, który wygłasza tyrady, i od Geoffreya, który udziela mu absurdalnych rad, jak powinien postępować. Nawet Davina ją porzuciła, bo wyszła za mną z bawialni, żeby powiedzieć mi kilka słów prawdy.

- No cóż - powiedziała Susan, wstając. - Tak czy owak muszę natychmiast zejść na dół.

I z tymi słowy wyszła, a Daintry odwróciła się znowu do *swej* zbłąkanej bratanicy.

Charley podniosła wzrok i powiedziała pospiesznie:

- Przepraszam, ciociu Daintry. Przepraszę też dziadka, jak tylko zejdziemy na obiad.

- Wspaniały pomysł - pochwaliła Daintry. - Jeżeli uda ci się pojednać z dziadkiem, to będziecie mogły pójść po obiedzie z Melissą do stajni i zanieść trochę cukru dla Victora i Delicji.

- Bardzo dobrze. Ale jutro, ciociu Daintry, zabierzesz nas znowu na przejażdżkę? - spytała dziewczynka po chwili.

Daintry zawahała się.

- Najpierw musimy się dowiedzieć, kiedy wujek Geofrey zamierza was zabrać do domu - powiedziała.

- Mama mówiła - wtrąciła Melissa - że papa życzy sobie zatrzymać się tutaj na kilka dni, ciociu Daintry.

- Mogłybyśmy pojechać jutro na wrzosowisko, gdyby nie było mgły - zaproponowała Charley od niechcenia - i naprawdę porządnie sobie pogalopować.

Daintry obiecała, że jeżeli dziewczynki będą grzeczne, a pogoda następnego dnia okaże się ładna, to na pewno zabierze je na przejażdżkę.

Dopiero później zastanowiło ją, czy Charley nie wspomniała o wrzosowisku z jakiegoś szczególnego powodu; natychmiast jednak pozbyła się tej myśli, ponieważ przyszedł w ślad za nią inne, dużo bardziej niepokojące. Nocą, nie mogąc spać, doszła do wniosku, że pewien wysoki, barczysty dżentelmen o wymownych złocistych oczach, miłym uśmiechu i w ubolewania godny sposób władczy charakterze wywarł na jej kapryśnych uczuciach dużo silniejsze wrażenie, niż przystało na niezależną niewiastę, za jaką siebie uważała.

7

Incydent w Tuscombe Park poważnie zachwiał opinią Gideona o sobie samym, a zwłaszcza jego poczuciem własnej godności.

Zastanowił się przelotnie, czy Jack kiedykolwiek interesował się córkami St. Merryna, ale po chwili namysłu doszedł do wniosku, że nie. Brat nie szukał jeszcze żony i wolał spędzać czas na takich męskich rozrywkach, jak boks, hazard, polowania i strzelanie.

Gideon z uśmiechem przypomniał sobie, jak Daintry w jego obronie naskoczyła na swego krewkiego rodzica, zupełnie jakby pół godziny wcześniej sama go nie skrzyczała. Dziewczyna miewała różne dziwaczne pomysły i za bardzo nawykła do stawiania na swoim, ale była śliczna i godna pożądania. Oczywiście Penthorpe by sobie z nią nie poradził:

miesiąc by nie minął, a już *znalazłby* się pod pantofelkiem. Jędza z niej była, ale wspaniała jędza, uznał Gideon, a jego własna porywczność mogła raz za razem stawać w zawody z jej porywczością.

Szkoda, że zakazy St. Merryna utrudnią podtrzymywanie tej znajomości. Ale przecież dziewczyna zdecydowana była skończyć ze starą waśnią, a robiła wrażenie kogoś, kto - dostawszy raz bzika na jakimś punkcie - dołoży wszelkich starań, by sprawę załatwić. Co więcej, zaczął się sezon przyjęć i on sam dostał już wiele zaproszeń. Bez wątpienia Daintry Tarrant pokaże się w którymś z domów.

Jechał, oddając się tym przyjemnym rozważaniom, dopóki nie pokazał się przed nim Deverill Court. Wtedy przeskoczył gwałtownie myślą do incydentu w Tuscombe Park. Choć nie był przyzwyczajony, by ktoś go tak bezceremonialnie traktował, jak to zrobił St. Merryn, nie mógł zaprzeczyć, że zasłużył na gniew starszego pana. Co jego własny ojciec miałby do powiedzenia na ten temat, lepiej nie myśleć. Wciąż jeszcze nie podjął decyzji, czy wyznaczyć mu wszystko, czy też mieć nadzieję, że nigdy się o tym od nikogo nie dowie. Była to jednak nadzieja nieuzasadniona, bo na pewno nie powinien liczyć na dyskrecję sir Geoffreya Seacourta, jednego z dawnych kolegów Jacka, którzy z radością pomagali mu zatruwać życie młodszym chłopcom w Eton.

Westchnął, przekazał wodze stajennemu i wszedł do domu, zdejmując po drodze kapelusz i rękawiczki i oddając je lokajowi, który jako jedyny pokazał się w holu.

- Czy ojciec jest w domu, Thorntonie?
- Tak, wielmożny panie.
- W kancelarii?
- Tak, sir, i proszę mi wybaczyć, wielmożny panie, ale obawiam się, że mieliśmy tu coś w rodzaju awantury.

Gideon uniósł w górę brwi.

- Awantury?
- Tak, panie. Pan Kibworth i pan Shalton, sir.

Gideon skrzywił się.

- Załatwię to z nimi później. Najpierw muszę zobaczyć

się z ojcem. - Shalton był ordynansem Gideona z dawnych czasów, Kibworth zaś kamerdynerem, którego ojciec z właściwą sobie dbałością zaangażował dla niego w Jervaulx Abbey. Przyjął usługi Kibwortha, ponieważ ojciec tego po nim oczekiwał, ale Shalton był dla niego kimś więcej niż służącym i Gideon uznał, że jeżeli będzie musiał wybierać między nimi dwoma, odejdzie Kibworth.

W kancelarii ogień buzował na kominku, a Jervaulx stał przy oknie wychodzącym na południowy trawnik. Kiedy syn wszedł, odwrócił się do niego ze słowami:

- Thornton mówił, że wychodziłeś. To dobry dzień na przejażdżkę, nieprawdaż?

- Tak, sir. - Gideon na ogół nie należał do ludzi, którzy rzucają się do ataku, zanim nie umocnią pozycji obronnych, ale teraz nie widział już powodów, dla których miałyby. - Pojechałem do Tuscombe Park, ojcze, żeby wyjaśnić pewną nie dokończoną sprawę. St. Merryn wyprosił mnie ze swej posiadłości.

- Dokładnie czegoś takiego można się było po nim spodziewać. Dziwne, że nie zrobił tego wczoraj. Może teraz zechcesz pozostawić tę sprawę w spokoju.

Polecenie było niedwuznaczne, ale Gideon powiedział spokojnie:

- Zanim będę mógł to zrobić, ojcze, chciałbym dowiedzieć się, jaka była geneza waśni między dwoma rodzinami. Najdziwniejsze w całej sprawie jest to, że w St. Merryn nikt chyba nie ma o tym pojęcia.

- Nie istnieje powód, który usprawiedliwiłoby odgrzebywanie starej kłótni. Dość powiedzieć, że winę za nią ponoszą Tarrantowie. Obecnie dużo lepiej wykorzystasz czas, kładąc kres konfliktowi pomiędzy swoimi służącymi.

- Zajmę się tym - obiecał Gideon. - Widzę, ojcze, że masz na biurku całe stosy papierów. Czy jest coś, w czym mógłbym okazać się ojcu pomocny, skoro już tu jestem?

Jervaulx rzucił okiem na biurko i odparł:

- Niedoświadczony pomocnik to więcej kłopotu niż pomocy, ale jeżeli chciałbyś zapoznać się ze sprawami nasze-

go majątku, oddaj się w ręce Bartona. To doskonały rządcą; zapozna cię z tym, co powinieneś wiedzieć, kiedy zostaniesz panem tego domu. Większość papierów na moim biurku związana jest ze sprawami sądowymi. Parafie w Bisland i Alturnum proszą, by wyznaczono nowych policjantów, a przytułek w Bodmin potrzebuje nowego zarządzającego.

- Ojcie, czy jednak nie powinien ojciec przekazać takich obowiązków komuś innemu zwłaszcza teraz, kiedy musi ojciec spędzać tak dużą część roku w hrabstwie Gloucester?

- Człowiek nie uchyla się od wcześniejszych zobowiązań tylko dlatego, że objął wspanialsze posiadłości - oznajmił zimno Jervaulx - a do tego musi rozumieć pospólstwo, by służyć jego potrzebom. Daviesowi Giddy'emu z Bodmin powybijano ostatnio wszystkie okna, ponieważ miejscowi górnicy są przekonani, co zrozumiale, że z chwilą gdy wojna się skończyła, podobnie powinny się skończyć niedobory żywności. Żądają wyższych płac, ale fakty są takie, że wkrótce zamknięte zostaną następne dwie kopalnie. Słucham twoich propozycji. Kto powinien objąć obowiązki sędziego w tak niebezpiecznych czasach? St. Merryn?

- Czy ma ojciec jakiś powód, by uważać, że jest on do tego niezdolny?

- Wiele należy zrobić, zanim w przyszłym miesiącu zacznie się wyjazdowa sesja sądu - zareagował gwałtownie Jervaulx, podchodząc do biurka. - Jeżeli na czas pobytu w Deverill Court poddasz się naukom Bartona, odniesiesz ogromną korzyść. Gdy już będziesz umiał wszystko, czego cię Barton zdoła nauczyć, możesz się zwrócić do Shilcrofta w Abbey. Bez wątpienia również i Lynmouth będzie pragnął wtrącić swoje trzy grosze. Ale to więcej niż prawdopodobne, że już wcześniej znajdziesz sobie jakieś bardziej zabawne zajęcia.

Mówiąc te słowa markiz zasiadł w fotelu za biurkiem, a Gideon przyjął do wiadomości, że go odprawiono. Nie miał wielkiej ochoty udawać się do rządcy ojca na naukę, ale skoro majątek miał kiedyś przypaść jemu w udziale, pewnie tym właśnie powinien się zająć. Odczuwał natomiast bardzo silny opór na samą myśl, że miałby zwracać się do

lorda Lynmoutha, wuja poprzedniego markiza ze strony matki i głównego administratora Jervaulx Abbey. Deverill Court to jedno. Był jego domem i myśl, że kiedyś będzie do niego należał, nie wzbudzała w nim większego niepokoju. Jervaulx Abbey to coś całkiem innego. Jak pamięcią sięgał, Abbey było siedzibą starszej gałęzi rodziny. Złożył tam wizytę tylko jeden raz, zanim ojciec odziedziczył tytuł, a potem też tylko raz. Nie był ani trochę związany z Abbey.

Właściwie to czuł się teraz dziwnie. Od zawsze był młodszym synem; jego naczelnym zadaniem było znalezienie dla siebie jakiegoś własnego miejsca i pozycji na tym świecie. Na początek po cichu sprzymierzył się z chłopcami, których brat Jack i jemu podobni usiłowali zastraszać, a na koniec miał pod swoimi rozkazami tych samych chłopców w armii Wellingtona. Wiedział, że dobrze umie organizować innym ludziom życie i ratować ich przed skutkami własnej głupoty; nie był całkiem przekonany, czy poradzi sobie z tym w stosunku do siebie samego.

Pożegnawszy się z ojcem, udał się do swojej sypialni i zadzwonił po Neda Shaltona.

W dziesięć minut później do pokoju wszedł Shalton, przysadzisty, średniego wzrostu, z grzywą posiwiałych, kręconych włosów na głowie, zachowujący się po wojskowemu.

- Tak, panie majorze, jakie rozkazy?

Głos miał niski i ochrypły z natury, ale jasnoniebieskie oczy wesoło mu błyszczały.

Gideon milczał na tyle długo, że wesołe błyski przygasły. Potem powiedział spokojnie:

- Doniesiono mi, że miała tu miejsce jakaś burda, Ned. Tego tolerować nie będę.

Shalton wyprostował się i stanął na baczność.

- Tak jest, sir.

- A niech cię, dajże spokój! - wykrzyknął Gideon rozbawiony. - Nie zjem cię przecież, o czym bardzo dobrze sam wiesz. O co w tym wszystkim chodzi?

Shalton odprężył się, przesunął ręką po posiwiałych włosach, potrząsnął głową i rzekł:

- To przez tego wymuskanego fircyka o końskiej twarzy, Kibwortha, panie majorze. Okropnie zadziera nosa, no a kiedy zaczął gadać, że nie wie, co za niekompetentny osioł zajmował się pana osobistymi rzeczami i w ogóle, no to już mnie poniosło. Przygrzałem mu, i to zdrowo. I bardzo się z tego cieszę - dodał wojowniczo.

Po chwili milczenia Gideon powiedział:

- Nie pozwolę na coś takiego, Ned. Sam wiesz, że Kibworth ma swoje dobre strony. Wspaniale radzi sobie z żelazkiem i dokładnie zna się na odpowiednim praniu i krochmaleniu moich koszul i pozostałej bielizny. Ty za to wykazujesz niezrównany talent w doprowadzaniu do połysku pary butów z cholewami czy zajmowaniu się uprzężą i innymi rzeczami osobistymi. Uda wam się na pewno jakoś ułożyć sobie stosunki, jeżeli przynajmniej jeden z was wykaże odrobinę taktu. Czy to jasne? - Przy ostatnich słowach głos mu stwardniał, a spojrzenie, którym obrzucił ordynansa, stało się nieugięte.

Shalton słyszał już wcześniej taki ton i znał te spojrzenia.

- Tak, wielmożny panie, jasne jak dzień.

- Dobrze. A teraz znajdź tego szelmę Kibwortha i przyslij go do mnie.

Shalton z miejsca poweselał i wyszedł spełnić polecenie; po krótkiej chwili w pokoju pojawił się kamerdyner.

- Wielmożny pan dzwonił?

Był kompletnym przeciwieństwem Shaltona i zachowywał się z dużo większą godnością niż sam Jervaulx. Twarz miał pociągłą, wargi cienkie, był pedantyczny i rzeczywiście wydawał się patrzeć na świat z pewną pogardą. Gideon poczuł, jak narasta w nim współczucie dla Shaltona. Długo milczał, ale na kamerdynerze nie robiło to chyba najmniejszego wrażenia. Po prostu stał spokojnie i czekał, aż jego pan zechce się odezwać.

W końcu Gideon powiedział:

- Nie będę tolerował sprzeczek między moimi służącymi, Kibworth. Czy to jasne?

- Oczywiście, wielmożny panie.

- Świetnie. Przyszedełś do mnie na służbę niedawno i po-

winieneś się kilku rzeczy dowiedzieć, jeżeli masz służyć mi dobrze. Po pierwsze, pan Shalton jest ze mną od kilku lat i zna moje upodobania lepiej, niż może je znać ktokolwiek inny.

- Shalton na pewno jest na swój sposób wspaniałym służącym dla wojskowego, wielmożny panie, ale chyba teraz, kiedy wrócił pan do domu i będzie się udzielał w towarzystwie...

- Pan Shalton jest doskonałym służącym, Kibworth, a jeżeli jeszcze raz zdarzy się tego rodzaju zakłócenie spokoju, jakie miało miejsce dzisiaj, zostanie jedynym służącym. Przekonany jestem, że wyraziłem się dostatecznie jasno.

- Dopilnuję, by nikomu już nie zakłócały spokoju takie różnice zdań, wielmożny panie. Czy wielmożny pan wybierze się dziś jeszcze na przejażdżkę, czy mam polecić, by przygotowano wielmożnemu panu kąpiel i świeże odzienie?

- Mam zamiar spędzić około godziny z panem Bartonem, potem będę chciał się przebrać - powiedział Gideon zadowolony. - Możesz odejść.

Po rozmowach ze służącymi poszedł poszukać rządcy ojca.

Barton, mały, łysy człowieczek, który nałogowo zacierał ręce, kiedy był zadowolony, przyjął go z niezwykłą radością.

- Wspaniale, panie - powiedział, kiedy Gideon oznajmił mu, dlaczego go szukał. - Mam nadzieję, że znaczy to, iż zamierza pan zdjąć część brzemienia z ramion jego lordowskiej mości.

- No cóż, panie Barton, ojciec nie chce wypuścić cugli z rąk, ale rzeczywiście powiedział, iż powinienem udać się do pana na naukę.

- A więc ma pan zamiar zatrzymać się tu na jakiś czas. Myślałem, że niedługo będzie pan wyjeżdżał, przecież jesienią czeka na wszystkich tak wiele przyjęć i innych rozrywek. Tak właśnie postąpiłby panicz Jack, racz mu dać, Panie, wieczne odpoczywanie. Widzę, że nie chodzi pan już w żałobie.

Gideon przypomniał sobie, że ojciec ubrany był w czarny surdut i pantalony, ale on niemal zawsze ubierał się na czarno. Jack nie żył od niecałych czterech miesięcy, więc jego brat powinien pewnie nosić przynajmniej czarną kamizelkę. Gideon nie znał jednak Jacka zbyt dobrze i 'wcale go nie lubił,

poza tym pod Waterloo zginęło bardzo wielu ludzi, a w kraju milcząco przyjęto, że po zwycięstwie cały naród nie może spowijać się w krepę, tak więc jakoś zaniedbał tej niewątpliwie ważnej manifestacji obowiązków rodzinnych. Dziwne, pomyślał, że ojciec nic mu na ten temat nie wspomniał.

Bartonowi odpowiedział tylko:

- Boleję tak po śmierci moich towarzyszy na polu walki, jak i po moim bracie, ale przekonany jestem, że trzeba raczej z żywymi naprzód iść, niż rozpamiętywać naszą śmiertelność. Proszę mi powiedzieć, sir, gdzie znajdę stare listy, które mogły zaplatać się między papiery rodzinne? Interesuje mnie szczególnie waśń pomiędzy rodziną Deverillów i rodziną Tarrantów z Tuscombe Park. Może pan wie, jak do niej doszło.

Barton potrząsnął głową.

- To miało miejsce, zanim tu nastałem, milordzie. Co do starych listów, tego rodzaju rzeczy składa się w archiwum. Nie wiem, co pan tam zdoła znaleźć, ale przydałoby się w papierach zrobić porządek.

Gideon kiwnął głową, zgodził się wyznaczyć termin, od którego zacznie pobierać nauki u Bartona, i poszedł zajrzeć do archiwum w północno-zachodniej wieży. Ponieważ z natury lubił porządek, widok piętrzących się na regałach pod ścianami książek, zwojów dokumentów, stosów papieru i ogólnego rozgardiaszu, zirytował go i zmartwił. Zauważył pod oknem stolik-biurko, zgarnął więc naręczce czegoś, co przypominało różnorodne zapiski, i nie minęło wiele czasu, a usadowił się wygodnie i zaczął je porządkować.

W godzinę później uznał, że dość tego na jeden dzień. W stosie szpargałów znalazły się notatki na wszelkie możliwe tematy, ale było dokładnie tak, jak go ostrzegał Barton. Papiery trzeba będzie starannie posortować i przejrzeć, zanim uda mu się w nich choć z grubsza rozeznąć.

Przypomniał sobie, że Daintry Tarrant lubi jeździć konno, polecił więc, by jutro zaraz z rana osiodłano mu Cienia, a potem poszedł wykapać się i przebrać do obiadu.

8

Nazajutrz dzień wstał jasny i słoneczny, ale plan Charley, by pojechać na wrzosowisko, omal nie spalił na panewce. Daintry zeszła na dół niemal o godzinę wcześniej niż miała w zwyczaju i choć nie spodziewała się nikogo spotkać przy śniadaniu, ku swej irytacji zastała tam nad dużym, na w pół opróżnionym talerzem sir Geoffreya.

- Dzień dobry. Masz już, jak widzę, na sobie amazonkę - powitał ją z pełnymi ustami szwagier. - Dobrze ci w tym kolorze. Pasuje ci do oczu, wyglądasz w niej niemalże na prawdziwą damę.

Daintry z trudem poskromiła swój wybuchowy temperament i odparła przez ramię:

- Dziękuję ci, Geoffrey. Przyjmuję, że miał to być z twojej strony komplement.

- Pewnie nadal masz zwyczaj jeździć samopas i na złamanie karku po całej okolicy. Mam nadzieję, iż nie uczyłaś tego mojej córki, kiedy przebywała tu u was w gościnie.

Daintry była w pełni świadoma, że jej reakcja może zdecydować o tym, czy Melissa dostanie pozwolenie na przejażdżkę, czy też będzie zmuszona pozostać w domu, więc siląc się na spokój, odrzekła:

- Melissa jest doskonałym jeźdźcem, sir. Powinieneś być dumny z jej zdolności. Często zabieram obydwie dziewczynki na przejażdżkę i zwykle co rano udzielam im lekcji. Mam nadzieję, że nie znajdujesz w tym nic nagannego.

- Oczywiście, że nie - zgodził się z nią z uśmiechem. - A nawet pozwolę sobie dziś rano na przyjemność wzięcia udziału w waszej lekcji, bo ciekaw jestem, w jaki sposób jedna niewiasta uczy inną jazdy konnej. Mam nadzieję, że nie będziesz oponować.

W piętnaście minut później do pokoju wbiegły dziewczynki. Kiedy zobaczyły, że Daintry nie jest sama, na ich buziach ujrzęła zaskoczenie. Spojrzała ostrzegawczo w oczy Charley i powiedziała wesoło:

- Posłuchajcie, dziewczynki, jak miło. Sir Geoffrey postanowił dziś rano przyjrzeć się waszej lekcji. Będzie zaskoczony, widząc, jak dobrze już obydwie jeźdźcie.

Z zamierającym sercem zobaczyła, że Melissie nie udało się ukryć konsternacji, ale zanim jej ojciec zdążył to zauważyć, Charley wysunęła się przed kuzynkę i oznajmiła ze swobodą:

- Pozwolę sobie powiedzieć, że będzie wujek naprawdę bardzo zaskoczony, wujku Geoffrey. Melissa niemal już wcale się nie boi.

Geoffrey roześmiał się i wyciągnął rękę, by ją uszczypnąć w policzek.

- Niekoniecznie uznałbym to za korzystne, Charlotto, bo zdrowa porcja lęku zapewni siedzącej w siodle niewieście dużo większe bezpieczeństwo.

- Och, nie - sprzeciwiła się Charley - bo przecież z pewnością przekaże tę obawę koniowi, wie wujek, i...

- Charley, na litość boską - wtrąciła się Daintry - twój wuj nie potrzebuje wykładu na temat tego, jak należy jeździć na koniu. Jeżeli jesteście gotowi, przejdziemy teraz do stajni.

Niestety, Daintry nie miała okazji przestrzec dziewczynek, by nie wspominały o planowanej wcześniej wycieczce na wrzosowisko. Bała się najbardziej, że jeżeli Geoffrey zorientuje się w ich zamiarach, to każe osiodłać konia także dla siebie, chociaż nie miał na sobie spodni do konnej jazdy. Tak więc kiedy Clemons wyprowadził wszystkie trzy konie, powiedziała:

- Zapomniałeś przynieść lonży. Proszę, idź i przynieś je od razu.

Żyłasty stajenny nawet okiem nie mrugnął, tylko podał wodze najbliższemu koniuchowi i odwrócił się na pięcie. Daintry wstrzymała oddech w nadziei, że żadna z dziewczynek nie okaże się na tyle niemądra, by wyrwać się z informacją, iż ponizającą jazdę na lonży mają już od kilku tygodni za sobą.

Dziewczynki posłusznie milczały, dopóki Clemons nie przywiązał lonży, ale kiedy pochylił się, by podnieść Charley na siodło, Daintry dostrzegła iskierkę buntu w ciemnych oczach dziecka i poprosiła:

- Zaczekaj, Clemons. Panna Charlotta będzie wolała pokazać wujowi, że potrafi dosiąść konia bez niczyjej pomocy.

- Daintry, nie zachęcaj jej to takiego szaleństwa. Żadne dziecko nie zdoła tego zrobić samo - roześmiał się sir Geoffrey.

- Charley to potrafi. Popatrz.

Charley z szerokim uśmiechem na buzi podeszła do swego gniadego wałacha i poklepała go po pysku.

- No, Victorze, mój śliczny, pokaż wujkowi Geoffreyowi, jaki jesteś mądry.

Dotknęła jego łopatki, coś cicho powiedziała, a koń, ku zdumieniu sir Geoffreya, ugiął przednie nogi i ukląkł, tak że dziewczynka mogła włożyć lewą stopę w strzemień. Odebrała od koniucha wodze, mocno chwyciła za tylny łęk i kulę, ale nie próbowała nawet siadać, dopóki wałach na jej polecenie nie podniósł się. Dopiero wtedy z triumfalnym uśmiechem usadowiła się w siodle.

- Prawda, że Charley jest zdumiewająco sprytna, papo? - odezwała się Melissa.

- Zdumiewająco - zgodził się jej ojciec - ale mam nadzieję, że sama nigdy nie będziesz próbować czegoś podobnego, moja droga. To nie jest odpowiednia dla młodej damy metoda dosiadania konia.

- Och, nigdy bym nie umiała nauczyć konia robić czegoś tak mądrego - powiedziała Melissa naiwnie - ale Charley i ciocia Daintry nauczyły konie dziadka przeróżnych sztuczek.

- To prawda, Geoffreju - wtrąciła się Daintry. - Charley ma prawdziwy talent do tresowania zwierząt, ale zapewniam cię, że niczego groźnego Delicji nie nauczyła. Podsadź pannę Melisę, Clemons, a potem wyprowadź konie na koniec podwórza przed stajnią, proszę. Możesz mi pomóc, Geoffreju.

Znalazłszy się w siodle, Daintry poprawiła sobie spódnicę, przełożyła wodze do lewej ręki i przeniosła uwagę na swoje podopieczne. Clemons trzymał długie lonże w dło-

niach, a dziewczynki już zaczęły krążyć wokół niego. Daintry zobaczyła, że Charley związała wodze i puściła je luzem na kark konia, a ręce splotła skromnie na podołku.

- Nie wpadaj w panikę, Geoffreyu - powiedziała, zobaczywszy, że szwagier marszczy brwi. - Nic im się złego nie stanie. Clemons jest bardzo ostrożny.

- Przyspieszcie teraz do kłusa, dziewczynki, i pokażcie, że potraficie anglezować, nie korzystając ze strzemienia.

Geoffrey odwrócił się w kierunku Daintry, ale jego uwagę przyciągnęło coś za jej plecami. Odwróciła się i zobaczyła brata, który podchodził do nich z łady Catherine Chauncey u boku. Lady Catherine ubrana była w amazonkę.

Charles pomachał do nich i zawołał:

- Tu jesteś, Seacourt. Przeszukałem za tobą cały dom. Dzień dobry, Daintry. Lady Catherine mówiła mi, że ma zwyczaj co rano jeździć konno, a ja powiedziałem, że z rozkoszą zabierzesz ją na przejażdżkę, mam więc nadzieję, że nie spędzisz całego poranka na udzielaniu lekcji dziewczynkom. Zresztą powinny teraz chyba być w pokoju szkolnym, czyż nie?

- Nic to nie da, jeżeli będziesz je zmuszał, by siedziały zamknięte w pokoju razem z kuzynką Ethelindą, Charlesie. Żadnej z nich nie zaszkodzi trochę świeżego powietrza i ruchu. Jeżeli lady Catherine ma ochotę się przejechać - dodała Daintry - to z przyjemnością zabiorę ją gdzieś niedaleko. I tak obiecałam już dziewczynkom przejażdżkę po lekcji. Czy należy pani do mistrzów, czy do zwykłych amatorów, lady Catherine?

- Często powtarzano mi, że jestem urodzoną amazonką, lady Daintry, i że w każdym siodle trzymam się tak, jakbym się w nim urodziła. - Zatrzepotała długimi rękami w kierunku obydwu mężczyzn i dodała, wydymając wargi: - Ale z pewnością, moja droga, nie jeździ pani bez odpowiedniej męskiej eskorty.

- Tarrant i ja z radością będziemy pani towarzyszyć, prawda, Charles? - zareagował natychmiast sir Geoffrey.

- Mowy nie ma - rzucił stanowczo Charles. - Idziemy sobie postrzelać, Geoffrey. Medrose mówił mi, że w lasku znajdziemy łyski i słonki. O Daintry i dziewczynki się nie

martw. Wszystkie wspaniale trzymają się w siodle. Lady Catherine, jak przypuszczam, także, bo przecież właśnie powiedziała, że doskonale się czuje na koniu.

Sir Geoffrey miał niepewną minę, ale Daintry wiedziała, że brat postawi na swoim, i podniesiona na duchu zawołała na chłopca stajennego, by natychmiast przyprowadził konia dla lady Catherine.

- Którego, jasnie panienko?

Zanim Daintry zdążyła odpowiedzieć, Charley zawołała:

- Wyprowadź Księżną, Teddy. Będzie idealna dla lady Catherine.

Daintry już otwierała usta, by zaprotestować, ale napotkała spojrzenie bratanicy i nic nie rzekła, zwłaszcza że lady Catherine zapewniała, iż jeździ po mistrzowsku.

Patrząc, jak gość Geoffreya dosiada konia, Daintry zrozumiała, że lady Catherine wcale nie jest tak świetnym jeźdźcem, jak przedtem twierdziła, a wkrótce zorientowała się, że sytuacja wygląda dużo gorzej. Ta kobieta nie tylko uporczywie cmokała na klacz, który to zwyczaj musiał wywołać dezaprobatę u każdego, kto jechałby w jej pobliżu na płochliwym koniu, ale trzymała wodze w obu rękach niczym wiosła i siedziała w siodle zbyt przesunięta do przodu. Daintry zerknęła na Charley i usiłowała przypomnieć sobie, czy Księżna ma jakieś naprawdę niebezpieczne narowy.

Przez niemal pół godziny nic szczególnego się w czasie jazdy nie działo i Daintry dokładała starań, by podtrzymać rozmowę z lady Catherine, podczas gdy dziewczynki jechały przodem.

W końcu stwierdziła, że konie już się trochę wybiegały, więc pójdą teraz stępa. Kiedy zbliżyła się z lady Catherine do dziewczynek, usłyszała, że Charley zaczęła dość niemięłodyjnie pogwizdywać.

- Cóż to dziecko robi? - zapytała lady Catherine. - Damy nie gwizdzą, Charlotte Na Boga, co dzieje się z tą klaczą?

- Przepraszam - powiedziała Charley i zamilkła.

Daintry popatrzyła na klacz, która na pierwszy rzut

oka szła tak, jak powinna. Zerknęła na jadącego za nimi Clemonsa i zobaczyła, jak ten gwałtownie kryje uśmiech.

Charley, jakby przez roztargnienie, zaczęła znowu pogwizdywać, a Daintry, która teraz bacznie obserwowała kłacz, zorientowała się, że Księżna zaczęła kuleć.

- Cóż to jest? - zawołała lady Catherine. - Tym razem niemal mnie zrzuciła! Coś jest z nią nie w porządku!

Daintry ściągnęła wodze.

- Sprawdź prawą tylną podkowę Księżnej, Clemons. Może wszedł jej kamyk.

Stajenny zsiadł i z nieporuszoną twarzą sumiennie sprawdził wszystkie podkowy kłaczy.

- Nic nie ma, jaśnie panienko. Najpewniej znowu naciągnęła sobie to ścięgno w tylnej pęcinnie.

- To na pewno to, ciociu Daintry! - wykrzyknęła natychmiast Charley. - Będzie pani musiała wrócić, lady Catherine. Co za okropność!

Pamiętna swych obowiązków Daintry powiedziała:

- Oczywiście wszyscy musimy wrócić razem. Jaka szkoda.

- Och, nie! - wykrzyknęła Charley.

- Jestem całkiem pewna, że mogę spokojnie wracać sama - oznajmiła ponuro lady Catherine - tyle że nie znam drogi, a nie chciałabym pań pozbawiać stajennego.

W Daintry wzięły górę mniej szlachetne odruchy.

- Och, to dla nas żaden kłopot, milady, zapewniam panią - oznajmiła. - Jeżeli jest pani całkiem pewna, że samotny powrót nie zrobi jej przykrości, to wyznam, że wolałabym nie sprawiać dziewczynkom zawodu, skoro już obiecałam im tę przejażdżkę.

- Och, wcale mi przykro nie będzie - odparła lady Catherine - jeżeli tylko nie spodziewacie się, iż taki kawał będę wracała pieszo.

- Nie ma najmniejszej potrzeby - wtrąciła Charley. - Musi pani tylko pozwolić Clemonsowi, by kłacz prowadził, byle nie za szybko.

Niemal nie czekając, aż tych dwoje znajdzie się poza zasięgiem jej głosu, Daintry odezwała się surowo:

- Ty okropna dziewczyno, sama już nie wiem, na co zasłużyłaś sobie za tę niegrzeczną psotę.

- Ciocia wiedziała? Skąd ciocia wiedziała? Och, ciociu Daintry, czy to nie wspaniale?

- Charley, ty... ty... po prostu nie znam odpowiednio brzydkiego słowa, które mogłabym przy tobie powiedzieć.

Charley, bynajmniej nie skruszona, roześmiała się.

- Czy możemy się puścić galopem, kiedy dojedziemy na samą górę, ciociu Daintry?

Daintry zgodziła się i gdy w kilka minut później droga zrobiła się płaska, ruszyła przodem, zjeżdżając od razu z twardo ubitej ziemi na bardziej miękkie wrzosowisko. Dziewczynki zjechały tuż za nią. Skupiła uwagę na terenie, tak więc to Charley pierwsza zobaczyła oddalonego od nich o dwa pola jeźdźca.

Daintry nie miała najmniejszych wątpliwości, kim był ów jeździec, chociaż w pierwszej chwili wyglądał jak ciemny, galopujący na tle widnokrzęgu cień, przypominający mitologicznego centaury. Zwierzę i człowiek tworzyli taką jedność, że wydawali się niemal płynąć w powietrzu.

Jeździec zobaczył je i zawrócił tak gwałtownie, że koń stanął dęba, przebierając kopytami w powietrzu.

Daintry ściągnęła wodze Obłokowi, żeby na niego zaczekać, i tak samo postąpiły dziewczynki. Charley pomachała szpicrutą i zawołała:

- Hej tam, na koniu! - dodając już ciszej: - Ależ z tego lorda Deverilla jest świetny jeździec, prawda, ciociu Daintry?

- Bez cienia wątpliwości - zgodziła się Daintry.

- To tak chciałabym umieć jeździć - wyznała Charley.

- No to musisz dużo więcej ćwiczyć - powiedziała jej z roztargnieniem Daintry. Z pewnością potrafi jeździć, pomyślała, i do tego jest wspaniałym znawcą koni.

Deverill zwolnił i zbliżył się do nich w przyzwoitym tempie.

- Dzień dobry paniom. Czyżby panie nie zdawały sobie sprawy, że wrzosowisko Bodmin Moor należy do miejsc, gdzie żadna niewiasta nie powinna przebywać bez męskiego towarzystwa? A już z pewnością nie trzy bardzo młodziutkie damy.

- Mam ponad dwadzieścia lat, sir - odpowiedziała, sztywniejąc, Daintry - a jeździłam po Bodmin Moor przez całe moje życie.

- Ale założyłbym się, że nie bez towarzystwa stajennego. Tu wtrąciła się pospiesznie Charley.

- Błagam, niech pan nie beszta cioci Daintry, sir. To wszystko moja wina, że nie ma z nami w tej chwili Clemonsa.

- Zamordowałaś waszego stajennego?

- Och, nie, sir! - wykrzyknęła Melissa, a Charley tylko zachichotała.

- Niczego takiego nie zrobiłam, ale rzeczywiście dzięki mnie musiał wracać do domu. Widzi pan, miałyśmy towarzystwo i chciałyśmy się jej pozbyć.

Deverill popatrzył na Daintry, potem znowu na Charley.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, byście chciały odesłać do domu waszą ciocię Susan, więc musiała to być śliczna lady Catherine Chauncey. Czy to jej towarzystwo było aż tak niepożądane?

- Ona cmoka na konie - powiedziała z pogardą Charley.

- W takim razie zdecydowanie niepożądane - zgodził się z powagą.

- Do tego ona jeszcze wiosłuje wodzami i podskakuje po całym siodle. Chociaż to akurat mogło być winą Księżnej.

- A o której to księżnej mówisz? - zapytał Deverill, uśmiechając się do Daintry.

- Naszej Księżnej, oczywiście - wyjaśniła Charley. - To najślicniejsza biała klacz, jaką pan w życiu widział, absolutnie doskonała. Bardzo efektowna. Pomyślałam, że takie właśnie zwierzę zauroczy lady Catherine.

- Charley - wtrąciła się Daintry - jeżeli w ogóle zamierzasz o tym opowiadać, mądrze zrobiłabyś, mówiąc całą prawdę, a nie tylko te jej fragmenty, które ci odpowiadają.

- No więc prawdziwy powód, dla którego chciałam, żeby lady Catherine jechała na Księżnej, jest taki, że ona zaczyna kuleć, kiedy zagwizdzę, i to właśnie zrobiłam.

Deverill popatrzył na Daintry ze zdumieniem.

- Czy to prawda? Czy rzeczywiście udało jej się nauczyć tę klacz kuleć na rozkaz?

- Proszę, niech pan jej nie ośmiela - powiedziała ze śmiechem Daintry. - Pokazałam jej kilka prostych metod tresowania, ale obawiam się, że od tego czasu nauczyła konie wielu nagannych sztuczek.

- Wcale nie, ciociu Daintry. No, może tylko tej jednej. Ciocia Daintry mówi, że ja mam do tego talent, sir, chociaż wciąż jeszcze nie udało mi się nauczyć Victora, żeby się nie bał grzmotów.

- Przerażasz mnie - powiedział Deverill. - Szkoliłem wiele koni, ale nie przypominam sobie, by choć raz kusiło mnie, nawet odrobinę, żeby któregoś celowo uczyć kuleć.

- Ale myśmy je też nauczyły całego szeregu pożytecznych rzeczy - zapewniła go Charley. - Czy możemy pojechać przodem, ciociu Daintry? Melissa chciałaby spróbować poskakać przez murki.

Daintry, która zauważyła pospiesznie skryty wyraz konsternacji na buzi Melissy, powiedziała:

- Oczywiście, możecie jechać, gdzie macie ochotę, dziewczynki, jeżeli tylko nie oddalicie się od nas na tyle, żebym was straciła z oczu i dopóki będziecie ostrożne. Możecie skakać przez furtki, Charley, ale nie przez kamienne murki.

Dziewczynki spięły konie ostrogami, a Deverill odezwał się:

- Jak na swój wiek świetnie jeżdżą. Rzadko miałem przyjemność widzieć tak pewny dosiad.

- Ćwiczyły zachowywanie równowagi, jeżdżąc bez pomocy wodzy czy strzemion, dopóki nie potrafiły usiedzieć na chusteczce do nosa i utrzymać kawałka papieru pomiędzy nogą a pułskim. Rzeczywiście, nabyły wielkiej wprawy.

Deverill skinął głową, ale nic nie powiedział. Przyglądał się czujnie, kiedy Charley najeżdżała Victorem na drewnianą bramkę, dopóki i koń, i jeździec gładko nad nią nie przeszli. Potem Melissa bez żadnych problemów poszła w ślady kuzynki.

- Zastanawiałem się, czy ta malutka nie czuje się troszkę onieśmielona. Wydaje się mniej pewna, niż jej kuzynka, ale przypuszczam, że mówiąc tak mogę ją krzywdzić.

Daintry i Deverill przyglądali się, jak dwójka dzieci wjeżdża na następne pole; wreszcie Deverill uśmiechnął się szeroko do Daintry i powiedział nieco zaczepnie:

- Nie będzie pani chciała, by pozostawiły nas zbyt daleko w tyle, jak przypuszczam.

Daintry miała już ochotę przyłączyć się do zabawy, więc bez wahania spięła Obłoka ostrogami i ruszyła na najbliższą furtkę. Jadący u jej boku Deverill zwiększył dzielącą ich odległość i równocześnie przeskoczył na Cieniu przez murek.

W kilka chwil później Daintry przystanęła i zerknęła na swoje podopieczne. Melissa wykonała kolejny skok. Wyglądał na czysty i wszystko byłoby dobrze, gdyby klacz nie potknęła się przy lądowaniu. Melissa bez problemów odzyskała nad nią kontrolę, ale kiedy zwierzę znowu ruszyło biegiem, stało się jasne, że straciła przynajmniej jedną wodzę. Dziewczynka pochyliła się do przodu, przywarła do grzywy klaczy i usiłowała złowić szpicrutą zwisającą wodzę.

- Urwała się! - zawołała do Charley.

Charley przyłączyła się do kuzynki, a kiedy zbliżyli się dorośli, obydwie popatrzyły na Daintry, która uśmiechnęła się do Melissy.

- Świetnie się zachowałeś i nie straciłaś głowy, moja kochana. Jestem z ciebie dumna.

Melissa lekko się zaczerwieniła, ale powiedziała tylko:

- Wodza się urwała. Klacz musiała na nią stąpnąć.

Deverill zsiadł, mówiąc:

- Mam coś, co się wam teraz przyda, młode damy. - Sięgnął do skórzanej sakwy przytroczonej do siodła i wyciągnął zwój rzemienia. - Zawsze wożę ze sobą zapasową wodzę, jako że człowiek nigdy nie wie, kiedy może mu się przydarzyć jakiś niefortunny wypadek; pewne jest tylko jedno, że przydarzy się w najbardziej niedogodnym momencie.

- Co za świetny pomysł! - wykrzyknęła Charley. - Sama tak zacznę robić.

Deverill pokazał jej, jak przyczepić nową wodzę do urwanego kawałka.

- To tylko taka prowizorka, dopóki któryś z waszych

masztalerzy nie będzie jej mógł porządnie naprawić, a musimy ją przyczepić, żeby ten urwany koniec nie trzepotał. Gdybym miał ze sobą nóż, mógłbym wodzę przyciąć, ale przyda się i taka, dopóki nie wrócicie do domu.

Melissa mu podziękowała, a Daintry powiedziała:

- Wszystkie jesteście panu wdzięczne, sir, ale chyba powinniśmy już teraz wracać.

- Nie będę proponował paniom swojego towarzystwa - stwierdził Deverill, marszcząc brwi. - Chyba że pani szanowny rodzic zmienił... Nie, nie sądziłem, żeby miał zmienić. Ale może zobaczę panią dwunastego, na przyjęciu w Mount Edgumbe.

Daintry natychmiast poprawił się nastrój.

- Zostaliśmy zaproszeni, sir.

- Wszyscy?

Daintry zachichotała, widząc jego konsternację.

- Mój ojciec nie zwykł brać udziału w takich przyjęciach, sir. Oczywiście chętnie jeździ postrzelać do ptaszków, ale nie lubi mieszanych polowań, przedstawień amatorskich czy tańców, tak więc przekonana jestem, że do Mount Edgumbe wybierzemy się w składzie: ciocia, ja sama, i Charles oraz Davina, jako że Geoffrey gusta ma podobne jak papa.

- I nie będzie żadnych dzieci - wtrąciła Charley z westchnieniem.

- Przyjdzie na was pora wystarczająco szybko, panno Charlotta - roześmiał się Deverill. Odwrócił się do Daintry i powiedział serdecznie: - Z góry się cieszę na zacieśnienie naszej znajomości, milady.

Daintry nie była w stanie się oprzeć i odjeżdżając z dziećmi obejrzała się przez ramię; zobaczyła, że Deverill stoi tam, gdzie go zostawiły i przygląda się im. Uniósł z uśmiechem kapelusz, a ona odwróciła się pospiesznie, ale nie udało jej się z równą łatwością stracić go z myśli, jak z oczu. Potrafił być uroczy i zachwycający, ale potrafił też być niesłychanie irytujący, a sporadycznie nawet staroświecki, jak wtedy, kiedy upomniał ją w sprawie stajennego. Prawdę mówiąc, w jej życiu nie było miejsca na człowieka takiego jak Deverill. W naj-

lepszym przypadku prowokowałby ją, w *najgorszym* odebrałby jej na zawsze tę niezależność, do której dążyła.

Gideon nie ruszył się z miejsca, dopóki trzy amazonki nie zniknęły za wzniesieniem. Bawił się świetnie, ale wiedział, że nie może dopuścić do tego, by St. Merryn odkrył, iż jego córka spotyka się z przedstawicielem rodu Deverillów u jego własnych bram. Uznał jednak, że przyjęcie w Mount Edgumbe nadejdzie wystarczająco szybko, by przekonał się, czy uda mu się obudzić namiętność w tej malej jędzy.

Tymczasem zaangażował do pomocy Shaltona i dwóch krzepkich lokajów i razem wzięli się do porządkowania chaosu panującego w archiwum. I chociaż Gideona interesowały wyłącznie lata poprzedzające bezpośrednio małżeństwo ojca, przekonał się, że zapisy i dokumenty sięgały aż do czternastego wieku. Choć ich uporządkowanie było zadaniem na miarę Herkulesa, nie upłynęło wiele czasu, a z chaosu zaczęły wyłaniać się porządek i Gideon doszedł do wniosku, że kiedy powróci z Mount Edgumbe, będzie w stanie poczynić postępy w bardziej szczegółowych poszukiwaniach.

9

Rodzina Tarrantów przebyła piętnastomilową podróż do Mount Edgumbe w czterech powozach; pierwszy i najbardziej elegancki wioził lady Ophelię, Davinę i Daintry, która zajmowała przednie siedzenie razem z podróżną torebką lady Ophelii. Ich służące i lokaj Charlesa jechali za nimi w następnym powozie, a olbrzymia ilość bagażu, potrzebna tej czwórce na tygodniowy pobyt w jednym z najbardziej wytwornych domów w hrabstwie, wypełniała następne dwa pojazdy. Charles nie lubił zamknięcia i zdecydował się jechać wierzchem, chociaż deszcz wisiał w powietrzu.

Dom w Mount Edgumbe, przycupnięty na przylądku

u wejścia do cieśniny Plymouth, otoczony malowniczym parkiem, był zwarty i symetryczny: taki złocisty, trzypiętrowy pseudozamek z czterema ośmiobocznymi wieżami w narożnikach i szeroką, prostokątną wieżą na froncie. Powozy podjechały do niego od strony ogrodów. Od dawna uważane one były za jedne z najpiękniejszych w Anglii, chociaż o tej porze roku nie prezentowały się z najlepszej strony; ozdabiały je różne świątyńki i ozdobna ruinka, które kolejno ukazywały się w ponurym zmierzchu. Ponad dalekie grzmoty wybijał się odgłos wychodzących na port dział, które salwami w imieniu gospodarza witały gości.

Z okien wychodzącego na wschód frontu zamku rozciągał się widok na ujście rzeki Tamar i dalej na miasto Plymouth. Daintry odwiedzała Mount Edgcumbe już wcześniej; cieszyło ją zawsze poczucie, że oto znalazła się na czubku świata i patrzy na płaczące się u jej stóp jachty i statki, a już najbardziej cieszyły ją światła miasta nocą. Przy czystym powietrzu można było zobaczyć latarnię Eddystone, wysuniętą o piętnaście mil w morze. Ponieważ zrobiło się mroczno, latarnia się już paliła i wchodząc za lady Ophelią do holu, Daintry widziała w oddali jej przyjazny, omiatający horyzont blask.

W wysokim, oświetlonym świecami frontowym holu odgłos kroków gości na mozaikowej, układanej w szachownicę marmurowej posadzce odbijał się echem od sklepienia i ścian, chociaż te ostatnie obwieszane były ciężkimi, wspinałymi gobelinami.

Ubrana w liberie służba pospieszyła zająć się bagażami, a dwóch wysokich, przystojnych lokajów poprowadziło przyjezdnych do pokoi gościnnych we wschodnim skrzydle.

Daintry była bardzo ciekawa, czy Deverill już przyjechał. Jak się okazało, był pierwszą osobą, którą zobaczyła, kiedy dołączyły z lady Ophelią do innych gości w salonie na pierwszym piętrze. Sądząc po wyrazie twarzy Deverilla - i po tym, że natychmiast oderwał się od dżentelmena, z którym właśnie rozmawiał - musiał jej wypatrywać; Daintry poczuła, że zalewa ją ciepła fala zadowolenia, i powitała go uśmiechem.

- Obawiałem się już, że ta fatalna pogoda może panią zniechęcić - powiedział, a potem odwrócił się ze skruchą do lady Ophelii, jakby dopiero w tej chwili przypomniał sobie o dobrych manierach, i dodał: - Dobry wieczór pani. Mam nadzieję, że miała pani przyjemną podróż.

- Miałam - odparła lady Ophelia, a oczy jej błysnęły figlarnie - ale jeżeli w Kornwalii uznaje pan coś takiego za fatalną pogodę, młody człowieku, to był pan tu nieobecny dużo dłużej, niż sądziłam.

- Nie było mnie dobrych kilka lat - roześmiał się Deverill - ale proszę pozwolić, że na swoją obronę zaznaczę, iż znajdujemy się praktycznie w Devonie, gdzie, jak powiadają, pogoda bywa dużo bardziej umiarkowana.

Lady Ophelia uśmiechnęła się.

- Nieźle pan wybrnął, ale wciąż jeszcze jesteśmy w Kornwalii, gdzie dni słonecznych jest tak niewiele, że warto je podkreślać w pamiętniku. Przypuszczam, że na kontynencie bardziej pan przywykł do słońca niż my.

- Było tam niewątpliwie cieplej niż w Anglii - odpowiedział Deverill - ale oto nadciąga nasz gospodarz. Po obiedzie będą tańce, lady Daintry. Czy mogę mieć nadzieję, że mnie pani zaszczyci?

- Oczywiście, sir - odparła, zastanawiając się, co jej brat będzie miał do powiedzenia na ten temat; doszła do wniosku, że Charles, który z ogromną niechęcią podchodził do wszelkich sporów, słowem się nie odezwie, jak również nie wspomni o jej postępkach ojcu.

Deverill ukłonił się i zostawił je w chwili, gdy podszedł hrabia Mount Edgumbe. Ich gospodarz, pięćdziesięciolatek, do mistrzostwa doprowadził sztukę flirtu, jako że przed dwudziestu laty owdowiał. Teraz rolę pani domu grała jego kuzynka, lady Albinia Edgumbe, tak więc hrabia nie wahał się powitać lady Ophelii w taki sposób, jakby miał ochotę dodać jej imię do długiej listy swoich podbojów. Znali się już od lat i Daintry wiedziała, że chociaż cioteczna babka tak często wypowiada się z uprzedzeniem o płci silnej, cieszy się tymi spotkaniami równie, jak jego lordowska mość.

Również Daintry przypadła w udziale spora porcja mru-gnięć i komplementów.

Humor pogorszył się jej dopiero wówczas, gdy idąc do jadalni spotkała Davinę. Zwolniły obie trochę, by puścić lady Ophelię przodem, a wtedy bratowa odciągnęła ją na bok i ostro zapytała, co to ma znaczyć, że Daintry wprawia ca-łe towarzystwo w stan wielkiego podniecenia.

- Nie mam najbłedszego pojęcia, o czym ty mówisz - od-parła szczerze Daintry.

- Mówiły mi cztery osoby, łącznie z Sally, że zagięłaś pa-rol na Deverilla - ciągnęła dalej Davina gniewnym szeptem, maskowanym przylepionym do twarzy uśmiechem - tak więc nie udawaj niewiniątka. Pomyśl, w jakim humorze bę-dzie twój ojciec, kiedy wrócimy!

- Też coś - mruknęła Daintry. - Niczego się nie dowie, a nawet jakby się dowiedział, to chyba nie może oczekiwać, że będę dla Deverilla nieuprzejma. Dopiero coś takiego na-prawdę wywołałoby skandal!

- Uprzejma? Ty to nazywasz uprzejmością? Popędziłaś do niego natychmiast po przyjeździe, stałaś i rozmawiałaś z nim, trzepotałaś do niego rzęsami i rumieniłaś się, jakby był jedynym mężczyzną w całym salonie! Cieszę się tylko, że nie widziałam tego na własne oczy.

- A ja żałuję, że nie widziałam - odpaliła Daintry cierpko. - Było zupełnie inaczej, Davino. Ten ktoś, kto tak nieżycz-liwie naopowiadał ci tych wszystkich bzdur, przekroczył wszelkie granice przyzwoitości.

- No cóż, *to była* Sally, tak więc nie wątpię, że to ty mó-wisz prawdę - powiedziała Davina i cofnęła się o krok, bo mijała je właśnie następna grupa gości - ale to tylko dowo-dzi, Daintry, że najdrobniejszą nawet sprawę można roz-dmuchać do skandalu.

- Nie przystoi tak mówić ani tobie, ani lady Jersey - zwró-ciła jej surowo uwagę Daintry. - Czuję się zdumiona, że ktoś mógł jej nadać imię „Silence”, bo nie znam większej papli. Jej rodzina była źródłem więcej niż średniej liczby skandali; przecież to jej matka dała się porwać jej ojcu i jej szwagier-

ka uciekła do Szkocji, żeby rozwieść się z lordem Uxbridge i wyjść za Argylla; twoja droga Sally powinna raczej powstrzymać się od krytykowania innych. Może być wielką dziedziczką i gościem Almacka, ale nie jest osobą życzliwą.

Davina pospiesznie rozejrzała się dookoła.

- Miłosierne nieba, Daintry, żeby cię tylko nikt nie usłyszał! Wystarczy jedno złe słowo Sally, żeby cię beznadziejnie pogrążyć. Twój flirt z Deverillem tylko ją rozbawił, bo wszyscy wszystko wiedzą o waśni między waszymi rodzinami.

- No cóż, jeżeli wszyscy wiedzą o tej waśni wszystko, to chciałabym, by ktoś wyjaśnił mi, co legło u jej podstaw. Nawet ciocia Ophelia nie wie, jak się owa waśń zaczęła.

- Musimy iść do jadalni - powiedziała Davina. - Prawie wszyscy są już w środku. Powinien tu gdzieś być Charles, żeby nas wprowadzić. - Rozejrzała się w poszukiwaniu męża. - Dobry Boże, popatrz, Geoffrey, lady Catherine i na dodatek Susan. Nie wiedziałam, że się wybierali.

Daintry też o tym nie wiedziała, ale ponieważ pozostali goście już siedzieli, zajęła i ona swoje miejsce, potem skupiła się na młodym człowieku, który był jej sąsiadem przy stole.

Lady Ophelia siedziała naprzeciw niej, a Deverill po drugiej stronie, obok lady Jersey, która bezwstydnie z nim flirtowała. Jemu to wcale nie przeszkadzało. Daintry, której co chwila umykał wątek wesołej rozmowy, prowadzonej przez sąsiada, zauważyła to bez najmniejszych trudności. Odwróciła się znowu do młodego człowieka, który właśnie opisywał swojego dopiero co zakupionego konia, i zatrzepotała w jego kierunku rękami.

Młody człowiek się zakrztusił i dopiero poklepany energicznie po plecach przez stojącego za krzesłem lokaja, oznajmił:

- A niech to, już myślałem, że musiałem panią obrazić, milady, rozmawiając o koniach przy stole. Cieszę się, że tak się nie stało. Czy mogę prosić, by zaszczyciła mnie pani później tańcem? Może walcem?

Daintry, odrobinę spłoszona własną mimowolną zachętą do nie planowanego flirtu, zgodziła się z miejsca, a potem zerknęła znowu na Deverilla i ze smutkiem zobaczyła, że

ma rozbawioną minę. Zadarła brodę do góry i przeniosła wzrok na siedzącą nieco dalej siostrę.

Susan podniosła oczy znad talerza; Daintry, sądząc, że siostra patrzy na nią, uśmiechnęła się, ale ona wpatrywała się wprost przed siebie, wzrok miała utkwiony gdzieś w dal. Sir Geoffrey, siedzący nieco dalej, rozmawiał z lady Catherine, ale w tym nie było niczego nadzwyczajnego, małżeństwa rzadko na takich przyjęciach sadzano obok siebie. Charles w oburzający sposób flirtował z panną Haversham, którą Daintry poznała w Londynie, a Davina zabawiała się podobnie z jakimś fircykowatym dżentelmenem.

Po obiedzie panie przeszły z Albiną Edgcumbe do szkarłatnego salonu. W salonie było ciepło i wygodnie, na marmurowym kominku płonął wesoły ogień; Albinia Edgcumbe była miłą damą z pokolenia lady Ophelii, która wiedziała dokładnie, w jaki sposób wciągnąć swoich gości w zabawną rozmowę. Mimo to Daintry zauważyła, że nie tylko ona zerka często na drzwi w oczekiwaniu na panów.

- Nie miej takiej zniecierpliwionej miny, kochanie - szepnęła lady Ophelia pod osłoną ogólnego gwaru. - Sally patrzy w tę stronę i z pewnością źle zrozumie twój brak zainteresowania pogaduszkami.

Daintry doszła do wniosku, że cioteczna babka wie doskonale, iż wypatruje Deverilla, ochłonęła więc i powiedziała:

- Nie wiem, co takiego jest w tym człowieku, ale wiem, że działa na mnie tak, jak żaden inny dotychczas.

- Zauważyłam - rzekła lady Ophelia sucho. - Nie martw się jednak, bo przypuszczam, że tylko kusi cię jak każdy zakazany owoc, a więc zainteresowanie wkrótce minie.

Daintry poczuła się zaszokowana tą sugestią. Czy to możliwe, by tylko z takiego powodu Deverill aż tak silnie ją pociągał? Po pierwszej myśli przyszła druga, jeszcze mniej przyjemna.

- Czy dlatego zwraca on na mnie uwagę, ciociu Ophelio, że ja dla niego też jestem zakazanym owocem?

- Bardzo prawdopodobnie - brzmiała pogodna odpowiedź - chociaż z jego strony może to być po prostu przy-

zwyczajenie. Jak mi mówiono, przed ucieczką Bonapartego należał do sztabu samego lorda Hilla, a wiesz chyba, jakie krążą pogłoski o tamtych młodych ludziach.

- Wiem - szepnęła Daintry i jeszcze bardziej upadła na duchu.

W kwadrans później, kiedy panowie weszli do szkarłatnego salonu, była już całkiem opanowana. Goście udali się wkrótce potem na tańce i Daintry z chęcią przyjęła zaproszenie do otwierającego je kontredansa.

Widziała, że Deverill kieruje się w jej stronę, ale nie sądziła, by mógł oskarżyć ją o złamanie danego słowa, jako że obiecała tylko, iż pozwoli mu ze sobą zatańczyć, a nie przyrzekała żadnego konkretnego tańca.

Susan tańczyła z lordem Alvanleyem. Należał on do ulubieńców Daintry, która ucieszyła się, widząc go z Susan, ponieważ jego towarzystwo musiało podnieść siostrę na duchu.

Kiedy sir Geoffrey ujął dłoń Daintry, zapraszając ją do kotyliona, skorzystała z chwilowej przerwy w tańcu i zapytała go, czy coś jest może nie w porządku z jego żoną.

Geoffrey uśmiechnął się.

- Jest zmęczona, jak sądzę. Podróże zawsze ją wyczerpują, chociaż mieliśmy do przejechania tylko niewielką odległość, i to w dobrze resorowanym powozie.

- Czy lady Catherine ma zamiar na długo się u was zatrzymać? - zapytała Daintry bez ogródek. - Wydawało mi się, że miała zamiar pojechać do St. Ives, odwiedzić innych krewnych.

- Och, tak, na pewno to zrobi po Bożym Narodzeniu - odparł Geoffrey - ale Susan udało się przekonać ją, by przeciągnęła swój pobyt u nas. Moja biedna żoneczka wcale nie lubi być jedyną dorosłą kobietą w domu. Jestem pewien, że zrozumiesz jej uczucia.

Daintry wydawało się, że rozumie. Kiedy Geoffrey odprowadził ją z powrotem do lady Ophelii, zobaczyła, że Deverill stoi obok ciotki i chwilowo zapomniała całkowicie o Susan.

- Mój taniec, jak sądzę - powiedział, kiedy orkiestra zaczęła pierwszego walca.

- Czy tak, sir?
- Tak - potwierdził stanowczo i ujął jej dłoń.
- Czy nie powinien pan najpierw zapytać, czy wolno mi tańczyć walca, sir?
- Odniosłem wrażenie, że nie prosi pani o pozwolenie, jeżeli ma coś ochotę zrobić. Czyżbym się mylił?

Oczy Daintry zabłyśły wesołością.

- Oczywiście, że jestem sama w stanie podejmować decyzje, jeżeli to pan miał na myśli, sir.

- Nie to - odpowiedział, ale uśmiechnął się, ujął jej prawą dłoń lewą ręką, a prawą położył stanowczo na plecach i przyciągnął Daintry bliżej. Ten władczy uścisk uświadomił jej, jak bardzo Gideon musi być silny, i to nie tylko pod względem fizycznym. W reakcji na dotyk partnera po jej ciele rozpląnęło się miłe ciepło i po raz pierwszy zrozumiała, dlaczego tak wielu ludzi wyrażało silną dezaprobatę dla tego wciąż kontrowersyjnego tańca.

Zatoczyli z Deverillem krąg i wmieszali się między pary na parkiecie; Gideon powiedział półgłosem:

- Moim zdaniem, po prostu nikt pani jeszcze nie 'wziął krótko w cugle, ale ten dzień nie może być już daleko.

Daintry zmusiła się, by zignorować rozkoszne uczucie, jakie wzbudzało jego dotknięcie i zmysłowe ciepło głosu, spojrzała na niego zaczepnie, a przynajmniej taką miała nadzieję, i zapytała:

- Czy sądzi pan, sir, że tak łatwo dam się ujarzmić? Ostrzegam pana, że jeszcze nie spotkałam mężczyzny, którego woli miałabym ochotę się poddać.

- Jeszcze nie? - zapytał, niemal hipnotycznie patrząc jej w oczy. - Czy jest pani tego całkowicie pewna, milady?

Daintry przełknęła ślinę, nie była w stanie odwrócić oczu, dawała się bezwolnie prowadzić, nie zwracając uwagi na otoczenie.

Deverill roześmiał się cicho, a Daintry odsunęła się, słysząc satysfakcję w jego śmiechu. Czar prysł.

- Trzyma mnie pan za blisko, sir. To nie wypada i na pewno wywoła komentarze.

- Bardzo dobrze - powiedział, rozluźniając chwyt - ale nie uda się pani tak łatwo uciec od własnych uczuć, moja droga, bo trafiła kosa na kamień. W to może pani wierzyć, nawet gdyby nie wierzyła pani w nic innego.

Na tak zuchwałe stwierdzenie nie znalazła żadnej stosownej odpowiedzi i postanowiła, że udowodni mu, iż się mylił, ale w przyszłości. Dobrze mu to zrobi, jeżeli z nim przez jakiś czas poplirtuje wyłącznie dla zabawy, a potem da mu prztyczka w nos.

Kiedy odprowadził ją do boku lady Ophelii, podziękowała uprzejmie i odwróciła się natychmiast, szukając Susan, z którą nie miała okazji jeszcze porozmawiać. W końcu zauważyła ją w pobliżu; siostra rozmawiała z przyjaciółką, a Daintry pomyślała, że nadal wygląda na zmęczoną i przygnębioną. Przeprosiła cioteczną babkę i podeszła przyłączyć się do pań.

Tuląc do siebie siostrę, zaczęła tylko, aż przyjaciółka Susan odejdzie, a potem powiedziała:

- Jeszcze nawet nie miałam okazji się z tobą przywitać, a ty słówkiem nie pisnęłaś, że wybieracie się do Mount Edgumbe, ty gąsko.

Susan uśmiechnęła się.

- Sama dowiedziałam się o tym dopiero kilka dni temu. Geoffrey otrzymał zaproszenie w Brighton, i jak to mężczyzna, zapomniał mi o nim powiedzieć; dopiero Catherine przypadkiem o nim wspomniała. Ją też zaproszono, ale odmówiła, jako że spodziewała się, że będzie już w St. Ives. Jak tylko Geoffrey o tym usłyszał, uparł się, że musimy tu przyjechać. Możesz sobie wyobrazić moje zdumienie.

- Rzeczywiście, przecież tak rzadko zabiera cię na przyjęcia, ale nic dziwnego, że wyglądasz na zmęczoną. Powinnaś leżeć w łóżku.

- O Boże, czy aż tak fatalnie wyglądam?

- Aż tak.

Susan roześmiała się żałośnie.

- Tylko siostra potrafi być taką weredycką. Bardzo dobrze, jak tylko uda mi się wymknąć, nie zwracając niczyjej uwagi, zrobię to.

- Zrobisz to od razu, kochanie, i nikt się nie zorientuje, bo wyjdę z tobą. Czy uważasz, że powinniśmy powiedzieć o tym Geoffreyowi? - dodała i spojrzała w kierunku parkietu, gdzie sir Geoffrey tańczył z jakąś panienką o błyszczących oczach, ubraną w oszałamiającą różową suknię.

Spojrzenie Susan pobiegło za jej wzrokiem; potrząsnęła głową.

- Och, nie, pewnie nie zauważy, jeżeli teraz wyjdę. W końcu nie pilnujemy się bez przerwy z Geoffreyem, a on dużo lepiej się bawi na takich przyjęciach niż ja.

- A mnie się zdawało, że to właśnie jego one nie cieszą. Przecież to ty kiedyś tak bardzo lubiłaś się bawić.

Susan nawet uśmiech miała zmęczony.

- Może i tak było w dawnych czasach. Zapewne to oznacza, że zaczynam się starzeć.

- Na miłość boską, nie opowiadaj bzdur.

- Przestań mnie besztać - powiedziała Susan. - Mówisz całkiem jak Davina.

- Jeżeli Davina cię beszta, to powiedz jej, żeby się zajęła swoimi sprawami i nie wtrącała w twoje. Nie jest twoją siostrą, tylko szwagierką.

- Wychodzi na jedno, ponieważ obydwie macie zwyczaj mówić mi, co powinnam, a czego nie powinnam robić. Nikt w najmniejszym stopniu nie bierze pod uwagę moich uczuć, Daintry. Czy nikt nigdy nie zastanawia się, czego ja mogę chcieć?

Słyszając nutę hysterii w głosie siostry, Daintry już w progu sypialni Susan stwierdziła spokojnie:

- Wiem, że potrafisz sobie ze wszystkim poradzić. Przecież jesteś moją wielką siostrą, osobą, którą tak często sama proszę o rady.

- Wcale nie jestem - odparła Susan, ale w jej oczach pojawiły się już iskierki wesołości. - Prosisz oczywiście o radę ciocię Ophelię i tak postępowałaś, od kiedy wyszłam za mąż. Nieczęsto nawet przyjeżdżasz mnie odwiedzić.

- Wiesz bardzo dobrze, że papa zabronił mi często cię odwiedzać po tym, jak Geoffrey zażartował, że płacę się wam ciągle pod nogami. Oczywiście to było dawno, ale potem ja-

koś wszyscy się odzwyczailiśmy. Ale teraz, kiedy Charley i Melissa tak się zaprzyjaźniły, pewnie będziesz nas częściej widywała. - Widząc, że pokojówka Susan czeka na nią, dodała: - Możesz odejść, Rosemary. Sama zajmę się łady Susan.

Kiedy za dziewczyną zamknęły się drzwi, Susan westchnęła:

- Widzisz sama, nawet nie zapytała, czy pozwolę jej odejść.

- Nie bądź niemądra, kochanie. Możesz być pewna, że będzie pilnie słuchać, czy nie zadzwonisz, i migiem wróci, jeżeli ci będzie potrzebna. A jest?

- Nie, ale chciałabym... Och, nie zwracaj na mnie uwagi. Jestem...

- Jesteś wyczerpana - wpadła jej w słowo Daintry i zaczęła rozpinać rząd guziczków na plecach Susan. Kiedy suknia się rozchyliła, zobaczyła nad koronkowym wykończeniem halki ciemny ślad sińca. Zaskoczona zapytała:

- A cożeś ty sobie tu zrobiła?

Susan roześmiała się.

- To tylko moja zwykła niezdarność, potykam się przecież o własne stopy. Nie przypominam sobie dokładnie, ale jeżeli chodzi o ten siniak na ramieniu, to chyba, cofając się, wpadłam w domu na kredens. Tak czy owak to bez znaczenia. Mogę się teraz już sama rozebrać, jeżeli porozpinałaś te wszystkie okropne guziki.

- Masz tam w miednicy ciepłą wodę i świeży ręcznik, a koszula nocna leży przygotowana na łóżku. - Daintry nic więcej nie mówiła, dopóki nie otuliła siostry kołdrą. Kiedy Susan już się ułożyła, przystawiła sobie do łóżka krzesło i zapytała: - Słuchaj, czy dzieje się coś złego? Naprawdę dziś wieczorem byłaś jakaś nieswoja.

- Nie, oczywiście, nic się nie dzieje... - Susan urwała, kiedy drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł sir Geoffrey; w miejsce niezadowolenia na jego przystojnej twarzy pojawił się wyraz niepokoju.

- A więc tu jesteś, kochana! Odwróciłem się na moment, a kiedy się znów obejrzałem, rozpłynęłaś się w powietrzu. - Uśmiechnął się szeroko do Daintry i powiedział: - Czy to

ty uprowadziłaś moją żonę, śliczna szwagierko, i osobiście zaniostaś ją do łóżka?

- W pewnym sensie ją uprowadziłam.

Susan natychmiast usiadła i objęła męża, gdy tylko usiadł, a on tulił ją, nie przestając się uśmiechać do Daintry.

- Oddałaś jej doskonałą przysługę. Ona jest tak bardzo wyczerpana. - Odgarnął Susan włosy z twarzy, ucałował łagodnie jej wargi i zauważył: - Nie zaplotłaś sobie warkocza, słoneczko. Będziesz miała rano całkiem splecione włosy.

- Zajęłam krzesło przed toaletki, Geoffreya, a tak czy owak włosy Susan nigdy się bardzo nie plątały. Rosemary zajmie się tym rano.

- Ach, ale lepiej będzie się tym zająć teraz - powiedział - a tak się składa, że w posługiwaniu się szczotką jestem ekspertem. Podaj mi tę szczotkę z toaletki, zanim wyjdiesz, dobrze?

Daintry pogodziła się z tym, że ją odprawiono, i zastosowała się do polecenia. Kiedy podawała mu oprawną w srebro szczotkę, uśmiechnęła się do Susan, która miała na twarzy wypieki i unikała jej spojrzenia.

- Bardzo dobrze, potrafię zrozumieć aluzję. Do zobaczenia rano, Susan.

- Późnym rankiem - dodał sir Geoffrey.

Daintry zostawiła ich, a kiedy zobaczyła Susan następnego dnia, od razu zorientowała się, jak bardzo zmienił się nastrój siostry. Ruchy miała energiczne, rozmawiała z żywieniem. Najwyraźniej Geoffrey miewał niekiedy jakieś dobre strony, pomyślała Daintry.

Pogoda nie poprawiła się. Deszcz chłostał miarowo zielone ogrody Mount Edgcombe, tak więc z konieczności rozrywki ograniczały się do wnętrza domu, ale nikt nie narzekał na ich brak. W ciągu dnia należało nauczyć się ról do amatorskiego przedstawienia; grano też w niezliczone gry. Były pokoje przeznaczone na korespondencję, czytanie, karty albo po prostu rozmowy, a wieczory skrzyły się przedstawieniami, popisami muzycznymi i tańcami.

Podczas tych wszystkich gier i zabaw Daintry często widywała się z Deverillem. Wkrótce stało się już jasne, że -'

jak przystało na uzdolnionego wojskowego - uznał ją za coś w rodzaju kolejnego celu militarnego, który należy zdobyć. Daintry natomiast zmuszała się, by zwracać na jego uwagę jak najmniej uwagi.

Tak więc kiedy prosił ją do tańca, bacznie przeglądała swój karnet, jakby chciała się upewnić, czy dysponuje jeszcze wolnym tańcem. Gdy zaproponował spacer po długiej galerii, by obejrzeć wiszące tam portrety, odmówiła, tłumacząc, że taki spacer za bardzo rzucałby się innym gościom w oczy. Ale piątego ranka słońce pokazało się wreszcie zza chmur, Daintry obudziła się wcześniej, weszła do pokoju śniadaniowego, zastała tam tylko Deverilla i serce jej skoczyło z radości na jego widok.

- Wiedziałem, że pani przyjdzie - powiedział.

- Jak długo już pan czeka? - zapytała.

Deverill ostentacyjnie popatrzył na zegarek.

- Dwie godziny.

- Niemożliwe!

- No dobrze, może godzinę, ale byłem pewien, że zejdzie pani na dół. Poleciłem dla nas obojga osiodłać konie.

- Sama już kazałam dla siebie przygotować konia, dziękuję panu.

- Czy sądzi pani, że na jej polecenie dadzą równie dobrego wierzchowca, jak na moje? - zapytał leniwie.

Daintry знаła odpowiedź na to pytanie. Służba lorda Mount Edgcombe'a nie znała jej za dobrze i na pewno przygotowuje dla niej jakiegoś potulnego i łagodnego rumaka, ale jeżeli Deverill zażądał bardziej ognistego wierzchowca, dostanie go. No i jeżeli pojedzie z nim, to nie będzie musiała dostosowywać tempa do stajennego ani martwić się, czy stajenny nie doniesie, że jeździ zbyt śmiało jak na niewiastę, co się już zdarzało.

Prawda była taka, że wstała wcześniej w nadziei, iż będzie sobie mogła pojeździć galopem, a nie musiała człapać powoli w towarzystwie innych dam. Tak więc na myśl o jeździe z Deverillem zapomniała o wyniosłym zachowaniu, uśmiechnęła się do niego serdecznie i powiedziała:

- Nie będę udawała, że nie jestem panu wdzięczna, sir, bo czuję się panu bardzo zobowiązana.

- Wspaniale - odparł. - Taki właśnie miałem zamiar, by poczuła się pani bardzo zobowiązana.

10

Słońce połyskiwało na jaskrawoniebieskich wodach cieśniny Plymouth, kiedy jechali wzdłuż urwiska W kierunku przylądka, a powietrze nad kanałem było tak przejrzyste, że nie tylko widzieli latarnię Eddystone, ale i dalekie, widmowe zarysy linii brzegowej Francji. Delikatny wiatr nawiewał Daintry kosmyki włosów na twarz, a ciepło słońca pieściło jej skórę. Wysoko nad ich głowami strzępki białych chmur płynęły z wiatrem, przypominając białe, rnuślinowe sukienki, które zerwały się ze sznurów.

Żółte kwiaty janowca wyglądały wesoło przez gęstwą poszarzałych paproci i wrzosów, pokrywających zbocza urwiska, w dali po prawej ogrody Mount Edgcumbe ustępowały miejsca zagajnikom, melodyjny śpiew ptaków nie ustawał, a od czasu do czasu towarzyszyło mu zgrzytliwe granie świerszczy, które oszukane ciepłem słońca sądziły, że to wiosna.

Daintry popatrzyła na swego towarzysza. Zadowolony się chyba jazdą w milczeniu, a ona zastanawiała się, co w nim jest takiego, że koniecznie pragnie powiedzieć coś dowcipnego i zrobić na nim wrażenie. Ta pokusa była dla niej czymś nowym.

Popatrzył na nią i uśmiechnął się, a ją znowu zdumiała serdeczność tego uśmiechu i to, jak na jego widok całe jej ciało wydawało się płonać.

- Pensa za pani myśli - odezwał się niespodziewanie.

- Moje myśli są warte dużo więcej, sir, ale skoro już musi pan wiedzieć, to zastanawiałam się, jakie byłoby życie, gdyby każdy mówił dokładnie to, co myśli, nie troszcząc się o konsekwencje.

Deverill roześmiał się.

- Można tak robić i teraz, jeżeli konsekwencje naprawdę człowieka nie obchodzą.

Daintry zmarszczyła noseć i odparła:

- Wie pan dobrze, że nie o to mi chodziło. Sądzę tylko, że miło byłoby móc wypowiadać własne zdanie i wiedzieć, że nikt się z niego nie będzie wyśmiewał ani nie odrzuci go jako czegoś bez znaczenia.

Po dłuższej chwili milczenia Deverill powiedział:

- Przypuszczam, że coś takiego często się zdarza, ale też nie przypuszczam, by przez wzgląd na te obawy miała pani zamilknąć. Mówi pani dokładnie to, co chce powiedzieć, i wtedy, kiedy chce to powiedzieć. Mam wrażenie, że słowa wypadają z pani umysłu przez usta, nie zatrzymując się ani na moment po drodze dla zastanowienia.

Daintry nie była pewna, czy właśnie ją obraził, czy też powiedział jej komplement.

- Wychowano mnie w przekonaniu, że zwykle mogę mówić, co mi się podoba - zauważyła - ale to w żadnym wypadku nie to samo, co świadomość, że moje słowa obdarzane są szacunkiem. Kiedy mówię do ojca albo do mojego brata czy do Geoffreya, przeważnie proszą mnie oni, bym powtórzyła wypowiedź, a to z tego prostego powodu, że nie chciało im się słuchać za pierwszym razem. Czy potrafi pan sobie wyobrazić, jak bardzo jest to denerwujące?

Deverill potrząsnął głową.

- Nie, chyba nie potrafię, ponieważ rzadko się zdarza, by ktoś prosił, żebym powtórzył wypowiedź.

Daintry z wigorem pokiwała głową.

- Dokładnie o to mi chodzi. Kiedy pan się odezwie, ludzie słuchają, ponieważ konsekwencje niesłuchania mogą się okazać bardzo niemiłe. A jeżeli mój ojciec nie zechce zwracać uwagi na moje słowa, czy konsekwencje mogą być niemiłe?

Deverill roześmiał się.

- To wcale nie jest śmieszne!

- Nie, chyba nie jest, ale przypuszczam, że wyolbrzymia pani problem, a pewien jestem, że skarży się pani niewłaści-

wej osobie. Nie wydaje mi się, bym choć raz prosił, żeby pani coś powtórzyła.

Daintry uświadomiła sobie, że Deverill ma rację, a co więcej, że rozmowa przybrała taki obrót, ponieważ na początku nie chciała powiedzieć mu szczerze, o czym myśli. Postanowiła, że mądrzej będzie zmienić temat.

- Ma pan absolutną rację. Czy udało się panu dowiedzieć czegoś więcej o tej okropnej waśni? - spytała nieoczekiwanie.

Deverill zareagował tak, jakby nagłe przeskoki z tematu na temat nie były dla niego niczym nowym.

- Nie, choć nie z braku chęci. Nie tylko zacząłem przeszukiwać nasze rodzinne papiery, ale prosiłem również ojca o informację; on jednak odprawił mnie z kwitkiem. Na dodatek dał mi do zrozumienia, że naleganie na odpowiedź poważnie go zirytuje, a jest to coś, czego staram się nigdy nie robić.

- Dobry Boże, czyżby pan się lękał ojca, sir? W życiu bym się nie domyśliła.

Deverill roześmiał się znowu.

- Nie, pani. Po prostu dbam o to, by go nie irytować.

- Ale to jest ważne. Nic nam się w sprawie tego rozłamu nie uda zrobić, jeżeli nie dowiemy się, co złego stało się na samym początku.

- Czy chce pani załagodzić ten rozłam? - zapytał łagodnie.

- Wie pan, że chcę. - Widząc znowu ten serdeczny wyraz w jego oczach, dodała pospiesznie: - Okropnie to niezręczne, kiedy człowiek poróżniony jest z najbliższymi sąsiadami, a nie widzę przyczyny, by kontynuować waśń, której powodu nikt nie zna. To po prostu niemądre, sir.

Deverill z namysłem pokiwał głową.

- Zgadzam się, że na to wygląda, ale oczywiście nie możemy być pewni, czy nasi ojcowie nie znają szczegółów, które wyjaśniłyby sprawę dokładnie. Może po prostu nie życzą sobie o tym mówić. Czy pytała pani St. Merry na?

- Oczywiście, że tak, ale nie chciał mi nic powiedzieć. A moja ciocia Ophelia, która znała i mojego dziadka, i pana dziadka, upiera się, że nie ma pojęcia, co mogło być przyczyną tego rozdzwieku.

- Znała ich obydwóch dobrze?

- Na tyle dobrze, że obydwaj jej się oświadczyli.

- A czy ona prowadzi pamiętnik? Chyba przypominam sobie, że wspomniała o nim, kiedy kilka dni temu rozmawialiśmy o pogodzie.

- Tak, prowadzi pamiętnik.

- A więc może pozwoliłaby, by pani go przeczytała, albo może poświęciłaby trochę czasu, by go sobie samej przypomnieć - zaproponował.

- Ale czemu miałyby to służyć?

- Wydaje mi się to oczywiste - powiedział Deverill. - Jeżeli coś wydarzyło się między nimi, a ona ich obydwóch znała, z pewnością musiała to w tamtym czasie odnotować w pamiętniku.

- Ale powiedziała, że nic na ten temat nie wie.

- To było dawno - tłumaczył Deverill cierpliwie. - Jest już starszą panią. Mogła zapomnieć.

Daintry wybuchnęła śmiechem, a potem rzekła skruszona:

- Ogromnie pana przepraszam. Bardzo to było nie w porządku, że się roześmiałam, ale chociaż miał pan przyjemność poznać moją cioteczną babkę, wcale jej pan jeszcze nie zna, jeżeli dopuszcza pan myśl, że o czymś takim, albo w ogóle o czymkolwiek, mogła zapomnieć. Ma znakomitą pamięć, sir.

- Rozumiem. - Jechał przez moment z nieodgadzionym wyrazem twarzy, potem wykonał taki ruch, jakby się z czegoś otrząsał, i w końcu zauważył: - Wydaje mi się, że znajomość z panią będzie na mnie miała zbawienny wpływ. Przypominam sobie teraz, że kiedyś dokładnie wiedziałem, jakie to uczucie, kiedy czyjeś zdanie z góry odrzucane jest jako nieistotne. Zarówno mój ojciec, jak i mój brat, Jack, mieli w zwyczaju ucinać w zarodku moje roszczenia.

- Wiem, że nie powinno się źle mówić o zmarłych, sir, ale pana brat nie robił wrażenia bardzo życzliwego człowieka - rzekła Daintry.

Deverill uśmiechnął się.

- Nie, określenia „życzliwy” nie dało się zastosować do Jacka. Był myśliwym, świetnie jeździł konno i uważał siebie

za kogoś fantastycznego, zwłaszcza po tym, jak ojciec odziedziczył tytuł. Jack nie mógł doczekać się, kiedy zostanie markizem Jervaulx. Nigdy nie sądziłem, że przyjdzie mi zająć jego miejsce, i wcale nie jestem pewien, czy mi się to podoba. Czuję się tak, jakbym stał się kimś zupełnie innym. - Wyprostował się w siodle i rzucił nieoczekiwanie: - Mamy przed sobą prosty kawałek drogi. Puścimy konie galopem?

Galop był upajający, ale wkrótce dojechali do lasów, na skraju nagich i poszarpanych przez wichry od morza, a w głębi pełnych jesionów, czarnego bzu, jaworów i tarniny. Kiedy znaleźli się pod pierwszymi gałęziami, Daintry ściągnęła wodze gniaszosa, a siwek zwolnił sam. W głębi lasu, gdzie powietrze było chłodniejsze, choć jeszcze nie zimne, ścieżka miała taką szerokość, że mogli jechać pierś w pierś. Pozwolili koniom cwałować, dopóki nie dotarli do strumienia, gdzie zwolnili do stępa.

Daintry właśnie miała skierować konia do wody, kiedy zauważyła dwa łąbędzie, popisujące się na pobliskim, oświetlonym słońcem jeziorzku, i ściągnęła cugle, żeby im się przyrzeć. Ptaki wyglądały cudownie, niczym para zmysłowych tancerzy, i Daintry przypatrywała im się oczarowana, niemal nie zauważywszy, że siwek Deverilla przystanął tuż obok.

Taniec trwał, łąbędzie to droczyły się ze sobą, to poruszały się razem. Po kilku minutach zaczęły gładzić się nawzajem dziobami i głowami po bokach, poruszały się przy tym coraz szybciej, wreszcie się zetknęły. Potem samiec, zanurzwszy głowę pod wodę, zaborczo położył długą szyję na szyi samicy. I zaraz potem pokrył ją, a kiedy było po wszystkim, obydwaj ptaki uniosły się na wodzie, jakby stały w niej przodem do siebie, i ocierały się z czułością głowami.

- Ciekawe, że tyle okazują sobie zainteresowania, kiedy skończą się parzyć - szepnęła Daintry. - Bardzo wiele ptaków rozstaje się potem natychmiast, po prostu odlatują.

- Wielu ludzi postępuje podobnie - powiedział Deverill dziwnie napiętym głosem.

Zerknęła na niego i zobaczyła, że nie patrzy na łąbędzie.

Przypatrywał się jej, a na jego spojrzenie spłonęła rumieńcem. Nie mogła odwrócić wzroku.

- Łabędzie - zauważyła nieswoim głosem - łączą się na całe życie.

- Naprawdę? - Wciąż się jej przypatrywał, a wyraz twarzy miał taki, że niezwykle mocno świadoma była jego bliskości. W lesie panowała cisza.

- Tak. - Oblizała nagle wyschłe wargi. - Tak, tak robią.

Stajenny za ich plecami zakaszłał, przypominając im o swojej obecności, i Deverill powiedział:

- Chociaż to jezioro wygląda na takie słoneczne i ciepłe, wiosna już minęła. Co one sobie myślą, żeby się parzyć w połowie października?

Daintry oprzytomniała, choć z większymi chyba nieco niż on kłopotami, i wyjaśniła:

- Ciocia Ophelia nazywa to zachowaniem wiążącym, odnawianiem wzajemnej lojalności. W Tuscombe Park mamy na rzece wiele łabędzi; widzi pan, one się pierzą w lipcu, sierpniu i wrześniu, więc w październiku...

- Rozumiem - wtrącił pospiesznie, obrócił głowę siwka i popędził go do strumienia. - Pani naprawdę jest zdumiewającą kobietą.

- Nonsens, jestem zupełnie zwyczajna.

Oczy Deverilla zabłyśły.

- Gdyby zupełnie zwyczajna dziewczyna była świadkiem takiej sceny, to najpierw spiekłaby raka, a potem cała by się rozdygotała i bez wątpienia zaczęła paplać coś bez sensu.

- Och. - Daintry zastanowiła się. - Przypuszczam, że ma pan rację, ale ciocia Ophelia zawsze mówiła, że takie pruderyjne zachowanie jest absurdalnie drażliwe i że to sztuczna skromność.

- Dokładnie tak - zgodził się z nią. - Czy pani nie ma w ogóle poczucia przyzwoitości, panno Daintry?

- Ależ oczywiście, że mam. Tyle że nie uważam, by niewłaściwe było przyglądanie się czemuś, co leży w naturze rzeczy. Deverill roześmiał się.

- Mam ogromną ochotę wystawić pani przekonania na

próbę. Jestem przeświadczony, że chociaż czynność, o którą mi chodzi, leży w naturze rzeczy, nie objęłaby jej pani swoją deklaracją.

Daintry wiedziała, że się czerwieni, ale udało jej się spojrzeć Deverillowi prosto w oczy i powiedzieć spokojnie:

- Kiedy był pan w sztabie lorda Hilla, bez wątpienia uwodzenie traktował pan niby wesołą zabawę równie naturalną jak oddychanie, sir, a na kobiety, które pan w owym czasie znał, patrzył pan wyłącznie jak na łowną zwierzynę. Mnie jednak nie tak łatwo upolować. Niech pan będzie tak dobry i zapamięta to, Deverill.

Ku jej irytacji Deverill roześmiał się i odparł:

- Używa pani słów z niemal równie wielką biegłością, jak kieruje pani koniem, moja droga. Dawno czegoś takiego nie widziałem. Wspaniale trzyma się pani na koniu...

- Jeżeli doda pan „jak na kobietę”, to pana uderzę.

- Obawiam się, że to właśnie miałem zamiar powiedzieć.

- A jeżeli na dodatek pan sądzi, że siodło damskie choć odrobinę ułatwia jazdę...

- Nie sądzę. Dobry Boże, prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, jak wam, kobietom, udaje się utrzymać na czymś takim, a kiedy przypatrywałem się, jak dziewczynki przesaka kiwały przez furtki, ogarniał mnie podziw. Wątpię, czy mnie udałoby się dokonać czegoś takiego, choć przez większość ludzi uważany jestem za mistrza siodła.

- Z łatwością udałoby się panu. To tylko sprawa utrzymania równowagi, niczego więcej.

- Och, z pewnością. Mówiła pani, iż dziewczynki uczyły się jeździć, nie trzymając nawet wodzy i nie wkładając stopy w strzemień. Było tam też coś o chusteczkach do nosa i kawałkach papieru. Myślałem, że całkiem pani zwariowała.

- Wcale nie. W ten sposób je szkoliłam. Charley potrafi jeździć, siedząc na chusteczce, i nigdy jej nie zgubi, a Melissa niemal dorównuje jej zręcznością. Pana też potrafiłabym nauczyć, gdyby naprawdę pan chciał - dodała zaczepnie.

- Dostyc już tego będzie, mała kocico.

- Tchórz! Wyzywam pana! - dodała prowokująco.

Wargi Deverilla drgnęły, jakby powstrzymywał się od śmiechu.

- Nie wierzę, żeby mi się udało. Proszę się przyznać, ma pani po prostu nadzieję, że wyjdę na głupca.

- Wręcz przeciwnie, jestem absolutnie pewna, że się panu powiedzie, ale jestem też przekonana, że nauczy to pana większego szacunku dla kobiet, które dobrze jeżdżą, zwłaszcza dla tych z nas, które polują.

Deverill wyglądał na zaintrygowanego.

- Czy mam jechać na pani koniu, czy spróbujemy założyć to siodło mojemu?

- Pojedzie pan na moim - odparła zaskoczona, ale zadowolona. - W ten sposób nie będzie pan mógł zwalić winy na konia, jeżeli się panu nie uda.

- Źle mnie pani osądza - powiedział, zsiadając. - Nigdy nie posłużyłbym się tak nędznym wykrętem, żeby usprawiedliwić własne niepowodzenie.

Czekała rozchichotana, aż Deverill rzuci wodze zdziwionemu stajennemu, potem pozwoliła mu zsiść na ziemię. Dotyk jego dłoni nieco ją rozpraszał, jeszcze bardziej rozpraszała jego bliskość, ale potrafiła zignorować jedno i drugie. Kiedy podszedł do wałacha, rzuciła szybko:

- Zanim pan wsiądzie, powinien pan się pewnych rzeczy dowiedzieć.

- Cierpliwości, moja droga. Zamierzam tylko przedłużyć pułsisko, jako że mam dłuższe nogi. Za dużo tu tego wszystkiego na siodle - dodał przyglądając mu się z ukosa - ta kula i w ogóle...

- Przyzwyczaj się pan i będzie się cieszył, że jest większe. Czy jest pan gotów?

Deverill obejrzał się na stajennego.

- Jedno słowo piśniesz, człowieku, na ten temat do kogośkolwiek, to dopilnuję, żeby cię wyrzucili bez referencji.

: Stajenny szeroko się uśmiechnął.

- Czy trzeba pana podsadzić, milordzie?

- Nie trzeba. Słucham instrukcji, szlachetna nauczycielko.

- Bardzo dobrze. Wsiada się zupełnie zwyczajnie, tyle że

zamiast zaczynać z lewą dłonią na łęku, tak jak pan się przyzwyczaił, musi pan położyć tam prawą dłoń. Wodze i szpicrutę trzeba też trzymać w prawej ręce - dodała.

Wiedziała, że umiejętności Deverilla są wielkie, zdumiona jednak była, z jaką łatwością poradził sobie z damskim siodłem i jak szybko uzyskał odpowiedni balans ciała. Musiała mu tylko podpowiedzieć, że powinien wciskać mocno lewe kolano w zagłębienie pomiędzy łękiem a tybinką, a udo i łydkę trzymać blisko siodła i puśliska.

- Nie jest to takie łatwe, jak mi się wydawało - powiedział, krzywiąc się.

- Po sprawiedliwości, to powinien pan mieć na sobie spódnicę.

- Chyba nie, dziękuję. Jak wy, na Boga, jeździecie jedną połową ciała zwrócone w bok, a drugą połową do przodu?

- Naprawdę, nie odbiega to tak bardzo od sposobu, w jaki jeżdżą mężczyźni. Za bardzo przejmuję się pan tym, że ma pan obydwie nogi po jednej stronie. Po prostu trzeba tak się usadowić, by ciężar był równo rozłożony. Dokładnie tak - dodała, kiedy się odrobinę poprawił.

Daintry wydawało się, że upłynęło tylko kilka chwil, a on już wyglądał tak, jakby jeździł w damskim siodle przez całe życie. Najpierw jechał na wałachu stępa w kółeczko, potem przyspieszył do kłusa i niemalże wypadł z siodła, zanim nauczył się anglezować z prawej nogi, ale wkrótce radził już sobie bez problemów. Uśmiechnął się do Daintry szeroko.

Okrzyk dobiegający od strony lasów zaskoczył ich oboje; tak byli pochłonięci nauką, że natręci podjechali do nich niezauważeni. Daintry odwróciła się i zdusiła okrzyk konsternacji, kiedy poznała szwagra i Susan, lady Catherine, lorda i lady Jersey, lorda Alvanleya i swojego brata Charlesa. Rzuciła okiem na Deverilla i zobaczyła, że nadal się do niej uśmiecha.

Seacourt, który podjechał do nich pierwszy i z rozmachem ściągnął wodze, wykrzyknął:

- Co ty, u diabła, robisz tutaj, droga Daintry?

- Wybraliśmy się na przejażdżkę, Geoffreju, i Deverill

postanowił się przekonać, jak to jest, kiedy się jeździ w damskim siodle, to wszystko.

- Nie powinnaś tu być z nim sam na sam - powiedział Seacourt, przypatrując się jej z dezaprobatą. - Twój ojciec będzie mocno niezadowolony, kiedy się o tym dowie, czyż nie, Charlesie?

- Będzie - mruknął z nieszczęśliwą miną Charles, nie patrząc na Daintry.

- Pod warunkiem, że ktoś okaże się na tyle podły, by mu o tym donieść - odcięła się Daintry. - I wcale nie jestem z nim sama. Stajenny był z nami przez całutki czas.

Lady Jersey, spoglądając to na jedno z nich, to na drugie, wtrąciła:

- Dobry Boże, nie sądzę, by ktoś miał plotkować. Ale niech pan mi, proszę, powie, Deverill, dlaczego jedzie pan na koniu Daintry? Z uprzejmości będę udawała, że nie widzę damskiego siodła.

Seacourt wybuchnął śmiechem.

- No, ja z pewnością taki uprzejmy nie będę, ta historia jest tak świetna, że szkoda byłoby jej nie powtarzać. Co za osioł z ciebie, Deverill; nie dość że postawiłeś się w tak absurdalnej sytuacji, to jeszcze dałeś się nakryć.

W oczach Deverilla pojawił się groźny błysk, który Daintry już poznawała.

- Absurdalne, nieprawdaż? A czy ty kiedyś próbowałeś jeździć w damskim siodle, Seacourt?

- Nie bądź głupi. Oczywiście, że nigdy czegoś tak absurdalnego nie robiłem.

- No więc nie spiesz się z krytyką. Założę się z tobą o co chcesz, że nie uda ci się na nim utrzymać.

- Dobry Boże, jeżeli potrafi się na nim utrzymać kobieta, to chyba oczywiste, że ja się również utrzymam!

- No więc jak, Seacourt? - spytał Deverill. - Założę się o pięćset funtów, że gdybyś chciał dwa razy objechać na tym koniu pole dookoła, to albo stracisz nad nim kontrolę, albo spadniesz.

Reszta obecnych zaczęła naciskać na sir Geoffreya, żeby

pozbawił Deverilla pięciuset funtów, a on, poczerwieniawszy, powiedział:

- Bardzo dobrze, przypuszczam, że muszę wam pokazać, jakie to łatwe. Dobry Boże, przecież moja mała córka na czymś takim jeździ. Jakże by to mogło być trudne?

Deverill zeskoczył i podał mu wodze. Kiedy Daintry przysunęła się, by powiedzieć sir Geoffreyowi, co powinien robić, Deverill szepnął:

- On wszystko wie na ten temat, moja droga. Żadna pomoc nie jest mu potrzebna.

Seacourt, który go usłyszał, rzucił mu pogardliwe spojrzenie.

- Co, żeby mnie niewiasta miała pouczać? Oczywiście, że niczego takiego nie potrzebuję. Odsuń się, Daintry - dodał i dźwignął się na siodło. Udało mu się ruszyć stępa, potem przyspieszyć do kłusa. Kiedy uderzył konia szpicrutą, Daintry zawołała do niego, żeby używał tylko wodzy, ale już było za późno. Wałach stanął dęba, a Seacourt, który z trudem utrzymywał równowagę, poleciał do tyłu i z łomotem wylądował na piaszczystej trawie z taką siłą, że niemal mu dech zaparło.

Stajenny skoczył mu na pomoc, ale sir Geoffrey, który nie wypuścił wodzy i szybko doszedł do siebie, chwycił szpicrutę i ruszył zdecydowanie w stronę wałacha.

Na drodze stanął mu Deverill.

- Nie sędzę - powiedział spokojnie. - Zwierzę nie ponosi żadnej winy za to, że spadłeś.

Seacourt popatrzył na niego ze złością, ale nie sprzeczał się. Wcisnął mu wodze w dłoń i warknął:

- Nie mam teraz przy sobie pieniędzy. Będziesz musiał poczekać. - Potem wielkimi krokami wrócił do własnego konia, wyszarpnął wodze Alvanleyowi, wsiadł i odjechał galopem, nie czekając na resztę towarzystwa.

Patrząc, jak przeskakuje przez furtkę w żywopłocie otaczającym następne pole, lady Jersey potrząsnęła głową.

- O mój Boże, panowie są tacy drażliwi. Susan, Kochanie, musisz pojechać za nim i ukoić jego urażone uczucia. Delikatne, pocieszające dotknięcie kobiecej dłoni potrafi

cuda wyczyniać z bestią. Zapytaj tylko Jersey, czy nie jest to prawda. - Uśmiechnęła się szelmowsko do męża, a potem zawołała: - Chodźcie wszyscy! Powiemy Seacourtowi, że Deverill całkowicie się mylił. Ten koń to skończony brutal. - Jeszcze raz się dźwięcznie roześmiała i ruszyła za Seacourtem, a mąż poszedł w jej ślady.

Susan z dezaprobatą spojrzała z konia na Daintry i powiedziała:

- Jak mogłaś mu pozwolić, żeby zrobił coś takiego Geofreyowi? Bardzo jestem z ciebie niezadowolona. - I z tymi słowami pojechała za resztą towarzystwa.

Daintry odwróciła się do lady Catherine, która od upadku Geoffreya słowem się nie odezwała.

- Czy pani również się na mnie gniewa?

- Dobrze nieba, nie. Dlaczego miałabym się gniewać? Geoffrey oczywiście będzie teraz rozdrażniony, ale jest tu wielu innych panów, w którymi można rozmawiać, a nawet tańczyć. Co jak co, ale humory Geoffreya mnie nie obchodzą. Charlesie, Alvanleyu, czy przyłączymy się do reszty towarzystwa, czy też zostaniemy tutaj i będziemy grali rolę przyzwoitek dla tej dwójki?

Alvanley wymienił spojrzenia z Deverillem i powiedział:

- Myślę, lady Catherine, że ruszymy stąd.

- Ty też jedź - polecił Deverill stajennemu. - Lady Daintry i ja niedługo pójdziemy za waszym przykładem, a ponieważ dom widać stąd jak na dłoni, mogę cię chyba zapewnić, iż w żaden sposób jej nie skrzywdzę.

Stajenny popatrzył na Daintry, a ona skinęła głową i chłopak odjechał za towarzystwem.

Daintry nie była pewna, czego ma się teraz spodziewać, więc nawet na Deverilla nie patrzyła. Poczwała się nagle bezbronna i samotna, jakby wszyscy ją porzucili. Równocześnie aż do przesady świadoma była jego obecności.

- Czy Seacourt nie będzie starał się pani utrudniać życie? - spytał poważnie Deverill.

- Nie wiem - wyznała. - Nigdy wcześniej tego nie robił.

- W końcu mieszka bardzo blisko was.

- Tak, ale nas nie odwiedza. Nawet Susan nieczęsto przyjeżdża z wizytą. Częściej się z nią widzujemy w Londynie niż przez resztę roku. Przypuszczam, jak mówiłam Susan, że teraz, kiedy Charley i Melissa tak się zaprzyjaźniły, będziemy się częściej odwiedzać. W każdym razie wątpię, czy Geoffrey doniesie o wszystkim ojcu.

- Nie będzie musiał niczego rozpowiadać. Pani brat widział tyle samo co on. - Przysunął się bliżej. Stał tuż przed nią, wysoki, barczysty i patrzył na nią w dół.

- Charles nic nie powie - stwierdziła półgłosem, wpatrując się w środkowy guzik jego kamizelki. Powędrowała spojrzeniem w górę, minęła szerokie bary i silny podbródek, zatrzymała się na twarzy. Szczęki miał napięte, wargi zaciśnięte w wąską linię, ale kiedy im się przypatrywała, ich wyraz złagodniał. Nozdrza mu się rozděły. Jego oczy...

Zorientowała się, jaki ma zamiar, ale było już za późno, by go powstrzymać. Później sama sobie zadawała pytanie, i to wielokrotnie, dlaczego nie stawiała oporu, ale w tamtej chwili, kiedy mocno ją objął, nie przyszło jej to na myśl. A kiedy dotknął wargami jej ust, upuściła trzymane w ręku wodze, zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do niego całym ciałem, delektując się tym, co czuje, rozkoszując jego smakiem i tym, jak od pocałunków krew w żyłach zmienia się w płomień.

Zdawała sobie sprawę, że jego dłonie przesuwają się po jej ciele, że ją pieszczą, przyciągają bliżej, wiedziała, że nie powinna dopuścić, by na coś takiego sobie pozwalał, ale nie chciała, żeby przestał. Żaden mężczyzna nie ośmielił się dotychczas okazać wobec niej takiej namiętności, nawet ci, z którymi była zaręczona.

Deverill postawił ją z powrotem na ziemi tak gwałtownie, że poczuła to w całym kręgosłupie, a potem spojrział na nią skonsternowany.

- Albo masz więcej doświadczenia, niż sądziłem, kochanie, albo jestem najgorszym łajdakiem, jakiego jeszcze nie powiesili. - Usłyszała jego urywany oddech. - A niech to, zasłużyłem na chłostę.

Daintry wpatrywała się w niego, nie zwracając większej

uwagi na słowa, i zastanawiała się, co ją, u licha, opętało, że poddała się jego uściskom w tak rozpustny sposób, zwłaszcza że nie minęła jeszcze godzina, jak twierdziła, że jest więcej niż godnym przeciwnikiem Deverilla. To poniżające: nie dość że się poddała, ale i zareagowała całą sobą. Ale jeszcze bardziej poniżająca była świadomość, że nie dało się temu zaprzeczyć, iż miała ochotę, by zrobił to jeszcze raz.

11

W drodze powrotnej do stajni Gideon milczał; cieszył się, że Daintry nie usiłuje w żaden sposób wciągnąć go w rozmowę, ponieważ musiał się zastanowić. Poczucie winy, które go niemal przytłoczyło, kiedy tak żywo zareagowała na jego pocałunki, było dla niego nowym doświadczeniem. Uświadomił sobie, że w rzeczywistości wykorzystał w podły sposób niewinność młodej panny.

Odprawdzając Daintry do domu podtrzymywał banalną rozmowę w nadziei, że uniknie wszelkich dyskusji na temat tego, co właśnie się stało, dopóki nie znajdzie czasu, by uporządkować własne uczucia. Nawet szczątkowa przyzwoitość nakazywałaby przeprosić ją za wszystko i pozwolić jej sądzić, że popuścił tylko cugli swoim obmierzłym, męskim żądзом. Problem jednak w tym, że pocałowanie jej wydawało się rzeczą naturalną; wcale nie była to żadna gra. Bóg mu świadkiem, że miał ochotę zrobić to od dnia, kiedy Penthorpe pokazał mu miniaturę. Ale co z niego byłby za dżentelmen, gdyby próbował zainteresować ją sobą, zanim uporządkuje własne życie?

Najmniej się martwił starą rodową waśnią. Przed śmiercią Jacka mogła ona rzeczywiście stanowić poważną przeszkodę, ale Gideonowi trudno było uwierzyć, że St. Merryn zaprzepaści szansę, by jego córka została markizą. Większym problemem będzie jego własny ojciec, ale gdyby sytuacja jeszcze się zaostrzyła, jest przecież pełnoletni i może

zrobić, co zechce. Nie był też pewny, czy Daintry na nim zależy. Uważał, że dużo mądrzej postąpi, badając ostrożnie teren przed sobą, zanim zaangażuje wszystkie środki w niepewne zwycięstwo.

Rozstali się w holu wejściowym i Gideon spędził popołudnie na przejażdżce w towarzystwie myśliwych. Przy obiedzie znowu posadzono go przy Sally, którą znał z wizyt, jakie składała na kontynencie podczas świętowania pokoju przed ucieczką Bonapartego, oraz w Brukseli przed Waterloo, a której uwodzicielski sposób bycia go bawił. Kiedy zaczęły się tańce, z rozmysłem do pierwszego cyklu wybrał inną znajomą. Później tańczył dwa razy z Daintry, ale po jej chłodnym spojrzeniu zorientował się, że postanowiła zachowywać się z rezerwą. Pojmował, że się w ten sposób chroni przed obmową, nie usiłował więc przełamać lodów.

Dla Daintry jej własne zachowanie stanowiło całkowitą tajemnicę, a i zachowanie Deverilla zdawało się w wysokim stopniu niezrozumiałe. Incydent na polu ją zaskoczył; nigdy się nie spodziewała, że z taką namietnością zareaguje na pocałunki mężczyzny, i całe popołudnie spędziła, starając się zrozumieć to, co żadnych związków z rozumem nie miało.

Całował ją, jakby mu naprawdę na niej zależało, ale kiedy zareagowała, wycofał się. Najwyraźniej Deverill wybrał sobie właśnie ją za cel podboju, a potem zmienił zdanie, kiedy zaczął podejrzewać, że Daintry może żywić w stosunku do niego silne uczucia. Ale czy mogła to być miłość? A może tylko dała się ponieść pasji, jaką zawsze budziła w niej próba sił, albo uległa pokusie zakazanego owocu?

Podczas obiadu Deverill w oburzający sposób flirtował z Sally Jersey; później poprosił do tańca kilka pań przed Daintry. Co więcej, kiedy tańczyli razem, traktował ją z krańcową uprzejmością. Czy już otrzymał od niej to, o co mu chodziło? A może pragnął tylko dowieść, że potrafi wzbudzić jej zainteresowanie, a teraz nie chciał z nią mieć więcej do czynienia?

Szukała Susan, ale nigdzie nie było jej widać, chociaż sir

Geoffrey zatańczył z kilkoma paniami i swoją kuzynką też. Zachowywał się ze zwykłym dla siebie wdziękiem, ale Daintry wcale nie korciło, by pytać go o Susan, bo po tym upokarzającym dla niego epizodzie na pewno bardzo ucieszyłby się, mogąc odprawić ją z kwitkiem.

Udała się do sypialni wcześniej, niż to zwykle robiła w Mount Edgcumbe, i zatrzymała się po drodze tylko dwa razy: raz, by w pokoju karcianym życzyć dobrej nocy lady Ophelii, a potem, by zastukać do drzwi Susan. Nie było żadnej odpowiedzi, a kiedy nacisnęła klamkę, przekonała się, że drzwi zamknięte są na klucz, pomyślała więc, że siostra pewnie również postanowiła położyć się wcześniej.

Następnego ranka okazało się, że chociaż i ona, i inni członkowie rodziny gotowi byli do odjazdu z samego rana, Seacourtowie już odjechali. Nie pokazał się też nigdzie Deverill. Po drodze Daintry czekała, aż Davina napomknie o wczorajszym incydencie, ale bratowa była zastanawiająco milcząca. Zgodziła się nawet zająć przednie siedzenie, chociaż zwykle uznawała to za coś dla siebie uwłaczającego.

Charles towarzyszył powozowi na koniu i nawet wtedy, kiedy w pewnej odległości od Tuscombe Park rozpadał się deszcz, upierał się, że woli jechać wierzchem. Daintry pomyślała, że braterstwo musieli się posprzeczać, ale zbyt była zaabsorbowana własnymi sprawami, by zastanawiać się nad cudzymi.

Doszła do wniosku, że nie ma szans, by stosunki z Deverillem się zacieśniły, dopóki na przeszkodzie będzie stał rozdźwięk między rodzinami. Uznała, że najlepiej postąpi, jeśli skoncentruje się na tajemnicy starej waśni. Przynajmniej prowadząca w przyszłość droga mniej będzie zagracona. I ni z tego, ni z owego, odezwała się do lady Ophelii:

- Czy pamiętnik prowadziła ciocia przez całe życie?

Starsza pani patrzyła, jak za oknem opada mgła. Na pytanie Daintry odwróciła się i powiedziała:

- Nie przez całe życie, to pewne. Na ogół taką próbę podejmuje się dopiero wtedy, kiedy przestają człowieka prowadzić na szelkach.

- Przecież ciocia dokładnie wie, co mam na myśli. Kiedy ciocia zaczęła?

- Och, przypuszczam, że musiałam być wtedy mniej więcej w wieku Charlotty. Wówczas pisałam pamiętnik z wielką powagą i z przekonaniem o własnej ważności. Moje talenty literackie okazały się jednak mierne.

- Ale opowiada ciocia niezwykle czarująco.

- Mówię lepiej, niż piszę, bo jestem w stanie oceniać efekt po wyrazie twarzy słuchającego. Kiedy się pisze, trzeba mieć nadzieję na zrozumienie u czytelników, a ja nigdy nie miałam do nich nadmiernego zaufania. Właściwie była to jedyna rzecz, za którą podziwiałam Harriet Deverill. Ona również nie miała żadnego daru, niczego, co mogłoby jej dzieło wyróżniać czy skłonić kogoś, by zechciał je opublikować. Zresztą Tom Deverill nie życzyłby sobie nawet słyszeć o tym, a jednak zdecydowała się spróbować. Ja zamiast tego zajęłam się nauką i pewnie poradziłabym sobie bardzo dobrze w Oxfordzie, gdyby komuś wpadło do głowy pozwolić mi zapisać się na uniwersytet.

Daintry wyobraziła sobie, jak jej groźna ciotka z energią atakuje czcigodne sale oxfordzkiego uniwersytetu, i rozchichotała się, ale nie chciała dłużej ciągnąć tego tematu. Zapytała delikatnie:

- Czy miałyby ciocia coś przeciw temu, żebym przeczytała cioci pamiętniki? Jestem przekonana, że okażą się fascynujące.

Oczy starszej pani zwęziły się, ale malowało się w nich rozbawienie, a nie niezadowolenie.

- Podejrzewam, że nie interesują cię najwcześniejsze tomy, panienko, a tylko te, które zaczynają się mniej więcej, powiedzmy, sześćdziesiąt lat temu?

Daintry poczuła, że policzki jej płoną, ale odparła stanowczo:

- Czułabym się zaszczycona, gdyby pozwoliła mi ciocia zacząć od początku i przeczytać wszystkie, ciociu Ophelio, ale nie będę ukrywała przed ciocią, że mam nadzieję znaleźć w nich gdzieś wskazówkę, co legło u korzeni tej absurdalnej waśni.

- To ci się nie uda - stwierdziła stanowczo lady Ophelia.

- Skąd miałyby się tam wziąć jakaś wskazówka, skoro ja nigdy niczego o tym nie wiedziałam? Mężczyźni nie zwierniają się swoim żonom, a już na pewno nie kobietom, które mają nadzieję poślubić. Nie wiem, co mogło poróżnić tych dwóch, bo żaden nie otworzył przede mną serca.

- Ale może mimo to, ciociu Ophelio, dowiem się czegoś o nich samych, nie sądzi ciocia? Musiała ciocia zapisać, jakie wrażenie na cioci wywarli.

- Och, jestem całkiem pewna, że to zapisałam - potwierdziła z chichotem lady Ophelia. - Gamoń i ciamajda, jeden i drugi. - Zawahała się, potem dodała: - Moje pamiętniki to kolekcja moich prywatnych opinii. Nigdy nie miałam zamiaru ich rozgłaszać.

- Ja również czegoś takiego nie zrobiłabym - oburzyła się Daintry. - Ciocia wie, że nie. Rozumiem, że proszę o pozwolenie na wtargnięcie w tajemnice cioci. Jeżeli się to cioci nie podoba, to bardzo proszę, nie mówmy o tym więcej. Nie poczuję się urażona.

Cioteczna babka w żaden sposób nie nawiązała już do tej rozmowy, ale tego samego wieczora, kiedy Daintry przygotowywała się do snu, lady Ophelia przyszła do niej otulona w fałdzistą szatę z błękitnej wełny, niosąc pod pachą dwa cienkie tomiki.

- To są pamiętniki Z roku, kiedy odbył się mój debiut, i z roku następnego. W tym czasie poznałam lorda Thomasa Deverilla i twojego dziadka. Sama się przekonasz, że nie znaczyli dla mnie więcej niż cały tuzin innych dżentelmenów. Byłam młodą kobietą o dość dużym powodzeniu - dodała starsza pani, zadzierając brodę do góry.

- Nie wątpię w to, proszę cioci.

- No cóż, zawdzięczałam to tylko mojemu wielkiemu majątkowi, tyle ci mogę powiedzieć. Wiem doskonale, że co tydzień w londyńskim klubie dżentelmeni zawierali zakłady, kogo wybiorę. Ale dzięki papie i sir Lionelowi Werringowi wystawiłam ich wszystkich do wiatru - dodała pogodnie.

Lady Ophelia wyszła, a Daintry, wygoniwszy Nance z pokoju, jak tylko przebrała się do spania, otworzyła pierwszy tomik. Ale po godzinie doszła do wniosku, że cioteczna

babka miała rację. Pamiętniki niewiele jej pomogą w poszukiwaniach informacji na temat rodowej waśni.

Babcia podawała wiele szczegółów, ale skupiała się nie tyle na życiu towarzyskim czy nawet charakteryzowaniu poznanych ludzi, ile raczej dzienniki służyły jej, by dawać upust rozważaniom na temat społeczeństwa, które pragnęło, by kobiety były milczącą dekoracją, i które odmawiało im nawet najbardziej podstawowych praw. Często cioteczna babka napomykała o pisanych przez kobiety w połowie osiemnastego wieku powieściach, których - jak Daintry wiedziała - niemal nigdy nie czytywały współczesne młode damy. Ona sama przeczytała większość tych książek, chociaż ojciec, gdyby przypadkiem zapoznał się z nimi, byłby jej tej lektury zabronił.

Przestudiowanie dwóch tomików zajęło Daintry niemal cały tydzień. Chociaż nie udało się w nich znaleźć tej szczególnej informacji, której szukała, natrafiła tam na charakterystykę obydwu dżentelmenów. Dziadka Deverilla lady Ophelia musiała nawet lubić, chociaż załamywała ręce nad jego poglądami politycznymi. Był stronnikiem Tobiasza Smolletta, który wierzył w potrzebę zachowania silnej monarchii, podkopanie roli parlamentu i wykorzystywanie obywateli niczym pionków w szachach. Zdaniem ciotecznej babki, kiedy Tom wyznawał jej miłość, widział w sobie monarchę, a w niej kobietę, którą należało ujarzmić. Daintry doszła do wniosku, że jeżeli stary Deverill naprawdę był takim człowiekiem, jak opisywała lady Ophelia, to musiał się w niej na umór rozkochać, żeby w ogóle brać to małżeństwo pod uwagę.

Zastanawiała się, czy obecny Deverill patrzy na nią w ten sam sposób, jak jego dziadek na lady Ophelię. Przypomniała sobie, jak mówił, że trzeba by ją wziąć w karby, i pomyślała, że na to wygląda, chociaż miała duże wątpliwości, czy się w niej rozkochał.

Czwartego hrabiego St. Merryn lady Ophelia zbyła z jeszcze większą stanowczością jako człowieka, który dbał tylko o posag, a szepcząc jej w ucho słodkie słówka, przeliczał w myśli pieniądze.

Daintry zamknęła w końcu drugi tomik, odłożyła go na bok, zaczęła zastanawiać się, czy jest sens czytać następny. Doszła do wniosku, że nie. Lepiej wykorzysta czas, próbując ułożyć listę osób, które mogą coś wiedzieć na temat waśni obu rodów, a którym wolno jej będzie zadawać pytania. Kiedy rozważała różne możliwości, do saloniku weszła Nance.

- Panna Charley szuka pani, jasnie panienko.

Daintry uśmiechnęła się.

- A skoro szuka mnie Charley, to pewnie zaangażowała już wszystkich służących do przeszukania całego domu, żeby mnie znaleźć.

- A jakżeby inaczej - zachichotała Nance. - Mówi, że ma pozwolenie od nowej guwernantki, i chce pojechać do Seacourt Head, żeby odwiedzić panienkę Mełisę, i tak jest pewna, że pani z nią pojedzie, że już kazała osiodłać konie. Czy mam pójść z panią na górę i przygotować amazonkę?

- Tak, proszę - powiedziała Daintry - ale najpierw powiedz mi coś, Nance. Czy znasz w tej okolicy kogoś, kto mógłby pamiętać, od czego zaczęła się waśń między Tarrantami i Deverillami? Gdzieś z sześćdziesiąt lat temu, jak sądzę.

Nance ściągnęła brwi.

- Dawniejsze czasy niż moje, ale od strony Tarrantów może coś pamiętać moja stara babcia. Służyła tu wtedy za pokojówkę, a całe tomy można by zapełnić tym, co babcia Popple wie o tej rodzinie.

Daintry pozbierała rzeczy i poszła do sypialni, gdzie stała czekającą na nią Charley. Uśmiechając się do dziewczynki, zapytała:

- Czy nie powinnaś być teraz z panną Parish i odrabiać lekcje?

Nowa guwernantka, zdaniem Daintry bez porównania lepsza niż poprzednia, przyjechała do Tuscombe Park pod ich nieobecność i chyba już się odnalazła w nowych warunkach.

- Panna Parish powiedziała, że ciocia Ophelia życzy sobie omówić z nią moje lekcje, i dała pozwolenie na przejazd. Oczywiście - dodała Charley - nie mówiłam jej, że wybieram się do Seacourt Head.

- I wcale się tam nie wybierzesz - oznajmiła Daintry, odwracając się, by Nance mogła porozpinać jej guziki na plecach.

- Ale mówiłam Melissie, że będę często przyjeżdżała, a nie odwiedzałam jej, od kiedy pojechała do domu! Proszę, ciociu Daintry!

- Nie, i nie masz co robić do mnie słodkich oczu, nie uda ci się mnie przekonać takimi sztuczkami. Możesz ze mną pojechać na wizytę do babci Popple do wioski.

- Nie ma jej w wiosce, jaśnie panienko - wtrąciła Nance. - Wybrała się do mojej siostry, Annie, na wrzosowisko, na farmę Warleggana.

Daintry kiwnęła głową. Znała męża Annie, Feoka Warleggana, był jednym z dzierżawców jej ojca.

- Czy twoja babcia jest chora?

- Nie, panienko, wściubia nos w nie swoje sprawy i tyle. Feok ma brata i babcia wbiła sobie do głowy, że byłby z niego świetny mąż dla mnie, jakby go znowu zatrudnili w kopalni. Ale mnie Dewy Warleggan na nic, chociaż muszę być teraz dla niego uprzejma, kiedy odwiedzam babcię. Jest zły jak osa, że musi pracować na famie, ale tak sobie myślę, że powinien być wdzięczny, że w ogóle ma jakąś pracę.

- Wolałabym pojechać do Melissy - wtrąciła Charley. - A może mogłabym wybrać się tam bez ciebie, ciociu Daintry? Jestem już taka duża, że chyba mogę przejechać te marne siedem mil sama, oczywiście ze stajennym.

- Powiedziałam: nie - oznajmiła Daintry i popatrzyła na nią tak, że dziewczynka skrzywiła się i westchnęła pokonana. - Czy pojedziesz ze mną, czy wolisz wracać do szkolnego pokoju?

- Oczywiście, że wolę z ciocią, tylko niech ciocia nie pozwoli babci Popple szczypać mnie w policzek i mówić, jaka się robię pulchna.

W trzy kwadranse później podjechały do chaty na farmie, wybudowanej trochę na chybił-trafił z białej gliny ze słomą, piętrowej, krytej strzechą. Kiedy zbliżały się do drzwi frontowych, otworzyła im z promiennym uśmiechem Annie, równie hoża i rumiana jak jej siostra, i przykucnęła w dygu.

- Widziałam jaśnie panienkę z kuchennego okna. Dzień dobry, panienko Charley. Proszę do środka, proszę, a ja pójdę po babcię, koniecznie się będzie chciała przywitać.

- To właśnie z babcią Popple chciałybyśmy się zobaczyć - wtrąciła Daintry, wchodząc za Annie do maleńkiej białej izby, inaczej saloniku. Używano tego pomieszczenia tylko na specjalne okazje, pachniało w nim mydłem i pastą. Umeblowanie składało się z trzech drewnianych, malowanych krzesel pod bielonymi ścianami, dużego stołu, przepięknie wybielonego przez ciągłe szorowanie, i narożnego kredensu o szklanych drzwiczkach, w którym stały przeróżne drobiazgi. Gzyms nad kominkiem ozdabiały dwa porcelanowe spaniele i dwa mosiężne świeczniki.

Nie musiały długo czekać, a już babcia Popple, zasuszona i malutka, z oczami przypominającymi wypolerowane do połysku kawałeczki węgla, weszła, kulejąc, oparta na lasce, otulając jeszcze szerszej szalem wychudłe ramiona.

- Witam jaśnie panienkę - powiedziała. - Coś tu chłodno. Powinnaś napalić, Annie.

Daintry, która wiedziała, że torf do palenia trzeba wyciąć na wrzosowisku i dźwigać do domu, zaprotestowała pospiesznie:

- Ależ nie, pani Popple. Nie jest nam zimno, zapewniam panią.

- Daj ci Boże zdrowie, kochaneczko, ale nie o paniencę myślałam. To moje stare kości potrzebują, żeby im było ciepło.

Annie uśmiechnęła się i powiedziała:

- Możemy rozpalić ogień, babciu.

- A może mogłybyśmy zamiast tego pójść do kuchni, Annie? - zapytała Charley. - Lubię twoją kuchnię. - Popatrzyła na Daintry i dodała: - Pamięta ciocia, jak byłyśmy tu poprzednim razem, kiedy Annie poczęstowała nas ciasteczkami z szafranem?

Annie roześmiała się i zawołała:

- Chodź, kochanie. W końcu to w kuchni przyjmujemy naszych najserdeczniejszych przyjaciół.

Kuchnia była dużo bardziej obszerna i wygodna niż sa-

lonik i najwyraźniej służyła domownikom jako wspólny pokój. Kiedy Annie przygotowywała smaczny poczęstunek z szafranowych ciasteczek i herbaty, Daintry wyjaśniała powód ich wizyty.

- Nic nie wiem o tej starej waśni - stwierdziła stanowczo babcia. - Ojciec jaśnie pana nie był taki, żeby zachęcał do plotkowania o jego prywatnych sprawach, podobnie jak jaśnie pan.

- Ale coś z pewnością do pani doszło.

- To prawda, ale same jakieś takie, że nic z tego nie wyciśniesz. Słyszeliśmy, że on i lord Thomas poróżnili się w Londynie o jakąś damę, ale nikt dokładnie nie wiedział, jak to było, ani wtedy, ani potem.

Daintry nie przestawała pytać, ale nie dowiedziała się niczego więcej i wkrótce się pożegnała, chociaż dopiero po powrocie mężczyzn na południowy posiłek. Kiedy witała się z Warlegganem, przyłapała się na tym, że uważnie przygląda się *jego* młodszemu bratu i *bez* powodzenia usiłowała sobie wyobrazić tego szczupłego, zasępionego człowieka w średnim wieku jak męża swojej Nance.

Ruszyły w drogę powrotną i okazało się, że myśli Charley podążają tym samym torem.

- "Wcale nie uważam, żeby on był odpowiednim człowiekiem dla Nance. Taki jest jakiś ponury. A Nance ciągle się śmieje.

- No to Nance nadałaby się do tego, by go pocieszyć.

- Może. - Ale Charley nie wydawała się przekonana. Jechały przez jakiś czas w milczeniu, zanim się znowu odezwała. - Ciociu Daintry, przejechałyśmy dziś co najmniej osiem mil, prawda?

- To prawda, ale wybij sobie z głowy, żebyś mogła pojechać sama z wizytą do Melissy. Sądzę, że twój wuj Geoffrey okazałby wielkie niezadowolenie, gdybym ci na coś takiego pozwoliła.

Dziewczynka milczała przez chwilę, potem powiedziała nieco gwałtownie:

- Nie lubię wuja Geoffreya.

- Dobry Boże, kochanie, dlaczego go nie lubisz? Był dla ciebie miły i nawet przywiózł ci z Londynu prezent.

- Och, tak, i wiem, że mam obowiązek go kochać, ponieważ należy do rodziny, ale on jest taki gładki, że się aż lepi. I lubi przytulać tak mocno, że może zadusić, i łaskocze tych, którzy nie znoszą łaskotania.

- Ciebie?

- I Melisę też. Wiem, że ona musi go kochać; w końcu to jest jej papa. Ale nie sądzę, żeby to było obligatoryjne dla mnie, prawda?

- Nie, kochanie, na pewno nie - odparła Daintry, którą rozśmieszyło tyleż sformułowanie, co sama myśl.

Charley westchnęła.

- Nie chcę narażać się na niezadowolenie wuja Geoffreya, bo on się potrafi bardzo rozżłościć, ale nadal nie rozumiem, co złego by się stało, gdybym pojechała do nich sama. Jeżeli ciocia nie chce, żebym jechała tam i z powrotem jednego dnia, to może mogłabym zatrzymać się na noc.

- O tym musiałybyś porozmawiać z rodzicami, kochanie - powiedziała Daintry.

- Ale papa i mama nigdy nie słuchają tego, co mówię.

- Niemniej jednak teraz, kiedy papa i mama są w domu, nie powinnaś prosić mnie o pozwolenie, jeżeli chcesz zrobić coś, co wymaga ich aprobaty. Trzeba ich skłonić, by cię wysłuchali i - dodała pośpiesznie - nie uda ci się tego osiągnąć zuchwałością.

Charley niewątpliwie miała ochotę kontynuować dyskusję, ale nieoczekiwanie wykrzyknęła:

- Czy to nie jego lordowska mość jedzie w naszym kierunku, ciociu Daintry? Och, to on! Poznałaby tego ogiera wszędzie!

Daintry również poznała ogiera i jeźdźca, a po gwałtownym biciu serca zorientowała się, że nie udało jej się jeszcze okiełznać swoich niesfornych uczuć. Nie mogła się oszukiwać: ucieszyła się na jego widok.

Pomyślała, że wygląda na zmęczonego, ale uśmiechnął się, pozdrowił je i kiedy Charley opowiedziała mu, gdzie były, odezwał się uprzejmie:

- Mam nadzieję, że wizyta się udała.

- Ciocia Daintry zadawała babci Popple całe mnóstwo pytań o tę starą waśń pomiędzy naszymi rodzinami - powiedziała Charley - ale babcia nie wie, jak to się zaczęło.

Deverill popatrzył na Daintry.

- Nic nowego?

- Nie, co więcej, przeczytałam dzienniki cioci Ophelii, i dalej nic.

- No cóż, ja spędziłem cały tydzień na poszukiwaniach i pytałem wszystkich, którzy mogli moim zdaniem cokolwiek pamiętać, ale nie lepiej mi się powiodło.

Daintry przypatrywała mu się bacznie.

- Czy coś jest nie w porządku, Deverill? Wygląda pan tak, jakby coś pana trapiło.

Deverill zawrócił konia i przez chwilę jechał obok niej w milczeniu.

- Właściwie bardziej jestem stropiony, niż wytracony z równowagi - powiedział, po czym dodał z ironicznym uśmiechem: - Nie, prawdę mówiąc, to czuję się bardzo wytracony z równowagi, ale ponieważ nie wiem, co legło u podstaw całej sprawy, bardziej dokładne wydaje mi się wyrażenie „stropiony”.

- Musi pan wiedzieć, co pana trapi, sir. Ja zawsze wiem - odezwała się ze śmiechem Charley.

Deverill popatrzył najpierw na nią, potem na Daintry, która zorientowała się, że z wielką ostrożnością dobiera słowa:

- Otrzymałem spłatę wygranego zakładu od kogoś, kto bardzo jest na mnie zły - powiedział. - A chociaż wiem, że dałem mu pewne powody do gniewu, treść listu, jaki napisał, nie ma nic wspólnego ze sprawą, o którą, jak pamiętam, chodziło.

- Wydaje mi się, sir, że rozumiem, jeżeli chodzi panu o...

- Tak właśnie - przerwał jej, pospiesznie zerkając na Charley. - Ostrzega mnie przy tym, bym trzymał się z daleka.

- Ależ nie ma do tego żadnego prawa! - Musiał mówić o Geoffreyu, na pewno, ale chociaż był to jej szwagier, nie jego rzecz nakazywać Deverillowi, by trzymał się od niej z daleka. - Czy sądzi pan, że napisał również do ojca?

Deverill potrząsnął głową.

- Żle mnie pani zrozumiała. Gdyby to, co pisał, było prawdą, jego protesty byłyby w pełni usprawiedliwione, ale nie miałyby powodów, by skarżyć się pani ojcu.

Daintry nie mogła już tego znieść.

- Charley, pojedź przodem z Clemonsem. Muszę z jego lordowską mością porozmawiać w cztery oczy.

Odezwała się tak surowo, że Charley nie zakwestionowała polecenia, tylko natychmiast spięła Victora ostrogą i dotknęła jego boku szpicrutą. Wołając do Clemonsa, by ją dogonił, pojechała przodem.

Jak tylko dziewczynka znalazła się poza zasięgiem ich głosów, Daintry zapytała:

- Co się stało, sir? O co Geoffrey pana oskarżył?

- Tylko o to, że flirtuję z jego żoną - odpowiedział ponuro, przyglądając się Daintry zmrużonymi oczami. - Nie winiłbym pani w najmniejszym stopniu, gdyby pani uwierzyła...

- Nie wierzę. - Usiłowała wyobrazić sobie, co Deverill mógł zrobić, by Geoffrey nabrał tego typu podejrzeń. - Susan nie odwzajemniłaby takich atencji - powiedziała. - Ona jest, jak pan sam widział, zakochana w swoim mężu. A gdyby nawet nie, to jej podobają się opiekuńczy mężczyźni, tacy, którzy wpadają w zachwyty, kiedy trzepocze się do nich rzesami i mówi się im, jacy są cudownie mocni.

- A pani sądzi, że mnie się takie kobiety nie podobają?

- To takie się panu podobają, Deverill? Nigdy bym się nie domyśliła.

- Dlaczegoż to? - Miał twarz oddaloną zaledwie o centymetry od jej twarzy.

Walcząc z pokusą, by jeszcze troszkę pochylić się do przodu i przycisnąć wargi do jego ust, Daintry wyszeptwała:

- Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że nęci pana każda hoża dziewczyna, sir, ale sądzę również, że takie trzepotanie i łąszenie się zdecydowanie byłoby dla pana przykre.

- Tak pani sądzi? - Patrzył jej w oczy jeszcze przez chwilę i miała wrażenie, że czuje się rozbawiony i odrobinę wstrząśnięty. A potem wyprostował się, puścił jej wodze

i dodał bardziej naturalnym tonem: - Dość daleko jednak odeszliśmy od tematu; rozmawialiśmy o tym, iż pani szwagier oskarża mnie o flirtowanie z jego żoną i upiera się, że zdobył tę informację z niekwestionowanego źródła.

- Ależ to jakiś nonsens.

- To jest nonsens, ale nie do końca wiem, co mogę w tej sprawie zrobić, chociaż wątpię, by miał publicznie rzucać takie oskarżenia.

- Nie robi tego, bo zaszkodziłby reputacji Susan, a przy okazji i swojej. Ale może pan nie mieć racji, sądząc, że nie poinformuje papy. Niewykluczone, że zrobi to, choćby w tym celu, by dolać oliwy do ognia, a taki byłby tego skutek.

- Pani bratanica macha do nas. Jeżeli nie chce pani, by tu podjechała, sugerowałbym, by pani się uśmiechnęła i pomachała w odpowiedzi. Obojętnie, co robi Seacourt, muszę pani wyznać, że nie podoba mi się to jego zadufanie i najchętniej porozmawiałbym z nim na osobności, by go o tym poinformować.

Daintry uśmiechnęła się i pomachała do Charley, a równocześnie powiedziała stanowczo:

- Nie wolno panu tak postąpić, bo to pogorszyłoby tylko sytuację. Tak się składa, że Charley błagała mnie, bym pozwoliła jej odwiedzić Melissę. Może więc wybiorę się tam razem z nią i dowiem się czegoś więcej o tej sprawie, a równocześnie wstawię się za panem.

- Czuję się mocno zobowiązany - rzekł Deverill sucho.

Daintry obdarzyła go łobuzerskim uśmiechem.

- Musi się pan przynajmniej z tym zgodzić, że jeżeli zrobię to ja, większą będziemy mieli szansę, iż cała sprawa nie skończy się otwartą wojną.

- Z niczym podobnym się nie zgodzę.

W kilka chwil później dogonili Charley i po krótkim czasie Deverill zostawił je, mówiąc, że nie byłoby to roztropne, gdyby za bardzo zbliżał się do Tuscombe Park. Daintry tylko jednym uchem przysłuchiwała się potem paplaninie Charley, a resztę czasu poświęciła na rozważania, w jaki sposób mogłaby dowiedzieć się, co skłoniło Geoffreya, by **dał** wiare

tak niegodziwym płótkom o żonie. Słowem nie wspomniała Charley o zamierzonej wizycie w Seacourt Head i dobrze się stało, bo kiedy podjeżdżały do domu, przed głównym wejściem zatrzymała się bryczka, z której wysiadły dwie osoby. Charley rozpoznała je pierwsza i zawołała:

- Melissa! To Melissa i ciocia Susan!

Daintry poznała Melisę, ale wciąż nie była pewna, czy zawałowana postać, która wysiadła z bryczki, to jej siostra. Zeskoczyła z konia, rzuciła wodze Clemonsowi i zawołała:

- Susan, czy to ty? Dlaczego, na Boga, masz zasłoniętą twarz? Czy ktoś umarł?

- Idź z Charlottą do domu, Melisso. My przyjdziemy zaraz za wami. - Postać niewątpliwie mówiła głosem Susan, ale najwyraźniej było z nią coś nie w porządku, bo prawą rękę trzymała mocno przyciśniętą do talii i poruszała się dużo sztywniej niż zwykle. - Zabierz nasze rzeczy do środka - poleciła Jago, kiedy młody lokaj zszedł po schodach, by je powitać.

- A więc zatrzymasz się u nas na jakiś czas - powiedziała Daintry zaskoczona.

- Przestań już paplać i chodź ze mną - poleciła Susan i obejrzała się na podjazd, jakby spodziewała się, że ktoś tamtędy nadjedzie.

Nie posiadając się z ciekawości, Daintry poszła za siostrą do domu; weszły do sypialni. Dopiero kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Susan uniosła welon.

Daintry poczuła się tak wstrząśnięta, że dech jej zaparło. Piękna twarz siostry była cała pokryta sińcami.

12

Daintry wpatrywała się w Susan, nie wierząc własnym oczom.

- Kto ci to zrobił? Siadaj - dodała szybko, kiedy siostra zachwiała się na nogach. Ujęła ją pod ramię, poprowadziła

do fotela przed toaletką i posadziła. - Opowiedz mi. Jak się to stało?

Susan otworzyła usta, potem zamknęła je i równocześnie zacisnęła powieki. Kiedy rozchyliła je znowu, na rzęsach lśniły łzy, które zaczęły spływać po policzkach.

- Myślałam, że łatwo mi to będzie powiedzieć - szepnęła - ale nie jest.

Przez głowę Daintry przemknęło nagłe, przykre podejrzenie.

- Przecież to nieprawda, że ty i Deverill...

- Och, nie! Nigdy!

- Ale on dostał od Geoffreya list, w którym...

- Wiem. Ja również dostałam, nie podpisany, w którym ktoś twierdził, że jemu zależy na mnie i że chce się mną opiekować. Geoffrey oczywiście przeczytał list, zanim go zobaczyłam. On czyta wszystkie moje listy. - Rozpaczliwy szloch wstrząsnął jej ciałem. - B...był na mnie wściekły.

- To on to zrobił... on cię tak pobił... i oskarżył Deverilla o flirt tylko dlatego, że ktoś napisał do ciebie, że chce się tobą opiekować? Ale jak on mógł uwierzyć, że ty masz z tym cokolwiek wspólnego? Musi wiedzieć, że jesteś najbardziej oddaną z żon.

- O, tak - powiedziała Susan, odwracając wzrok. - Jestem oddana i uległa, i posłuszna wszystkim jego życzeniom. - Ton jej głosu był niesłychanie gorzki.

- No to jak mógł uwierzyć...

- Geoffrey wierzy w to, w co sobie życzy wierzyć.

- Ale żeby zrobić coś takiego, musiał całkiem zwariować.

- Z pewnością był rozwścieczony - szepnęła Susan ze znużeniem i zdusiła łkanie. - Często bywa rozwścieczony.

Daintry patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

- Co ty mi dajesz do zrozumienia? Nigdy dotychczas nie rozgniewał się tak, by cię uderzyć.

Susan milczała. Skuliła się w ramionach. Wpatrywała się tępo w dywan.

- Bił cię? - Daintry dotknęła ramienia Susan, chcąc odwrócić siostrę tak, by łatwiej było zajrzeć jej w twarz. Kie-

dy Susan wzdrygnęła się i gwałtownie uchyliła, wykrzyknęła: - Dobry Boże, co on ci jeszcze zrobił?

- Nie więcej, niż upoważnia go prawo - wymamrotała Susan. - Naraziłam mu się. Często mu się narażam, chociaż Bóg mi świadkiem, że ze wszystkich sił staram się do tego nie dopuszczać. Nawet kiedy sprowadził swoją kochankę do domu i poinformował mnie, że zatrzyma się ona u nas jako nasz gość, usiłowałam zachowywać się jak idealna żona.

- Swoją kochankę! Lady Catherine?

- O, tak, drogą Catherine. Robi się tak w najlepszych nawet rodzinach. Księżna Georgiana przez całe lata cierpliwie znosiła kochankę Devonshire'a, zanim umarł, a lady Chelsea znosi tę Caro jak-jej-tam od ponad dziesięciu lat. Catherine przynajmniej potrafi być miła, jeżeli ma na to ochotę. Poza tym jest osobą praktyczną - dodała Susan i skrzywiła się. - Dała mi jasno do zrozumienia, że wygodnie jest jej mieszkać z nami, ponieważ ma bardzo niewiele własnych pieniędzy i nie podoba jej się w Yorkshire.

- Ale... - Daintry przypomniała sobie własne podejrzenia i to, jak szybko ich się wyzbyła. - Ale ja nie rozumiem. Twoje małżeństwo zawsze wydawało się takie szczęśliwe. Ty zawsze wydawałaś się zadowolona.

- Czy tak? Może dlatego, że tak strasznie się bałam, by nie było po mnie widać czegoś innego. - Susan po raz pierwszy popatrzyła jej prosto w oczy. - Pamiętasz, jak Geoffrey przerwał nasze *tete-d-tete* w Mount Edgcumbe i tak się troszczył, by wyszczotkować mi włosy? Poprosił cię nawet, żebyś mu podała tę okropną szczotkę. - Dreszcz ją przeszedł. - Zmusił mnie, bym ustępowała miejsca jego kochance w domu, a potem przez cały dzień w powozie, a naraziłam mu się, bo ośmieliłam się zachować w taki sposób, że zwróciłam tym na siebie czyjąś uwagę.

- On cię zbił, kiedy wyszłam? - Daintry poczuła, jak wzbiera w niej furia; nie pamiętała, by kiedyś już czuła taki gniew. - Wypowiedzieć nie potrafię, jak bardzo jest mi przykro, że mogłam powiedzieć czy zrobić coś, przez co cię skrzywdził - dodała, usiłując nie podnosić głosu.

- To nie twoja wina, tylko moja. Zawsze moja. Nie powinnam tu była przyjeżdżać. - Rozejrzała się po pokoju. Zdaniem Daintry, przypominała schwyte w pułapkę zwierzątko. - On przyjedzie po mnie, a kiedy mnie zabierze, to... - Twarz jej pobieleła.

Daintry podeszła do sznura i zadzwoniła, a na protesty Susan powiedziała:

- Wezwę Nance, żeby posiedziała z tobą, a ja pójdę po ciocię Ophelię. Ona będzie wiedziała, co robić. Ja nie wiem, ale zapewniam cię, że dołożę wszelkich starań, by Geoffrey nigdy więcej cię nie skrzywdził.

Kiedy do pokoju weszła Nance i aż krzyknęła na widok twarzy Susan, Daintry poleciła jej rzeczowo:

- Zajmij się panią i nic nikomu nie mów o tym, w jakim jest stanie. Zostanie tu, w moim pokoju, dopóki nie porozmawiam z lady Ophelią. Rozumiesz mnie?

- Rozumiem - przytaknęła posępnie Nance, która wciąż wpatrywała się wstrząśnięta w Susan - ale myli się panienka, sądząc, że będzie panienka mogła wtrącić się w tę sprawę. Jeżeli te sińce znaczą to, co myślę, że znaczą, to sir Geoffrey zaraz jej będzie deptał po piętach. Jak to się stało, że nie złaapał pani na drodze, panienko Susan?

- Wybrał się na przejażdżkę ze swoją kuzynką - szepnęła Susan. - Mieli zamiar wrócić dopiero późnym popołudniem.

Daintry, nie czekając już dłużej, zostawiła je i udała się na poszukiwania lady Ophelii, którą znalazła w bawialni w towarzystwie lady St. Merryn i panny Davies.

Zanim zdążyła wymyślić jakiś taktowny sposób na odciążenie ciotecznej babki od pozostałych pań, odezwała się jej matka:

- Jago mówił mi, że przyjechała Susan z Melissą, ale jeżeli tak, to gdzie one są, moja droga? Przecież Susan wie chyba, że chciałabym się z nią zobaczyć.

- Ona... ona źle się czuje, mamó - improwizowała naprędce Daintry, rzucając błagalne spojrzenie na lady Ophelię. - Zeszłam na dół, by zapytać, czy ciocia Ophelia mogłaby polecić jej którąś ze swoich mikstur; może coś by pomogło.

- Och, pójdę do niej od razu - wtrąciła natychmiast z promiennym uśmiechem panna Davies. - Dobrze, kochana Letitio? Jestem pewna, że będę dokładnie wiedziała, co można dla niej zrobić. Może rozgrzać stopy gorącą cegłą albo zaparzyć uspokajającą herbatkę ziołową.

Lady St. Merryn sięgnęła po flakonik z solami.

- Czy jest bardzo chora, Daintry? Czy wygląda na to, że możemy coś od niej złapać? Jeżeli masz do niej pójść, Ethelindo, musisz bardzo uważać, żeby nie przenieść jej choroby na mnie. Nie czuję się na tyle dobrze, by...

- Kuzynka Ethelinda wcale nie musi iść na górę, mam - przerwała jej Daintry. - Nie ona jest mi potrzebna, tylko ciocia Ophelia.

- Och, moja droga - szepnęła omdlewającym głosem lady St. Merryn - czy aż tak mało dbasz o moje zdrowie? Musisz wiedzieć, że ciocia Ophelia nie zachowa najmniejszej ostrożności, a jeżeli Susan jest naprawdę chora, nie uzna nawet za możliwe, bym mogła się czymś od niej zarazić.

- Na litość boską, mam - powiedziała doprowadzona niemal do rozpaczycy Daintry - niczym się od Susan nie zarazisz.

- A skądże u ciebie ta pewność, moja panno?

- Bo ona nie jest naprawdę chora, a przynajmniej nie... nie w taki sposób, jaki masz na myśli - poprawiła się Daintry, usiłując naprawić przejęzyczenie.

Ale było już za późno.

- Co ty mówisz? - zapytała lady St. Merryn, siadając. - Czy spodziewa się dziecka? Czy o to chodzi? Och, Geoffrey będzie taki zadowolony. Rozpaczliwie już pragnął syna.

- Geoffrey wcale nie jest zadowolony - odparła Daintry. - Jeżeli musisz wiedzieć, mam, to Susan przybyła szukać u nas schronienia, ponieważ ten jej wstrętny mąż pobił ją tak, że z trudem jest w stanie utrzymać się na nogach. Mam tylko nadzieję, że nie połamał jej kości.

- Och, cóż takiego mogła Susan uczynić? - jęczała lady St. Merryn. - Była zawsze takim grzecznym i posłusznym dzieckiem. Cóż tak okropnego mogła uczynić?

- Nic nie zrobiła - wykrzyknęła Daintry ze złością. - Ja-

kiś niegodziwiec napisał do niej obrzydliwy list, w którym twierdził, że Deverill obrał ją sobie za obiekt swoich atencji. Geoffrey oczywiście list przeczytał, a chociaż musiał doskonale wiedzieć, że wszystko to jest jedno wielkie oszustwo, wykorzystał je, by Susan pobić. Co więcej, jeżeli się bardzo nie mylę, bił ją już wielokrotnie wcześniej, mając ku temu nawet mniej powodów.

- Ależ musiały istnieć jakieś powody - wtrąciła kuzynka Ethelinda. - Gdyby nie, to dlaczego miałyby coś takiego zrobić? A kto jak kto, ale Deverill świętym nie jest, o czym sama wiesz, należał przecież do sztabu lorda Hilla, a wszyscy wiemy, co...

- Nie wiem, z jakiego powodu mąż mógłby pobić żonę tak, jak Geoffrey pobił Susan - przerwała jej Daintry - ale jeżeli uważacie, że moja siostra mogła popełnić jakiś okropny... Och, nie mam do was cierpliwości. Sam taki pomysł jest absurdalny.

- Gdzie ona jest? - zapytała lady Ophelia.

- W mojej sypialni, proszę cioci - odpowiedziała z wdzięcznością Daintry. - Jeżeli ciocia do niej pójdzie, ja poszukam ojca. Musi się o tym dowiedzieć, jeżeli ma ją chronić. Susan boi się, że Geoffrey może przyjechać w ślad za nią, a przynajmniej ja nie wątpię, że pewnie już jedzie.

- Ja natomiast nie wierzę w ani jedno słowo - prychnęła lady St. Merryn. - Sir Geoffrey Seacourt jest absolutnie uroczym dżentelmenem, który nigdy nie tknąłby nikogo palcem, a już na pewno nie tknąłby bezbronnej kobiety. Jeżeli skarcił Susan, musiała sobie na to zasłużyć, i kropka. To prawo męża, a nawet jego obowiązek, karcie żonę, jeżeli się źle zachowa.

- Gdyby jeden mężczyzna zrobił drugiemu coś takiego, jak Geoffrey swojej żonie, to wtrącono by go do więzienia - fuknęła Daintry. - Nawet mój ojciec z tym się zgodzi, kiedy zobaczy jej biedną twarz.

I z tymi słowy wyszła poszukać St. Merryna; znalazła go w bibliotece, gdzie czytał popołudniową pocztę. Wcale nie był zadowolony, że mu przerwała.

Popatrzył na nią znad okularów w drucianej oprawce i zapytał:

- O co chodzi, dziewczyno? Jestem zajęty.
- Papo, przyjechała Susan.
- Co? Nie spodziewaliśmy się ich chyba tak szybko.
- Nie, ojcze, ale stała jej się okropna krzywda i chce tu zostać.

- Zostać tutaj! Cóż to za bzdury? Ma przecież własny, bardzo porządny dom i męża, żeby się nią opiekował, czyż nie?

- To Geoffrey zrobił jej krzywdę - powiedziała Daintry, siląc się na spokój, żeby nie wytrącić ojca z równowagi. - Ona uciekła od niego.

- Co ty opowiadasz?

- Uciekła, ponieważ Geoffrey ją bije.

- Jeżeli uciekła, to musi wrócić - wzruszył ramionami ojciec.

- Ojcze, czy ty mnie nie słuchasz? Geoffrey pobił ją tak, że jest cała posiniaczona, a co więcej, trzyma w ich domu swoją kochankę.

- To nie moja sprawa... i nie twoja. Jego kochanka to jego sprawa, a do tego ma pełne prawo karcić własną żonę. Głupio zrobiła, że uciekła. Będzie ją tylko musiał znowu ukarać.

- Jak może ojciec tak mówić, skoro to ojca własna córka?

St. Merryn zdjął okulary i wymachiwał nimi, podkreślając każde swoje słowo.

- Ważniejsze jest to, dziewczyno, że jest żoną Seacourta. On ma obowiązek karcić żonę, jeżeli okaże mu nieposłuszeństwo, tak więc powiedz Susan, żeby nie zadawała sobie trudu i nie rozpakowywała rzeczy. Jeżeli Seacourt nie pokaże się tu, żeby ją zabrać, sam mu ją jutro odwiozę.

- Nie może ojciec tego zrobić!

St. Merryn wstał, upuścił okulary na biurko, pochylił się i spiorunował Daintry wzrokiem.

- Nie tylko mogę to zrobić, ale nawet zrobię. A co do ciebie, dosyć mam twojej zuchwałości. Idź do sypialni i siedź tam, dopóki nie pozwolę ci znowu zejść na dół. Słyszałaś? Najpierw przekaż tej twojej siostrze, co mówiłem, a potem...

- Nie! - zawołała Daintry. - Jeżeli ojciec jej nie pomoże, sama to zrobię, ale nie pozwolę ojcu odesłać Susan do tego brata... - Słowa jej urwały się w ostrym krzyku, kiedy ojciec

dał jej po buzi; ręka Daintry sama podskoczyła do policzka. Patrzyła na ojca zaszokowana. Przez mgiełkę łez zobaczyła, że znowu podnosi dłoń, więc cofnęła się, mówiąc gniewnie: - Pójdę, ale nie wybaczę ci tego.

- Dobry Boże, Seacourt podchodzi do was we właściwy sposób - warknął jej ojciec. - Pamiętaj tylko, dziewczyno, że niewiasta może zawsze oszczędzić sobie poniżenia, jakie niesie kara. Wystarczy, żeby była posłuszna.

Spiesząc na górę, Daintry postanowiła zignorować palący policzek i oburzenie, jakie w niej budził; przypomniało jej się, że St. Merryn już wcześniej wyrażał podziw dla wychowawczych metod Geoffreya, i uświadomiła sobie, że na przyszłość będzie musiała uważać, by nie doprowadzać ojca do takiej wściekłości jak dziś. Zwykle omijał ją szerokim łukiem, kiedy naszała ją złość, i uwierzyła, że ojcowskie pogróżki jej nie dotyczą, ale teraz bolesny policzek posłużył jako ostrzeżenie: jeżeli ma pomóc Susan, musi tego dokonać, nie prowokując następnych wybuchów. Tak była pogrążona w myślach, że niemal potknęła się o Charley, która czatowała na nią na galerii.

- Ciociu Daintry, co my zrobimy? - Dziewczynka oczy miała rozszerzone i Daintry zorientowała się, że Melissa musiała przynajmniej częściowo się jej zwierzyć.

- Nie wiem, kochanie, trzymaj tylko Melissę z daleka od dziadka. Powiedział, że ciocia Susan musi rano wracać do domu, ale nie wiem, co będzie chciał zrobić z Melissa.

- Ale Melissa mówiła, że wuj Geoffrey...

Daintry położyła małej palec na ustach, uciszając ją.

- Wiem, kochanie, ale nie możemy teraz o tym rozmawiać. Pomówię z ciocią Ophelią i coś wymyślimy, więc wracaj do Melissy i powiedz jej, żeby się nie martwiła.

- Już jej to powiedziałam - oznajmiła Charley. - Ona wie, że ja się nią zaopiekuję, jeżeli tylko będę mogła, ale co my zrobimy?

- Ty nic nie rób - powiedziała stanowczo Daintry. - Dopilnuj tylko, żeby Melissa była spokojna. Ja się zajmę resztą.

Kiedy otworzyła drzwi do sypialni, usłyszała zniecierpliwiony głos lady Ophelii.

- Przestań zawodzić, dziecko, i bądź wdzięczna, że nie żyjesz w starożytnym Rzymie, gdzie mąż miał prawo zabić żonę nie tylko za cudzołóstwo, ale nawet za picie wina, jeżeli ją na tym przyłapał.

Daintry była pewna, że lady Ophelia dodała końcowe słowa tylko po to, by sprawdzić, czy Susan jej słucha, i zmusiła się do śmiechu.

- Chyba nie za samo picie wina, proszę cioci!

Lady Ophelia prychnęła.

- Uważano, że kobieta, która pije wino, zamyka swe serce przed każdą cnotą, a otwiera je przed każdym występkiem. Co ci się stało? Masz całkiem czerwony policzek.

- Nic, o czym warto by mówić. - Daintry zerknęła na Nance, która stała cicho jak myszka koło szafy, a potem przeniosła znowu wzrok na cioteczną babkę. - Papa nie chce pomóc. Co teraz zrobimy?

Lady Ophelia popatrzyła na nią twardo, jakby miała ochotę ponownie zapytać o zaczerwieniony policzek, ale powiedziała tylko:

- Rozumiem, jak się sprawy mają. Bardzo dobrze, nie odzywajcie się do mnie. Muszę się zastanowić.

Daintry odwróciła się do siostry.

- Jak często Geoffrey to robił, Susan? Dlaczego na to pozwalałaś?

- Taka jesteś niemądra, Daintry - westchnęła Susan. - A może powiedziałaabyś mi, co miałam zrobić, żeby go powstrzymać? Co mogłaby zrobić którakolwiek kobieta?

- No, ja przynajmniej...

- Nie lepiej by ci się wiodło przy takim mężczyźnie niż mnie - przerwała jej surowo Susan. - Jesteś jeszcze drobniejsza, a chociaż uważasz siebie za taką choleryczkę, twój temperament znaczyłby dla niego tyle, co jakiś płomyk, który należy zdusić.

Daintry otworzyła usta, żeby zaprzeczyć, ale w pamięci stanęła jej jak żywa scena z ojcem i musiała je znowu zamknąć. Susan, która źle ją zroszczyła, powiedziała:

- Och, wiem, że czujesz się zaszokowana. Ja też się tak

poczułam, kiedy mnie uderzył po raz pierwszy. Moja prze-
wina była taka niewielka, nawet jej teraz już nie pamiętam,
ale uderzył mnie tak, że upadłam, i prawie nie mogłam w to
uwierzyć. Potem taki był pełen skruchy. Obiecywał, że ni-
gdy się to nie powtórzy, a ja mu wierzyłam.

- Geoffrey zawsze wydawał mi się pełen uroku, aż do
Mount Edgcumbe.

- Niemal zawsze jest pełen uroku w miejscach publicz-
nych, ale w domu miewa ataki wściekłości niczym mały
chłopiec, a wtedy niczego nie potrafię zrobić dobrze. Zwy-
kle pokazuje się z tej strony wyłącznie w domu, ale kiedy
zobaczył w Mount Edgcumbe, że rozmawiamy we dwie,
i uświadomił sobie, że martwi cię moje zachowanie, a po-
tem na dodatek spadł z tego głupiego konia...

- To dlatego nie zesłaś na dół na obiad tego ostatniego
wieczoru! Kiedy okazało się, że drzwi są zamknięte na klucz,
myślałam, że położyłaś się wcześniej, bo byłaś zmęczona.

- Czuł się upokorzony - powiedziała Susan. - Nie mo-
głam dopuścić, żeby mnie potem ktoś zobaczył, bo mógłby
domyślić się, że coś jest nie w porządku, i z tego samego
powodu wyjechaliśmy następnego dnia wcześniej rano, po-
nieważ Geoffrey bał się, że ktoś zwróci uwagę, że ze mną
coś jest nie tak.

- Na pewno by zwrócił! Czy to wtedy ci to zrobił?

- Nie, pierwszy list przyszedł w dwa dni po naszym po-
wrocie do domu, a dziś rano dostaliśmy drugi. - Susan od-
wróciła wzrok.

- Dwa! Ale kto byłby zdolny coś tak okropnego zrobić?
Susan milczała.

- Co byś powiedziała o Annie, Nance? - odezwała się na-
gle lady Ophelia. - Czy przyjęłaby je? - Daintry zapomnia-
ła o obecności służącej.

Nance kiwnęła głową, ale minę miała niepewną.

- Ona może tak, wielmożna pani, ale nie wiem, jak Fe-
ok czy babcia. Im to się pewnie nie spodoba, zwłaszcza je-
żeli jaśnie pan powie, że nie wolno.

Nikt nie musiał pytać, o którego jaśnie pana chodziło;

w Tuscombe Park był tylko jeden. Daintry wymieniła spojrzenia z ciotką, potem powiedziała stanowczo:

- Jaśnie pan nie będzie nic o tym wiedział, Nance, więc nie będzie mógł niczego zabraniać. Co im powiemy?

Susan robiła takie wrażenie, jakby się wycofała z rozmowy, ale lady Ophelia i Nance, pełne dobrej woli, przedyskutowały obszernie z Daintry różne możliwości i w końcu podjęły decyzję, że powiedzą Annie tylko tyle, iż Susan chce się na jakiś czas zatrzymać na farmie razem z Melissą. Zgodziły się, że dawne pokojówki z pewnością będą wyciągały własne wnioski, i to najpewniej słuszne, ale, jak zaznaczyła ponuro lady Ophelia:

- To może nam w końcu wyjść bardziej na dobre niż na złe.

- Pojedziemy tam zaraz z rana - postanowiła Daintry chyba że uważasz, Nance, że powinnaś udać się tam od razu i uprzedzić Annie, by się nas spodziewała.

- Nie - sprzeciwiła się lady Ophelia. - Lepiej odwołać się do jej miłosierdzia, kiedy Feok i Dewy wyjdą w pole, a Annie będzie musiała rozmawiać z Susan twarzą w twarz.

- Nie chcę, żeby ktoś jeszcze zobaczył mnie w takim stanie - odezwała się żałośnie Susan.

Daintry odwróciła się do niej, niemal warcząc ze złości, i powiedziała:

- Zrobisz, co ci każemy. Jeżeli koniecznie chcesz, to zaślóń się welonem, ale tu nie możesz zostać, bo tak rozkazał papa. Ma zamiar odesłać cię do Geoffreya, Susan. Annie zna cię i kocha równie mocno, jak my, i zrobi, co będzie mogła. Nic więcej nie jesteśmy w stanie wymyślić. Nance się teraz tobą zajmie, a ja pójdę powiedzieć Melissie, co postanowiliśmy. Chyba że wolałabyś ją tutaj zostawić. Może Geofrey nie będzie tak się gniewał, jeżeli...

- Nie! - Susan wyprostowała się, jakby ją coś ukąsiło. - Nie może wracać sama. Nie byłaby tam bezpieczna.

- Miłosierny Boże - wykrzyknęła lady Ophelia. - Czy on to dziecko też bije?

Susan potrząsnęła głową, ale powiedziała:

- Oczywiście karci ją, kiedy jest niegrzeczna, ale nie o to

chodzi. Ona... och, taka jestem niemądra, wiem, ale wydaje mi się, że on... och, nie zwracajcie na mnie uwagi. Pewnie jestem po prostu zazdrosna, tak naprawdę nic się nie stało, tylko że...

Głos Susan zamarł; Daintry popatrzyła na nią z niepokojem i zapytała:

- Czy nie mogłabyś powiedzieć wyraźnie, o co chodzi, Susan? Co ty nam usiłujesz dać do zrozumienia?

- Nie zwracajcie na mnie uwagi - odparła Susan. - Nie wiem, dlaczego zawsze tak musisz się zachowywać, jakbyś to ty była starszą siostrą, Daintry. Przez ciebie zapominam, jaka jesteś młoda i niedoświadczona. Nic to. Jestem wytracona z równowagi i chciałabym mieć Melissę przy sobie, to wszystko.

Podeszła do umywalni, by opłukać twarz, a Daintry udała się do dziewczynek, żeby powiedzieć im to, co powiedzieć mogła. Charley założyła, że będzie towarzyszyła Susan i Melissie w drodze na farmę Warleggana, ale Daintry zaprotestowała:

- Nie, kochanie, to nie byłoby mądre. Okazałybyśmy wielką nieuprzejmość, zjeżdżając do domu Annie całym towarzystwem, kiedy nie ma ona pojęcia, że w ogóle ktoś wybiera się do niej z wizytą.

- Phi, Annie wcale się nie zmartwi, jeżeli przyjadę, a za to Melissa zmartwi się, jeżeli nie pojedę, i to bardzo. Prawda, Melisso?

Melissa zwróciła wielkie, niebieskie oczy na Daintry. Na jej rzęsach połyskiwały łzy. Wargi dziewczynki zadrżały, ale nie powiedziała nic.

Daintry westchnęła.

- Przypuszczam, że zmieściłabyś się w powozie, ale musisz pogodzić się z tym, że będziesz się tam tłoczyła z nami na przednim siedzeniu, żeby cioci Susan i cioci Ophelii było wygodnie.

- Moim zdaniem - powiedziała Charley z namysłem - to w ogóle nie jest dobry pomysł, żeby jechać powozem.

- No to jak, według ciebie, mamy przewieźć ciocię Susan na farmę Warleggana?

Charley zerknęła spod oka na Melissę, a potem z pozoru niewinnie zaproponowała:

- Tak sobie myślę, że spokojna jazda przez wrzosowisko dużo bardziej będzie cioci Susan odpowiadała niż trzęsienie się w powozie po gościńcu.

Daintry zaczerpnęła powietrza i już miała zapewnić bratanicę, że Susan absolutnie nie zechce jechać konno, kiedy uświadomiła sobie, że Charley obawia się pościgu Seacourta. Na gościńcu dogoniłby je na pewno, nawet gdyby nie jechał wierzchem, tylko własną bryczką. A lady Ophelia bardziej im pomoże, zostając w domu i dając mu odpór w Tuscombe Park - jeżeli będzie miała ku temu okazję - niż jadąc z nimi na farmę Warleggana.

Tak więc, zamiast odprawić Charley z kwitkiem, powiedziała spokojnie:

- Będę to musiała omówić z cicią Susan, kochanie, ale możesz mieć rację. Zostawię was teraz, ufam, że nie będziecie wymykać się z domu. Zjedzcie kolację i dobrze odpocznijcie w nocy.

Wiedziała, że wieczór to najbardziej niebezpieczna pora, bo Geoffrey mógł pojawić się w każdej chwili. Mijała godzinę za godziną, a ona siedziała jak na szpilkach i łatwo jej było uwierzyć, że nerwy Susan muszą być w jeszcze gorszym stanie. Żadna z nich nie zeszła na kolację, zjadły ją w sypialni. Lady Ophelia obiecała im, że gdyby pojawił się Seacourt, przyśle natychmiast na górę kogoś z ostrzeżeniem.

Kiedy obydwie młode kobiety zostały same, Daintry usiłowała podtrzymać rozmowę, ale siostra milczała przez cały czas, aż wreszcie cierpliwość Daintry wyczerpała się.

- Słuchaj no, Susan, wiem, że jesteś rozstrojona, ale to nie powód, żebyś zachowywała się, jakbym cię obraziła. Już przeprosiłam za to, co stało się w Mount Edgcombe, chociaż nie moja to wina, że Geoffrey tak bestialsko się zachował.

- Nie, to nie o to chodzi - wyjąkała Susan. Zerknęła spod oka na Daintry i odwróciła wzrok.

- Nie przerywaj teraz -- poprosiła ją Daintry. - Jeżeli nie chodzi o to, to o co? Masz dokładnie taką minę jak Melissa, kiedy zgodzi się, by Charley namówił ją na jakąś psotę. Co się dzieje?

- Nie wiem, dlaczego miałybyś z miejsca zakładać, że zrobiłam coś złego - szepnęła Susan ze wzrokiem wciąż utkwionym w dal.

- Niczego takiego nie zakładałam - zaprotestowała Daintry; myśli jej przeskoczyły nagle na całkiem nowy temat i chociaż wmawiała sobie, że to absurd, nie mogła się powstrzymać od pytania:

- Jednak było coś między tobą a Deverillem w Mount Edgcumbe?

Susan potrząsnęła głową, ale wciąż nie chciała na siostrę popatrzeć.

- Ale musiało się coś wydarzyć, może coś zupełnie nieistotnego, skoro on pomyślał, że...

- Nie, ile razy mam to powtarzać? Nic nie było!

- No to kto napisał coś takiego do ciebie i dlaczego?

Susan zaczerwieniła się aż po korzonki włosów i zagryzła wargę. Po dłuższej chwili szepnęła:

- Nikt.

- No ale ktoś to przecież napisał, a co do mnie... - Urwała; zaczynało dochodzić do niej znaczenie słów siostry i wpatrywała się w nią coraz szerzej otwartymi oczami. - Sama je napisałaś. - Po wyrazie twarzy Susan poznała, że to prawda, i oburzona zapytała: - Dlaczego? Jakiż mogłaś mieć powód, żeby oczerniać Deverilla czy samą siebie?

- Nie mów tego nikomu - błagała Susan, a łzy znowu toczyły się po jej policzkach. - Och, proszę, nie mów mu. Nie mów nikomu.

Daintry, powściągając złość, zapytała spokojnie:

- Dlaczego, Susan?

- Widziałam, jak Geoffrey się cofnął, i myślałam...

- Cofnął się? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Po tym jak spadł, wtedy kiedy miał zamiar wychłostać tego biednego konia, wystarczyło, że Deverill zastąpił mu drogę, a on opuścił szpicrutę. Miałam nadzieję, że jeżeli pomyśli, że Deverill zainteresował się... Och, widzę teraz, jaka byłam głupia. Nawet nie pomyślałam o Deverillu ani o niczym, chciałam jedynie, żeby Geoffrey bał się mnie

krzywdzić. Zamiast tego rozwścieczyłam go tylko i... i wiedziałam, że nadejdzie jeszcze drugi list, ponieważ dałam go pokojówce, by wysłała go po naszym wyjeździe i... Sama widzisz, z jakim s...skutkiem. - Wybuchnęła płaczem.

Daintry robiła co mogła, żeby ją pocieszyć, zapewniała, że nikomu nie powie i że Deverill sam się o siebie zatroszczy. W końcu Susan przestała płakać i zgodziła się położyć.

- Będę spała z tobą - powiedziała siostrze. - Geoffrey tu nie wejdzie, a w moim starym pokoju może mnie szukać.

Ale ku ich zdumieniu zaświtał ranek, a Geoffrey się nie pokazał.

Wstały wcześniej i spożyły na śniadanie same bułeczki i czekoladę, którą podała im Nance; potem włożyły amazonki, zapakowały kilka niezbędnych drobiazgów, zabrały dziewczynki i poszły do stajni, gdzie Clemons przygotował dla nich konie.

- Jaśnie pan nie bardzo to lubi, żeby panienka jeździła sama - przypomniał stajenny Daintry.

- No to mu nie mów - odpowiedziała.

Chociaż i Charley, i Daintry dokładały wszelkich starań, by wyjechać jak najwcześniej, zrobiła się niemal dziewiąta, zanim były gotowe dosiąść wierzchowców.

W końcu wyjechały z podwórza przed stajnią; starały się w miarę możliwości omijać gościniec i dopóki znajdowały się w pobliżu domu, kryły się bez trudu w cieniu żywopłotów. Daintry wiedziała jednak, że gdy zjadą na wrzosowisko, a teren zacznie się wznosić, ktoś może je zobaczyć.

Charley również świadoma była zagrożenia, bo oglądała się nieustannie przez ramię, i to ona zawołała:

- Tam jest! Podjeżdża w tej chwili do głównej bramy! Och, chyba nas zobaczył, bo zwolnił właśnie w tym momencie, a nie miał żadnego innego powodu, by tak zrobić!

Daintry obejrzała się w chwili, kiedy Charley krzyknęła, i zobaczywszy kariolkę, zdała sobie natychmiast sprawę, że Geoffrey również musiał je dostrzec. Wydawał się wahać przez moment, ale potem przejechał przez główną bramę na podwórze przy stajni. A konia mu tam osiodłają bez zwłoki.

Susan ściągnęła wodze.

- Przypuszczam, że lepiej będzie, jak wrócimy - powiedziała załamana.

- Nie mów bzdur - fuknęła Daintry. - Minie trochę czasu, zanim nas dogoni, a jeżeli wcześniej przejedziemy przez wrzosowisko, niż on znajdzie się w najwyższym punkcie gościńca, możesz być już bezpieczna na farmie Warleggana, nim się zorientuje, którędy pojechałyśmy.

- Ale zobaczy nas na wrzosowisku. Tam się nie ma gdzie schować!

- Musimy tylko wjechać za pierwsze wzniesienie - powiedziała spokojnie Daintry. - Pełno tam granitowych pagórków i krzaków. Opanuj się, Susan, i jedź. - Popędzając konia, zawołała: - Za mną!

Susan obejrzała się jeszcze raz i podażyła za siostrą. Na szczycie wzniesienia Charley obejrzała się i wykrzyknęła:

- On ma konia, ciociu Daintry. To ten koń dziadka do polowania z gończymi, Celtycki Księżę.

Księżę był najszybszym koniem w ich stajni i tak silnym, że Daintry obawiała się, iż może, nie zwalniając, pokonać nawet stromy podjazd pod górkę na gościńcu.

Charley podjechała do sióstr.

- Tu jest mnóstwo krzaków, ciociu Daintry. Zostanę na chwilkę z tyłu. Znam drogę, więc was dogonię. Wie ciocia, że dogonię.

Geoffrey miał nędzną opinię o jeździeckich umiejętnościach kobiet, więc Daintry przekonana była, iż założy, że pogalopowały gościńcem i podjedzie nim przynajmniej kawalek, by upewnić się, czy miał rację. Ale postąpi tak pod warunkiem, że nie dostrzeże ich ze szczytu wzniesienia.

Martwiła się na myśl, że miałyby zostawić Charley zupełnie samą, ale dziewczynka wydawała się całkiem pewna siebie.

- Zobacz, że od nas odjeżdżasz.

- Nie, nie zobaczy. Potrafię go powstrzymać, ciociu Daintry, dopóki nie zsiądzie, żeby sprawdzić, czy nie dzieje się coś złego z Księżem. Nie ośmieli się jechać dalej, dopóki tego nie sprawdzi, bo Księżę to ulubiony koń dziadka. Bałam się, że weźmie ze sobą jednego ze stajennych, ale

ponieważ jedzie sam... Proszę, ciociu, niech ciocia mi pozwoli!

Susan wyprzedziła je, ale teraz obejrzała się i zawołała:

- Nie zwalnijcie! Musimy się spieszyć. - W jej głosie słychać było panikę.

Daintry z miejsca podjęła decyzję; powiedziała sobie, że nawet gdyby coś się nie udało, Geoffrey nie ośmieli się skrzywdzić Charley. Kiwnęła dziewczynce głową, spięła konia ostroga, zachęciła Melissę i Susan, żeby przyłożyły się do jazdy jak nigdy dotąd, i miała nadzieję, że przejęta swoim własnym bezpieczeństwem Susan nie zauważy nieobecności Charley.

W kilka chwil później przez grzmot kopyt końskich przebił się znajomy gwizd. Daintry uderzyła mocno piętami Obłoka, który już chciał zwalniać, i modląc się, by plan Charley nie zawiódł, zawołała na towarzyszki, zalecając im użyć szpicruty. Ale dopiero wtedy, kiedy grunt pod nimi zaczął łagodnie opadać, a słabe gwizdanie Charley zamarło w oddali, ośmieliła się znowu normalnie oddychać.

Szeroko uśmiechnięta Charley dogoniła ich przy wejściu na farmę w dwadzieścia minut później.

- Musiałam to zrobić trzy razy - powiedziała, chichocząc.

- Biedny Książę, boki go muszą boleć, a wuj Geoffrey wnie nabrał przekonania, że we wrzosach kryją się *banshee**, ale udało się.

- O czym ty mówisz, Charlotto? - *zapytała* Susan.

Charley puściła oko do Melissy.

- Ależ o niczym, ciociu Susan, w ogóle o niczym.

*Banshee (irl., szkock.) - duch zawodzeniem zapowiadający śmierć (przyp. red.).

13

Kiedy już Daintry i Charley uzyskały zapewnienie, że Susan i Melissa będą mile widziane na farmie Warleggana i że Feok, który mógłby się ich pobytowi tam sprzeciwić, jest nieobecny, nie ociągały się dłużej.

- Pojechał ze stadem owiec do rzeźni w Truro - wyjaśniała Annie - i nie wróci wcześniej, niż za dwa dni. Dewy'ego też nie ma. Wybrał się gdzieś w swoich własnych sprawach, ale nie ma co myśleć - dodała bez ogródek - że jakimś sposobem uda mi się wmówić któremuś z nich, że lady Susan woli pokoik na górcie w naszej chałupie od wygod w Seacourt Head, a nie bardziej niż każdy inny chłop będą chcieli pomóc niewieście, która sprzeciwia się własnemu ślubnemu mężowi.

- A nawet mniej - wtrąciła cierpko babcia Popple.

- Wszystko jedno - powiedziała wesoło Charley. - Wymyślimy coś, zanim Feok wróci.

Daintry żałowała, że nie podziela optymizmu Charley. Kiedy jechały z powrotem przez wrzosowisko, przytapała się na tym, że wzrokiem przeszukuje horyzont w nadziei, że zobaczy przypominającego centaury jeźdźca. Charley paplała przez całą drogę, opowiadając Daintry ze szczegółami, jak to ukryła się za niewielką skałą, w miejscu gdzie gościniec piął się na pagórek, i jak gwizdała, żeby skłonić Księcia, by zwolnił i stanął, i to nie raz, tylko trzy razy, dopóki Seacourt nie zsiadł, chcąc obejrzeć kopyta konia.

- Potem pobiegłam dosiąść znowu Victora, bo przecież musiałam zejść z niego i podkraść się bliżej, żebym, gwizdząc, widziała wuja Geoffreya, a potem galopem popędziłam jak błyskawica za wami. Zatrzymałam się znowu za jakimś wielkim stosem kamieni, żeby sprawdzić, czy wuj Geoffrey będzie się trzymał drogi. I tak było.

Daintry obawiała się, że już niedługo mogą natknąć się na Seacourta, ale dojechały do Tuscombe Park, nie spotykając go. W domu wysłała Charley natychmiast do panny Parish i ostrzegła ją, że jeżeli mama czy papa zapytają, gdzie była, musi mówić prawdę, nie ujawniając celu ich podróży.

- Nie będą pytali - odpowiedziała z westchnieniem Charley. - Prawie ich nie widuję. Czy zwracaliby na mnie więcej uwagi, gdybym była chłopcem, ciociu Daintry?

- Gdybyś była chłopcem, już dwa lata temu wysłaliby cię do Eton albo do Harrow, żeby ci różgą wbijano do głowy wspaniałe wykształcenie. Uważam, moja panno, że pobyt tutaj ze mną i ciocią Ophelią wychodzi ci na zdrowie.

- Cieszę się, że jest ciocia moją ciocią - odpowiedziała z szerokim uśmiechem Charley i wysłała.

Daintry znowu zaczęła się zastanawiać, co mogło poróżnić Davinę i Charlesa, ale ten temat zajął ją tylko na krótko, jako że łąda chwila zagrażała im wizyta Seacourta. Pospieszyła na poszukiwanie lady Ophelii, która siedziała z pogodną miną w bawialni, pamiętnik, pióro i kałamarz odsunęła na bok, a uwagę skupiła na kuzynce Ethelindzie. Ta w chwili, gdy Daintry weszła do pokoju, wyjaśniała rozwlekłe, czemu lady St. Merryn nie zdecydowała się jeszcze zejść tego ranka na dół.

- Naprawdę poważnie martwię się o twoją mamę - dodała na widok Daintry. - Tak się zdenerwowała Susan, że leży dziś niemal bez ducha.

- Byłoby lepiej, żeby Letitia poczuła się wreszcie za coś odpowiedzialna - fuknęła lady Ophelia. - Omdlewa zupełnie jak roślina, której nie ma kto podleć.

Kuzynka Ethelinda zeszywniała.

- Mogę z całą pewnością stwierdzić, że ją podlewam... to jest, podlewałabym, gdyby była rośliną. Jeżeli tylko czegoś jej trzeba, zawsze dbam, by to dostała.

- Och, moja droga - powiedziała lady Ophelia, potrząsając głową - każda kobieta ma potrzeby, których nie zdoła zaspokoić inna kobieta, ani mężczyzna, skoro już o tym mowa. Musi się mieć również własne, wewnętrzne siły, a obawiam się, że Letitia jest ich pozbawiona. Wydałam polecenie

- dodała, spoglądając znacząco na Daintry - żeby wszelkich gości kierowano do nas. Na razie żadnych gości nie było.

- Rozumiem - potwierdziła, patrząc jej w oczy Daintry.

- Mam nadzieję, że Susan udało się wyjechać z samego rana i że szybko poprawi swoje stosunki z Seacourtem - zaszczębiotała radośnie kuzynka Ethelinda. - Kobieta nie powinna sprzeczać się z mężem.

Daintry poczuła się zaskoczona.

- Susan wyjechała o dziewiątej, kuzynko. Czy kuzynka pracuje nad nową makatą? - dodała i usiadła obok niej na sofie.

- Tak, prawda, jaki ten wzór jest ładny?

Nagle na galerii rozległy się wyraźne męskie głosy i Daintry zeszywniała. Lady Ophelia tymczasem ujęła pióro i wyglądała tak, jakby cała jej uwaga skupiała się na dzienniku.

Drzwi gwałtownie otworzyły się, do pokoju wszedł St. Merryn, a za nim rozwścieczony Seacourt.

- Gdzie, u diabła, jest Susan? - zapytał ostro St. Merryn.

Daintry wstała i usiłowała zachować spokój.

- Nie ma jej tutaj, papo. Ponieważ nie chciałeś jej pomóc, odjechała.

Seacourt postąpił dwa kroki w jej kierunku.

- A niech cię, ty przekłeta, młoda...

- Język, Seacourt - warknął na niego St. Merryn. - Obecne są damy.

- Przepraszam, sir, ale wobec czegoś takiego każdy zapomniałby o dobrych manierach. Susan przyjechała tu i napowiadała wszystkim, jak źle jest traktowana, ponieważ chwilowo się na mnie odrobinę rozzłościła, a Daintry, jeżeli się bardzo nie mylę, dopomogła jej w bardzo niegrzecznym postępku.

Daintry spiorunowała Seacourta wzrokiem.

- Przypuszczam, że papa mówił ci, iż nie chciał się zobaczyć z Susan. Nie wmawiałbyś nam, że było to zwykłe nieporozumienie, gdybyś wiedział, że widział jej twarz.

Seacourt poczerwieniał i uporczywie patrzył jej w oczy.

- Pożałujesz, jeżeli stanęłaś pomiędzy moją żoną a mną, moja panno.

- Dzięki Bogu nie jestem twoją panną - odparła Daintry - a twoje groźby nie robią na mnie wielkiego wrażenia, Geoffreju. Papo, proszę - dodała, odwracając się do ojca - nic może mu papa wierzyć.

St. Merryn odpowiedział jej gniewnym spojrzeniem.

- A co ty tutaj w ogóle robisz? Dokładnie pamiętam, że kazałem ci siedzieć w swojej sypialni, dopóki nie pozwolę ci Z niej wyjść.

- To prawda, kazał ojciec, ale wiedziałam, że Geoffrey tu przyjedzie i...

- Ona była na gościńcu razem z Susan - wtrącił Seacourt.

- Słowo daję - warczał St. Merryn - powinienem przełożyć cię przez kolano i nauczyć posłuszeństwa, dziewczyno.

- Nie zrobisz tego - przerwała mu lady Ophelia spokojnie - jeżeli tylko będę miała coś do powiedzenia w tej sprawie.

Popatrzyła mu w oczy i St. Merryn pierwszy odwrócił wzrok, zerknął na Seacourta, a potem rozeźlony popatrzył na Daintry i wymamrotał:

- Jeżeli ktoś myśli, że łatwo jest mężczyźnie zarządzać domem pełnym kobiet, to nigdy tego nie próbował, i tyle.

- Daintry - ciągnęła dalej lady Ophelia - nie powiedziałaś mi, że miałaś nie opuszczać swojego pokoju. Nie powinnaś była wychodzić. Bądź tak dobra i natychmiast przeproś ojca.

- Bardzo przepraszam - powiedziała Daintry. - Z całego serca, papo, naprawdę nie chciałam okazać nieposłuszeństwa, ale Susan mnie potrzebowała i po prostu nie zastanowiłam się, co robię.

- Dajmy już temu spokój - wtrącił ostro z wyraźnym obrzydzeniem Seacourt. - Dokąd, u diabła, zabrałaś Susan? I nie zadawaj sobie trudu, by twierdzić, że nigdzie jej nie zabierałaś, bo na własne oczy was widziałem, wszystkie cztery, i gdyby ten cholerny koń, którego wziętem ze stajni, nie wbił sobie nagle do łba, że musi zwolnić do stępa, i to nie raz, zważcie, ale trzy razy, to dogoniłbym was na gościńcu.

- Który to był koń? - zaciekawił się St. Merryn.

- Ten, którego nazywają Książę. Duży gniadosz do polowania z gończymi.

- Słowo daję, Seacourt, jeżeli zrobięś jakąś krzywdę temu koniowi...

- Nie zrobiłem. Musiały go spłoszyć dzikie ptaki. W każdym razie doszedł do siebie i był w świetnej formie, kiedy go przyprowadziłem z powrotem do stajni.

Daintry nie ośmieliła się spojrzeć na lady Ophelię, która wielokrotnie słyszała, jak Charley opowiadała o tresowaniu koni. Rzekła tylko:

- Przysięgam, że nic nie powiem, Geoffreju, więc nie pytaj mnie. Zawsze dotrzymuję słowa.

Seacourt wbił wzrok w St. Merryna i zażądał:

- Niech jej pan rozkaże, żeby mi powiedziała, sir, albo proszę posłać po małą Charlotte, a ja szybko wyduszę z niej prawdę, nawet gdybym miał ją z niej siłą wytrząsnąć.

- Uważaj, Geoffreju - odezwała się Daintry - żebyś nam nie pokazał więcej ze swojej rozkosznej osobowości, niż chciałeś pokazać.

Seacourt rzucił jej wściekłe spojrzenie, ale skupiał nadal uwagę na St. Merrynie.

- I cóż, sir?

- Powiedz mi, gdzie jest Susan, Daintry.

- Nie, sir.

- Co ty powiedziałaś? - St. Merrynowi szczęka opadła.

- Nie powiem mu. Może mnie ojciec zamknąć w moim pokoju albo mnie zbić, ale i tak wam nic nie powiem. Obiecałam Susan, że jej nie zdradzę, i mam zamiar dotrzymać obietnicy.

- A więc przyprowadźcie Charlotte - polecił Seacourt. - Już ja z nią porozmawiam.

St. Merryn zmarszczył się, a Daintry wstrzymała oddech w obawie, że poślą po Charley; ale zanim zdążyła się odezwać, lady Ophelia powiedziała równie spokojnie jak przedtem:

- Możecie oczywiście wezwać Charlotte, ale na ile ją znam, a znam ją bardzo dobrze, ona również nie zgodzi się wam nic powiedzieć, a scena, którą, odmawiając wam, odegra, rozbawi dużo bardziej ją niż was.

- Ściągnijcie tu Charlesa - warknął Seacourt. - Chyba nie

dał się wam do tego stopnia zastraszyć, żeby miał uchylać się od zmuszenia własnej córki do mówienia.

Daintry westchnęła.

- Naprawdę nie najlepiej znasz Charlesa, prawda, Geoffreju? Davina mogłaby ci pomóc, gdyby miała na to ochotę, ale przypuszczam, że więcej będzie miała sympatii dla Susan niż dla ciebie, a tak czy owak nie zgodziłaby się, by biciem wymuszać odpowiedź na Charley. Muszę przyznać, że Charles również nigdy by tego nie zrobił.

St. Merryn wzruszył ramionami.

- Coś mi się zdaje, że nic nie poradzisz, chłopcze, jeżeli one nie zechcą mówić. Przyjmij moją radę i Zaczekaj dzień czy dwa, a dzierlatka sama wróci do domu. Zawsze tak robią, a wtedy będziesz mógł dać jej nauczkę, żeby na przyszłość była ci bardziej posłuszna.

- Wywiozła moją córkę z mojego domu - powiedział Seacourt, a w jego głosie dało się wyczuć napięcie. - Nie będę siedział z założonymi rękami i czekał, co jeszcze wymyśli.

St. Merryn potrząsnął głową.

- Postąpiła źle, bardzo źle. Miejsce dziecka mężczyzny jest w jego domu. Podobnie jak miejsce jego żony. Susan źle postąpiła, Ophelio. Nawet ty chyba to zrozumiesz.

Lady Ophelia, patrząc Seacourtowi prosto w oczy, oznajmiła:

- Susan postąpiła tak, jak uważała za stosowne, i ponieś konsekwencje, jakiegokolwiek by one były; ale niech mnie pan dobrze zrozumie, młody człowieku, kiedy powiem, że wierzę każdemu jej słowu. Źle to, że potraktował pan żonę brutalnie, ale żeby jeszcze zmuszać ją, by przyjęła do waszego domu pana kochankę i utrzymywać takie kontakty na oczach własnego, niewinnego dziecka...

- Co ty za bzdury teraz wygadujesz, Ophelio? - przerwał jej ze złością St. Merryn. - Kochankę? A co ma do tego jego kochanka?

- Ona mieszka razem z nimi w ich domu - wyjaśniła Daintry. - To ta lady Catherine Chauncey. Mówiłam papie...

- A ja ci już powiedziałem, i powtarzam to raz jeszcze, że

masz się trzymać od takich kwestii z daleka. Ładną byśmy mieli sytuację, gdyby niewiasty zaczęły wypominać mężczyznom ich prywatne sprawy. - Popatrzył na Seacourta z nowym szacunkiem. - Powiadasz, że naprawdę mieszka z wami?

- Moja kuzynka przedłużyła swoją wizytę - odparł sztywno Seacourt. - Obojętne, co Susan o niej myśli, nie ma w tym niczego więcej.

- Słowo daję - powiedział St. Merryn niemal ze złością. - Nie wiem, jak ty sobie z tym radzisz, chłopcze. Doprawdy nie wiem.

Seacourt odwrócił się do Daintry.

- Może ci się wydaje, że wygrałaś, ale mylisz się. Mam wszelkie podstawy, by wstąpić na drogę prawną, i zrobię tak. A nawet, jeżeli się bardzo nie mylę, podjęcie takich działań może się okazać interesujące. - Przyglądał jej się teraz tak, jakby chciał ją na czymś przyłapać, i dodał cicho: - Najbliższy sąd, zdaniem twojego ojca, znajduje się obecnie w Deverill Court; przyszło mi teraz do głowy, że to najbardziej prawdopodobne miejsce, w którym mogła schronić się Susan.

- Zwariowałaś, Geoffreyu.

- Deverill Court! - wykrzyknął wstrząśnięty St. Merryn. - Słuchaj no, Seacourt, żebyś tylko nie mówił, że to ja kazałem ci prać swoją brudną bieliznę przed Jervaulxem. Nie pozwolę na to! Przez wszystkie te lata trzymaliśmy nasze sprawy z dala od niego. Nie pozwolę, żebyś...

- Nie może mnie pan powstrzymać - warknął Seacourt. - Nawet gdybym się mylił, nie minie dzień, a zobaczycie mnie tu znowu wszyscy, a wtedy będę miał już prawo po swojej stronie. - I z tymi słowami wyszedł.

Daintry z szeroko otwartymi oczami odwróciła się do lady Ophelii.

- Czy to prawda, że ojciec Deverilla jest najbliższym sędzią? Lady Ophelia przytaknęła, przyglądając się St. Merrynowi.

- Tak. Pełni te obowiązki już od lat. Ale dłaczegóż to Seacourt miałby się spodziewać, że zostanie Susan w Deverill Court? Musi zdawać sobie sprawę, że te jego tak zwane podejrzenia to kompletna bzdura.

- Jakie podejrzenia? - zażądał wyjaśnień St. Merryn.

- Przyszły do nich listy, w których oskarżano Deverilla o flirt z Susan, ale nie było w tym prawdy, papo - wyjaśniła Daintry. - Susan nie należy do kobiet, które pozwoliłyby sobie na takie zachowanie, a Deverill nie należy do mężczyzn, którzy podjęliby takie próby.

- Nieważne! Susan jest problemem Seacourta, a on niedługo doprowadzi ją do porządku.

- Jeżeli tylko uda mi się go powstrzymać, to nie - powiedziała Daintry. - A co więcej - dodała, zwracając się do lady Ophelii, kiedy St. Merryn już wyszedł - bardzo chciałabym być przy tym, jak Seacourt wedrze się do Deverill Court i zażąda zwrotu żony.

Deverill rozsiadł się wygodnie w kancelarii, nogi oparł o kratę przed kominkiem, na którym z trzaskiem płonął ogień, i czytał książkę. Niecałe pół godziny wcześniej skończył południowy posiłek, z zadowoleniem popijał poobiedni kieliszek wina i cieszył się kilkoma minutami lektury dla rozrywki, zanim zabierze się do całego stosu dokumentów, które ojciec zostawił na biurku. Miał zamiar w miarę możliwości posortować je i pochować, zanim wróci do harówki w archiwum, ale najpierw chciał sobie chwilę poczytać.

Właśnie wtedy lokaj otworzył drzwi do kancelarii i zanonсоваł:

- Sir Seacourt, panie. - Gideon przez moment myślał, że musiał się przesłyszeć. Ale podniósłszy wzrok, zobaczył Seacourta we własnej osobie, czerwonego jak kawał wołowiny, i gotowego do walki.

Deverill odłożył książkę.

- Proszę wejść, Seacourt. Należ sir Geoffreyowi kieliszek wina, Thornton. - Uśmiechnął się do gościa. - Mój ojciec ma ich wielki wybór. Na co ma pan ochotę?

- Chcę odzyskać żonę - powiedział Seacourt. - Jeżeli jest gdzieś tutaj, to może byś ją przyprowadził, Deverill.

Deverill uniósł brwi i odparł spokojnie:

- Rozumiem, że sir Geoffrey nie ma ochoty się napić,

Thorntonie. Możesz odejść. Na szczęście - dodał, kiedy za lokajem zamknęły się drzwi - mój ojciec ma dobrze wyszkolonych służących. Nie musi się pan obawiać, że Thornton powtórzy to, co od pana usłyszał.

- Ni czorta mnie nie obchodzi, czy coś powtórzy czy nie - warknął Seacourt. - Gdzie ona jest?

- Wie pan - powiedział Deverill - dostałem ten pana absurdalny list i nie zrobił on na mnie większego wrażenia, ale teraz widzę, że kompletnie stracił pan rozum, a to wiele może tłumaczyć. A kiedy to, mój poczciwce, miałem, pana zdaniem, czas na to, by zwrócić na siebie uwagę lady Susan, nie mówiąc już o dokonaniu tego, o co mnie pan, zdaje się, oskarża?

- A skąd ja mógłbym wiedzieć, czego pan dokonał?

- Och, dajże pan spokój, nie moje czyny powinny pana obchodzić, tylko to, co zrobiła pana żona. O ile mi wiadomo, nieczęsto opuszcza ona Seacourt Head, a i wtedy tylko w pana towarzystwie.

- Byłem przez dwa miesiące bez niej w Brighton.

- Co pan nie powie? Ja ze swej strony spędziłem te same dwa miesiące, lub prawie dokładnie te same, w Belgii, kiedy wróciłem, udałem się wprost do domu mego ojca w hrabstwie Gloucester, a potem na dwa tygodnie wybrałem się na północ. Po raz pierwszy zobaczyłem pana żonę, kiedy w drodze powrotnej zatrzymałem się w Tuscombe Park. Pan przyjechał do domu następnego dnia. Usiądź, człowieku, wypij kieliszek wina i powiedz mi, o co, u diabła, w tym wszystkim chodzi.

- Nie, dziękuję panu - odpowiedział Seacourt sztywno. - Nie mogę dowieść, że pan kłamie, ale nie mam również jak sprawdzić, czy mówi pan prawdę. Tak naprawdę przyjechałem dziś w poszukiwaniu Jervaulxa. Słyszałem, że tu przebywa.

- Wrócił kilka dni temu, ale znowu wyjechał.

- Zaczekam.

Deverill westchnął.

- Musiałyby pan czekać dosyć długo, ponieważ właśnie odbywa się zimowa sesja sądu. Jego lordowska mość jest w Launceston.

- Dziękuję - powiedział Seacourt i dodał szorstko: - Po-

szukam go tam. Nie musi pan dzwonić na służącego. Sam znajdę drogę.

- Nie wątpię, ale chyba jednak po niego zadzwonię.

Seacourt zaczerwienił się i wypadł z pokoju, po drodze niemal zderzając się z Thorntonem, który już zjawił się na dzwonek.

Drzwi się za nimi zamknęły; Deverill wstał z fotela, podszedł do biurka i odsunął papiery ojca na bok, żeby napisać list. Potem, zadzwoniwszy znowu po Thorntona, złożył pismo, zapieczętował je i odbił na ciepłym, czerwonym wosku swój sygnet.

Na widok lokaja, uśmiechnął się i powiedział:

- Odprowadziłeś go aż do drzwi?

- Tak, wielmożny panie.

- Dobrze. Znajdź mi teraz Neda Shaltona i przyślij go do mnie. I, Thorntonie... - dodał, kiedy lokaj się odwracał.

Thornton obrócił się znowu twarzą do niego.

- Słucham, wielmożny panie?

- Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby udało ci się zapamiętać o wszystkim, co wydarzyło się w tym pokoju przez ostatnie pół godziny.

- Oczywiście, wielmożny panie.

Kiedy pojawił się Shalton, Deverill powiedział:

- Zabierz to pismo do stajni w Tuscombe Park, Nedzie, i oddaj je pod czułą opiekę stajennego o nazwisku Clemons, żeby przekazał je przy najbliższej okazji swojej panience. I jeszcze jedno, Nedzie, niech cię tylko stamtąd nie wyproszą, jeżeli to możliwe.

- Tak, panie majorze - odpowiedział ordynans, uśmiechając się szeroko. - Jakiś *billet doux*, nieprawdaż? Dopilnuję, żeby dotarł bezpiecznie w ręce dziewczyny.

- Nie żadnej dziewczyny tym razem, Nedzie, tylko damy.

- Och, tak, panie majorze. To już milczę jak grób.

- Jak tam sprawy z Kibworthem?

- Mamy zawieszenie broni. On na mój widok nie pociąga nosem, a ja nie piorę go na kwaśne jabłko. Wydaje się, że to bardzo dobry układ.

- Jazda stąd, Ned. Uważaj na to pismo.

Służący wyszedł, a Gideon skupił się na leżących na biurku papierach i wkrótce przekonał się, że tyle samo z nich dotyczy spraw powiązanych z hrabstwem Gloucester, co interesów Jervaulxa w Kornwalii. Zaczął je porządnie rozkładać na kupki.

Późnym popołudniem tego samego dnia, kiedy Daintry udała się razem z Charley do stajni, żeby nakarmić marchewką Victora i Obłoka, podszedł do nich Clemons.

- O co chodzi, Clemons? - zapytała Daintry. - Masz taką minę, jakbyś pod kurtką chował jakąś kontrabandę.

Clemons przyłożył palec do warg, wsunął dłoń za pazuchę i wyjął list.

- Milczę jak grób, jaśnie panienko. Powiedzieli, żebym to panience cichcem oddał. Nie znam człowieka, który to przyniósł. Ma panienka teraz kawalera? Zgadłem?

Daintry wpatrywała się w śmiałe, czarne litery, które składały się na jej imię, i nie odzywała się. Odwróciła list, zobaczyła pieczęć, a chociaż nie była to pieczęć jej znana, domyśliła się natychmiast, od kogo musi być pismo. Ostrożnie, żeby nie uszkodzić wosku, wsunęła pod niego paznokiec i poluzowała pieczęć tak, że oddzieliła się ona w całości od reszty. Potem ostrożnie rozłożyła papier i przeczytawszy kilka słów od Deverilla, zawołała do Charley, że wraca do domu, i pospieszyła poszukać lady Ophelii.

Ciotkę znalazła w jej sypialni.

- Niech ciocia na to popatrzy - powiedziała Daintry i pokazała list.

- Umieram z ciekawości, dziecko. Widzę, że to list od dżentelmena. Kim on jest?

Daintry zerknęła na służącą.

- Och, na litość boską, nie zwracaj uwagi na Almę. Zamknięta jest jak ostryga, po tylu latach sama powinnaś to wiedzieć. Od kogo jest list?

- Od Deverilla. - Daintry czekała na reakcję.

- Bardzo to niestosowne, ale należy przypuszczać, że gdyby przysłał go przez lokaja i kazał dostarczyć do drzwi

frontowych, służba zaniósłaby go prosto do twego ojca, a echo jego reakcji grzmiałoby po całym domu. Przeczytaj.

- Napisał tylko, żeby powiadomić mnie, iż Geoffrey udał się do Launceston w poszukiwaniu lorda Jervaulxa.

- Sąd zasiada teraz na sesji wyjazdowej - powiedziała lady Ophelia. - Letnia odbywa się w Bodmin; zimowa w Launceston. To dlatego Lionel właśnie teraz przyjechał z Londynu; jego przyjazd wydawał mi się opatrnościowy, ale ciekawa jestem, co zdaniem Geoffreya Jervaulx może dla niego zrobić.

- Nie wiem, a Deverill nic o tym nie pisze. Zawiadamia tylko, że Geoffrey był bardzo wytrącony z równowagi zniknięciem Susan i jeżeli miałam z tym coś wspólnego, powinnam jej doradzić, by jak najprędzej odzyskała rozum. Typowy mężczyzna, osądził sprawę, zanim poznał wszystkie fakty! Ja ze swej strony wiem przynajmniej tyle, że kiedy usłyszy, jakie one są, nie będzie się tak spieszył, by stawać po stronie Geoffreya.

- Nie należało z nim rozmawiać o prywatnych sprawach swojej siostry, Daintry, a jak już o tym mowa, to powinnaś mieć na tyle rozumu, by nie spodziewać się, że kiedy Deverill pozna fakty, popatrzy na sprawę z kobiecego punktu widzenia.

- A właśnie że tak robi - upierała się Daintry z przekonaniem. Postanowiła, że odpowie na jego list od razu po obiedzie i wyjaśni mu, jak się sprawy obecnie mają.

Nadzieja Daintry, że misja Seacourta okaże się płonna, utrzymała się tylko do jego powrotu. Późnym popołudniem następnego dnia, kiedy on i St. Merryn weszli w towarzystwie Charlesa do bawialni, gdzie Daintry siedziała z innymi paniami, Seacourt miał zadowoloną z siebie minę, zaś St. Merryn i Charles wyglądali na niesłuchanie poirytowanych.

- Widzisz, co narobiłaś, dziewczyno? - zapytał ojciec z rozdrażnieniem. - Nie minie tydzień, a po całym hrabstwie rozniesie się, że moje córki powariowały.

- Ależ co się stało, papo St. Merryn? Co zrobiły Daintry i Susan? - spytała Davina.

St. Merryn nadal tylko piorunował Daintry wzrokiem, a odpowiedzi udzielił żonie Charles:

- Susan uciekła. Seacourt jej szuka.

- O mój Boże - w głosie Daviny słychać było nutę sarkazmu - czemu kobieta miałaby uciekać od swego małżonka?

Daintry, która uświadomiła sobie, że przy rozmowach o Susan Daviny nie było, rzekła:

- Opowiem ci o tym później. Papo, naprawdę bardzo mi przykro, że się zirytowałeś, ale obojętne, co Geoffrey już zrobił albo czym grozi, to i tak nie pomogę mu znaleźć Susan.

Seacourt sięgnął do wewnętrznej kieszeni surduta i wyciągnął zwój pergaminu.

- O, tak, pomożesz mi, chociażbyś z całej duszy nie chciała tego zrobić. Mówiłem ci, że prawo stanie po mojej stronie, i miałem rację.

- A cóż może zrobić prawo? Nie może mnie zmusić, bym cokolwiek powiedziała.

Seacourt spojrział na lady Ophelię.

- A co pani na to, madame? Czy pani również nie zechce powiedzieć mi, gdzie można znaleźć moją żonę?

- Również - stwierdziła lady Ophelia stanowczo.

- A czy zna pani znaczenie słów *habeas corpus*?

Lady Ophelia skrzywiła się.

- Znam. Czy to właśnie taki nakaz sądowy trzyma pan w ręku, sir?

- Tak jest.

Stara dama skinęła głową, a Daintry, która nie mogła już dłużej wytrzymać napięcia, wykrzyknęła:

- Ale co to znaczy, ciociu Ophelio? Co może kawałek papieru mieć wspólnego z tą całą sprawą?

- Tylko tyle, moja słodka - powiadomił ją z pełnym zadowolenia uśmiechem Seacourt. - Jeżeli nie powiesz mi, gdzie jest Susan, to będziesz ją musiała przyprowadzić przed sąd w Launceston do przyszłego czwartku, a jeżeli nie, to sędzia, w tym wypadku markiz Jervaulx, z ogromną przyjemnością wtrąci ciebie i drogą lady Ophelię do więzienia w tymże Launceston.

- Nie może tego zrobić!

- Może i zrobi. A więc, gdzie jest moja żona i dziecko?

Daintry popatrzyła błagalnie na lady Ophelię.

- Nie powiem mu. Wolę iść do więzienia.

Lady Ophelia zacięła wargi i milczała przez długą chwilę, a potem rzekła:

- Nie ma żadnej konieczności, byś już teraz mówiła o więzieniu. Twierdzi pan, że zgodnie z tym nakazem ich obecność jest obowiązkowa, sir?

- Tak, ale z pewnością nie będą panie chciały cierpieć poniżenia związanego z pokazywaniem się na sali sądowej. Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie mogę je znaleźć, a nie będą się panie musiały na to narażać.

- Nie ma niczego poniżającego w przyzwoitym angielskim sądzie - oznajmiła stara dama. - Zapomina pan o jednym, młody człowieku. Kiedy się już tam znajdziemy, same będziemy miały też coś do powiedzenia.

- Ale co to da, droga pani? Żaden sąd nie wyda w takiej sprawie orzeczenia przeciw mężowi. Jeżeli pani i Daintry chcecie wystawić się na pośmiewisko, nie mogę pań powstrzymać, ale przekazcie Susan ode mnie ostrzeżenie, że im bardziej mnie rozgniewa, tym bardziej pożałuje, kiedy już Jervaulx każe jej wrócić do domu.

Seacourt wyszedł, a Daintry skorzystała z pierwszej nadarzającej się okazji, by naradzić się z ciotką na osobności.

- Co my zrobimy, proszę cioci? Czy musimy im oddać Susan?

- A czy ty wyobrażasz sobie, że twoja siostra zgodzi się, byś poszła do więzienia z jej powodu?

Daintry nie pomyślała o tym.

- Nie - westchnęła.

- A może masz zamiar prosić Annie, żeby z powodu Susan naraziła na ryzyko siebie, babcię Popple albo Feoka? A może przypuszczasz, że Seacourt, kiedy już się o wszystkim dowie, przebaczy im to, że pomogli Susan?

- Och, jakie to okropne! No więc bardzo dobrze, musimy zrobić tak, jak ciocia proponowała, i przedłożyć sprawę Susan sądowi. Papie się to podobać nie będzie, ale ostatecznie Jervaulx musi okazać sprawiedliwość, a Deverill porozmawia z nim w naszym imieniu. Od razu do niego napiszę, żeby powiadomić go, co Geoffrey zrobił.

- Przyzwoite młode damy nie korespondują z nieżonatymi dżentelmenami, a już z pewnością nie o sprawach rodzinnych.

- Och, jej, jakbyśmy się czymś takim w ogóle miały przejmować. Poza tym skoro już napisał do nas, żeby nas przestrzec, dokąd się Geoffrey wybiera, teraz uprzejmość nakazuje, by powiadomić go o... o tym... jak się nazywa to, co Geoffreypowi udało się dostać od lorda Jervaulx?

- To był nakaz *habeas corpus*.

- *Żebyś miał ciało*. - Daintry nagle przypomniały się dawne lekcje łaciny. - Ale co to dokładnie znaczy?

- Dokładnie to, co nam powiedział. Wyznam, że Lionel Werring ostrzegął mnie, iż taki następny krok jest wielce prawdopodobny, ale uznałam, że nic to nie pomoże, jeżeli będziesz z niepokojem siedziała jak na szpilkach, a wciąż jeszcze mogło się okazać, że się mylił. Susan musi stawić się albo przed Seacourtem, ponieważ to jemu przyznano nakaz, albo przed sądem.

- No to będzie musiała stawić się przed Jervaulxem - powiedziała Daintry, głęboko wciągając powietrze. - Geoffrey Seacourt pożałuje gorzko tego dnia.

- Mam nadzieję - stwierdziła z powątpiewaniem lady Ophelia. - Muszę napisać do Lionela i uprzedzić go, że będą nam potrzebne jego usługi.

14

Otrzymawszy listy Daintry, Gideon nawet nie bardzo się zdziwił; dawno już zrozumiał, że nie troszczy się ona zbyt-
nio o to, co wypada, a co nie. Nie odpisał jej jednak, bo nie miał ochoty, by uznano go za inicjatora ukradkowej korespondencji, chociaż rzeczywiście sam ją zaczął.

Czuł się zaniepokojony, że Daintry i pozostałe damy postanowiły stawić Seacourtowi czoło, a na dodatek spodziewały się, że Jervaulx, nie wspominając już o nim samym,

stanie po ich stronie. Zdecydował jednak, że koniecznie musi wziąć udział w czwartkowym posiedzeniu sądu; inaczej Daintry gotowa pomyśleć, że je podle porzucił na pastwę losu. Poza tym wydawała mu się bezbronna, a jeżeli nie będzie go w sądzie, by chronić ją przed konsekwencjami własnej impulsywności, to z wielkim prawdopodobieństwem wystawi się na pośmiewisko.

Co jego ojciec pomyśli o obecności syna w sądzie, nie potrafił sobie wyobrazić, ale we czwartek rano znalazł się w zamku Launceston, starodawnej stolicy hrabstwa, gdzie księżęta Kornwalii nadal przyjeżdżali odbierać swe feudalne daniny i gdzie od dwunastego wieku odbywały się posiedzenia wyjazdowe sądu.

Kiedy wszedł na salę, obrady już trwały. Zanim znalazł sobie miejsce w drugim rzędzie, zauważył, że Seacourt siedzi na samym przodzie, ale St. Merryna ani dam nigdzie nie widać. Jervaulx, który był jedynym sędzią, zasiadał za stołem na podwyższeniu; patrzył na niego ostro przez krótką chwilę, a potem skupił ponownie uwagę na rozważanej właśnie sprawie.

Powóz lady Ophelii minął targ owiec w Launceston i skierował się w dół pagórka, a wtedy Daintry zobaczyła przed sobą starodawną, południową bramę zamku.

- Oto on, proszę cioci.

- Tak - powiedziała lady Ophelia. - Wjedziemy przez bramę północną prosto do środka, jako że nie mam najmniejszej chęci robić widowiska z siebie i z was, dziewczęta. Żałuję bardzo, że ani wasz ojciec, ani wasz brat nie uznał za stosowne nam towarzyszyć.

Susan wyszeptała:

- Papa bardzo się na mnie gniewa. Szkoda, że Melissa uparła się czekać na nas z Charlottą. Gdyby nie to, nie musiałybyśmy w ogóle się z nim dzisiaj widzieć.

- Zgodził się na to, by Melissa została w Tuscombe Park - powiedziała Daintry kojąco - dopóki sprawa nie zostanie rozwiązana, a to musi znaczyć, że spodziewa się, iż Jervaulx wyda wyrok na twoją korzyść, kochana, więc uszy do góry. Deverill

w każdym razie stanie po naszej stronie, a ciocia Ophelia umówiła się z sir Lionelem, że będzie bronił twojej sprawy. Sir Lionel jest niesłychanie elokwentny, prawda, ciociu?

- I będzie mu to potrzebne - mruknęła posępnie lady Ophelia.

Susan znowu zamilkła, a kiedy przejechały przez bramę do zamku, Daintry uświadomiła sobie, że mijają właśnie więzienie. Zobaczyła jakiegoś człowieka w łańcuchach, którego do środka wprowadzał krzepki strażnik, i przypomniała sobie własną niedbałą wypowiedź, że będzie wolała pójść do więzienia, niż wydać Susan. Na samą myśl o tym robiło jej się teraz niedobrze.

Ojciec stanowczo odmówił przyjazdu.

- Jak sobie Susan pościeliła, tak się wyśpi - oznajmił stanowczo. - Nie moja to sprawa i niech mnie diabli, jeżeli noga moja postanie w sądzie Jervaulxa i pozwolę na to, by cieszył się z mojego nieszczęścia.

Kiedy Daintry zwróciła mu uwagę, że to nieszczęście Susan, warknął:

- Jedna wielka bzdura, i tyle. Wystarczyłoby, żeby Susan słuchała męża, a żyłoby im się bardzo dobrze razem.

- A co z lady Catherine Chauncey? - zapytała Daintry. - Czy spodziewa się ojciec, że z nią też Susan powinno bardzo dobrze się żyć?

- Następne bzdury. Jeżeli Seacourt wziął sobie kochankę, to oczywiście, że Susan nie była dla niego dobrą żoną. Musi się lepiej postarać i nie ma o czym więcej gadać.

- Ona do niego nie wróci, papo.

- Oczywiście, że wróci. Jervaulx nakaże jej to z tego prostego powodu, że żona należy do męża.

Daintry przypomniała sobie jego słowa, wchodząc z ciocieczną babką i siostrą na salę sądową, i pomodliła się, by przewidywania ojca się nie sprawdziły. W pierwszej chwili nie zauważyła ani Seacourta, ani Deverilla, ale potem przytąpała się na tym, że wpatruje się ciągle w ciemnokasztanowe włosy nad szerokimi barkami, jakby przyciągały one jej spojrzenie. Deverill poruszył się na krześle, odwrócił i oczy

ich się spotkały. Nie uśmiechnął się, ale Daintry tak była pewna, że ma zamiar chronić jej siostrę, iż sama się do niego uśmiechnęła. Nie oczekiwała, że będzie kiedyś szukała pomocy u mężczyzny, ale teraz musiała przyznać, że nawet miło jej było, iż może tak uczynić.

Zerknęła na lady Ophelię i Susan, ale ta pierwsza szukała wzrokiem w tłumie swego adwokata, a Susan, bez kropli krwi w twarzy, wbiła oczy w podłogę i dygotała.

Sir Lionel, niewysoki, żyłasty dżentelmen, ubrany elegancko i ze smakiem, zbliżył się do nich, skinął głową lady Ophelii, dotknął ręki Susan i powiedział cichym, chociaż przenikliwym głosem:

- Tędy, lady Susan. Mam dla pani miejsce na samym przodzie, żeby nie musiała pani przechodzić przez całe to pomieszczenie, kiedy sąd wywoła pani nazwisko.

- Czy dobrze się przygotowałaś do sprawy, Lionelu? - zapytała lady Ophelia, podnosząc głos wobec panującego wokół nich zgiełku.

- Na tyle, na ile to możliwe, Ophelio. Ale jak cię już ostrzegałem...

- Tak, tak, wiem. Zrób co w twojej mocy. Nikt nie może więcej po tobie oczekiwać.

Daintry popatrzyła na ciotkę z konsternacją.

- Czy to znaczy, że on jest zdania, że Susan nie może wygrać, proszę cioci?

- Zajmij swoje miejsce, moja droga.

Sir Lionel pokazał na wolny kawałek wypolerowanej do połysku dębowej ławy, prawie na samym przodzie sali, a Daintry, która zauważyła, że zaczynają zwracać na siebie uwagę, pospiesznie usiadła. Przed sobą, przy końcu rzędu, widziała Deverilla i czerpiąc otuchę z faktu, że jest blisko, przeniosła uwagę na jego ojca.

Markiz bardzo przypominał swego syna, pomyślała, chociaż twarz miał surową, był dużo szczuplejszy; wyglądał na jakieś sześćdziesiąt lat. Siedział na podwyższeniu, ubrany w czarną togę i pełną, upudrowaną, sędziowską perukę. Musiał zwrócić uwagę na ich obecność, bo sprawa Susan została wywołana bar-

dzo szybko. Daintry nie miała pojęcia, czego należy się spodziewać, ale kiedy sir Lionel zaczął wyjaśniać, iż lady Susan stara się uzyskać zgodę sądu na separację od męża, zobaczyła, że Susan rozdygotała się jak nigdy dotąd i zaczęła modlić się w duszy, by prawnik okazał się naprawdę elokwentny.

Sir Lionel zaczął dość przekonująco wyjaśniać, że wypowiada się w imieniu niewinnej kobiety, brutalnie skrzywdzonej przez mężczyznę, który przysiągł chronić ją i dbać o nią. Ale nie udało mu się wypowiedzieć żadnego więcej z ułożonych wcześniej zdań.

- Jedną chwileczkę, sir Lionelu - odezwał się nagle Jervaulx. Daintry zauważyła, że głos ma niski, podobnie jak Deverill, ale bardziej szorstki. Nie napawał on otuchą. - Człowiek, o którym pan mówi, to mąż lady Susan, czyż nie?

- Tak jest, milordzie.

- A więc nie da się zrozumieć pana stanowiska, sir. Prawo Anglii daje mężowi ogólne zwierzchnictwo nad żoną, tak więc zawsze będzie jej lepiej pod jego kuratelą niż gdzie indziej, obojętnie jak ją traktuje. Wstępując w związek małżeński, kobieta zgadza się podporządkować woli męża, tak więc jeżeli okaże mu nieposłuszeństwo, może on ją zatrzymać siłą i bić, należy mieć tylko nadzieję, że w granicach rozsądku. W każdym razie prawo wyraża dezaprobatę dla separacji, ponieważ stan małżeński owocuje dużo większym szczęściem, kiedy związek jest nierozzerwalny. Lady Susan musi powrócić do swego męża.

- Nie! - Daintry zerwała się i wykrzyzczała to słowo, zanim sama zorientowała się, co ma zamiar zrobić. - Nie może jej pan odesłać z powrotem do niego! To zbyt okrutne!

Jervaulx spojrział na nią zimno, a ona, chociaż zauważyła jakiś nagły ruch na prawo przed sobą, nie odwróciła wzroku. Wargi sędziego zacisnęły się i przez jeden okropny moment Daintry spodziewała się okrzyku: „Ściąć jej głowę!”. Oblizwała nagle zaschłe wargi i czekała na doraźną egzekucję. Na sali sądowej zapanowała głucha cisza.

- A kimże pani *może* być?

- Daintry Tarrant, sir. Lady Susan jest moją siostrą.

- Czy tak? Może więc wolno nam wybaczyć pani len nieprzystojny wybuch. Osoby rozsądne przypiszą go wrodzonemu u niewiast brakowi zdolności do panowania nad swymi uczuciami.

- Moje uczucia nie mają tu nic do rzeczy, milordzie. Nic zapoznał się pan nawet z jej sprawą.

- Nie istnieje sprawa lady Susan.

- Gdyby była mężczyzną, którego poturbowano...

- Nie jest mężczyzną. Jest żoną. Zgodnie z prawem Anglii żona nie może stawać przed sądem w sprawie cywilnej.

- A więc prawo jest niesprawiedliwe względem kobiet!

- Daintry, siadaj - syknęła lady Ophelia.

Daintry nie zwróciła na nią uwagi, ale słowa lady Ophelii najwyraźniej dotarły do lawy sędziowskiej, ponieważ Jervaulx przelotnie spojrział na starszą panią. Potem rzucił okiem w kierunku syna, a następnie popatrzył znowu na Daintry.

- Lepiej będzie tę dyskusję kontynuować poza salą. Sir Lionelu, proszę przeprowadzić swoje towarzystwo do pokoi sędziowskich. Sir Geoffreyu, pana oczywiście również prosimy. - Jervaulx podniósł się i ruszył do wyjścia.

Daintry stała wstrząśnięta, zastanawiając się, co narobiła. Zobaczyła Susan, która szła przodem z sir Lionelem, i poczuła, że ciotka ciągnie ją za rękaw, ale miała wrażenie, że wrosła w ziemię. Potem ktoś stanowczo ujął jej drugą rękę; podniosła oczy i zobaczyła Deverilla: tak bardzo przypominał w tej chwili swego ojca, surowego markiza, że aż nie mogła uwierzyć.

- Idziemy - powiedziała. - On nie jest zadowolony, jeżeli każe mu się czekać.

- Pan też pójdzie z nami, prawda? Co on zrobi?

- Nie zje pani. - Głos miał szorstki.

- To nie o siebie się martwię. Musi go pan skłonić, by wysłuchał, jak okropnie Geoffrey traktował Susan!

Deverill lekko pchnął Daintry w stronę reszty towarzystwa i skierowali się do drzwi, za którymi zniknął jego ojciec. Drzwi te prowadziły do sali, w której zwykle sędzia się przebierał, ale w rogu pod oknem stało dużo biurko, za którym

usadowił się Jervaulx. Gestem zaprosił lady Ophelię i Susan, by usiadły na krzesłach.

- Wydaje się, że niestety nie starczy krzeseł dla wszystkich, ale dżentelmeni pogodzą się z tym, że muszą stać. Proszę podejść bliżej, lady Daintry, a może uda nam się te sprawy pani wyjaśnić. Nie, nie, sir Lionelu - dodał, kiedy razem z nią podszedł prawnik. - Jest pan doskonałym adwokatem, ale w tej akurat chwili ona pana nie potrzebuje. - Ku zaskoczeniu Daintry powiedział to niemal dobrodusznie.

- Nie powinnam była na pana tak podnosić głosu, sir - przeprosiła Daintry; zauważyła, że sir Lionel cofnął się, ale Deverill stanął tuż za nią. Wdzięczna była za jego obecność; zaczerpnęła głęboko powietrza i dodała: - Bardzo przepraszam, zachowałam się niestosownie.

- To prawda, a do tego nic to nie dało.

- Ale prawo naprawdę jest niesprawiedliwe.

- Moja droga, młoda kobieto, niewiasta jest do tego stopnia faworyzowana przez angielskie prawo, że przewidziano w nim cały szereg artykułów specjalnie po to, by chronić ją i iść jej na rękę. Przez małżeństwo staje się ona wraz z mężem w oczach prawa jedną osobą. Znaczy to, że samo jej istnienie pod względem prawnym zlewa się z jego istnieniem w jedno i zakłada się, iż przez cały czas działa ona na jego polecenie i jest pod jego opieką.

- Opieką - powtórzyła Daintry pogardliwie - to nie opiekę otrzymała moja siostra z rąk swego męża, sir.

- Proszę rozważyć, jak wiele korzyści przyznaje prawo kobiecie - ciągnął dalej Jervaulx, jakby się w ogóle nie odezwiała. - Nie traci ona, wychodząc za mąż, swojego statusu społecznego, a jest to przywilej, z którego skorzystała lady Susan. Pozwala jej się zeznawać we własnej sprawie, jeżeli została zgwałcona, nie wolno jej uwięzić za długi. Nie ma nawet obowiązku płacić swoich długów. Zapłacić je musi jej mąż. To on ma obowiązek utrzymywać ją, jak długo dzieli z nim łożę i stół, i to on odpowiada za jej uczynki. W rzeczy samej, ponieważ zakłada się, iż działa ona na jego polecenie i pod jego kontrolą, uwalnia ją to od kary za wszelkie

przewiny popełnione w jego obecności, chyba że można udowodnić, iż nie działała pod jego wpływem.

- Przecież nic z tego nie znajduje zastosowania do Susan. Ona nie zrobiła niczego złego. Ona nawet nie ma żadnych długów. Ma tylko całe mnóstwo siniaków!

- Ale widzi pani - tłumaczył jej cierpliwie Jervaulx - niezbywalnym prawem męża jest sprawowanie nadzoru nad żoną i niepozwalanie jej na żadne zberezeństwa. Nie tylko odpowiada on za jej czyny, ale - i tu proszę wybaczyć, że będę mówił bez ogródek - Anglia jest jedynym krajem na całym świecie, który daje kobiecie wyjątkową możliwość, pozwalającą ubrać swego męża w bastarda. Jeżeli Anglikowi nie uda się dowieść wiarołomstwa żony, ponosi on w oczach prawa pełną odpowiedzialność za każde z jej dzieci, choćby urodziło się ono w najbardziej nieprawdopodobnych okolicznościach.

- To prawda, na Boga - warknął Seacourt.

Jervaulx przeniósł chłodne spojrzenie na niego.

- Co do pana, sir, to proszę, by przypomniął pan sobie, iż zgodnie z prawem mąż może zostać ukarany, jeżeli traktuje swą żonę źle, w sposób niemożliwy do zaakceptowania dla społeczeństwa. Nikt nie kwestionuje jego prawa, by ją karcić, ale nie wolno mu posuwać się za daleko.

Seacourt popatrzył wprost na Susan i stwierdził:

- Społeczeństwo nie usłyszy żadnych skarg z ust mojej żony, sir.

- Wspaniale - powiedziała Jervaulx i zaczął się podnosić.

- Proszę, wasza lordowska mość... - zawołała Daintry z rozpaczą.

- Nie, lady Daintry - przerwał jej surowo Jervaulx. - Nie ma o czym więcej mówić. Zostały dziś podjęte nadzwyczajne kroki, a dopuściłem do tego z powodu historycznych zająć między rodziną Tarrantów i Deverillów. Nie powinna była pani przypuszczać, że jej siostra nie znajdzie w tym sądzie należnej sobie sprawiedliwości. Ale teraz, kiedy wyjaśniono pani w pełni to zagadnienie, czekają inne sprawy, których bez zwłoki muszę wysłuchać. - Podniósł się, skinął głową pozostałym i wyszedł z pokoju.

Daintry odwróciła się i znalazła się twarzą w twarz z De-verillem. W tym momencie wykłamała z niej cała wściekłość, którą wcześniej musiała tłumić.

- Zdradził nas pan - fuknęła. - Zaufałyśmy pana pomocy, a pan słowa nie powiedział w obronie Susan. Jest pan dokładnie taki, jak się obawiałam, nie lepszy niż inni mężczyźni. A właściwie jest pan nawet gorszy, bo zasugerował mi pan, że ma pan serce, Deverill, a nie ma pan go wcale!

- Nie jest to sprawa serca - odparł - tylko prawa. Słyszała go pani. - Rzucił spojrzenie na Susan, która wciąż siedziała u boku lady Ophelii, ale wpatrywała się w sir Geoffreya z wyrazem twarzy bardzo przypominającym królika, który zdrtwiał na widok zbliżającego się lisa.

Spojrzenie Daintry podążyło za wzrokiem Deverilla; impulsywnie stanęła Seacourtowi na drodze.

- Jeżeli ośmielisz się znowu zrobić krzywdę mojej siostrze, Geoffrey, to Bóg mi świadkiem, że dopilnuję, byś za to zapłacił.

Seacourt uśmiechnął się, ale nie miał miłego wyrazu twarzy.

- Taka jesteś zawzięta, moja malutka szwagierko, ale nie w twojej mocy mnie powstrzymać, nie może mnie też powstrzymać Deverill. Obojętne, czy w oskarżeniach rzucanych na niego było coś z prawdy, czy nie, Susan zachowała się nieodpowiednio i zasługuje na karę. Chodź, moja droga - dodał, odsuwając Daintry na bok i wyciągając władczo rękę do żony.

Susan podniosła się, policzki miała blade, wargi rozchyłone, oczy rozszerzone z przerażenia.

Lady Ophelia również się podniosła, energicznie strzepując spódnice.

- Niech pan posłucha, młody człowieku, mógł pan wygrać potyczkę, ale do końca wojny daleko, a będzie to z korzyścią dla pana, jeżeli przypomni pan sobie teraz, jakie ma źródło speranda pana żony.

Sir Geoffrey popatrzył na nią ostro.

Uśmiech lady Ophelii był ponury.

- A, tak, troszkę pana to pohamowało, prawda? Zawsze wychodził pan z siebie, żeby roztaczać przede mną swoje uroki, ale

teraz chciałabym, by uświadomił pan sobie jedną czy dwie rzeczy. Pierwszą i najważniejszą jest fakt, że spadek po mnie dla Susan zależy wyłącznie od mojego testamentu, który z łatwością można zmienić. Chwilowo współdziedziczy ona razem z Dainty, ale być może byłoby rozsądniej zostawić przeznaczoną dla niej część pod zarządem powierniczym dla Melissy. A żeby pan nie pomyślał, iż to żadna różnica, bo i tak znajdzie się on pod pana kontrolą, sir, to pozwolę sobie wyraźnie powiedzieć, że obecny tu sir Lionel załatwi dla mnie wszystko nie w zwyczajnym sądzie, ale w najwyższym sądzie cywilnym w Londynie. Tam sprawa może tak zostać dopracowana, by nie miał pan najmniejszego dostępu do tych pieniędzy. Nie kwapię się, by pana tak upokorzyć, skoro na prośbę Susan nie zrobiłam tego na samym początku, a wieści o tego rodzaju zastrzeżeniach na pewno szybko by się rozeszły. Jeżeli jednak zrobi pan sobie ze mnie wroga, proszę ani przez moment nie sądzić, że się będę wahać.

Seacourtowi krew uderzyła do twarzy, wyciągnięta ręka opadła. Powiedział napiętym, opanowanym głosem:

- Źle mnie pani osądza, ale nie mogę pani winić, wiedząc, jak wielką miała pani zawsze skłonność stawać po stronie własnej płci, a przeciw mojej. W rzeczy samej ta właśnie część pani charakteru nieodmiennie wywoływała mój największy podziw. Ale w tym przypadku zdaje mi się, że posunęła się pani za daleko. Kocham moją żonę, a nie jej ewentualną spe-randę, tak więc może pani zrobić ze swymi pieniędzmi, co pani zechce. Przyznaję, że zareagowałem bardziej jak bestia niż kochający mąż, kiedy wydawało mi się, że Susan zaangażowana jest w potajemny romans z takim powszechnie znanym hulaką, jak Deverill.

Spojrzenie lady Ophelii przeskoczyło na Deverilla, ale sir Geoffrey mówił dalej, nie dając jej okazji do wtrącenia kilku słów.

- Być może nikt nie zechciał wspomnieć pani o tym, że Susan otrzymała dwa listy, w których oskarżano ją o niestosowne zachowanie w jego towarzystwie. Zbagatelizowałem pierwszy z nich, przyjąłem jej zapewnienia, że nie było w nim prawdy, ale wszyscy byliśmy gośćmi na wielkim przyjęciu, gdzie,

jak pani sama wie, wiele się mogło wydarzyć rzeczy, których nie byłem świadom, i po drugim liście nie zdołałem się już opanować. Wpadłem w złość i jeżeli byłem bardziej brutalny, niż leżało to w moich zamiarach, to wątpię, czy posunąłem się dalej, niż posunąłby się każdy rozgniewany mąż. Nie był to powód, dla którego Susan miałyby uciekać, a już z pewnością nie dawał jej podstaw, by skarżyła się pani, że ją źle traktuję. Daję pani słowo, że nigdy wcześniej nie byłem dla niej tak okrutny. Czy tak, Susan? - dodał, patrząc wprost na żonę. - Przyszedł czas, by mówić prawdę, moja droga.

Susan robiła takie wrażenie, jakby skamieniała na miejscu, poruszyła tylko językiem, wysuwając go, by oblizać zaschłe wargi, i drgnęły jej oczy, kiedy zerknęła na Deverilla, a potem znowu na lady Ophelię, jakby oceniała ich reakcję na słowa męża.

- No, *no*, *moja* kochana - mówił łagodnie sir Geoffrey. - Nie chciałybyś chyba, by lady Ophelia aż tak źle o mnie myślała, jak myśli teraz.

- N... nie - zająknęła się Susan.

- Powiedz prawdę, Susan, jakakolwiek ona była - odezwała się lady Ophelia.

- Tak - dodał Seacourt. - Nie czas już teraz na kłamstwa, moja droga. Powiedz wszystkim prawdę.

- Czy wy nie widzicie, jak ona się go boi? - krzyknęła Daintry. - Przecież wie, że będzie z nim musiała odejść. Nie ośmieli się nic powiedzieć.

Seacourt uśmiechnął się do niej załośnie.

- Nie zdawałem sobie sprawy, siostrzyczko, że masz mnie w aż takiej pogardzie. Cóż zrobiłem, by ściągnąć na siebie tak wielki gniew? Gdybyś miała więcej życiowego doświadczenia, zrozumiałabyś, że mężowie i żony, ludzie, którzy są sobie najbliżsi, często w gniewie z rozmysłem mówią różne okropne rzeczy, choć wcale w nie nie wierzą, tylko chcą wyrządzić przykrość tej drugiej osobie i narobić zamieszania. Przypuszczam, że Susan rozgniewała się na mnie w równym stopniu, co ja na nią, i z podobnego powodu. A czyż jakaś niegodziwa osoba nie sugerowała, że utrzymu-

ję zakazane stosunki z moją biedną, owdowiałą, kuzynką?
Susan aż cicho krzyknęła.

- Wie pan doskonale, że rzucono takie oskarżenie, ponieważ był pan przy tym - zwróciła mu uwagę lady Ophelia. - Czy zaprzecza pan istnieniu takich stosunków?

- Oczywiście, że zaprzeczam - powiedział z oburzeniem Seacourt. - Zaprzeczyłem już wtedy i na Boga, pani, czy byłbym zdolny do takiego okrucieństwa, by *trzymać* kochankę pod moim własnym dachem, by puszyć się takim związkim na oczach własnej *żony*? Oczywiście, że nie. Kto uwierzyłby w coś takiego poza oszalałą z zazdrości małżonką? Ale podsunął jej tę myśl jakiś niegodziwiec, ktoś niewątpliwie okrutny, taki jak autor listów, oskarżających ją o złe prowadzenie się, ktoś, kto wiedział, że jak każdy inny mąż czytam wszystkie listy adresowane do tych, których mam pod swoją opieką. Może była to nawet ta sama osoba, bo teraz, *widząc Susan i Deverilla razem, trudno mi uwierzyć*, by mogła ona skwapliwie przyjmować awanse człowieka takiego jak *on*.

- Wielce zobowiązany - wtrącił sucho Deverill.

- Bez wątpienia - ciągnął dalej sir Geoffrey - ta sama osoba pisała do Susan, rzucając podobne oskarżenia na mnie, a może to tylko jej wyobraźnia... Co się stało, moja droga?

- Ale ty... - zająknęła się Susan.

- To, co o mnie myślałaś, nie jest prawdą, kochanie. Przyśięgam ci przed tymi świadkami. A teraz, czy wybaczysz mi, że się tak rozgniewałem, kiedy podobne oskarżenie rzucono na ciebie?

Susan zaczerwieniła się i odwróciła od niego wzrok, wyglądała jak dziecko przyłapano na jakieś psocie. Kiedy nikt się nie odezwał, obróciła się znowu do męża i cichutko zapytała:

- Czy wciąż jeszcze się na mnie gniewasz?

- Zasłużyłaś na mój gniew - odparł - za to, że naraziłaś nas na te okropne przejścia, ale jeżeli wrócisz teraz ze mną do domu i obiecasz, że na przyszłość lepiej będziesz o mnie myślała, to obiecuję, że się gniewałem nie będę. Chodź, kochanie - dodał i znowu wyciągnął rękę.

Tym razem Susan bez wahania podała mu dłoń, a on przyciągnął ją do siebie i pocałował w czoło.

- Moja grzeczna dziewczynka. - Ponad jej głową zwrócił się do lady Ophelii: - Byłbym zobowiązany, gdyby ułożyły panie sprawy tak, by jutro odesłać mi córkę do domu.

Daintry, która z minuty na minutę robiła się coraz bardziej wściekła, otworzyła usta, by zaprotestować, kiedy na jej ramieniu niczym imadło zacisnęła się jakaś mocna dłoń. Odwróciła się oburzona, a Deverill potrząsnął głową, ostrzegając ją niedwuznacznym spojrzeniem, że ma milczeć. Zanim zdążyła powiedzieć mu, co myśli o tej jego interwencji, czy przestrzec ciotkę, by ta nie godziła się na żądanie sir Geoffreya, lady Ophelia powiedziała:

- Wytoczył pan wiele przekonujących argumentów, sir Geoffreyu, ale nie do końca dowiódł pan swoich racji. Ja sama odwiozę Melissę do domu i spodziewam się, że kiedy się tam pojawimy, Susan będzie wyglądała jak wcielenie domowej pogody i radości.

- Dokładnie to właśnie pani zobaczy - odparł Geoffrey, patrząc czule na Susan. - Bardzo już za nią tęskniłem, a co do pani majątku, może nim pani dysponować wedle własnej woli. Mam nadzieję, że będę miał jeszcze tak synów, jak i córkę, a im lepiej zabezpieczona będzie przyszłość Melissy, tym bardziej będę się cieszył.

- Tak więc nie ma jeszcze powodu niczego zmieniać.

Seacourt uśmiechnął się. Potem przełożył dłoń Susan przez swoją rękę i odwrócił się do Deverilla.

- Czy da się stąd wyjść jakąś inną drogę, nie przez tę salę sądową? Susan nie będzie miała ochoty wystawiać się ponownie na pokaz tej hałastrze.

Jak tylko lady Ophelia zaczęła mówić, Deverill puścił Daintry, a teraz powiedział:

-- Tamte drzwi prowadzą na korytarz, a przez następne na jego końcu można wyjść na zewnątrz. Może pan posłać kogoś z płaczących się po okolicy chłopaków, żeby sprowadził pana powóz.

- Wielce zobowiązany. Chodź, kochana.

Daintry niemal nie czekała, aż zamkną się za nimi drzwi, a już piorunowała wzrokiem kolejno sir Lionela i Deverilla.

- Pewnie obydwaj uwierzyliście w te banialuki, które plótł Geoffrey.

- Mówił przekonująco - rzekł spokojnie Deverill.

- Niewątpliwie - przytaknął sir Lionel.

Daintry z obłędem w oczach popatrzyła na lady Ophelię.

- Nie uwierzyła mu ciocia, prawda? Och, proszę, niech ciocia powie, że nie! Po pierwsze, ta sprawa listów... - Ale już mówiąc te słowa wiedziała, że nie uda jej się tej kwestii wyjaśnić, jeżeli nie ma zdradzić Susan przed Deverillem, a tego zrobić nie mogła, skoro okazał się on tak niegodny zaufania, które w nim pokładała.

Lady Ophelia sięgnęła po swoją wielką torebkę.

- Wiem, że Susan słowem nigdy nie skłamała - stwierdziła. - Z drugiej strony jest rzeczą dowiedzioną, że mężowie i żony często robią sobie nawzajem przykrości, a Geoffrey niewątpliwie mówił przekonująco, pewnie na całe szczęście.

- Ja tak nie uważam! Kłamał nam prosto w oczy! Mam tylko nadzieję, że nie pobije Susan do utraty przytomności natychmiast po powrocie do domu.

- Tego nie robi - zapewnił Deverill stanowczo.

- A co pan może wiedzieć na temat tego, co Geoffrey zrobi czy czego nie zrobi? Jak może pan tak stać i pozwalać się oskarżać? A może nie miał pan nic do dodania, bo rzeczywiście zrobił pan coś, by zwrócić na siebie jej uwagę, tak żeby...

- Ugryzła się pospiesznie w język. - Chciałam powiedzieć, żeby ktoś mógł oskarżyć pana o flirt? A już z pewnością nie pan nie zrobił, by ją chronić! Wierzyłam w pańską pomoc, a pan po prostu stał na tej sali sądowej i pozwalał, żeby ten okropny starzec cytował idiotyczne prawa, na podstawie których mógł kazać jej wracać znowu z Geoffreyem do domu.

- Przypominam pani, że ten okropny starzec jest moim ojcem - rzekł sucho Deverill. - Co do reszty, nie byłbym w stanie nic zrobić, nawet gdybym chciał.

- No! Wiedziałam. Nie chciał pan.

- A niech to, niech pani przestanie rzucać się na mnie jak

jakaś sekutnica. Pani głos będzie słyhać na sali sądowej, a to ściągnie go tu na powrót, jeżeli nie będzie pani uważała; za drugim razem nie wywinie się pani tak łatwo, zapewniam panią. Miała pani cholerne szczęście, że nie skazał pani na więzienie za pani wcześniejszy wybuch. Okazał pani niezwykłą cierpliwość, to do niego nawet niepodobne, ale gdyby go pani próbowała dalej naciskać...

- Och, niech pan przestanie gadać! - Daintry przycisnęła dłoń do uszu, odwróciła się i chciała wyjść przez te same drzwi, przez które opuścił pokój Seacourt z jej siostrą.

Zanim postąpiła krok, Deverill chwycił ją za ramiona i okręcił twarzą do siebie. Odciągnął jej dłonie od uszu i przytrzymał je mocno, mówiąc:

- Jeżeli nie chce pani, żebym nią porządnie potrząsnął, będzie pani stała spokojnie i wysłucha, co mam jej do powiedzenia. Już lepiej - dodał, kiedy zamarta z wściekłości. - Nie podjąłem usiłowań, by wpłynąć na ojca, chociaż wiedziałem, że ma pani zamiar wystąpić przeciw temu nakazowi, ponieważ nic dobrego by z tego nie wyszło. Nie tylko nie zechciałby mnie wysłuchać, i miałyby rację, ponieważ nie mnie wtrącać się w sprawy, które ma osądzać, ale nie powinienem również wtrącać się w małżeństwo innego mężczyzny. Nie spodziewam się, by pani to zrozumiała, ponieważ kobiety po prostu nie są w stanie poznać prawa tak, jak znają je mężczyźni, jednak...

Jednym szybkim ruchem Daintry wyrwała z jego słabnącego chwytu prawą rękę i odrzuciła ją w tył, by go spoliczkować z całych swoich sił, ale Deverill zdążył złapać ją tuż przy twarzy i ścisnął tak, że aż się skrzywiła.

- Nie zasługuję na policzek za to, że powiedziałem pani prawdę - stwierdził posępnym głosem - a dopóki sobie na niego nie zasłużę, nie pozwolę pani tego zrobić. Gdybyśmy mieli natomiast porozmawiać o tym, na co pani sobie zasłużyła za te swoje popisy...

- Wystarczy - ucięła ostro lady Ophelia, zaskakując ich oboje. - Te wszystkie teatralne sceny stały się już przez ostatnie dwa tygodnie istnym utrapieniem, do końca życia

mi ich starczy. Proszę puścić moją wnuczkę, sir, i posłać po mój powóz. Chcę wracać do domu.

Deverill z miejsca puścił Daintry i kiedy pocierała obolały nadgarstek, wyszedł posłać kogoś po powozy. Spoglądając za nim z niechęcią, Daintry prychnęła:

- Mężczyźni! Jak może jakakolwiek kobieta znieść te kreatury.

Kiedy nikt nie zareagował, obejrzała się i uświadomiła sobie że lady Ophelia przygląda się jej z kpiarskim, zagadkowym wyrazem twarzy i że w pokoju nadal znajduje się sir Lionel.

Daintry poczuła, jak krew uderza jej do policzków, i powiedziała:

- Błagam o wybaczenie, sir Lionelu, ale dlaczego ciocia tak na mnie patrzy, ciociu Ophelio? Większość mężczyzn jest okropna.

_ Na pewno masz rację, moja droga, ale zdarza się, że któryś jest mniej okropny od innych.

15

Droga powrotna do Tuscombe Park niesłuchanie się Daintry dłużyła. Gdy już pożegnały się z sir Lionelem i Deverillem i znalazły się same w jadącym gościńcem powozie, usiłowała kilka razy omówić z lady Ophelia to, co stało się na sali sądowej, ale okazało się, że starsza pani wyjątkowo niechętnie podejmuje przynajmniej jeden z tematów.

Daintry wymamrotała:

_ Na całym świecie nie znalazłoby się drugiej takiej bestii, jak ten Deverill.

Lady Ophelia zaprotestowała:

- Nie zgadzam się. Deverill trzyma się własnych zasad. Wiele dobrego można o takim postępowaniu powiedzieć.

_ Nie wtedy, proszę cioci, kiedy był naszą największą nadzieją. Przecież...

- Sprawa jest zamknięta - przerwała jej starsza pani stanowczo. - Musisz patrzeć w przyszłość, a nie rozwodzić się nad smutkami z przeszłości.

- Rozumiem, ale co czeka Susan w tej przyszłości, jeżeli nie następne smutki tego samego rodzaju? Wiem, że uwierzyła ciocia Geoffreyowi...

- Wcale mu nie uwierzyłam - odparła lady Ophelia - ale to, w co ja wierzę, i to, co on na ten temat sądzi, to dwie zupełnie różne sprawy, jak próbował ci wyjaśnić Deverill.

- Czyżby ciocia opowiadała się po stronie Deverilla, a przeciw mnie?

Lady Ophelia prychnęła.

- Nie opowiadam się po żadnej ze stron - powiedziała. - Zwracam ci po prostu uwagę, że on zrozumiał to, czego ty nie zauważyłaś, a mianowicie jak ważne było, by Geoffrey uwierzył, że mnie przekonał.

- Ale przez to zrobi się jeszcze bardziej arogancki - zaprotestowała Daintry. - Będzie sobie teraz wyobrażał, że jeżeli potraktuje Susan podobnie źle jak w przeszłości, ujdzie mu to na sucho.

- Wręcz przeciwnie. Pamiętając, że spadek żony zależy od jego dobrego zachowania, z pewnością mniej ostro będzie sobie poczynął. - I najwyraźniej uznając, że tymi słowami zamknęła temat, lady Ophelia wyciągnęła z wielkiej torebki książkę jednej ze swych ulubionych pisarek i w milczeniu zaczęła czytać.

Zanim powóz wtoczył się na podjazd przed domem, zrobiło się ciemno, a kiedy szeroko otworzono wysokie drzwi, marmurowe schody oblało złociste światło i z domu wyszedł kamerdyner, by zobaczyć, czy nie należy im w czymś usłużyć.

Lokaj lady Ophelii zeskoczył ze swego miejsca, by otworzyć drzwiczki, a Daintry, przyjmując jego pomoc przy wysiadaniu, zauważyła obydwie kuzyneczki, którzy wyglądały zza drzwi.

- Hej, dziewczynki! - zawołała. - Dlaczego nie siedzicie na górze, gdzie jest wasze miejsce?

Na tę drobną zachętę Charley zbiegła po schodach z Melissą podążającą za nią jak cień.

- Co się stało, ciociu Daintry? Gdzie jest ciocia Susan? - spytała Charlotta.

Z powozu wychynęła lady Ophelia.

- Uważaj na to, co mówisz, Charlotto i wracaj prosto do domu - zwróciła jej cierpko uwagę. - Co za pomysł, żeby tu wybiegać, nie okrywszy nawet nagich ramion! Przeżyj-bisz się na śmierć. I ty też, Melisso. Proszę natychmiast wracać do domu, obydwie!

Charley miała zbuntowaną minę, ale Daintry, ostrzegawczo wskazując oczami służących, rzekła przyciszonym głosem:

- Nie możemy rozmawiać tutaj, kochane. Przyjdę do was, jak tylko będę mogła, żeby wszystko wam opowiedzieć.

Charley zagryzła wargi i przyjrzała jej się przeciągle, a potem zawróciła do domu. Melissa już się tam zdążyła wcześniej wślizgnąć.

Daintry miała zamiar pójść prosto do pokoju szkolnego, do zniecierpliwionych dziewczynek, ale gdy tylko weszły z lady Ophelia do holu, zwrócił się do nich Medrose:

- Jaśnie pan pragnie, by obie panie udały się prosto do bawialni, wielmożna pani. Zarządził, by podano tam paniom lekki posiłek.

- Wspaniale, czuję się wygłodniała - powiedziała lady Ophelia z wdzięcznością i pozwoliła odebrać mu od siebie pelerynę i torebkę. - Przypuszczam, że wszyscy inni są tam razem z nim.

- Tak, wielmożna pani. To jest lady St. Merryn, pani Davina i panicz Charles, no i oczywiście panna Ethelinda.

Daintry uświadomiła sobie, że nie ma w tej sprawie wyboru, tak więc, kiedy służący odbierał od niej rzeczy, poprosiła:

- Proszę posłać kogoś na górę do szkolnego pokoju, Medrose, i powiedzieć pannie Charlote i pannie Melissie, że przyjdę do nich odrobinę później.

Poszła jednak na górę dużo później, a nie odrobinę, ponieważ zanim opisały z lady Ophelia scenę na sali sądowej i jej następstwa oraz zjadły kolację, minęło sporo czasu.

Lady St. Merryn wydawała się sądzić, że całe to wydarzenie zaplanowano wyłącznie po to, by ją unieszczęśliwić. Charles i Davina uznali je za rozrywkę, a kuzynka Ethelinda wykrzykiwała z konsternacją niemal za każdym razem, kiedy lady Ophelia czy Daintry otwierały usta, aż wreszcie ta ostatnia miała ochotę ją udusić. St. Merryn natomiast z głębokim zadowoleniem oświadczył, że nie oczekiwał po Jervaulx tak rozsądnej decyzji.

- Nie może papa tak mówić. Rozsądnej? - zapytała Daintry.

- Jak to nie mogę, skoro powiedziałem? Nie mam pojęcia, dlaczego wy, kobiety, robicie tyle hałasu o tę sprawę, kiedy zgodnie z prawem Jervaulx w żaden inny sposób nie mógł postąpić. Chociaż właściwie spodziewałem się po nim jakiegoś hokus-pokus, zważcie, byle mi zrobić na złość. Mówię tylko, że postąpił jak należy. To do niczego niepodobne, żeby wtrącać się między mężczyznę i jego żonę, absolutnie do niczego. Fakt, że Jervaulx tego nie próbował, zmienia moje zdanie o nim na lepsze, słowo daję.

- Mojego na lepsze nie zmienia - powiedziała Daintry.

- Sądząc po tym, co słyszałam - wtrąciła ze śmiechem Davina - miałaś szczęście, że nie zirytowałaś go ponad wszelką miarę. Naprawdę zaczęłaś na niego krzyczeć na sali sądowej?

Daintry zaczerwieniła się na samo wspomnienie i odparła:

- Odezwałam się bez zastanowienia. Tak mnie rozzłościł, że nie byłam w stanie się skupić.

- I pomyśleć, że Charles zarzuca mi, iż robię z siebie widowisko, kiedy tylko uśmiechnę się do jakiegoś innego pana; dreszcz mnie przechodzi na samą myśl, co by powiedział, gdybym się zachowała tak, jak ty to zrobiłaś - zażartowała Davina i figlarnie spojrzała na męża.

Charles skrzywił się, ale nic nie rzekł.

Tu lady St. Merryn jęknęła, sięgnęła po flakonik z solami i opadła na poduszki, przykładając osłabia dłoń grzbitem do czoła. A kuzynka Ethelinda zaszczębiotała:

- Błagam, nie martwcie już dłużej 'waszej biednej matki tą rozmową; teraz, kiedy Susan wróciła do swojej rodziny, wszystko będzie dobrze. Jakże wdzięczny musi być

sir Geoffrey, że ma ją już w domu, gdzie jest jej miejsce.

Daintry żałowała, że nie może bez ogródek powiedzieć kuzynce, co sądzi o jej głupocie. Ale ponieważ nie było to możliwe, ugryzła się w język. Nie udało jej się jednak opanować później, kiedy w końcu mogła pójść do dzieci, jako że Charley, oburzona zarówno faktem, że Susan musiała wrócić do Seacourt Head, jak i tym, że Melissa miała tam wracać następnego dnia, pozwoliła sobie na zuchwałość.

- Nie pozwolę, żeby ciocia Ophelia zabrała Melissę z powrotem! - krzyczała, kiedy Daintry wyjaśniła, jak się sprawy mają.

- Nie więcej masz do powiedzenia w tej materii niż ja - odpowiedziała Daintry, z najwyższym trudem panując nad sobą.

- No to obydwie uciekniemy.

- Niczego takiego nie zrobicie.

- A właśnie, że zrobimy!

Daintry siedziała w pokoju szkolnym na kanapie między dziewczynkami, ale teraz podniosła się i spojrzała surowo na Charley.

- Wstań.

Charley powoli posłuchała. W oczach miała łzy, ale nie popełniła tego błędu, by próbować się usprawiedliwiać.

- Jak śmiesz odzywać się do mnie w tak niewłaściwy sposób? - besztła ją Daintry. - Gdybyś się tak odezwała do papy czy mamy, wiesz dokładnie, czym by się to skończyło. A teraz możesz iść prosto do łóżka; jutro cały dzień spędzisz na lekcjach z panną Parish. Miałam nadzieję, że uda mi się tak sprawy załatwić, byś mogła pojechać z nami i odwiedzić Melissę do domu, ale nie zasługujesz na przyjemności. Czy masz w ogóle coś do powiedzenia na swoją obronę?

- Nie, ciociu Daintry. - Łzy pociekły dziewczynce po policzkach; dodała z łkaniem: - Prze... przepraszam.

- Teraz jest ci zapewne przykro - przyznała Daintry, ze wszystkich sił starając się nie zmięknąć. - Idź do łóżka. Ty też, Melisso.

Dziewczynki wyszły; Daintry również udała się do sypialni, nie mogąc doczekać się już na ten cudowny moment, kie-

dy Nance pójdzie spać, a ona po tak długim i wyczerpującym dniu zostanie nareszcie sama. Ale wszedłszy do pokoju zastała tam nie tylko Nance, ale i czekającą na nią Davinę.

- Ułożyłaś już dzieci w łóżeczkach? - zapytała ją wesoło szwagierka.

- Tak, ale musiałam skarcić Charley. Bardzo się zdenerwowała, że nic nie może zrobić, by zapobiec powrotowi Melissy do domu. Ale to twoja córka, Davino. To ty powinnaś ją układać do snu, a nie ja.

Davina wzruszyła ramionami.

- Charley na tym nie zależy. Przypuszczam, że czuje się bardziej związana z tobą niż ze mną, a jeżeli okazała zuchwałość, to zapewne nie większą niż ty wobec Jervaulxa i na dodatek z tego samego co ty powodu. Tak czy owak w dzisiejszych czasach uważano by mnie za dziwadło, gdybym ciągle jej matkowała.

- Może, ale nie masz racji, że jej na tym nie zależy. Tęskni za wami obojgiem, kiedy tak często wyjeżdżacie.

- Mówiłaś już wcześniej coś takiego, ale nie przyszedłam tu rozmawiać o Charley. Czy sądzisz, że Susan nakłamała nam o Geoffreju tylko dlatego, że się na niego rozgniewała?

- Nie sądzę, by choć słowem skłamała - odparła Daintry; była już tak zła, że bardzo niewiele brakowało jej do wybuchu. - Przez cały czas to powtarzam.

Davina westchnęła.

- Mężczyźni są tacy trudni, prawda?

- A skąd mogłabym wiedzieć?

- Za to ja wiem - powiedziała Davina. - A twój brat to jedna wielka zagadka, Daintry, bez dwóch zdań.

- Charles? - zapytała Daintry zdumiona.

- Nie musisz się tak dziwić, jakbym powiedziała coś absurdalnego - oznajmiła Davina z irytacją - bo niczego absurdalnego w tym nie ma. Spodziewa się chyba po mnie, że będę odgadywała, o czym myśli, zupełnie jakbym miała kryształową kulę. Czy potrafisz się zorientować, kiedy on się złości, Daintry? Ja nie potrafię, przynajmniej dopóki nie wybuchnie.

- A ostatnio wybuchnął? - zapytała Daintry sądząc, że wie już, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa.

- Dwa razy w ciągu ostatnich dwóch tygodni - stwierdziła Davina i znowu westchnęła. - W Mount Edgumbe, ponieważ więcej niż raz uśmiechnęłam się do lorda Astona, a dwa dni temu w Cothele tylko dlatego, że pożyczyłam od Alvanleya kilka ruloników monet. Nic wielkiego, więc nie masz co na mnie tak patrzeć. Przy następnej kolejce wygrałam i mu je zwróciłam. Tak czy owak nie mam pojęcia, jak Charles może sądzić, że uda mi się przeżyć za te parę groszy, które mi co miesiąc daje; całkiem jakby kobiecie nie była potrzebna od czasu do czasu nowa suknia, nie wspominając już o pieniądzach na błyskotki i stawki przy kartach.

- Ale nie chodziło tylko o stawki, prawda, Davino? W Mount Edgumbe oddawałaś się grze niemal bez pamięci.

- A co miałam tam innego robić, skoro Charles przez cały czas grał w karty albo pił, aż popadł w otepienie? Założyłam nowiuteńką suknię, myślałam, że mu się wyjątkowo spodoba, a on zapytał tylko, ile kosztowała. I to do tego przy ludziach. Miałam ochotę zapaść się pod ziemię. A jeżeli tylko uśmiechnę się do kogoś, od razu się boczy, za to w nim samym za grosz nie ma romantyzmu, Daintry, a ja lubię, żeby się do mnie zalecać i robić koło mnie wiele szumu. Czy to takie okropne?

- Pewnie nie, ale czy nie byłoby lepiej, gdybyś to jemu powiedziała, co myślisz, a nie mnie? Zresztą - ciągnęła - tak naprawdę nie chodzi ci o to, bym ci coś poradziła. Chcesz tylko, żebym przyznała ci rację.

Davina przez moment była chyba zła, ale potem uśmiechnęła się żałośnie i rzekła:

- Chyba tak, ale czy potrafisz sobie wyobrazić, Daintry, jak ja się czuję, mieszkając tutaj, gdzie wszyscy stoją po stronie Charlesa, a nikt się nigdy nie wstawi za mną? Gdybym się przez cały rok miała stąd nie ruszać, chyba oszalałabym. Chociaż Susan ma tyle problemów, ma też przynajmniej własny dom.

- Czy tego właśnie pragniesz?

Davina z irytacją wzruszyła ramionami.

- Och, czy to można wiedzieć, czego się naprawdę pragnie? Zwykle okazuje się, że to, co człowiek sobie wymarzył, jest w rzeczywistości całkiem inne. Po prostu nigdy nie zdażałam sobie sprawy, że Charles będzie chciał mnie żywcem pogrzebać w Kornwalii, to wszystko.

- Ależ wcale tak nie jest. Dopiero co wróciliście z Cothele, a jutro macie zdaje się jechać do Wilton House?

- Tak, chociaż Charles gderał, że to za daleko, by wybierać się tam tylko na cztery dni. Gdybym mogła postawić na swoim, to wrócilibyśmy do domu dopiero na Boże Narodzenie, ale może jakbyś mu powiedziała, że masz ochotę przejechać się z nami do Wilton... - Urwała z nadzieją w głosie.

- Już wysłałam list z ubolewaniem, że nie mogę przyjechać - oznajmiła Daintry. - Co więcej, obiecałam Melissie, że jutro obydwie z cicią Ophelią odwiedzimy ją do domu, i nie byłoby w porządku, gdybym sprawiła dziecku zawód. Rzecz w tym, Davino, że i tak pojedziesz, niezależnie od tego, czy wybiorę się z wami, i Charles też pojedzie. Przecież niemal zawsze robi to, co mu każesz.

- Pewnie tak, ale dla ciebie zrobiłby to z większym wdziękiem - odparła Davina.

Daintry zaciekawito przelotnie, czy Deverill odwiedzi Wilton House, ale powiedziała sobie, że nie ma to najmniejszego znaczenia. Udało jej się szybko pozbyć i szwagierki, i Nance. Położyła się i podciągnęła kołdrę pod brodę, ale wtedy napłynęła fala wspomnień i zaczęła prześladować ją myśl o tym, jak się Deverill na nią tego popołudnia rozgniewał.

Nie wiedziała, co właściwie ma o nim myśleć. Intrygował ją i fascynował. Okazywał jej życzliwość; niewątpliwie z nią flirtował; a w pewnym momencie, jeszcze zanim dowiedziała się, że nie jest Penthorpe'em, mówił nawet, że chciałby się z nią ożenić. Oczywiście musiało to należeć do prowadzonej przez niego gry, ale niewątpliwie próbował ją lepiej poznać i potrafił wzbudzić w niej namiętność. Okazywał jej względy i serdeczność. Udawał nawet, że szanuje niektóre z jej poglądów. Nic dziwnego, że na koniec zaczęła mu ufać, chociaż oczywiście postąpiła bardzo głupio.

Daintry zdążyła już kilkakrotnie powtórzyć sobie w myśli wszystko, co wydarzyło się tego popołudnia, a wciąż nie udawało jej się określić prawdziwej przyczyny gniewu Deverilla, aż wreszcie zdała sobie sprawę, że pobudziła go własną wściekłością. Uznał jej gniew za irracjonalny, oburzający. Ale czy te oskarżenia były usprawiedliwione? I dlaczego, zastanawiała się, kiedy kobieta traci opanowanie, to robi się z niej jędza, podczas gdy gniew mężczyzn, na przykład takiego Seacourta, nazywany jest sprawiedliwym.

Leżała i nie mogła zasnąć. To pragnęła już nigdy więcej Deverilla nie zobaczyć, to znowu miała ochotę wyjaśnić mu wszystko tak, żeby zrozumiał i przyznał jej rację. A kiedy przypomniawszy sobie, jak jej dotykał, zalała ją nagła fala takiego pożądania, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyła.

Wróciła więc myślą do tego, co mówiła lady Ophelia, a słowa ciotecznej babki przywołały na pamięć sprawę waśni. Uznała, że dużo bezpieczniej będzie się zastanawiać nad tym niż nad Deverillem. Paradoksalnie dzięki podjętej przez Jervaulxa decyzji St. Merryn zaczął mieć o swym wrogu nieco lepsze zdanie. I chociaż czuła się tym oburzona, być może był to najlepszy moment, by zapytać ojca o powód waśni.

Następnego dnia po porannej konnej przejażdżce postanowiła rozmówić się z ojcem. Ucieszyła się, widząc, że St. Merryn siedzi sam w saloniku śniadaniowym. Zajęła miejsce naprzeciw niego, a do lokaja, który podszedł z pytaniem, co można jej podać, powiedziała:

- Chwilowo nic, Jago. Zadzwoń, jeżeli będziesz potrzebny.

Lokaj zniknął, a St. Merryn zapytał:

- A cóż ty, u diabła, wyprawiasz, dziewczyno? Miałem ochotę na więcej śledzi.

- Ja cię obsłużę, papo - powiedziała Daintry, wstała i zaglądała pod pokrywki stojących na kredensie dań, aż znalazła wędzone śledzie. Nałożyła obfitą porcję na czysty talerz i podała go ojcu ze słowami: - Chciałabym dowiedzieć się czegoś o tej waśni i mam nadzieję, że nie zechce mnie ojciec znowu odprawić z kwitkiem. Łatwiej mi będzie uszanować ojcową antypatię do Deverillów, jeżeli będę wiedzia-

la, co legło u jej podstaw. Czy ojciec wie, co to było?

- Na mą duszę - wykrzyknął St. Merryn, rozsmarowując z żywiołowym zapałem dżem po grzance - a jakież to może mieć teraz znaczenie?

- Ciocia Ophelia twierdzi, że nikt nie zna przyczyny waśni - podsunęła Daintry w nadziei, że ojciec zareaguje tak, jak zwykł reagować na wyzwanie, jeżeli przedstawiono mu je w odpowiedni sposób.

- Nie ma żadnego powodu - powiedział St. Merryn szyderczo - by ta zatracona niewiasta coś wiedziała. To nie jej sprawa. W tamtych czasach nie należała nawet do rodziny, co wcale nie znaczy, że była mniej wścibska i wszystkiego do przesady ciekawa niż teraz. Pewnie była. Nie wiem. Mnie jeszcze wtedy na świecie nie było, prawda? Wiem tylko jedno: mój ojciec mówił, że kiedy stary Tom Deverill cytował wypowiedź Smolletta, iż trzeba wzmocnić monarchię, nie miał na myśli obecnie panującego domu królewskiego.

- A więc był stronnikiem króla Jakuba?

- Tak powiadają. Ale nie mógł się poważnie narazić, bo tacy stracili większość swoich posiadłości. No a poza tym, ludzie w tej okolicy raczej trzymali się prawowitego domu. Nie żeby im to wiele pomogło. Wszyscy mamy teraz na głowie tego samego szalonego króla i jego najdroższe potomstwo, czyż nie?

- Czy mój dziadek był jakobitą? - zapytała Daintry.

- Słowo daję, dziewczyno, a skąd mógłbym to wiedzieć? Mnie by o tym nie mówił. Same sekrety i knowania, do tego się to sprowadzało. Wspomniałem o tym wyłącznie dlatego, że skoro waśń zaczęła się w czasach młodości twojej ciotki, musiało to być wtedy, kiedy po okolicy kręciło się jeszcze trochę jakobitów, i przypomniał mi się ten szczegół o Tomie Deverillu.

- Ale przecież dziadek musiał coś ojcu mówić o tej waśni? St. Merryn wzruszył ramionami.

- Kiedy się zeniłem z twoją mamą, powiedział, że dzięki temu wysuwa się przed Deverilla, ale co, u diabła, mógł mieć na myśli, tego ci powiedzieć nie mogę, bo nie wiem.

- No to dlaczego ojciec uporczywie podtrzymuje tę waśń? - zapytała Daintry.

- Fakt, że zadajesz takie głupie pytania, dowodzi tylko tego, co zawsze powtarzam - parsknął jej ojciec. - Kobieta nie jest w stanie zrozumieć podstawowych faktów z życia. Waśń narasta, dziewczyno, i staje się sprawą rodzinnej lojalności. Popatrz tylko, co działo się w Launcenston: moja własna córka krzyczała na sali sądowej na sędziego. Jervaulx mógł przypuszczać, że przez tę waśń masz go za hetkę-pętelkę, tak więc dołożył wszelkich starań, by pokazać ci, że nie jest ulepiony z tej samej gliny. Wygrał przy tym o punkt, oj, wygrał. Jakiś czas temu, kiedy wojowaliśmy o miedzę, wygrałem ja. To wszystko się składa na całość.

- Ale to niepoważne i powinniście się obydwaj pogodzić - powiedziała Daintry bez ogródek.

- Sama nie wiesz, co mówisz. - Ojciec wstał i rzucił serwetkę na stół. - Mam teraz coś do załatwienia. Wszystkie te pozamykane kopalnie utrudniają życie moim dzierżawcom. - Zatrzymał się przy drzwiach. - Żebyście mi nie zapomniwały odwiedzić dziś Melissy do domu. Charles i Davina powinni byli to zrobić po drodze do Wilton, ale Ophelia upierała się, że sama ją zabierze. Tak czy owak, nie mam już ochoty wysłuchiwać narzekań Seacourta, jak to się wtrącasz w jego sprawy rodzinne. Zrozumiano?

- Tak, papo. - Daintry skończyła śniadanie i poszła na górę zdjąć z siebie amazonkę; wiedziała, że cioteczna babka i Melissa będą niedługo gotowe do wyjazdu do Seacourt Head.

Wyjechały dopiero o dziesiątej, ale drogi zdążyły już obechnąć; do Seacourt Head przybyły wczesnym popołudniem. Melissa niemal przez całą podróż wpatrywała się w okno, odpowiadała uprzejmie, kiedy któraś z jej towarzyszek się do niej zwróciła, ale sama nie zaczynała rozmowy.

Zgotowano im cieplejsze przyjęcie, niż się mogła spodziewać; Geoffrey, który najwyraźniej ich wypatrywał, podszedł do drzwi, zanim służba zdążyła wnieść bagaże Melissy.

- Wejdźcie - zawołał. - Susan miała nadzieję, że przyje-

dziecie na tyle wcześniej, by zjeść z nami lekki lunch. Hej, kochanie! Chodź tutaj i przytul papę mocno.

Melissa natychmiast do niego podbiegła i zarzuciła mu ręce na szyję, a on podniósł ją i okręcił tak, że rozwiąła jej się spódnica wokół szczupłych nóg. Potem postawił ją znowu na ziemi, ucałował w policzek i powiedział:

- Chodźmy poszukać mamy i kuzynki Catherine. Niecierpliwie czekały już na wasz przyjazd.

Daintry poczuła się zaskoczona jego swobodnym zachowaniem i zastanawiała się, czy naprawdę mógł uwierzyć, że wrócił już u wszystkich do łask.

Lady Ophelia z pomocą lokaja wysiadła z powozu i weszli do środka, gdzie w sympatycznym saloniku *znaleźli* Susan, która wyglądała bardzo dobrze i ucieszyła się szczerze na widok córki. Daintry wpatrywała się bacznie w twarz siostry, ale chociaż wcześniejsze siniaki dawały się jeszcze zauważyć, nie udało jej się wypatrzeć niczego nowego.

Lady Catherine Chauncey, która stała w pobliżu jednego z dwóch wysokich okien i wyglądała jak zwykle przesłicznie w bładozielonej, fałdистой sukni z hinduskiego muślinu, uśmiechnęła się na powitanie.

- Właśnie patrzyłyśmy na morze - powiedziała, pokazując ręką na wspaniały widok. - Witaj, Melisso, czy miałaś miłą podróż?

- Tak, proszę pani. Mamo, czy mogę teraz odejść?

- Ależ oczywiście, że możesz, kochanie - odpowiedział Scacourt. - Będziesz pewnie chciała poukładać z powrotem na miejsce swoje rzeczy i opowiedzieć panie Currier wszystko o swojej wizycie w Tuscombe Park. Panna Currier tęskniła za tobą.

Dziewczynka wybiegła z pokoju bez słowa, a Scacourt odezwał się do lady Ophelii:

- Jej guwernantka bardzo ją lubi, chociaż pewnie zaczęła się zastanawiać, czy Melissa mieszka tu naprawdę, czy nie, ale nie będziemy już o tym rozmawiali.

Gawędził nadal wesoło z lady Ophelią, a Daintry podeszła do okna i stanęła przy Catherine. Widok był wspania-

ły, jako że dom Seacourtów przycupnął daleko na cyplu; miały przed sobą zatokę St. Merryn, a po jej drugiej stronie park, ale domu nie było widać. Z niektórych górnych okien Tuscombe można było zobaczyć kawałek morza, ale wychodziły one głównie na park. Uświadomiła sobie, że Catherine coś mówi, i powiedziała:

- Bardzo panią przepraszam. Zamyśliłam się.

- Ten widok jest fascynujący, nieprawdaż? Moja sypialnia wychodzi na morze; rano wstaję wcześniej, by wyrzeć i zobaczyć, jak się tego dnia morze barwi. Zwykle - dodała z westchnieniem - jest szare, jak każdy dzień w hrabstwie York.

- Zapomniałam, że pochodzi pani z północy - rzekła Daintry.

- Tak naprawdę to nie, ale mąż stamtąd pochodził. Moja rodzina jest z hrabstwa Lincoln, które jest bardzo podobne: bagniska zamiast podmokłych torfowisk i wrzosowisk, ale bardzo ponuro. Rodzice nie żyją, a brat z żoną mają zbyt liczną rodzinę, bym była tam miłe widziana. Po prostu nie mogłam znieść myśli o hrabstwie York o tej porze roku. Chociaż dni bywają takie szare, Kornwalia jest dużo bardziej sympatyczna.

- Wydaje mi się, że wspominała pani coś o kuzynach w St. Ives - wtrąciła Daintry z nadzieją, że jej uwaga nie będzie zbyt jednoznaczna.

Najwyraźniej jednak była. Catherine zaczerwieniła się i powiedziała:

- Myśli pani o tych okropnych oskarżeniach, które rzuciła Susan; pewnie powinnam wyjechać, ale przeprosiła mnie i z miłą chęcią jej wybaczę, bo musiała być na Geoffreya wściekła. Powiedziałam mu, by u mnie współczucia nie szukał, bo moim zdaniem potraktował ją dużo za szorstko. Mężczyźni mają skłonność zapominać, jak bardzo są silni, prawda?

Susan uśmiechała się do męża, a on akurat w tym momencie objął ją za ramiona i uściśnął. Po raz pierwszy Daintry zachwiała się w swoim przekonaniu.

- Widzi pani - ciągnęła dalej cicho Catherine. - On bardzo ją kocha i naprawdę jest mu przykro, że zrobił jej krzywdę. To się nie powtórzy, obiecał nam obydwóm.

Przy stole nie dało się zauważyć nic, co mogłoby świadczyć, że Susan nie jest zadowolona ze swego małżeństwa. Słowem nikt nie wspomniał o wczorajszym dniu, a kiedy Daintry powiedziała, jak Charley była zawiedziona, że nie wolno jej towarzyszyć Melissie, Seacourt stwierdził, iż może ich odwiedzać, kiedy tylko zechce.

- A ty sama też musisz często przyjeżdżać - dodał. - Ni-
by mieszkamy blisko, a przecież tak daleko, że Susan wy-
daje się niekiedy, iż znalazła się w całkiem innym hrabstwie.

Kiedy jechały już do domu, lady Ophelia powiedziała z satysfakcją:

- Wygląda na to, że sprawy układają się pomyślnie. Jak są-
dzę, dałyśmy sir Geoffreyowi dobrą nauzkę, moja droga.

- Może - odparła Daintry, ale postanowiła poddać go su-
rowszej próbie. W ciągu poprzedzających Boże Narodzenie
tygodni zamiast jeździć na przyjęcia, tak jak planowała, bę-
dzie często odwiedzała Seacourt Head, razem z Charley lub
bez, by przekonać się, czy to, co dziś widziały, było praw-
dą czy tylko pozorami.

Odwróciła się, by podzielić się swoim prostym planem
z lady Ophelią w chwili, kiedy rozległy się pierwsze strzały.

16

Powóz gwałtownie zwolnił i Daintry usłyszała, jak stan-
gret krzyczy na konie:

- Prrr!

Wyrzała przez okno i zobaczyła kilku zamaskowanych
jeźdźców, którzy zbliżali się z bronią w rękach.

- Bandyci! - wykrzyknęła.

- Nikczemnicy - powiedziała posępnie lady Ophelia. -
A niech to, muszę zdjąć rękawiczki!

Daintry, którą te słowa zaskoczyły w niemal tym samym
stopniu, co zbliżający się bandyci, odwróciła się gwałtow-

nie i zobaczyła, że lady Ophelia mozolnie wydłubuje ze swojej wielkiej torebki pistolet.

- Nie gap się tak, moje dziecko - fuknęła starsza pani. - Nikt rozsądny nie podróżuje w dzisiejszych czasach po wrzosowiskach bez broni pod ręką. Mieliliśmy po prostu szczęście, że dotychczas nie była nam potrzebna.

- Ale czy ciocia umie tego używać? - Daintry patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

- Oczywiście, że tak. Papa mnie nauczył. To się tak robi. - Opuściła okno po swojej stronie; zagrzmiał ogłuszający strzał. Daintry wyjrzała i zdążyła zobaczyć, jak jeden z opryszków wrzasnął i przycisnął rękę do ramienia. - Trafiony - powiedziała z satysfakcją lady Ophelia.

- Na Boga, ciociu, to był wspaniały strzał!

- Byłby, gdybym to w niego celowała - stwierdziła starsza pani. - A niech to, pozostali nadal się zbliżają! Tak mi się wydaje, że to coś powinno strzelić dwa razy. Zobaczymy, czy mam rację.

Miała.

- Wystarczyło im - oznajmiła radośnie, waląc rękojęścią pistoletu w przednią ścianę powozu. - Jedź, Cotter, jedźże, człowieku! Mam nadzieję, że nie okażą się głępsi, niż mi się wydaje, i nie pojedą za nami.

W istocie napastnicy wycofali się, najwyraźniej przekonani, że ich pokonano, i damy resztę podróży odbyły bez problemów. W Tuscombe St. Merryn całą sprawę raczył potraktować lekceważąco.

- Bez wątpienia jacyś zbuntowani górnicy, którzy szukali łatwego łupu - stwierdził, kiedy opowiedziały mu, co się stało. - Ale słowo daję, Ophelio, masz szczęście, że nie trafiłaś sama siebie w głowę z tej idiotycznej pukawki. Jeżeli już musicie wałęsać się po okolicy, pilnuj, by od dziś Cotter i lokaje byli uzbrojeni.

Tak więc następne kilka podróży, kiedy Daintry zabierała Charley z wizytą do Melissy, odbyły powozem, a przez to droga tam i z powrotem zajmowała im cały dzień; słyszały, że tu i ówdzie zdarzały się podobne incydenty, ale same

nie natknęły się na najmniejsze nawet zagrożenie i nie minęło wiele czasu, a jeździły znowu ścieżką nad urwiskiem, przez co podróż zrobiła się dużo krótsza.

Daintry postanowiła, że jej obecność da się odczuć w Seacourt Head. Siostra w tak oczywisty sposób cieszyła się z tych częstych wizyt, że ugruntowała się w przekonaniu, iż udało im się zmusić Geoffreya, by dotrzymał słowa i panował nad sobą. Lady Catherine Chauncey wciąż jeszcze przebywała z Seacourtami i najwyraźniej nie miała zamiaru odjeżdżać przed Bożym Narodzeniem. Kuzynostwo z St. Ives, jak mówiła, wyjechali z wizytą do przyjaciół w hrabstwie Devon, a ona nie miała pojęcia, kiedy mogą wrócić.

Daintry nie miała żadnych wiadomości od Deverilla, nie natknęła się też na niego ani razu, chociaż przyzwyczała się codziennie rano jeździć po wrzosowisku, jeżeli tylko nie było mgły.

Zastanawiała się, czy by znowu do niego nie napisać, ale chociaż kilkakrotnie zasiadała do biurka, nie potrafiła zdecydować się na wysłanie listów. Deverill okazał się przecież tradycyjnym mężczyzną, ceniącym tradycyjne wartości i mającym tradycyjne nastawienie do kobiet. Co więcej, za każdym razem, kiedy chwyciła za pióro, ze stalówki spływały takie słowa, jakby pisała do bliskiego przyjaciela; a przecież dobrze wiedziała, że wcale nie pisze do prawdziwego Deverilla, tylko do wytworu własnej wyobraźni.

Ujrzała go pewnego pięknego ranka. Nie były wtedy z Charley same, jako że postanowiła im towarzyszyć Davina. To ona pierwsza zobaczyła Deverilla.

- Tam daleko ktoś jedzie - zawołała, kiedy galopowały w kierunku Dozmary Pool, starodawnego miejsca, które często odwiedzał król Artur i rycerze okrągłego stołu. - Może to duch sir Bedivere'a jedzie wrzucić miecz Excalibur do jeziora.

Charley roześmiała się.

- Przecież to lord Deverill, mamó, na Cieniu. Co za przeproszenia! Zwierzę!

- Tak - powiedziała Davina, a oczy jej figlarnie błysnęły,

kiedy wymieniała spojrzenia z Daintry. - Można lak o **nim** powiedzieć.

Charley pomachała do Deverilla, który jechał prosto w ich kierunku, a Davina najwyraźniej oczu nie mogła odebrać od jego wspaniałej sylwetki.

Po chwili był już przy nich, pozdrowił je uprzejmie, a potem zapytał;

- A gdzież są dziś wasi stajenni, panie?

- Och, nie byli nam wcale potrzebni - odpowiedziała Charley. - Mama mówiła, że powinnyśmy ich ze sobą zabrać, ale ciocia Daintry powiedziała, że nie trzeba. Poradziły sobie ze wszystkim same.

Deverill spojrzał na Daintry, a ona poczuła zdradzieckie ciepło na policzkach. Tak często wyobrażała sobie, że są razem i że się z nim godzi, a teraz, kiedy go spotkała, okazało się, że słowa nie potrafi wykrztusić. Żałowała tylko, że jej ciało aż tak silnie reaguje na jego obecność.

Deverill odpowiedzi udzielił pozornie Charley, ale Daintry wiedziała, że patrzy wciąż na nią:

- Moje drogie dziecko, ta część wrzosowiska nie jest bezpieczna dla samotnie podróżujących dam. Wasza trójka powinna była okazać więcej rozsądku i nie zapuszczać się tak daleko bez opieki.

- Zapewniam pana, sir, że nie miałyśmy zamiaru jechać tak daleko - powiedziała Davina swobodnie - ale kiedy te dwie znajdują się na końskim grzbiecie, ten, kto im towarzyszy, musi albo dotrzymać im kroku, albo zostać w tyle. Chociaż w tak piękny dzień należałoby je usprawiedliwić. Nieczęsto zdarza nam się takie słońce w Kornwalii o tej porze roku, jak pan wie.

Daintry ochłonęła.

- Nie powinien się pan trapić naszymi poczynaniami, sir. Mój ojciec nie zabronił nam tu przyjechać. - Miała nadzieję, że mówi tonem równie lekkim, jak Davina.

- Górnicy się burzą - odparł Deverill spokojnie, ale na ton jego głosu przypomniała sobie, jak gwałtownie potrafi się rozgniewać. - Nawet do mnie dwa razy strzelano, bo niezadowolone zatacza coraz szersze kręgi, a skończy się to do-

piero wtedy, kiedy ludziom łatwiej będzie nakarmić i odziać swoje rodziny.

Charley pokiwała mądrze głową i powiedziała:

- Właśnie tak mówił dziadek, sir, po tym, jak strzelano do cici Daintry i cici Ophelii, kiedy wracały z Seacourt Head.

W tym momencie Daintry spod oka zerknęła na Deverilla i dreszcz jej przebiegł po plecach, gdy dostrzegła jego minę. Nie miała wątpliwości, że dobrze będzie go czymś zająć, zanim zdoła zareagować na naiwne rewelacje Charley, tak więc wyskoczyła z pierwszym tematem, jaki jej przyszedł na myśl:

- Czy zna pan legendę o Excaliburze, Deverill? Kiedy zobaczyłyśmy pana, Davinie wydało się, że może być pan duchem sir Bedivere'a, odjeżdżającym po bitwie z Mordredem, kiedy już wrzucił miecz do Dozmary Pool.

Twarz Deverilla wcale nie złagodniała.

- Bedivere rozumiał przynajmniej, czym jest posłuszeństwo i rozsądnie zachowanie. Kto do pań strzelał?

- No cóż, teraz pewnie powiedziałybyśmy, że to niektórzy z tych górników, o których pan wcześniej wspominał, chociaż widziałyśmy ich tylko z daleka i nie zdołałyśmy rozpoznać. Wtedy sądziłyśmy, że to bandyci.

- Ponieważ nic się paniom nie stało, przypuszczam, że słudzy byli uzbrojeni.

- Wtedy nie, chociaż teraz zawsze są już uzbrojeni. Cio-cia Ophelia nosi w tej swojej ogromnej torebce pistolet i udało jej się zranić jednego z bandytów oraz odstraszyć pozostałych.

- Groźna lady Ophelia - zamruczał Deverill, ale surowy wyraz zniknął z jego twarzy, tak jak się spodziewała. - Jeżeli wracacie panie teraz do Tuscombe Park - dodał - to pozwolę sobie mieć zaszczyt im towarzyszyć.

Charley i Davina przyjęły propozycję skwapliwie, a ta druga z nich tak sprytnie manewrowała koniem, że Deverill wkrótce jechał obok niej. Daintry widziała, że nie miał absolutnie nic przeciw zalotnemu zachowaniu Daviny, a kiedy bratowa wspomniała, że będą w następnym tygodniu gośćmi na przyjęciu w Truro i mają się tam nadzieję

z nim spotkać (i chyba rzeczywiście tak było, bo **sądząc** z rozmowy, spotykali go wielokrotnie przy takich okazjach), Deverill odparł, że on również się na to cieszy. Daintry otrzymała zaproszenie do Truro, ale z wielką przykrością odmówiła, uważając, że dużo ważniejsze są wizyty w Seacourt Head. Teraz usiłowała sama siebie przekonać, że jest z tego zadowolona.

Kiedy droga zaczęła opadać w kierunku Tuscombe Park, Deverill ściągnął wodze.

- Nie byłoby rozsądne, bym towarzyszył paniom dalej - powiedział - a ponieważ widać panie teraz z podwórza przed stajnią, będą panie w pełni bezpieczne.

- Dlaczego nie powie pan swojemu papie, żeby przestał się kłócić z moim dziadkiem, sir? - zapytała bez ogródek Charley.

Deverill uśmiechnął się.

- A czy ty mówisz swojemu papie albo dziadkowi, co mają robić, panno Charlotto?

Charley potrząsnęła głową.

- Nie, ale ja jestem tylko dzieckiem. Nikt mnie nie słucha poza ciocią Daintry i ciocią Ophelią.

- Och, ty wyrodna córko - roześmiała się Davina - czy chciałabyś, by pan sądził, że twoja własna matka nie zwraca na ciebie uwagi? I pomyśleć, że zadałam sobie tyle trudu i pojechałam z wami dziś rano!

- Ale od wieków już mama tego nie robiła - zwróciła jej uwagę Charley - a i tak przede wszystkim rozmawiała mama z ciocią Daintry. Chciałabym jednak, żeby mama częściej z nami jeździła. - Tu zwróciła się znowu do Deverilla i oznajmiła: - Wcale nie uważam, żeby to było to samo, jeżeli pan powie coś swojemu papie albo ja powiem mojemu.

- Może i nie - zgodził się - ale muszę cię, panno, uprzedzić, że rodzicom rzadko zdarza się zapominać, że są rodzicami i nawet kiedy synowie i córki im dorosną, traktują ich nadal jak dzieci. - Przeniósł spojrzenie na Daintry i dodał z żalem: - Wyznam, że chociaż przeszukałem papiery dotyczące okresu poprzedzającego ślub mego dziadka, nie poczyniłem żadnych postępów w tej sprawie, i powoli zaczy-

nam dochodzić do wniosku, że wszyscy, *którzy* wiedzieli, od czego zaczęła się waśń, już pomarli.

Daintry kiwnęła głową zaskoczona, że Deverill nie wyrzucił sprawy kompletnie z pamięci. Powiedziała cicho:

- Ja również niczym się pochwalić nie mogę, chociaż rozmawiałam z ojcem. Mówił, że krążyły plotki, chociaż dowodów nie było, jakoby pana dziadek miał powiązania z jakobitami; ojciec napomknął o kilku drobnych incydentach, ale nawet on zdaje się nie wiedzieć, od czego się waśń zaczęła.

- Skoro nasze rodziny sąsiadują ze sobą - rzekł Deverill - wydaje się absurdalne, byśmy nie byli w stanie zlikwidować tego rozdzwiewku. Może uda nam się doprowadzić do tego, by nasi ojcowie się spotkali, kiedy wszyscy już osiadą na sezon w Londynie. Kiedy się państwo tam wybieracie?

Popatrzył ponownie na Daintry, ale odpowiedziała mu Davina:

- Jedziemy z końcem lutego, sir, tuż przed otwarciem sesji parlamentu. Mam nadzieję, że nie okaże się, iż od Bożego Narodzenia do wyjazdu będziemy żywcem pogrzebani w Kornwalii, jak to się stało w zeszłym roku!

- W tym okresie są tu przecież różne rozrywki, można postrzelać do ptaszków czy wybrać się na polowanie.

- Ma pan na myśli tylko rozrywki dla dżentelmenów, sir - odparła Davina.

Deverill rzucił zaczepne spojrzenie na Daintry i powiedział:

- Ale przecież damy również często polują, droga pani, a w rzeczy samej dopełniamy tylko naszego starożytnego męskiego obowiązku zaopatrywania stołu w jedzenie dla tych, którzy żyją pod naszą opieką.

Tu wtrąciła się Charley.

- Och, ale proszę pana, ciocia Ophelia mówi...

- Lordzie Deverill - odezwała się równocześnie Daintry - przecież chyba nie może pan wierzyć, że wyżywienie jakiegokolwiek społeczeństwa, czy to starodawnego czy współczesnego, mogło zależeć wyłącznie od tego, co przynieśli myśliwi. Utrzymanie rodziny zależało i zależy od te-

go, czy obrodziły sady, czy kobiety obsiały i pielęgnowały ogrody, czy zebrały plony. Co więcej, sir...

- Wystarczy już - przerwał jej ze śmiechem Deverill. Taka pani była milcząca, że nie mogłem się powstrzymać, by nie zarzucić przynęty i popatrzeć, czy rybka chwyci. Ciesz się z góry na Truro, drogie panie. Do widzenia.

Gideon odjechał z uśmiechem na twarzy. Zobaczywszy go dziewczyna się ucieszyła, i wcale, ale to wcale nie podobało jej się, kiedy flirtował z jej szwagierką. Uświadomił sobie, że była jakoś dziwnie milcząca, kiedy rozmawiali o Truro, i zastanawiał się, czy przyjedzie tam w gościnę. Miał nadzieję, że tak, bo przyłapał się na tym, że ostatnio wszędzie, gdzie się udał, wypatrywał jednej tylko twarzy, a z wyjątkiem przyjęcia w Mount Edgcombe szukał jej na próżno.

Przyznawał, że dziewczyna pociągała go od pierwszej chwili. Intrygowała go, zaskakiwała, oburzała i zachwycała. Powodowała, że na przemian to miał ochotę ją chronić, to znowu doprowadzała go do wściekłości. Z determinacją patrzyła na wszystko wyłącznie z własnego punktu widzenia, temperament ponosił ją równie często jak małą Charley i była urocza. Zaczęło się od tego, że postanowił ją okiełznać. Teraz po prostu jej pragnął. Niełatwo będzie ją zdobyć, to pewne, ale dotychczas nigdy nie uciekał przed wyzwaniem.

Przypatrując się odjeżdżającemu Deverillowi Davina powiedziała z figlarnym uśmiechem:

- Coś mi się wydaje, że w tym roku będę się świetnie w Londynie bawiła. Jakiż to uroczy mężczyzna, bez dwóch zdań! Naprawdę, teraz z góry cieszę się na każde przyjęcie!

Daintry udzieliła jej uprzejmej odpowiedzi, ale chociaż bardzo się starała, nie udawało jej się zapomnieć, jak Davina flirtowała z Deverillem. To nie zazdrość, powtarzała sobie wielokrotnie przez następne kilka dni, ale wdzięczna była, że nikt nie każe jej wyjaśniać, dlaczego za każdym razem, kiedy ktoś wspomniał o Truro, miała dziwną chęć wydrapać oczy swojej ślicznej bratowej.

W trzy dni później Davina i Charles odjechali, a Daintry, aby rozweselić zasmuconą Charley, rzekła:

- Jutro minie oktawa, od kiedy obydwie złożyłyśmy Mellissie wizytę, i sądzę, że nas już wygląda w Seacourt Head.

- Och, tak, i obiecała ciocia, że nas zabierze na przejażdżkę po kamienistej plaży, tym razem od strony Seacourt.

- To prawda. Pomódl się więc, by pogoda dopisała.

Kiedy jednak Daintry obudziła się następnego ranka, na niebie gromadziły się chmury. Chciała jednak zrobić Charley przyjemność i założyła, że jaskrawoniebieskie niebo na zachodzie zapowiada poprawę pogody. Do Seacourt Head wyruszyły tuż po śniadaniu.

Wiatr był rześki i chłodny, wody Kanału szare, na rozbujanych falach tworzyły się grzywy, a od czasu do czasu podmuch wiatru unosił pianę w powietrze. Linia brzegowa Francji kryła się we mgle i Daintry, rozejrzawszy się bacznie, zauważyła ze smutkiem, że na zachodzie niebo, które wcześniej było takie czyste, gwałtownie ciemnieje.

- Jak Clemons myśli? - zawołał do stajennego, który jechał za nimi. - Wytrzyma, dopóki nie dojedziemy na miejsce?

Stajenny rzucił doświadczone okiem na niebo i zawołał:

- Popada za niecałą godzinę, jaśnie panienko, ale jeszcze przez kilka godzin nie będzie ulewy. Powinna była panienka mnie posłuchać, kiedy wcześniej mówiłem, że nadciąga burza. Nie wrócimy dzisiaj.

Jechali szybko, a chociaż zaczęło kropić, zanim dojechali do Seacourt Head, deszcz ich zbytnio nie przemoczył.

Zaproszono Daintry i Charley do salonu z oknami wychodzącymi na Kanał; lampy paliły się już, bo niebo pociemniało, a Susan, która siedziała przy kominku z lady Catherine, powitała je z pewnym zaskoczeniem.

- Melissa mówiła, że odwiedzicie nas dzisiaj, ale kiedy zobaczyłam, jaka jest pogoda, wszyscy poza nią byliśmy pewni, że nie przyjedziecie.

- Pogoda była ładna, kiedy wyjeżdżałyśmy z domu - powiedziała Charley i przytuliła się do ciotki. - Troszkę się chmurzyło, to wszystko.

- Charley to optymistka - roześmiała się Daintry. - Natomiast ja powinnam była okazać więcej rozumu, ale z tego czy innego powodu miejsca sobie znaleźć nie mogłam w domu. Co więcej, wiedziałam, że jeżeli nie zgodzę się pojechać, z Charley po prostu nie da się wytrzymać.

- Ale przecież chyba to nie Charlotta rządzi wszystkim w Tuscombe Park - odezwał się sir Geoffrey od drzwi prowadzących na schody.

- Nie, oczywiście, że nie - odpowiedziała Daintry. - Naprawdę nie sądziłam, że zacznie padać, zanim tu dojedziemy, Geoffreyu, a wiedziałam, że mogę liczyć na schronienie u was, jeżeli nadejdzie burza i nie zdołamy dziś po południu wrócić.

- Ależ oczywiście - zareagowała Susan radośnie.

- Czy mogę teraz pójść do Melissy, ciociu Susan?

- Naturalnie, kochanie. Jest w pokoju szkolnym ze swoją guwernantką.

- Gdzie i ty powinnaś być - powiedział, uśmiechając się, Seacourt i zmierzył Charley włosy, kiedy przemykała obok niego. Potem już bez uśmiechu popatrzył na Daintry i stwierdził: - Nie mam pojęcia, czego brakuje twojemu ojcu, że nie weźmie was mocniej w karby. W przyzwoicie prowadzonym domu z pewnością nie dopuszczono by, żeby dwie młode damy wyjeżdżały w tak niepewną pogodę. Co do schronienia w moim domu, możesz być pewna, że z niego nie odjedziesz, dopóki ci na to nie pozwolę. Nie chcę, by mnie ktoś obwiniał o waszą śmierć.

- Nikt cię o to obwiniał nie będzie, Geoffreyu - odparła Daintry, odpowiadając mu podobnym spojrzeniem. - Wdzięczna ci jestem za gościnność, ale bezzasadne jest twoje twierdzenie, że ojciec powinien był nam zabronić tej przejażdżki. Dziś rano nie groziło nam żadne niebezpieczeństwo...

- A co z opryszkami? - zapytał ostro Geoffrey. - Czy zapomniałaś już, że strzelali do ciebie i lady Ophelii, kiedy wracałyście z tego domu do Tuscombe Park? Ja tak łatwo nie zapominam.

- Ja również nie, ale dziś jechał z nami Clemons; jest uzbrojony i w pełni zdolny do tego, by pilnować naszego

bezpieczeństwa. Co więcej, chociaż gdzie indziej zdarzały się niepokoje, na ścieżce nad urwiskiem nieczęsto się kogoś spotyka, o czym sam musisz wiedzieć równie dobrze jak ja. W końcu cały teren wokół zatoki należy albo do papy, albo do ciebie. Wcześniej zaatakowano nas na gościńcu.

- Niemniej jednak lepiej będzie dla ciebie, dziewczyno, jak zapamiętasz, że to ja jestem tutaj panem; przenocujecie u mnie na pewno, bo nawet słyszeć o tym nie chcę, byście miały wyjechać, zanim się pogoda poprawi.

- Wdzięczna jestem za twoją dbałość o nas - odpowiedziała Daintry spokojnie.

Geoffrey rzucił jej spojrzenie, które miało ją zastraszyć, ale nie odwróciła wzroku, dopóki nie uciekł oczyma w bok.

Kiedy wyszedł, Susan odetchnęła z ulgą.

- Tak bym chciała, żebyś się z nim nie kłóciła, Daintry. Tylko go wprawiasz w złość.

Daintry popatrzyła na nią badawczo.

- Czy on...? To znaczy... - Zerknęła na lady Catherine, a potem z powrotem na Susan. - Jak wam się obecnie układa? Nie widziałam cię przecież od tygodnia.

- W zeszłym roku o tej porze nie widziałas mnie przez kilka miesięcy! - zwróciła jej z ironicznym uśmiechem uwagę Susan.

- Jednak miałam nadzieję, że dobry przykład, jaki ci dajemy razem z Charley, powinien cię zachęcić do przyjazdu do Tuscombe Park, razem z Melissą, no i oczywiście lady Catherine również - dodała pospiesznie.

- Bardzo proszę, niech mi pani mówi Catherine. Jestem tu już tak długo, że czuję się niemal jak członek rodziny, a ta oficjalna formuła nasuwa mi przypuszczenie, że mnie pani nie lubi.

Kuzynka Seacourta robiła wrażenie spokojnej i skromnej i zachowywała się jak idealny gość, miły i wesoły. Nie dawało się jej nie lubić, ale równocześnie Daintry ani nie mogła powiedzieć, że ją zna, ani z przekonaniem rozstrzygnąć, czy jest ona kochanką Seacourta, jak twierdziła Susan, czy nie. Nie miała okazji porozmawiać z siostrą na osobności, po-

nieważ rzadko udawało im się dłużej niż przez minutę po-
być ze sobą sam na sam, i nie potrafiła powiedzieć, czy dzia-
ło się tak z woli Susan, czy przez knowania Catherine.

Zanim Daintry odpowiedziała, odezwała się Susan:

- Geoffrey nie lubi, jak wyjeżdżamy z domu, Daintry, na-
wet ze stajennymi. Mówi, że obecnie jest to zbyt niebez-
pieczne.

- Sama pani widziała, jak się teraz zachowywał - wtrąci-
ła Catherine. - Jest bardzo opiekuńczym człowiekiem,
zwłaszcza gdy chodzi o jego niewiasty.

- No to przyjeździe powozem i zatrzymajcie się na noc
- zaproponowała Daintry. - Geoffrey może was wyposażyć
w całą armię forysiów, jeżeli to uzna za słuszne. Mama czu-
je się zaniedbywana przez ciebie, podobnie jak reszta z nas,
zwłaszcza że zeszłego lata udało ci się przyjechać na tak
wspaniale długi pobyt.

Po raz pierwszy od przyjazdu siostry Susan, mówiąc do
niej, odwróciła wzrok:

- Z rozkoszą odwiedziłabym was, ale Geoffrey mówi, że
Melissa opuściła już zbyt wiele lekcji z guwernantką. Oba-
wia się, że wyrośnie z niej taki nieuk, jak z wiejskich dzie-
ci, jeżeli się nie przyłoży do lekcji. A jak się powodzi Nan-
ce? Czy miewa jakieś wiadomości od Annie? Jakie one
wszystkie były dla nas miłe!

Daintry pogodziła się ze zmianą tematu i żałowała tylko,
że nie może zażądać od Susan, by ta wyjaśniła jej swoje po-
stępowanie. Czy naprawdę kłamała wszystkim na temat Sea-
courta? Tak łatwo przyszło im uwierzyć, że mówiąc o swo-
im zagrożeniu, co najmniej przesadzała. Daintry wiedziała,
że zarówno Jervaulx, jak i Deverill przekonani byli, iż tak
się właśnie sprawy miały, że zachowywała się „jak typowa
kobieta”. Ale sama nie była taka pewna. Chociaż późniejsze
zachowanie Susan zachwiało jej przeświadczeniem, podob-
nie jak niedbała wzmianka Catherine o przeprosinach,
wciąż uważała, że w Tuscombe Park Susan mówiła prawdę,
a w sądzie dlatego tak się zachowała, ponieważ zdawała so-
bie sprawę, że Jervaulx ma zamiar odesłać ją do domu, gdzie

zdana będzie na łaskę i niełaskę męża. A przecież siedziała tutaj z pozoru tak zadowolona.

Dziewczynki przyłączyły się do nich na lekki posiłek, kiedy Melissa skończyła lekcje. Zaczynało już wtedy grzmieć. Sir Geoffrey nie był obecny, a chaotyczna rozmowa szybko zeszała na jazdę konną.

- Charlotta - odezwała się lady Catherine. - Dano mi do zrozumienia, że nie tylko bardzo dobrze trzymasz się w siodle, ale nawet udzielasz lekcji. Pochwalałam miło Melissę kilka dni temu, że tak ładnie jeździ, a ona powiedziała, że to ty ją tego nauczyłaś.

- Och, to nie byłam ja, proszę pani - powiedziała szeroko uśmiechnięta Charlotta. - To ciocia Daintry. Ona nas obie uczyła.

- Ale to dzięki Charley poczułam się na koniu bezpiecznie, kuzynko Catherine - wtrąciła nieśmiało Melissa. - Charley obiecała, że dopilnuje, by nigdy nie poniósł mnie żaden koń z Tuscombe Park, i udało jej się to.

- Na Boga - Catherine wyraźnie była pod wrażeniem - a jakże udało jej się znaleźć na to sposób?

- Wyszkoliła je tak, by stawały, kiedy zagwizdże na... Au! - Melissa z oburzeniem popatrzyła na Charley. Napotkawszy jej wściekłe spojrzenie i ostrzegawczy ruch oczami w stronę drzwi, zbieła jak kreda i umilkła, ale już było za późno.

- Rozumiem - powiedziała Catherine powoli, ściągając brwi.

- Nieuprzejmie jest kopać kogoś pod stołem, Charlotta - odezwał się Geoffrey od drzwi. - Takie zachowanie być może jest tolerowane w domu twego dziadka, ale ja odsyłam okazujące brak wychowania dzieci prosto do ich sypialni. Proszę natychmiast iść na górę.

- Tak, sir - wymamrotała Charlotta i właśnie wstawała, kiedy nad ich głowami wyjątkowo głośno zagrzmiało, aż się wszyscy wzdrygnęli. - Och - zawołała - muszę pójść do Victora. On nie lubi, kiedy grzmi aż tak blisko.

- Zrobisz, co ci kazano - warknął Seacourt.

- Ale wuj nie rozumie - powiedziała Charlotta i chciała

pospiesznie go wyminąć. - On wpada w panikę. Muszę iść do niego!

Seacourt chwycił ją i potrząsnął.

- Młoda damo, zrobisz dokładnie to, co ci kazano, a jeżeli usłyszę jeszcze jedno słowo, to tu i teraz przełożę cię przez kolano i dostaniesz takie lanie, że przez tydzień nie będziesz miała ochoty usiąść.

Na to zerwała się Daintry.

- Natychmiast ją puść, Geoffreyu. Nie jest twoją córką i palcem jej nie tkniesz, albo Bóg mi świadkiem, że będziesz odpowiadał przed Charlesem i Daviną, a także ciotką Ophelią. Charley nie okazuje ci w tej chwili nieposłuszeństwa. Boi się o swego konia i ma ku temu powody.

Seacourt puścił Charley, mówiąc przy tym surowo:

- Udasz się do swej sypialni, Charlotto, tak jak mówiłem. Jeżeli twój stajenny nie zdoła poradzić sobie z koniem, moi ludzie mu pomogą, ale tobie nie wolno wychodzić z tego domu. Tobie również - dodał, rzucając posępne spojrzenie na Daintry.

Wyszedł z pokoju, a Daintry odetchnęła z ulgą.

- Wolałabym, żebyś tak ciągle nie zaczepiała Geoffreya - odezwała się Susan. - Doprowadzasz go do gniewu, a on robi się wtedy taki trudny.

Catherine ochłonęła i powiedziała swobodnie:

- A więc musisz postarać się, Susan, i oczarować go tak, by mu poprawić humor.

Nie wiadomo, czy to Susan udało się ułagodzić Geoffreya, czy komuś innemu, ale przy kolacji zachowywał się jak istne wcielenie uprzejmości i ku radości swojej kuzynki opowiadał im legendy o kornwalijskich wrzosowiskach. Jednak burza szalała nadal i kiedy Geoffrey zdecydował, że powinni się wcześniej położyć, nawet Daintry nie oponowała.

Wiatr wył wokół domu, grzmiało i błyskało. Mimo to Daintry zasnęła natychmiast, ale w jej snach pełno było bębnienia, piorunów i grzmotu kopyt końskich. Znajdowała się na szczycie góry i patrzyła w dół, na ciemne, tajemnicze jezioro, przyglądała się, jak zbliża się jakiś jeździec na wiel-

kim, łomoczącym kopytami wierzchowcu; jeździec, jadąc ku niej pod górę, wymachiwał nad głową Excaliburem, i w tym momencie obudziła się nagle z sercem rozdygotanym z trwogi, bo poczuła, jak jakaś ręka zasłania jej usta, a ciężkie ciało przygniata ją do łóżka.

17

Daintry zaczęła szarpać się jak szalona i niemal nie dotarły do niej słowa Seacourta, który warczał:

- Mogłabyś wrzeszczeć, suko jedna, aż ochrypniesz, i nic by ci to nie dało, ale nie mam chęci na to pozwalać; a czy ci się to podoba, czy nie, ja jestem tu panem. - Przesunął się, odepchnął na bok kołdrę, a kiedy Daintry zaczęła się mocniej miotać, złapał ją za lewą pierś i ścisnął, aż krzyknęła i jęknęła z bólu.

- Mam wiele sposobów, żeby dać ci do zrozumienia, o co mi chodzi - powiedział. - Niech cię diabli, przestań się ze mną szarpać.

Daintry łzy napłynęły do oczu z okropnego bólu. Czuła w oddechu Seacourta brandy i próbowała się odwrócić, ale ją powstrzymał. Rozchyliła wargi, by zacząć krzyczeć, ale Geoffrey opuścił głowę, nakrył jej usta swoimi, a jego język wsunął się do środka, niczym jakiś niegodziwy, tłusty wąż, i wysunął zbyt szybko, by zdążyła go ugryźć.

Kołdra zniknęła, koszulę miała zadartą po uda, a Geoffrey wcisnął między nie kolano. A potem jego dłoń o obrzydliwie długich palcach wślizgnęła się między nogi Daintry, dotykając miejsc, których nie dotykał wcześniej nikt, a kiedy usiłowała ugryźć go w wargę, szarpnęła głowę w tył i wymierzył jej tęgi policzek.

- To tylko małutka próbka, siostrzyczko. Z rozkoszą robiłaś ze mnie idiotę. Ale teraz za to zapłacisz. Będziesz robiła dokładnie to, co ci każę, albo zadam ci ból, jakiego ni-

gdy wcześniej nie zaznałaś, a nie zostawię śladów, które jutro komuś mogłabyś pokazać.

Przesunął dłoń między jej nogi i zaczął mocno szczypać. Zakrzyczała znowu, starając się, by jej głos zagłuszył grzmoty; tym razem Geoffrey zaczekał na chwilę ciszy, zanim znowu uderzył ją i warknął:

- Dosyć. I tak cię nikt nie usłyszy, a lepiej na tym wyjdiesz, jeżeli będziesz mi posłuszna. Nie mam najmniejszego zamiaru cię zgwałcić, bo zbyt łatwo byłoby ci tego dowieść, ale mam zamiar dać ci dobrą nauczkę; jeżeli nie będziesz przy tym grzecznie leżała, pożałujesz tego. Rozumiesz mnie?

Daintry płakała teraz tyleż z bezsilnej wściekłości, co z bólu, jaki jej zadawał; najchętniej zabiłaby go, ale nie miała żadnej broni i nie pozostawało jej nic, jak tylko kiwnąć bezradnie głową, a potem leżeć sztywno, kiedy dłonie Seacourta błędziły wedle woli po jej ciele; od tego dotknięcia mdłości ją brały. Zaczynała pojmować, iż jęki chyba bawią Geoffreya, a nawet dają mu jakąś perwersyjną przyjemność, więc milczała. Kiedy jednak ścisnął jeszcze mocniej, mimo woli krzyknęła.

- Tak lepiej - wymamrotał. - Ta cholerna koszula wchodzi mi w drogę. - Przesunął się, by chwycić za materiał, a ona szybko, jak błyskawica, podkurczyła pod siebie nogi i odepchnęła go stopami. Jednym kolaniem trafiła w krocze; Geoffrey wrzasnął z bólu i chwilejnie odskoczył. - Na Boga, ty mała...

Drzwi do sypialni otworzyły się i pokój zalała poświata z lampy.

- Jaśnie panienko, czy wszystko w porządku?

Seacourt drgnął, jakby go ktoś postrzelił, i wyprostował się, przy czym jakoś udało mu się narzucić na Daintry kołdrę.

- Kto tam?

- Och, wielmożny panie! Jak pan mnie wystraszył! To ja, sir, Hilda, pokojówka lady Catherine. Przyszłam...

- Ty mnie też wystraszyłaś, dziewczyno. Słyszałem, że lady Daintry krzyczy, przerażona burzą - wyjaśnił zatroskanym tonem. - Wszedłem do środka by ją uspokoić, ale co ciebie tu sprowadza?

- Ależ dokładnie to samo, sir - odpowiedziała. - Lady Ca-

therine przypomniała sobie, jak lady Daintry mówiła, że okropnie boi się burzy, więc przysłała mnie tu, bym sprawdziła, czy nie przerażyły jej grzmoty. Mówiła, że gdyby jaśnie panienka się bała, to mam tu zostać razem z nią.

- Wspaniały pomysł - odparł Seacourt. - Lady Daintry nie tylko się bała, ale miała na dodatek jakiś koszmarny sen. Z przyjemnością przyjmiesz towarzystwo Hildy, prawda, moja droga?

- Tak - potwierdziła z zapałem Daintry. Wdzięczna była za pojawienie się Hildy, ale zastanawiała się, czy Catherine przypadkiem nie wiedziała z góry, że Geoffrey tu przyjdzie.

Seacourt kierował się już ku drzwiom, kiedy służąca wykrzyknęła:

- Och, byłabym zapomniała, sir, ale okno u lady Catherine tak grzechocze, że nie może ona spać. Powiedziała, że gdybym spotkała kogoś, kto mógłby je naprawić, to mam go do niej przysłać, ale nie wiem, kto o tej godzinie...

- Zajmę się tym, Hildo. Dobranoc. - I już go nie było.

Daintry niemal rozpłakała się z ulgi, a służąca zapytała rzeczowo:

- Czy mogę pani coś przynieść, jaśnie panienko?

Pistolet, pomyślała Daintry, albo bardzo duży nóż, albo nawet miednicę, żebyśmy mogła zwymiotować, ale powiedziała tylko:

- Nie, dziękuję ci, Hildo. Gdzie będziesz spała?

- W ubieralni stoi chyba kozetka, jaśnie panienko. Czy mam zostawić drzwi otwarte?

- Proszę.

Kiedy nazajutrz Daintry przysłała na śniadanie, w pokoju obecne były tylko Catherine i Susan; obydwie pozdrowiły ją tak jak zwykle, ale przez ten incydent chyba się od nich oddaliła. Chociaż miała uczucie, że po samym jej wyglądzie powinny poznać, co wyprawiał z nią Geoffrey, na ich twarzach malowała się tylko sympatia. Skoro więc Catherine nie wspomniała, że nocą wysłała Hildę do Daintry, Daintry również o tym nie napomknęła. Nie życzyła sobie przysparzać Susan zmartwień i właściwie nie miała nawet pew-

ności, czy to Catherine przysłała Hildę, czy służąca tylko tak mówiła.

Jak tylko Daintry skończyła jeść, posłała po Charley i kiedy obie pożegnały się z Susan i lady Catherine, udały się od razu do stajni. Przechodziły właśnie przez błotniste podwórze i zbliżały się do wrót, kiedy usłyszały bolesne rżenie konia, a potem dwa strzały.

Serce Daintry załomotało w piersi; zobaczyła, że Charley staje jak wryta i krew odpływa jej z twarzy. Zanim zdążyła ją powstrzymać, dziewczynka wbiegła do stajni. Daintry popędziła za nią, przerażona tym, co mogą zastać w środku. Za drzwiami przystanąła.

- Och, Victorze - płakało dziecko - już myślałam, że to ty!

Daintry gwałtownie otarła oczy i zobaczyła, że Charley otworzyła drzwi do boksu Victora i tuli się do jego karku, a wałach trąca ją nosem, szukając marchewek czy cukru. Srebrzysta głowa Obłoka wynurzyła się znad bramki do sąsiedniego boksu; zarżał, poznając swoją panią.

- Bardzo mi przykro z tego powodu, jaśnie panienko - odezwał się Clemons. - Powiedziałbym chłopakom, żeby zaczekali trochę, gdybym wiedział, że malutka jest tak blisko, ale jeden z koni wierzchowych sir Geoffreya wpadł w panikę podczas burzy i złamał sobie nogę, więc trzeba było biedaka położyć.

- To nie twoja wina, Clemons - odpowiedziała Daintry.
- Jeżeli nasze konie są już osiodłane, *to* jedźmy natychmiast.

Geoffreya nigdzie nie było widać i Daintry nie pytała, gdzie się podziewa; nie miała pojęcia, czy zdołałaby się do niego odezwać ani jak by się zachowała, ale wiedziała, że jeżeli go już nigdy na oczy nie zobaczy, wcale nie będzie żałować. Wyjechały z podwórza, a kiedy zbliżały się do ścieżki na urwisku, zerknęła na Charley, która była nienaturalnie milcząca.

- Pensa za twoje myśli - odezwała się łagodnie.

Charley spojrzała jej w oczy, ale przez długą chwilę nic nie mówiła. Potem wyjąkała:

- Ja myślałam... To znaczy, tylko przez chwilę, dopóki go nie zobaczyłam, myślałam, że to może Victor. Wie ciocia, jak on się boi, kiedy grzmi. I..

- Wiem - powiedziała Daintry, nie czekając, aż dziewczynka dokończy swoją myśl.

- Skąd to się bierze, ciociu Daintry - ciągnęła dalej Charley poważnie - że w niektórych domach jest miło, a w niektórych nie? I wcale nie chodzi mi o wyposażenie domu; chodzi mi o to, jak się tam człowiek czuje.

- Przypuszczam, że to zależy od ludzi.

- Wuj Geoffrey jest okropny.

Daintry całkowicie się z nią zgadzała, ale zdając sobie sprawę, że absolutnie nie powinna roztrząsać tego tematu, upomniała ją:

- To ty wczoraj źle się zachowałeś, przecież wiesz. Miał powód, by być z ciebie niezadowolony.

- Wiem, ale czy on zawsze chce bić tego, z kogo jest niezadowolony?

- Niektórzy mężczyźni już tacy są, kochanie.

W drodze powrotnej nic się złego nie działo, ale zainteresowanie Daintry częstymi wizytami w Seacourt Head zanikło. U Charley chyba też, ponieważ do Bożego Narodzenia dziewczynka słowem nie wspomniała o ponownych odwiedzinach u Melissy. Daintry zrozumiała, że odwiedzając siostrę, może wbrew swej woli pogorszyć sytuację Susan. Było już teraz pewne, że Seacourt domyślił się, w jaki sposób tamtego dnia na wrzosowisku Charley pomogła uciec jego żonie i dziecku.

Davina i Charles wrócili z Truro, niemal nie rozmawiając ze sobą, ale Daintry dowiedziała się, że nie dość iż Deverill był jednym z gości, to na dodatek wyjechał razem z Jervaulxem z Kornwalii do hrabstwa Gloucester; bardziej niż kiedykolwiek żałowała, że zamiast do Seacourt Head nie wybrała się na to przyjęcie.

Lady St. Merryn przyjęła za pewnik, że rodzina jej starszej córki dołączy do nich na Boże Narodzenie, ale surowa zima dała Seacourtowi pretekst, by zatrzymać wszystkich w domu, a Daintry, chociaż tęskniła za Susan i Melisą, wcale tego nie żałowała. Przyłączyło się do nich jednak kilku innych gości, w tym lord Alvanley i sir Lionel Werring; obydwaj szybko przyznali

się, że zaproszono ich na Nowy Rok do Jervaulx Abbey.

Lady Ophelia z miejsca poczuła się dotknięta tą wiadomością.

- Gniazdo nieprzyjaciela, ot, gdzie się wybieracie, Lionelu. Mam nadzieję, że się zgubicie gdzieś w zaspach. I dobrze wam tak! Po co przechodzicie na stronę nieprzyjaciela? Na własne uszy słyszałeś, Lionelu, jak ten nędznik Jervaulx mówił w sądzie, że kobiecie musi być lepiej przy mężu, nawet takim, który ją dręczy, niż samej.

- Ależ, moja droga Ophelio, mam nadzieję, że nie czyni go to twoim wrogiem - zareplikował bez ogródek prawnik - przecież ja sam nieraz mówiłem ci podobne rzeczy.

- To wcale nie to samo - odparła. - Ma się rozumieć, że można takie sprawy roztrząsać teoretycznie, ale w sądzie to było samo życie! A Jervaulx, plotąc różne bzdury, miał chęć nazywać je prawem!

Sir Lionel zakręcił bursztynowym płynem w kieliszku i sprostował łagodnie:

- To jest prawo. Co więcej, Jervaulx jest przekonany, podobnie jak wielu innych, że mężczyzna jest naturalnym opiekunem i obrońcą kobiety, a trudno mieć mu to za złe, skoro idea ta jest równie stara jak Biblia.

- Wielka prawda - wtrącił Alvanley. - Od chwili kiedy biedny Adam oddał zebro, by można było stworzyć Ewę. Ogromne są różnice między oboma płciami, lady Ophelio. Nie może pani temu zaprzeczać.

- Też coś - prychnęła Ophelia. - Prosta logika podpowiada, że Bóg musiał stworzyć najpierw kobietę, ponieważ to kobiety, a nie mężczyźni rodzą, ale autorzy Biblii szukali koniecznie jakiegoś sposobu, żeby mógł urodzić mężczyzna, bo to pozwoliło przypisać mu znaczenie, którego w innym przypadku mieć by nie mógł.

Lady St. Merryn aż krzyknęła zaszokowana, a kuzynka Ethelinda zapiszczała:

- Moja droga Ophelio! Toż to bluźnierstwo!

- Słowo daję, Ophelio, co jeszcze wymyślisz? - odezwał się St. Merryn rozdrażniony. - Kobiety nie są równe mężczy-

znom i nigdy im równe nie będą. Porozmawiajmy o czymś rozsądnym, kobieto!

Goście wyjechali do Jervaulx Abbey następnego dnia. Pogoda się ustabilizowała: przez następne kilka tygodni lał deszcz. Mimo to St. Merryn i Charles udali się do hrabstwa Leicester na sezon polowań i zostawili panie ich własnym sprawom.

Davina nie kryła, jak czuje się zdegustowana, że zostawiono ją w domu, ale kiedy Daintry zapytała, czy wołałaby raczej pojechać z hrabią i Charlesem do malutkiego, miłutkiego domku myśliwskiego w Melton Mowbray, bratowa wytrzeszczyła na nią oczy.

- Miłosierne nieba, w życiu! Trudno byłoby wyobrazić sobie coś bardziej niewygodnego, ale dziwi mnie, że twoja cioteczna babka i jej przyjaciółki nie wynalazły jeszcze jakiegoś sposobu, by i panie mogły się zabawić, kiedy wszyscy panowie polują.

Niepogoda utrzymywała się niemal przez dwa miesiące, ale wreszcie przejaśniło się na tyle, że niebo przybrało burzowy kolor, a St. Merryn i Charles wrócili, by zabrać swoje damy do Londynu.

Po dwu tygodniach dojechali pewnego dżdżystego marcowego popołudnia na obrzeża metropolii. W dwadzieścia minut później powozy zatrzymały się po zachodniej stronie Berkeley Square przed wysokim, ceglany, oblicowanym kamieniem budynkiem, który w ubiegłym wieku William Kent zbudował dla drugiego hrabiego St. Merryn.

Minęli hol wejściowy; było to skromne, brukowane kamiennymi płytami pomieszczenie, nie zapowiadało w żaden sposób wspaniałych schodów, które podrywały się w stronę sklepienia na samym środku domu. Były zapierającym dech w piersi przykładem jednego z najlepszych dzieł Kenta, a chociaż stopnie miały nie więcej niż cztery stopy szerokości, skręcające się kondygnacje rozdzielały się i zawracały, aż ich górne części skryły się za szeregiem kolumn jońskich na górnych podestach. Kopułowe sklepienie przypominało zawartość szkatuły z klejnotami, pola pomiędzy grubo złożonym żebro-

waniem malował sam Kent: szare malowidła na ciemnoczerwonym albo niebieskim tle. Jak to często miało miejsce w przypadku Kenta, kasetony i sztukaterie na sklepieniu istniały naprawdę, a nie były tylko złudzeniem optycznym.

Daintry kochała ten dom i jak to zawsze robiła zaraz po przyjeździe, zostawiła resztę rodziny i pospieszyła na górę do wielkiego salonu z bogatymi, błękitnymi obiciami i zasłonami, przeszła przez bliźniacze bawialnie i saloniki, a potem wspięła się jeszcze wyżej następną kondygnacją schodów, do własnej, żółto-białej sypialni. Przekonawszy się, że wszystko jest w porządku, powróciła na dół, na poziom salonu, by upewnić się, że lady St. Merryn zainstalowała się wygodnie w swoim buduarze na tyłach domu.

Czekała na nowy sezon z większą niż zwykle radością; odniosła wrażenie, że Davina też jest w świetnym nastroju. Bratowa tęskniła za Charlesem przez te kilka tygodni, które spędził w hrabstwie Leicester, a i Charles lepiej wydawał się do niej usposobiony.

Daintry wiedziała, że Jervaulx jest w mieście i że zasiada już w Izbie Lordów, bo słyszała, że wymieniano kilka razy jego nazwisko, natomiast o Deverillu nikt nic nie mówił, a ona nie pytała. Od siostry również nie miała żadnych wiadomości, skontaktowała się z nią dopiero na krótko przed balem dobroczynnym w Salach Almacka, które to wydarzenie oznaczało prawdziwe rozpoczęcie sezonu londyńskiego.

Rokrocznie, kiedy Daintry odwiedzała sale przy King Street, wyglądały one tak samo, nie świeciły ani elegancją, ani przepychem. Wiedziała, że przekąski okażą się średnie, ale jeżeliby komuś odmówiono zaproszenia, unikałyby go później najlepsze kręgi towarzyskie Londynu.

Daintry i jej rodzinę powitał przy drzwiach pan Willis, który był właścicielem sal, a wkrótce potem orkiestra, od wielu już lat pod batutą pana Colneta, rozpoczęła bal wielkim marszem. Zaczął się londyński sezon.

Panna Tarrant oka nie spuszczała z wejścia na salę balową, wmawiając sobie, że wypatruje siostry, ale kiedy Seacourtowie pojawili się tuż po zakończeniu pierwszego cy-

klu kontredansów, a jej partner chciał odprowadzić ją do matki, przystała na to niechętnie.

Z drugiego końca sali Geoffrey uśmiechał się do niej, jakby nic się nie stało. Tak więc gdy podszedł do niej lord Alton, pytając, czy może prosić o następny taniec, odwróciła się do niego z ulgą. Niestety pod koniec tańca okazało się, iż Geoffrey stoi tuż obok nich.

- Odprowadzę moją szwagierkę z powrotem do mamy - oznajmił.

Alton ukłonił się i odwrócił się na pięcie.

- Jak śmiesz, Geoffreyu! - powiedziała cicho Daintry.

- Chcę z tobą porozmawiać - odparł, uśmiechając się absolutnie normalnie. - Przejdź ze mną do tamtego pokoju.

- Nie zrobię tego. Chyba rozum ci odjęło.

- Chcę cię przeprosić, Daintry, ale niech mnie diabli wezmą, jeżeli będę usiłował tego dokonać w tłumie ludzi próbujących dobrać się w pary.

Daintry popatrzyła na niego. Wydawało jej się, że mówi szczerze, pozwoliła więc zaprowadzić się do niewielkiego pokoiku, ale uparła się, by drzwi pozostały otwarte.

- Co tylko zechcesz - zgodził się. - Naprawdę chcę cię przeprosić, zamroczyła mnie brandy i zachowałem się jak świnia.

- Jeżeli masz nadzieję, że z miejsca ci przebaczę - odparła - tego się po mnie nie spodziewaj. Dołożę starań, by zapomnieć o tym, co zrobiłeś, Geoffreyu, ale na więcej obecnie nie możesz mieć nadziei. - Chciała go wyminąć i zeszywniała z przerażenia, kiedy chwycił ją za rękę i odwrócił twarzą do siebie. - Puść mnie, Geoffrey.

- Zaczekaj, Daintry, nie rozumiesz, co chcę...

- Puść ją.

Chociaż Seacourt ją trzymał, Daintry odwróciła się natychmiast, a oczy jej zabłyśły radością.

W drzwiach stał Deverill, minę miał ponurą.

- Wyoś się stąd, niech cię diabli - burknął Seacourt. - To sprawa rodzinna, nie twój interes.

Deverill wszedł do środka i stwierdził sucho:

- Puść albo odpowiesz przede mną, Seacourt.

- Panowie, proszę - powiedziała Daintry.

Seacourt pchnął ją za siebie i stanął przed Deverillem.

- Jestem gotów, jak tylko ty będziesz, na Boga - rzucił gniewnie, wysuwając brodę w przód i nastawiając pięści. Kość trzasnęła o kość i w mgnieniu oka Geoffrey padł na podłogę u stóp Daintry.

Deverill chwycił ją za ramię i odsunął od nieprzytomnego przeciwnika, pytając niespokojnie:

- Czy nic pani nie jest?

Wyrwała mu rękę, mówiąc:

- Oczywiście, że nie. Dobry Boże, Deverill, co pan narobił? On usiłował mnie przeprosić i choć udało mu się tylko mnie zdenerwować, nie było powodu, żeby go powalać na ziemię. - Usłyszała jęk Geoffreya i dodała pospiesznie: - Niech pan już teraz idzie. Jeżeli wciąż pan tu będzie, jak on do siebie dojdzie, to zrobi się awantura, a mogę pana zapewnić, że z jej powodu ucierpię tylko ja. Czy pomyślał pan o tym, zanim go pan uderzył?

- Niech no pani chwilę zaczeka. Przepraszał panią, a właściwie za co? Widziałem, że panią chwycił za rękę, i widziałem twarz pani i jego. Groził pani, a pani się go bała. I ucieszyła się pani na mój widok, tak więc jeżeli sądzi pani...

- Och, niech pan już idzie, zanim stracę do pana cierpliwość - fuknęła. - Może w pierwszej chwili się ucieszyłam, ale mnie nie jest potrzebny opiekuńczy do przesady mężczyzna. A teraz, na miłość boską, proszę już wyjść. Sama sobie ze wszystkim poradzę!

- No to niech pani sobie poradzi z tym! - powiedział ze złością, chwycił ją w objęcia i mocno pocałował. Kiedy starała się uwolnić, puścił ją natychmiast. Potem z surową miną rzekł: - Jest wiele rzeczy w życiu, z którymi nie poradzi sobie pani sama, słoneczko, nie dlatego, że jest pani kobietą, ale dlatego, że nie chce się pogodzić pani ze swymi ograniczeniami.

I wyszedł.

Daintry przez moment stała nieruchomo, potem chwyciła wazon z kwiatami i chlusnęła wodą na głowę Geoffreya.

- Wstawaj! - Kiedy z trudem siadał, dodała: - Pękła ci warga i masz mokre włosy. Tamte drzwi prowadzą na galerię, z niej będziesz mógł wyjść na ulicę. Ja przeproszę resztę towarzystwa w twoim imieniu.

Gideon wyszedł z Almacka w poczuciu, że go źle potraktowano, ale zły był bardziej na siebie niż na Daintry. Miała powód, by go zwymyślać za to, że uderzył Seacourta, a chociaż tak naprawdę nie potrafił wzbudzić w sobie skruchy, wcale nie był pewien, dlaczego właściwie to zrobił. Widział, jak przechodziła z tym człowiekiem do pokoiku. Wiedział, że go nie lubi, zastanawiał się, czy Seacourt ją do tego zmusił. A potem, kiedy ich zobaczył przed sobą, pewien był, że Geoffrey zachował się niewłaściwie i zareagował instynktownie, co zdarzało mu się bardzo rzadko.

Idąc na zachód wzdłuż King Street do przejścia prowadzącego w stronę St. James Street, przypomniał sobie furie Daintry i uśmiechnął się. Inne młode kobiety przynajmniej udawałyby, że są wdzięczne za ratunek, ale nie ta. Ta była wściekła. Jej oczy miotają iskry, a opięte muślinem piersi wspaniale falowały. Potrząsnął sam nad sobą z politowaniem głową, a potem zobaczył, że oświetlające przed nim alejkę pochodnie pogasły, przez co zrobiło się nienaturalnie ciemno. W chwili kiedy ta myśl przemknęła mu przez głowę, z cienia wychynęły trzy postacie z uniesionymi w górę pałkami.

Deverill walczył dzielnie, ale chociaż powalił dwóch bandytów, trzeciemu udało się zadać decydujący cios. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszał Deverill, były gniewne okrzyki dobiegające od wylotu alejki na King Street.

Dochodził do siebie powoli, czuł, jak jakieś dłonie lekko go biją po twarzy, jak ktoś rozciera mu ręce. Potem poczuł przyciskaną do warg butelkę, którą ktoś przechylił. Zakrztusił się łykiem czystej, ognistej brandy, próbował odpchnąć od siebie butelkę i otworzył oczy. W świetle rozpalonych na nowo pochodni ujrzał piegowatą twarz, której nie spodziewał się w tym życiu już zobaczyć.

- A ja myślałem, że już na dobre po tobie - powiedział wesoło wicehrabia Penthorpe. - Psiakosteczka, cieszę się, że tak nie jest.

18

Jeden z towarzyszy Penthorpe'a przywołał dorożkę z St. James Street i Penthorpe usiadł obok Gideona, życząc przyjaciółom dobrej nocy. Gideon oparł obolałą głowę o poduszki; było mu trochę niedobrze, ale nie potrafił już ani chwili dłużej powstrzymać ciekawości.

- Skąd ty się, u diabła, wzięłeś? Myślałem, że nie żyjesz.

Penthorpe roześmiał się, ale zanim odpowiedział, ściągnął okienko w dół i zawołał:

- Hej, człowieku, nie musisz nami trząść w takim tempie. Nie spiesz się tak.

Rozkołysana dorożka nieco zwolniła, a Gideon odechnął z ulgą.

- Dzięki ci, Andy. A teraz odpowiedz na moje pytanie.

- Nic ci już nie przyjdzie z wydawania rozkazów, stary. Nawet jeżeli ja nie wystąpiłem jeszcze z armii, ty wystąpiłeś na pewno, i już nie muszę cię słuchać. Co więcej, słaby jesteś jak kot, więc najlepiej siedź cicho, dopóki nie dojedziemy do Jervaulx House.

- Ale ja widziałem cię na polu bitwy - upierał się Gideon.

- Znalazłem miniaturę i poznałem cię po rudych włosach.

Penthorpe zachichotał zupełnie, jego zdaniem, bez serca.

- To nie były moje włosy - powiedział. - Musiał tam leżeć jakiś inny biedny truposz. Powiedzieć ci nie potrafię, jak mnie to ruszyło, kiedy przeczytałem, że podobno nie żyję. Przyjaciel miał „Timesa”, sprowadził go aż z Londynu, stało tam napisane, że padłem pod Waterloo. Musiałem zajrzeć w lustro i się uszczypnąć, żeby mieć pewność, że to nieprawda.

- Ale twój wuj zamieścił to kilka miesięcy temu! Jak...

- Nie teraz. Siedź cicho, dopóki cię nie dowieziemy do domu i nie przyjrę się porządnie temu guzowi, którego masz na głowie. Przypuszczam, że powinien rzucić na ciebie okiem jakiś konował.

- Nie potrzeba - wymamrotał Gideon. - Nie trzeba mi lekarza.

Ale kiedy dojechali do wielkiej rezydencji na brzegach Tamizy, gdzie od dwustu lat mieściła się londyńska siedziba markizów Jervaulx, pan markiz osobiście zdecydował, że należy posłać po lekarza, a Gideon, którego z minuty na minutę coraz bardziej bolała głowa, nie sprzeczał się z nim. Kiedy jednak doprowadzono go już do sypialni i Penthorpe chciał go tam zostawić, oznajmił z ponurą stanowczością w głosie;

- Żebyś mi się nie ośmielił na krok ruszyć z tego pokoju, dopóki się nie wytłumaczysz przede mną, Andy, albo, na Boga, wstanę i...

- No dobrze już, dobrze - powiedział Penthorpe, szeroko się do niego uśmiechając. - Zostanę, jeżeli twój ojciec mnie nie wyrzuci.

Jervaulx, który towarzyszył im na górę, odparł:

- Musi pan postąpić tak, jak uważa za stosowne.

I zostawił ich.

- Nic się nie zmienił, dalej taka zimna ryba - mruknął Penthorpe. - Mówi jak z książki. Tyle ci powiem, że śmiertelnie się go boję.

- Skoro już mówimy o śmierci - wtrącił Gideon, ignorując łupanie w głowie - to co, u diabła...

- Cóż, prawda jest taka, że nie zginąłem.

- A niech cię, to przecież sam widzę. Ale co się stało?

- Upadł na mnie koń - wyjaśnił Penthorpe. - Do tego miałem kulę w ramieniu, ale ten koń był dużo gorszy, a już całkiem okropne było to, że nie mogłem się spod niego wydostać. Wszędzie naokoło latały kule armatnie, wrzaski i krzyki ciągnęły się chyba całymi godzinami, a ja nic nie widziałem. Właściwie to nawet ledwo mogłem oddychać. Ktoś upadł na mnie, a właściwie to na tego konia, no i niech to, jak mnie zabołało. Świat mi się musiał stracić, bo następ-

ną rzeczą, którą pamiętam, był poranek, dużo cichszy. Nie żeby słychać było ptaszki czy *coś* takiego miłego, zważ. Tylko mnóstwo jęków i jakieś wrzaski, ale już dużo mniej niż poprzedniego dnia. Potem usłyszałem czyjś żeński głos, nawołujący kogoś o imieniu Jean-Paul, i przypominam sobie, że żałowałem, że nie jestem tym Jean-Paulem, bo wtedy ten ktoś przyszedłby i mnie zabrał. Umysł musiał mi nie najlepiej funkcjonować, bo sporo czasu minęło, zanim wpadło mi do głowy, że mogę zawołać do tej dziewczyny, żeby za mnie ściągnęła konia, ale w końcu to zrobiłem, a ona sprowadziła na pomoc kogoś z wozem.

- Francuzka?

- Nie, Belgijka o imieniu Marie de Larrey, szukała męża. I znalazła go, jeżeli zdołasz uwierzyć. Był ranny, jak ja. Załadowała nas obu na wóz i potelepaliliśmy się do domu w wiosce. Najgorsza jazda, jaką w życiu odbyłem, mogę ci to powiedzieć, bo chyba miałem złamane żebro, no i tę cholerną kulę w ramieniu. Potem złapałem jakieś choróbsko, tak że sporo czasu minęło, zanim wróciłem do formy, no ale oto i jestem.

- Minęło kilka miesięcy, Andy - zwrócił mu surowo uwagę Gideon.

- Wiesz, przez jakiś czas nie wiedziałem nawet, że nie jestem w Anglii. No, a później ta wioska okazała się całkiem miłym miejscem, a ludzie byli bardzo przyjaźnie nastawieni, i nikomu jakoś szczególnie nie zależało, żebym się spieszył z wyjazdem. Tę pioruńską gazetę zobaczyłem dopiero w styczniu i ciągle zabierałem się, żeby do kogoś napisać, ale... - Wzruszył żałośnie ramionami. - Sam wiesz, jak to ze mną jest w takich sprawach, Gideonie.

- Nikt tego lepiej nie wie niż ja - przyznał cierpko Gideon. - A dlaczego wróciłeś właśnie teraz?

- Przyszła wiosna i zrobiłem się jakiś niespokojny - powiedział po prostu Penthorpe. - Pytam cię, Gideonie, czy miałbyś ochotę tkwić w belgijskiej wiosce, gdybyś mógł na sezon jechać do Londynu?

- Bez wątpienia to, że się znowu pojawię, wstrząśnie wieloma osobami. Czy Tattersall już wie?

- Wiesz, tak mi się zdaje, że jest w mieście, ale nie całkiem się jeszcze zebrałem, żeby go odwiedzić. Zrobię to jutro, oczywiście. Muszę też pewnie załatwić sobie jakiś wypis z armii. Przyjechałem tu dzisiaj późnym popołudniem, rozumiesz, i od razu ruszyłem szukać ciebie. Zaszedłem do klubów, przynajmniej dwóch, do Brooksa i White'a, zanim ktoś przypadkiem nadmienił, że to wieczór otwarcia sezonu w Almacku. Nie byłem odpowiednio ubrany, ale i tak poszedłem tam w nadziei, że uda mi się jakoś przekazać ci wiadomość. Głupi ma zawsze szczęście, więc przyplątałem się akurat na czas, żeby się przydać. W pierwszej chwili nie wiedziałem nawet, że to ty. Nie spodziewałbym się, że wymkniesz się stamtąd tak wcześnie.

Gideon przeszył go spojrzeniem.

- Twoja narzeczona kazała mi się wynosić.

- Moja narzeczona? - Mina Penthorpe'a zmieniła się gwałtownie. - Miałem nadzieję... to jest, obawiałem się, że to już nieaktualne. Czy nie powiedziałaś jej, że nie żyję?

- Powiedziałem, ale skoro jednak żyjesz, a nie zaaranżowano dla niej niczego innego, to coś mi mówi, że jej ojciec powita cię z szeroko otwartymi ramionami. Nie wyglądasz na zachwyconego, Andy. Czyżby pani de Larrey miała ładną siostrzyczkę?

Penthorpe potrząsnął głową.

- Nie, nie, wcale nie o to chodzi, psiakostka, chociaż nawet myślałem, jak to dobrze, że nie ożeniłem się przed Waterloo; zostawiłbym żalobną wdowę, prawda?

- Wiem, ale będziesz musiał dotrzymać zobowiązania.

- Oczywiście, że dotrzymam. Dobry Boże, cóż innego mogę zrobić? Gdybym zdawał sobie sprawę... Jaka ona jest, Gideonie?

- Równie piękna jak na portrecie - ocenił Gideon. - Ale lubi mieć własne zdanie, jak ci już mówiono.

- Co ty właściwie chcesz przez to powiedzieć?

- Przykre to, ale ma niepochlebną opinię o naszej płci, Andy.

- Nie lubi mężczyzn? Dobry Boże, co z niej za kobieta?

Gideon zawahał się, przychodziły mu na myśl różne określenia, których mógłby użyć. W końcu powiedział:

- Jest nieznośna, irytująca i zbyt porywca, ale ma lekką rękę do koni, więc sądzę, że ci się spodoba, Andy.

- Dobry Boże. - Penthorpe miał przerażoną minę, ale szybko otrząsnął się i podjął pospiesznie: - To jest... no, mam nadzieję, że nie próbowałaś jej sam okiełznać, Gideonie. Chcę powiedzieć, że pewnie by mnie rzuciła, gdybyś pomachał jej przed oczami swoimi nadziejami na przyszłość, co?

- To kobieta wierna danemu słowu, Andy. Nie wycofa się.

- Nie musisz tego mówić tak, jakbym chciał, żeby coś takiego zrobiła - zareagował pospiesznie Penthorpe. - A nawet gdybym chciał, to i najlepszemu przyjacielowi nie mógłbym o tym powiedzieć, żeby nie wyjść na skończonego łajdaka. Ale co ty się tak górnolotnie wyrażasz? Przecież już trzy razy się wycofała, czyż nie? Tak mówił mi wuj.

Gideon uśmiechnął się.

- To co innego, a przynajmniej ona tak by twierdziła. Tym razem dała ojcu słowo honoru, a to, jej zdaniem, robi wielką różnicę.

- Och. - Penthorpe milczał przez chwilę, potem powiedział: - St. Merryn pewnie jest w mieście. Muszę się z nim natychmiast zobaczyć.

- Cała jego rodzina jest w mieście - potwierdził Gideon, zmieniając pozycję.

- Lady Susan i Seacourt też?

- Tak. Może lepiej sam ci powiem, zanim doniosą ci o tym jakieś plotkary, że mieli tam przed Bożym Narodzeniem dosyć niefortunną scysję. Lady Susan uciekła od męża.

- Uciekła? Dlaczego?

Zamiast odpowiedzieć wprost, Gideori stwierdził:

- Seacourt uznał za konieczne zwrócić się do sądu o nakaz *habeas corpus*, żeby ją odzyskać.

- Przestań paplać do mnie po łacinie. Cóż to, u diabła, znaczy?

- Że musiała do niego wrócić albo stanąć przed tymże sądem i podać powód, dla którego tego nie zrobiła. Powiedzia-

la, że Seacourt ją pobił. Twarz miała zasłoniętą gęstym welonem, więc jej nie widzieliśmy, ale on nie zaprzeczał.

- Co ty powiesz, a niech za diabli! Dobrze zrobiła, że go zostawiła, jeżeli byś pytał mnie o zdanie. Łatwo w szkole puszczał pięści w ruch. Gdzie ona teraz mieszka?

- Sędzia odesłał ją do domu.

- Co takiego? Jakże to może być?

- Takie jest prawo, Andy, nawet jeżeli mąż to brutal.

- Kretyńskie prawo - warczał Penthorpe. - Jakież idiota z tego sędziego. Co za diabelski pomysł! Ale skąd ty o tym wszystkim wiesz? Przecież nie było chyba nic w gazetach.

- Byłem tam. Sędzią był mój ojciec.

- Ale, słuchaj no, przecież on jest teraz markizem. Cemu się dalej bawi w sędziowanie?

- Jakoś nie potrafi rozstać się ze swymi dawnymi obowiązkami. Długo stanowiły część jego życia, a tytuł spadł na niego tak niespodziewanie, że pewnie trudno mu porzucić stare obowiązki dla nowych. Usiłuje pogodzić jedno z drugim.

- I wygląda na to, że wcale sobie dobrze nie radzi ani z jednym, ani z drugim. Jeżeli mógł podjąć taką głupią decyzję w sprawie lady Susan, to pomyśl, jak spartaczy funkcje markiza!

Gideonowi oszczędzono konieczności komentowania tej wypowiedzi, jako że pojawił się lekarz. Penthorpe uciekł, ale udało mu się to dopiero wtedy, kiedy przyrzekł solennie, że zaraz następnego dnia złoży wizytę i wujowi, i St. Merrynowi.

Usłyszawszy następnego dnia popołudniu, jak lokaj anonuje Penthorpe'a, Daintry upuściła dzbanek, z którego nalewała herbatę dla kilku składających wizytę pań; dzbanek rozleciał się na kawałki, a razem z nim kilka filiżanek i talerzyków.

Lady St. Merryn przycisnęła dłoń do łona i wykrzyknęła skonsternowana:

- Najlepsza sewrska porcelana, Daintry! O czym ty myślisz! I poplamiałaś całą tę śliczną suknię herbatą! Flakonik z solami, Ethelindo!

Panna Davies natychmiast spełniła jej życzenie, a lady Jerningham, siedząca obok Daintry i bawiąca pozostałe damy swoją opinią na temat świeżo przybyłego do Anglii księcia Saxe-Coburg, który, jak powszechnie było wiadomo, miał zostać narzeczonym królowej Charlotty, usunęła gwałtownie spódnice, by nie doznały szkody, i powiedziała surowo:

- Bardzo to nieostrożne z twojej strony, Daintry.

- Posprzątaj ten bałagan, Medrose - odezwała się spokojnie lady Ophelia - i podaj pannie Daintry serwetkę, żeby mogła wytrzeć herbatę z sukni. Mógł pan przesłać wiadomość, że pan żyje, młody człowieku, a nie zaskakiwać nas w tak dramatyczny sposób. Skoro jednak już pan tutaj jest, pozwoli pan, że mu przedstawię lady St. Merryn oraz panie Jerningham i Cardigan. Ja - dodała - jestem cioteczną babką Daintry, Ophelią Balterley.

Daintry, wciąż jeszcze wstrząśnięta widokiem chudego i piegowatego młodego człowieka, który wszedł do pokoju tuż za Medrose'em, nie zwracała większej uwagi na powitanie. Kiedy po wypowiedzi lady Ophelii na moment zapadła cisza i zanim młodzieniec zdążył się odezwać, zapytała:

- Czy Medrose naprawdę powiedział, że nazywa się pan Penthorpe? Przecież...

Młodzieniec uśmiechnął się i posłuszny skinieniu jej ręki zajął krzesło w pobliżu.

- Jeszcze żyję, zapewniam panią. Błagam o wybaczenie, jeżeli zawiadomienie o mojej śmierci wywołało jakieś zamieszanie. Przychodzę natychmiast, by sprawę wyjaśnić.

- Natychmiast? - zapytała sucho lady Ophelia. - Bitwa pod Waterloo miała miejsce osiem miesięcy temu, młody człowieku.

- To było już tak dawno? No właśnie. Dostyc długo leżałem prawie całkiem bez przytomności, a później powoli wracałem do siebie.

- Ale przecież ktoś powinien był dać znać pana tutejszej rodzinie! - wykrzyknęła pulchna i macierzyńska lady Cardigan, przyjaciółka od serca lady Jerningham.

- Pewnie ktoś powinien był to zrobić - zgodził się z nią

Penthorpe - ale wie pani, ja mam tylko wuja, a zanim się opamiętałem, minęło już tyle czasu, że pomyślałem, iż łatwiej będzie jeszcze trochę zaczekać i powiedzieć mu o tym osobiście, kiedy wrócę do domu. No a później z tych czy innych powodów jakoś nie mogłem zebrać się do podróży.

- Muszę powiedzieć, młody człowieku, że zachował się pan haniebnie - stwierdziła surowo lady Ophelia. - Czy nie pomyślał pan, że spoczywa na panu obowiązek zawiadomienia narzeczonej, iż wieści o pana śmierci były nieprawdziwe?

- Sądziłem, że zanim odzyskałem zmysły, mogła zawrzeć już porozumienie z kim innym, pani, a gdyby tak się stało, to wiadomość ode mnie postawiłaby ją w niezręcznej sytuacji. - Rozejrzał się niewinnie po pokoju. - Przez wiele dni nie wiedziałem nawet, jak się nazywam, więc rozumie pani sama, jak się sprawy miały.

- Rzeczywiście, rozumiem - skrzywiła się lady Ophelia. - Daintry, nie siedź tak i nie gap się, jakbyś była niespełna rozumu. Idź i przebierz się. Penthorpe nie weźmie ci tego za złe, jeżeli będzie musiał trochę poczekać.

Daintry wstała, wciąż oszołomiona, kiedy Penthorpe mówił:

- Tak naprawdę to chciałem zobaczyć się z St. Merry-nem, ale służący powiedział mi, że wyszedł. Kiedy się panie spodziewają go z powrotem?

Lady St. Merryn odstawiła flakonik.

- Ach, poszedł do Izby Lordów, sir - poinformowała go - i może wrócić dopiero za kilka godzin.

Daintry wymknęła się z bawialni i pobiegła do sypialni, żeby się przebrać, po drodze usiłując się jakoś opamiętać. Kiedy wracała w świeżej sukni z bładoróżowego muślinu we wzór z gałązek, ozdobioną kokardkami i ciemniejszą, różową szarfą z jedwabiu, spotkała ojca, który akurat wchodził na górę po schodach.

- Papo, wydawało mi się, że poszedłeś do parlamentu.

- I tak było, ale ci krzykacze z tylnych ław tak pomstowali na tych na froncie, a do tego wszyscy kłócili się o dziesiątki rzeczy, że już ani chwili dłużej tego wytrzymać nie mogłem. Pomyślałem, że może raczej wyskoczę dziś po po-

łudniu do White'a, i wpadłem tylko do domu zobaczyć, czy Charles by się ze mną nie wybrał.

- Charles wyszedł już przed godziną - powiedziała Daintry. St. Merryn popatrzył na nią ostro.

- Znowu zaczęło się z Daviną? A niech mnie, jeżeli kiedyś widziałem taką parę.

- Ona wyszła jeszcze wcześniej - przyznała Daintry. - Właśnie kończyłyśmy pisać zaproszenia na ten bal, który mamy wydać, kiedy nagle popatrzyła na zegar, zerwała się i kazała, żebym powiedziała Charlesowi, że jest umówiona z jakimiś przyjaciółmi na przejażdżkę po Richmond Park i że nie powinien oczekiwać jej przed zmrokiem.

- Mam nadzieję, że pojedzie za nią i każe jej wracać prosto do domu - mruknął St. Merryn - ale jeżeli znam Charlesa, to raczej skończy w tej czy innej speluncie z hazardowymi grami. Jak tak, to pójdę do klubu sam

- Obawiam się, że nie może papa tak od razu wyjść.

- A czemu by nie?

- Wybacz, ojcze, ale w bawialni siedzi razem mamą i ciotką Ophelią, i kilkoma innymi damami, wicehrabia Penthorpe, więc pomyślałam sobie, że może...

- Kto?

- Penthorpe, papo. Najwyraźniej wcale jednak nie zginął.

- A niech mnie kule biją! - St. Merryn precyzyjnie się obok córki, pospiesznie podszedł do drzwi bawialni i szeroko je otworzył. - Penthorpe, drogi chłopcze, toż to prawdziwy cud. Słowo daję, twój widok to balsam na moje oczy, chłopcze. Już myślałem, że nigdy nie uda mi się tej tutaj wydać za męża, ale wróciłeś, więc wszystko jest znowu w porządku.

- Chwileczkę, papo - powiedziała nagle Daintry, która weszła do bawialni za ojcem.

St. Merryn obejrzał się przez ramię, potem odwrócił znowu do Penthorpe'a, mówiąc:

- Słowo daję, ależ się cieszę, że cię widzę. Co za niespodzianka!

Daintry milczała. W pierwszym odruchu chciała zwrócić ojcu uwagę, że wicehrabia absolutnie nie mógł traktować ich

zaręczyn poważnie, skoro pozwolił jej trwać w przekonaniu, że zginął; ale uświadomiła sobie, że nie może niczego takiego powiedzieć. Czuła, że wpadła w pułapkę obowiązujących konwenansów, ale za nic nie chciała wywoływać skandalu.

- Lady Susan i sir Geoffrey Seacourt oraz lady Catherine Chauncey - zaintonował od drzwi Medrose.

Chociaż Daintry sama znalazła się w tak kłopotliwym położeniu, dech jej zaparło na widok Catherine, ale St. Merryn odwrócił się do nowo przybyłych Z radością.

- Popatrzcie tylko, kogo my tu mamy! - wykrzyknął. - Penthorpe jednak nie zginął i ślub jest znowu aktualny. Jak tylko w przyszłym tygodniu zakończą się obrady, możemy wyjeżdżać do Kornwalii.

- Papo, jak może papa coś takiego proponować? - spytała Daintry. - Nie możemy spakować się i wyjechać, kiedy właśnie zaprosiliśmy ponad czterysta osób na bal, który ma odbyć się za dwa tygodnie. Dziś rano zostały rozesłane zaproszenia!

- Dobry Boże, ależ tam było zamieszanie! - mówił Penthorpe do Gideona w godzinę później. - Pierwszy raz coś takiego widziałem. Od czasów Waterloo niewiasty zmieniły się i tyle. Takiej awantury toś jeszcze nie widział: jak St. Merryn powiedział, że za tydzień chce ich zabrać z powrotem do Kornwalii, wszystkie baby rzuciły się na niego, a Daintry i jej cioteczna babka, swoją drogą, straszna z niej smoczyca, prosto w oczy powiedziały mu, że niczego takiego zrobić nie może.

- I kto wygrał? - zapytał Gideon.

- Sądzę, że trzeba by powiedzieć, że skończyło się remisem - odpowiedział ku jego zdziwieniu Penthorpe - ale gdyby nie to, że wtrącił się Seacourt, to St. Merryn przegrałby z kretesem. Najpierw Daintry informuje ojca, że nie może wyjechać przed balem u St. Merrynów... Och - dodał, grzebiąc po kieszeniach i wyciągając nieco pomiętą kartę ze złocnymi brzegami - osobliwy to sposób zapraszania kogoś na bal, ale kiedy wychodziłem, lady Ophelia wsunęła mi to do ręki i kazała oddać tobie.

- Czy tak? Chyba spodoba ci się lady Ophelia, Andy.

- Ja tak nie sędzę - zareagował żywo Penthorpe. - Moim zdaniem to ona jest odpowiedzialna za te pioruńsko dziwaczne poglądy Daintry.

- Co do tego masz absolutną rację - zgodził się Gideon, pocierając dłonią obolałe czoło.

- Boli cię głowa?

- Troszkę - przyznał jego przyjaciel - ale Kingston zostawił mi kilka proszków przeciwbólowych, które mam zażywać, dopóki mi nie przejdzie. Zażyłbym jeden teraz, ale po tym cholerstwie natychmiast zasypiam.

- No to nie będę cię dłużej trzymał na nogach - westchnął Penthorpe. - Psiakostka, Gideonie, nie miałem najmniejszego zamiaru narobić takiego zamieszania, ale co mogę na to poradzić? Wprost bije w oczy, że St. Merryn ma zamiar złać mnie w księżą pułapkę, nim kot łapę wyliże, a co więcej, taki zamiar ma również Daintry.

- Ona też? - Gideon spojrzał na niego z większą uwagą.

- No przecież ci właśnie mówię. Nie chciałbym się skarżyć, oczywiście, ale po siostrze lady Susan spodziewałem się czegoś innego. Chociaż jest całkiem w porządku, za to lady Susan nie najlepiej teraz wygląda - dodał. - Taką ma jakąś ściągniętą twarz i jest zbyt szczupła, żeby mi się to podobało.

- Zatem ją widziałeś.

- Och, tak A kim, u diabła, jest ta lady Catherine Chauncey?

- A, więc znowu pojawiła się na scenie, czy tak?

- Nie wiem nic o żadnej scenie, ale była tam niewątpliwie. W pierwszej chwili sądziłem, że musi być krewną Susan, bo ciągle krążyła w jej pobliżu, namawiała ją, żeby usiadła i odpoczęła. Wyglądała na życzliwą, ale jakieś to było dziwne. Kim ona, u diabła, jest?

- Zdaniem twojej narzeczonej jest kochanką Seacourta.

- Przestań tę dziewczynę nazywać moją narzeczoną, Gideonie! - Penthorpe zaczerwienił się i dodał: - Wcale nie mówisz tego uprzejmym tonem, psiakostka, więc jeżeli nie chcesz, stary, żebyśmy się pobili, to uważniej dobieraj słowa.

Gideon leniwie się uśmiechnął.

- No, jeżeli sądzisz, że ci się uda...

- Nie mam zwyczaju bić kalek - przerwał mu Penthorpe z krzywym uśmiechem. - Co ci w końcu powiedział rezygnat?

- No tak - zachichotał Gideon - podwinąłeś tchórzliwie ogon pod siebie, uciekłeś i zostawiłeś mnie na jego cholerną łaskę, a właściwie niełaskę? Na Boga, rzeczywiście powinniśmy się pobić.

- Postawił ci bańki, co?

- Nie postawił. Trochę się na ten temat posprzeczałyśmy, a potem przepowiedział mi wysoką gorączkę, która wcale nie przyszła, i bóle głowy, co się sprawdziło. Kazał mi trzymać się łóżka, dopóki nie przejdą.

Penthorpe rozejrzał się teatralnie po dobrze wyposażonej bibliotece.

- Oczywiście sporo tu mebli, ale nigdzie łóżka nie widzę. Schowałeś je za którymś z regałów?

- Jeżeli już musisz wiedzieć, to zszedłem na dół, żeby uciec przed moimi dwoma służącymi, bo ciągle konkurują ze sobą, który mnie będzie pielęgnował. Czy St. Merrynowie wracają do Kornwalii? - Rzucił okiem na trzymaną wciąż w rękę kartę. - Chyba nie, skoro lady Ophelia przysłała mi zaproszenie na dwudziestego szóstego.

- Wrócą zaraz po balu - wyjaśnił Penthorpe - a wszystko przez tego Seacourta. Powiedział, że nie rozumie, czemu St. Merryn ma tak mało władzy we własnym domu. Niby żartował, ale widziałem, że Daintry nie wydawało się to aż takie zabawne, a i St. Merrynowi też nie.

- Seacourt chce im tylko w ten sposób krwi napsuć. On niezbyt lubi Daintry, rozumiesz.

- Gdybyś mnie pytał - stwierdził Penthorpe - powiedziałbym, że ona tę antypatię odwzajemnia. Już by nie żyła, jakby potrafiła zabijać spojrzeniem, ale ciebie to chyba też za bardzo nie lubi, mój chłopcze, chociaż kiedy pierwszy raz wspomniałem, że miałeś drobny wypadek, wydawało mi się, że bardzo się przejęła, zrobiła się biała jak papier i przysiągłbym, że ręce jej się zaczęły trząść, ale zaraz potem zrozu-

miałem, że musiałem się mylić, bo jak tylko wspomniałem, że za dzień czy dwa zdrów będziesz jak ryba, odwróciła się do lady Jerningham... W pięć minut później doprowadziła do tego, że wszyscy zaczęli mówić o polityce, jakby już nic bardziej absurdalnego nie mogli wymyślić, chociaż nawet St. Merryn wydawał się dosyć chętnie słuchać, kiedy rozwodziła się na temat niegodziwości praw zbożowych. Tylko Seacourt się z nią nie zgadzał, ale ona obcięta go ostro i powiedziała, że spodziewała się po nim właśnie takich nierozsądnych argumentów i że jest głupi.

Gideon znowu się roześmiał.

- Zrobiła tak? Ta młoda kobieta aż się prosi o jakieś nie-szczęście.

- Nie masz się co aż tak cieszyć - mruknął Penthorpe opryskliwie. - Całkiem możliwe, że pociągnie mnie za sobą. Słuchaj no, Gideonie, jeżeli St. Merryn będzie się upierał przy przyspieszeniu tego całego ślubu, to nie opuścisz mnie, prawda? Chodzi mi o to, że jeżeli będę musiał jechać do Kornwalii, pojedziesz ze mną, żeby mnie podtrzymywać na duchu, co? W końcu pewnie będzie mi potrzebny jakiś drużba.

- Z pewnością zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc, Andy - powiedział Gideon - i mogę wracać z tobą do Kornwalii, bo i tak nie mam nic lepszego do roboty, ale wątpię, czy będę mógł zostać twoim drużbą.

- Zapomniałem o tej pioruńskiej waśni.

- No, St. Merryn na pewno o niej nie zapomniał. Gdybym mógł postawić na swoim, to skończyłbym z nią raz na zawsze, ale mojemu ojcu nie spodobałoby się to, a ja nie mam ochoty doprowadzać go do pasji.

- Bardzo to ładnie z twojej strony, mój drogi chłopcze - odezwał się od drzwi Jervaulx; na jego głos obydwaj młodzi mężczyźni zerwali się na nogi tak szybko, że Gideon poczuł łupanie i zawroty w głowie. Ani on, ani Penthorpe nie słyszeli, jak drzwi się otwierały. Markiz zaś, wyjmując emaliowaną tabakierkę z kieszeni kamizelki, dodał jak najuprzejmiej: - Twój powrót narobił sporego zamieszania w ministerstwie obrony, Andrew. Jak się zdaje, natrafiłeś

na pewne przeszkody, kiedy chciałeś wystąpić z armii.

- Jakże dobrze o tym wiem, sir - powiedział Penthorpe z westchnieniem. - Wybrałem się tam dziś rano, a oni powiedzieli mi, że skoro jakoś udało mi się oficjalnie umrzeć, to teraz nie mogę wystąpić z wojska. Pioruńska niewygodna, i tyle. - Wyglądał, jakby go nagle uderzyła jakaś myśl. - Książdz pewnie nie zgodzi się ogłosić zapowiedzi, jeżeli pan młody nie żyje?

Jervaulx zażył szczyptę tabaki.

- Z tą sprawą nie może być żadnych kłopotów, drogi chłopcze. W obecnym rządzie znajdzie się paru rozsądnych ludzi, a w kilkoro przychylnych uszu już szepnięto słówko czy dwa. Kiedy podejmiesz następną próbę, na pewno mniej będzie ona dla ciebie frustrująca.

Widząc, że Penthorpe nie zrozumiał, Gideon wyjaśnił:

- Jak mi się zdaje, ojciec oczyścił ci drogę, Andy.

Jervaulx kiwnął *głową* i *schował z powrotem* tabakierkę do kieszeni kamizelki. Potem, spoglądając wprost na Penthorpe'a, powiedział:

- Im szybciej skorzystasz z tego ich bardziej rozsądnego nastawienia, Andrew, tym lepiej. Co więcej, Gideon powinien leżeć w łóżku, a jak sam widzisz, całe mnóstwo spraw czeka, by zainteresował się nimi pewien bardzo zajęty człowiek, i to zanim ten dzień się skończy. - Pokazał na papiery na stoliku pod ścianą, potem dodał łagodnie: - Oczywiście jeżeli wolisz się ociągać, jak to masz w zwyczaju, serdecznie zapraszamy, byś zatrzymał się u nas tak długo, jak tylko masz ochotę.

Penthorpe wyjąkał podziękowania, wplatając w nie wyrazy skruchy i zapewnienia, że jak tylko dopilnuje, by Gideon dotarł do sypialni, to uda się wprost do ministerstwa obrony.

Jervaulx odpowiedział mu tym samym łagodnym tonem:

- Któryś z lokajów za kilka chwil pomoże Gideonowi wejść na górę, Andrew.

Penthorpe zawahał się, ale na lekkie skinienie głowy przyjaciela zebrał się do wyjścia, a kiedy drzwi się za nim zamknęły, Gideon odwrócił się niepewnie do ojca, zbiera-

jąc się na odwagę i ignorując łupanie w głowie; żałował tylko, że od tak prostej czynności jak stanie tak paskudnie mu się w niej kręci.

Jervaulx zmarszczył brwi.

- Kiedy ostatni raz zażywałeś proszek od Kingstona?

- Kilka godzin temu - powiedział Gideon, wciąż mu się przypatrując. - Nic mi *nie* jest, sir. Powiedziałbym nawet, że czuję się lepiej niż ojciec. Ojciec wygląda na zmęczonego do szpiku kości.

- Nonsens. Nie próbuj zmieniać tematu.

Gideon westchnął.

- Wiem, że wypowiedziałem się pochopnie, sir, ale czy mogę wysłuchać kazania na siedząco? Uprzedzam ojca, że odrobinę za bardzo kręci mi się w głowie, żebym ustał na baczność dłużej niż minutę czy dwie.

- Trochę już jesteś za stary na kazania. Co więcej, miałeś rację. Świadomy swych obowiązków syn nie powinien doprowadzać ojca do pasji.

Chociaż słowa te brzmiały tak rozsądnie, Gideon miał wrażenie, że chyba nie dostał pozwolenia, by usiąść. Odezwał się ostrożnie:

- Jeżeli nie potrafię podejść do waśni w taki sposób jak ojciec, może dzieje się tak dlatego, że jej nie rozumiem. Moim zdaniem powinno się tę zatraconą sprawę raz na zawsze zakończyć.

- Będziesz miał oczywiście do tego prawo - powiedział Jervaulx - kiedy otrzymasz tytuł. Można by sądzić, że pewna doza rodzinnej lojalności powinna przeważać, ale chwilowo to tylko snucie przypuszczeń, a dopóki nie wrócisz do siebie po wypadku, dużo lepiej ci zrobi pobyt w łóżku.

- Jak sobie ojciec życzy - szepnął Gideon i ruszył w kierunku drzwi. Zatrzymał się jednak z dłonią na klamce, odwrócił się i zapytał: - Co sprowadziło ojca z powrotem tak wcześniej? Zwykle wraca ojciec z parlamentu dopiero po dziewiątej.

Jervaulx jeszcze silniej ściągnął brwi.

- Przez kilka następnych dni nie będzie żadnego głosowania, a ta nie kończąca się niezgoda zaczyna być nieznoś-

na, skoro jest absolutnie oczywiste dla wszystkich, iż sytuacja gospodarcza kraju zależy od utrzymania wystarczająco wysokiej ceny na zboże, by zapewnić zyski rolnikom, którzy je uprawiają. Co więcej, jak sam widzisz... - Pokazał ponownie na stos papierów.

- A czy nie martwi ojca, że w Kornwalii górników nie stać na wyżywienie rodzin, ponieważ nie mogą sobie pozwolić na chleb po takiej cenie za bochenek?

- Niewątpliwie, ale glosuje się nad Gloucester, a nie nad Kornwalią. Zwracam ci uwagę, że jeżeli uda się poprawić sytuację gospodarczą hrabstw produkujących zboża i pszenicę, a stanie się tak teraz, kiedy zapanował pokój, pojawi się wielkie zapotrzebowanie na cynę i inne produkty Kornwalii, tak więc kopalnie znowu zostaną otwarte i sytuacja gospodarcza Kornwalii poprawi się również. Nie dyskutuj, chłopcze, o tym, czego nie wiesz.

- Wiem jednak, ojcze - upierał się Gideon - że zapanowała u nas wielka nędza, którą, jak mi się zdaje, wywołał nagły powrót z wojny wielkich ilości mężczyzn, do tej pory znajdujących zatrudnienie na morzu i w wojsku. Ludzie nie mogą bezpiecznie podróżować. Przecież do mnie samego strzelano dwa razy.

- Takim niepokojom stanowczo należy położyć kres.

- Uważam, że lepiej zostałyby ten problem rozwiązany, gdyby ulżyć ludziom w ich kłopotach - powiedział Gideon.

- Idź do łóżka, Gideonie. Ani fizycznie, ani umysłowo nie nadajesz się do prowadzenia tej rozmowy. Kiedy znowu staniesz na nogi, może wśród swoich wielu towarzyskich zobowiązań znajdziesz czas, by dowiedzieć się czegoś więcej o sprawach takich jak te.

Gideon żałośnie się uśmiechnął.

- Wyznam, że niewiele o nich wiem, proszę ojca, ale oczywiście mam zamiar niedługo wrócić do Kornwalii i kontynuować naukę. Zanim to jednak nastąpi, zostałem zaproszony na bal i nie mam zamiaru go opuścić.

19

Przez całe dwa tygodnie przed balem w St. Merryn House Daintry była bardzo zajęta, jako że sezon był w pełnym rozkwicie. A ponieważ często zdarzało się, że jednego wieczoru miała nawet cztery zobowiązania towarzyskie, wkrótce zaczęła odnosić wrażenie, iż w ogóle nie starcza jej czasu na myślenie. Powrót Penthorpe'a i wznowienie narzeczeństwa zostały ogłoszone w londyńskiej „Gazette” i Daintry pogodziła się wreszcie z faktem, że nie uda jej się nic zrobić, by uniknąć swego losu.

Tylko raz zwróciła się do St. Merryna, by zapytać go, czy zechciałby pomyśleć o zwolnieniu jej z danego słowa honoru. Ojciec zareagował dokładnie tak, jak się obawiała.

- Dałaś mi słowo, dziewczyno i nie chcę już nic więcej słyszeć! - ryczał. - Te zaręczyny zakończą się ślubem, a póki tak się nie stanie, będziesz udawała, że jesteś zachwycona sytuacją. Na Boga, sprawa jest przesądzona! Dość już, mam plotek!

A plotkowano niewątpliwie pełną parą, wiedziała o tym: należało omówić nowe zaręczyny królowy Charlotty, a tu jeszcze do miasta zjechała księżna Argyll i jej mąż.

Daintry zobaczyła księżnę na tydzień przed własnym balem, na wielkim zgromadzeniu u lady Cardigan, w którym brała udział razem z członkami swej rodziny i w towarzystwie Penthorpe'a. Kiedy zaanonsowano przybycie księcia i księżnej, wśród gości dało się zauważyć wyraźne poruszenie.

Patrząc, jak szlachetnie urodzona para schodzi po szerokich, marmurowych schodach na salę balową, lady Ophelia fuknęła:

- A niech to, co sobie ta Penelopa Cardigan wyobraża? Nie obejdzie się teraz bez sceny, przecież jest tu z nami i Anglesey,

i Wellington, a Anglesey nie będzie zachwycony, kiedy spotka swoją byłą żonę, zwłaszcza że nie tylko ma ona teraz wyższy status księżnej, ale i kochającego małżonka, przy boku.

Daintry, która przypatrywała się im tak, jak i wszyscy inni, powiedziała:

- Widzę lady Jersey, spieszy ich powitać, proszę cioci.

- A tam z przygnębiającą miną stoi Wellington - dodał Penthorpe. Zjadł wcześniej z rodziną obiad na Berkeley Square, podobnie jak Seacourtowie, lady Cathrine Chaucy i lord Alvanley. Później wszyscy, za wyjątkiem St. Merryna, pojechali razem do Cardigan House, żeby wziąć udział w zgromadzeniu.

Daintry udało się zachować uprzejmie wobec Geoffreya ze względu na Susan, ale miała wrażenie, że szwagier musiał bez reszty wyrzucić z pamięci to, co się wydarzyło tamtej potwornej nocy w Seacourt Head, i wyraźnie przekonany był, że mu wybaczyła.

- Argyllowie nie zatrzymają się *na dłużej* - rzekł Charles.

Okazało się, że miał rację, bo chociaż lady Jersey manifestacyjnie okazywała rodzinną lojalność - księżna była siostrą jej męża - reszta towarzystwa traktowała jej wysokość, jakby była niewidzialna, i księstwo Argyll zostali na sali nie dłużej niż godzinę.

- To naprawdę okropne - powiedziała Daintry z oburzeniem, kiedy zobaczyła, że księstwo wyszli. - Lord Uxbridge, to jest Anglesey, potraktował ją w najwyższym stopniu niegodziwie, uwodząc Charlotte Wellesley, kiedy był jeszcze żonaty, a przecież Wellington stoi tam i gawędzi z nim, jakby byli najlepszymi przyjaciółmi; powinien pamiętać, że Charlotte była żoną jego brata, zanim ją Uxbridge uwiódł!

- Ależ oni są najlepszymi przyjaciółmi - odezwał się cicho tuż obok niej jakiś dobrze znany, głęboki głos - a ponieważ Ux... Anglesey jest również powszechnie podziwianym bohaterem, lepiej żeby się pani w ten sposób nie wyrażała, kiedy tak łatwo panią podsłuchać.

Daintry okręciła się jak fryga i zobaczyła przed sobą Deverilla w szczególnie dobrze skrojonym surducie z najprzed-

niejszego ciemnoniebieskiego materiału; założył do tego obcisłe, jasnobrązowe spodnie do kolan, które wspaniale podkreślały jego męskość, minę miał *raczej* rozbawioną niż surową. Widziała go po raz pierwszy od tamtego ataku na jego życie i serce jej aż skoczyło z radości, ale powiedziała tylko:

- Wszystko mi jedno, czy mnie usłyszą, czy nie. To ona była ofiarą, nawet szkocki sąd zgodził się z tym, bo przecież zezwolił, by się z nim rozwiodła, czyż nie? A on stoi tutaj na sali, pompatyczny i pewien siebie, triumfator tego wieczoru.

- Zawsze tak się dzieje, moja droga - wtrąciła lady Ophelia, tłumiąc ziewnięcie - że to kobietę obwinia się i karze. Chociaż o rozwód wystąpiła rzeczywiście ona, mogła w ten sposób postąpić tylko w kraju tak osobliwym, jak Szkocja; natomiast w Anglii nieodmiennie traktowana będzie jak wyrzutek.

- Pani ciotka ma rację - powiedział cicho Deverill. - Kobieta ma pewne przywileje społeczne, ale musi bardzo uważać, żeby nie ściągnąć na siebie zbyt wielkiej uwagi, kiedy się ich domaga, bo może znaleźć się całkiem poza nawiasem.

- Nigdy nie sądziłem, że usłyszę, byś pan, Deverill, głosił umiarkowanie - wtrącił Seacourt z błyskiem w oku. - Ma się pan zamiar ustatkować?

- Ale on ma rację - włączył się Penthorpe. - Psiakosteczka, zasady są jasne i nie ma co ich lekceważyć, jeżeli jedynym rezultatem może być nieszczęście. Och, lady Susan, chyba zaczynają grać nasz taniec.

Daintry zauważyła spojrzenie Geoffreya, który dał się zaskoczyć Penthorpe'owi i pozwolił mu porwać sobie żonę sprzed nosa; szwagier robił wrażenie rozgniewanego i wyglądał, jakby miał ochotę pójść za Susan, ale zanim zdążył to zrobić, dołączyła do nich Davina i nie zwracając na nikogo innego uwagi, roześmiała się zalotnie:

- Geoffreyu, mam wielką nadzieję, że nie prosiłeś jeszcze nikogo do tego tańca. Takie to irytujące, ale nie mam partnera. Wiem, że przyzwoita dama nie powinna nigdy prosić dżentelmena... - Pozwoliła, by głos jej zamarł, i zatrzepotała w kierunku szwagra rzęsami.

Seacourt błysnął promiennym uśmiechem i powiedział:

- Ty z pewnością nie musisz prosić, moja droga. Wielkim zaszczytem będzie dla mnie, jeżeli przyjmiesz moją dłoń do tego kadryła.

- Wprost ślicznie - wymamrotał Charles, kiedy Davina i Geoffrey odeszli razem. - Jeżeli jej trzeba partnera, powinna poprosić męża, ale jeszcze jej się coś takiego nie zdarzyło.

- Przecież nie znosisz tańczyć kadryła - uśmiechnęła się do niego Daintry.

- A kto by lubił? - zapytał Charles. - To bezsensownie podrygiwanie! Poza tym nie mam zamiaru patrzeć, jak ona robi słodkie oczy do tego zatraconego Seacourta. Idę do pokoju karcianego.

Daintry zobaczyła, że cioteczna babka siada przy lady St. Merryn i pannie Davies, i właśnie miała pójść za jej przykładem, kiedy powstrzymała ją jakaś mocna dłoń.

- Mam nadzieję, że ulituje się pani nad inwalidą - powiedział Deverill z ciepłym uśmiechem - i przejdzie ze mną po jakieś napoje dla tych dam. Wyglądają tak, jakby miały ochotę na coś chłodnego.

- Och, tak, proszę - rzekła z wdzięcznością lady St. Merryn.

- Szklaneczka ponczu rozbudziłaby mnie trochę - zgodziła się z nią lady Ophelia. - Idź z nim, Daintry, idź i przynieś razem z tym ponczem trochę biszkoptów.

Daintry pozwoliła, by Deverill przełożył jej dłoń przez swoją rękę, podniosła na niego oczy i zobaczyła, że wygląda dosyć blade.

- Czy doszedł pan już całkiem do siebie po tym wypadku? - zapytała. - Muszę panu powiedzieć, że kiedy dowiedziałam się, co się stało, ja... ja poczułam się wprost okropnie, jakbym była odpowiedzialna przez to, że tak panu kazałam odejść.

- Nie było powodu, by się pani tak czuła - odrzekł spokojnie. - Miała pani rację, odsyłając mnie stamtąd. Nie powinienem był uderzyć Seacourta. - Spojrzał na nią, a na nagły, serdeczny błysk w jego oczach serce Daintry tak zaczęło łomotać, że dziwiła się, iż nie słyszą go oboje. - Już niemal całkiem wróciłem do siebie, ale wyznam, że wciąż jeszcze mięsam zawroty głowy, jeżeli za szybko wstanę. - Poklepał się

po kieszonce kamizelki i dodał: - Moi dwaj służący rywalizują ze sobą, który się lepiej mną zajmie; odkryłem, że obydwaj zaopatrzyli mnie w proszki na bóle głowy, które zostawił mi i kazał zażywać doktor.

- Dobry Boże, czy nie powinien pan w takim razie ich zażyć?

- W żadnym wypadku. Zażyłem w sumie chyba nie więcej niż dwa, bo kiedy przekonałem się, że zasypiam po nich szybciej niż po nadmiarze brandy, doszedłem do wniosku, że lepiej ich nie stosować. Ale proszę mi powiedzieć - dodał, kiedy zbliżali się do pokoju z przekąskami - czy Seacourt został w pełni przywrócony do łask na łonie rodziny? Jakoś nie wygląda na to, żeby mu nasze małe starcie miało w czymkolwiek zaszkodzić.

- Nie, dziwne to bardzo, ale on zawsze zakłada, że wszystko zostanie mu wybaczone.

- A więc jednak przeproszał tamtego wieczoru za swoją brutalność - stwierdził Deverill. - Nie posądzałbym go o to. Ale czy pani mu wybaczyła? Po tym, co zrobił, nie wiem, czy zdobyłbym się na taką wielkoduszność.

- Ja również jej nie potrafię okazać, sir, zapewniam pana - wykrzyknęła Daintry. - Geoffrey jest okropny!

- Co jeszcze takiego zrobił? - zapytał surowo Deverill. - Proszę mi natychmiast powiedzieć.

- N... nic - szepnęła Daintry uświadamiając sobie, że źle go zrozumiała i że chodziło mu o brutalność Geoffreya względem Susan. Nie potrafiła sobie wyobrazić, w jaki sposób mogłaby opowiedzieć mu to, co przydarzyło się jej samej, więc pospieszenie dodała: - Ja... ja go nie lubię i nigdy nie uwierzyłam, żeby Susan miała wtedy na sali sądowej kłamać, przynajmniej dopóki nie przeraziła się tak, że bała się powiedzieć prawdę o tym, jak ją Geoffrey traktuje.

- A lady Catherine znowu wróciła na scenę.

- Tak - przytaknęła Daintry i odprężyła się, bo Deverill chyba uwierzył w jej wyjaśnienia.

- Jednak pani siostra wydaje się do niej przyjaźnie nastawiona.

Daintry westchnęła.

- Susan mówi, że Catherine wzięła na siebie wszystkie drobne decyzje związane z prowadzeniem wielkiego domu w mieście, a chociaż Susan chętnie zajęłaby się tym sama, twierdzi, że Catherine jest bardzo życzliwa i uparcie próbuje oszczędzić jej wszelkich wysiłków. Teraz okazało się, że moja siostra właściwie nie ma nic do roboty, powinna tylko się bawić. Chociaż jak miałyby się bawić, kiedy Geoffrey i Catherine chodzą wszędzie tam, gdzie ona? Ale może zanieśmy już lepiej paniom poncz, zanim zaczną się zastanawiać, gdzie się podzialiśmy?

Gideon zgodził się z nią; Daintry dała mu jednak do myślenia. Zaczynał martwić się o Penthorpe'a. Choć przyjaciel gotów był dotrzymać słowa i ożenić się z Daintry, wprost biło w oczy, że spędza wiele czasu w towarzystwie lady Susan i że bardziej chyba się troszczy o jej dobro niż o dobro swojej narzeczonej.

Deverill opuścił towarzyskie zgromadzenie wkrótce po tym, jak odprowadził Daintry do matki, bo chociaż nie chciał się do tego przyznać, od zgiełku i zamętu rozboleła go głowa. Wróciwszy do Jervaulx House, udał się do biblioteki, sprawdzić, czy ojciec poszedł już spać. Kiedy znalazł się w pokoju, okazało się, że na kominku buzuje wciąż ogień, rozświetlając złocistym blaskiem całe wnętrze, a lampa na biurku nadal się świeci. Jervaulx drzemał w wysokim fotelu przy ogniu, kilka kartek zsunęło mu się z kolan i spadło na podłogę.

Gideon podszedł cicho, żeby pozbierać papiery i ułożyć je na biurku. Rzucił okiem na inne, które tam leżały, i zobaczył, że markiz, jak zwykle, zajmował się sprawami dotyczącymi posiadłości w hrabstwie Gloucester i Kornwalii, i jeszcze sprawami parlamentu na dodatek. Potrząsnął głową, żałując nie po raz pierwszy, że ojciec nie powierzy mu chociaż części z tych spraw i że skoro nie może już zająć w sercu ojca miejsca brata, nie udaje mu się wzbudzić przynajmniej szacunku markiza. Odwrócił się, by zadzwonić po kogoś, kto pomógłby Jervaulxowi przejść do sypialni.

- Co robisz?

Obejrzał się i zobaczył, że twarde, szare oczy ojca są otwarte.

- Chciałem zadzwonić po kogoś, kto odprowadziłby ojca do łóżka, sir.

- To nie jest konieczne. Zostało jeszcze wiele do zrobienia. Krótka drzemka, by władze umysłowe wróciły w pełni do siebie, to wszystko, co było potrzebne.

- Ojczy, naprawdę ojciec musi...

- Nie jesteś w takim stanie, byś mógł udzielać mi rad, Gideonie - zwrócił mu szorstko uwagę markiz. - Kropli krwi w twarzy nie masz, cała ci się kurczy z bólu, a to nawet dla kogoś o miernej inteligencji jest sygnałem, iż nie powinieneś być opuszczać domu tak szybko po wypadku. Idź do łóżka i weź jeden z tych proszków, które ci Kingston zostawił. Zdaniem twojego człowieka, Shaltona, zaniedbujesz ich zażywanie.

- Naprawdę, ojczy, nie jestem już dzieckiem.

- Twój wiek nie wydaje się mieć wielkiego wpływu na racjonalne myślenie, drogi chłopczy, a twój sprzeciw do niczego nie prowadzi. Zrobisz to, co ci kazałem.

Gideonowi boleśnie łomotało w głowie, więc poddał się, bo Jervaulx miał rację przynajmniej w jednej sprawie: jeżeli raz wydał jakieś polecenie, spieranie się z nim absolutnie do niczego nie prowadziło.

Po zażyciu leku Gideon szybko zasnął, a następnego ranka obudził się z dużo lepszym samopoczuciem. Nie wstał od razu, ponieważ chciał w spokoju przemyśleć pewne sprawy. Szkoda, że nie wszystko układa się po jego myśli. Musiał ostatecznie uznać, że nie łatwo będzie zrealizować swoje życiowe plany. A tak chętnie przeznaczyłby dla siebie damę o ciemnych lokach, różanych policzkach i nieopanowanej tendencji do wyrażania własnej opinii, postarałby się też o zdobycie takiej pozycji, która by mu odpowiadała.

Na początku żałował, że wystąpił z armii, ale teraz uznał, że w czasach pokoju służba w wojsku spokojnie mogła okazać się śmiertelnie nudna. Dużo mądrzej będzie zapoznać się z obowiązkami markiza, które pewnego dnia na niego spadną, tylko że to również było nudne, dopóki oznaczało

jedynie uczęszczania na naukę do Bartona. Miał ochotę coś zrobić, ale były to czcze mrzonki, ponieważ wyobrazić sobie nie potrafił, by ojciec dopuścił go do tego, co uznawał za swoje prywatne sprawy.

Zresztą jego pragnienia nie pasowały do planów innych osób. Gdyby miał zdać się na instynkt i gonić za śliczną Daintry, machnąwszy ręką na dawną rodową waśń, plotkarczy i Penthorpe'a, narobiłby dziewczynie tyle kłopotów, że pewnie by mu tego nie wybaczyła.

Miał wrażenie, że Daintry go kocha; że sam ją kochał i że potrafił rozpalić tłące się w niej namiętności, to wiedział. Nie miał jednak najmniejszego prawa wtrącać się w jej życie, podobnie jak nie miał do tego prawa w przypadku Seacourta i Susan. Ostatecznie musiał uznać, że jeżeli naprawdę chce przysłużyć się Daintry, powinien pilnować, by Penthorpe nie schodził z prostej acz wąskiej ścieżki cnoty i nie lepił się do lady Susan.

Pamiętając o tym, przez cały następny tydzień dokładał wszelkich starań, by pilnować Penthorpe'a, a sam zachowywał się tak, by nikt nawet nie podejrzewał, że otacza Daintry specjalną atencją. To pierwsze nie było trudne, ponieważ do Penthorpe'a również najwyraźniej dotarły ploteczki i wicehrabia ze wszystkich sił starał się je ukrócić. Wszędzie widywano go w towarzystwie narzeczonej, której z uwagą usługiwał i dbał o jej wygodę. I jeżeli nawet często w pobliżu pojawiała się Susan, trudno było to uznać za *coś* niezwykłego, zważywszy na jej pokrewieństwo z Daintry; a jeżeli Penthorpe tańczył z Susan czy przez chwilę spacerował z nią w Hyde Parku w godzinach, kiedy zbierało się tam towarzystwo, miało to zawsze miejsce na oczach jej czujnego męża.

W zasadzie zachowaniu Penthorpe'a niczego zarzucić nie było można, ale Gideon szybko zauważył, że Seacourt zaczyna nieprzychylnym okiem patrzeć na wicehrabiego. Daintry obojętne było zainteresowanie Penthorpe'a jej siostrą, ale w przypadku Seacourta sprawy inaczej się miały i Gideon, ubierając się na bal u St. Merrynów, czuł niespokojne mrowienie, które ostatni raz naszło go na kontynencie, kiedy przygotowywał się do bitwy. Nagle przyszło mu na myśl, że

może tak naprawdę wcale nie martwi się o Pentliorpe'a, tylko o to, jak jego samego przyjmą w St. Merryn House.

W rezydencji na czas balu połączono bawialnię i dwa sąsiadujące z nią salony. Pomieszczenia szybko napełniały się gośćmi. Gideon pojawił się tam wcześniej, tylko dlatego, jak sam sobie wmawiał, by podtrzymać Penthorpe'a na duchu, a wszedł na schody za jakąś tłustą matroną i jej żylastym małżonkiem. Skłonił się przed lady St. Merryn, przywitał z Daintry i Penthorpe'em i podał hrabiemu rękę.

- Dobry wieczór, sir.

- Słowo daję - zawarczał St. Merryn, spoglądając na niego spode łba - masz pan tupet, żeby pokazywać się w tym domu, sir. Na Boga, masz.

- Dostałem zaproszenie, milordzie, mam więc również nadzieję, że nie każe mnie pan wyrzucić - odpowiedział spokojnie Gideon.

Niemal w tym samym momencie Davina, która stała pomiędzy St. Merrynem i Charlesem, odezwała się na tyle głośno, że usłyszeli ją wszyscy:

- To naprawdę nie twoja sprawa, kto mi ją dał, Charlesie, więc przestań na mnie syczeć. Jak się pan ma, Deverill? Jakże to odważne z pańskiej strony, tak wejść do jaskini lwa! Proszę nie rozmawiać z Charlesem. Zachowuje się jak zwierzę. - Dotknęła ładnej diamentowej broszki i zatrzepotała do gościa rzesami.

Stojący obok niej najwyraźniej wzburzony Charles zawarczał:

- Niech no pan tylko na to popatrzy, Deverill! Gdyby to pana żona ni z tego, ni z owego pokazała się z tak cholernie kosztowną gałązką kwiatów, czy nie życzyłyby sobie pan wiedzieć, kto był, u diabła, na tyle zuchwały, żeby jej coś takiego dać?

Stojąca po drugiej stronie Charlesa Susan oszczędziła Gideonowi konieczności odpowiadania na to pytanie, mówiąc:

- Óóóó, Charlesie, zwracasz na siebie uwagę i zatrzymujesz kolejkę. Dobry wieczór, Deverill. Proszę, niech pan na niego nie zważa.

- Susan - odezwał się Seacourt - orkiestra stroi instrumen-

ty przed wielkim marszem. Zostaniesz tu razem z Charlesem, by pomóc ojcu i matce, kiedy Daintry z Penthorpe'em pój-
dą tańczyć w pierwszej parze, a kiedy zostaniesz zwolniona
ze swych obowiązków, będziesz uprzejma zająć się Catherine
i pilnować, by dobrze się bawiła. - Prawie nie czekał, aż
żona wyrazi zgodę, i dodał: - Chodź, Davino. Skoro Charles
i Susan muszą zostać tu, by wypełniać obowiązki rodzinne,
czy ty staniesz ze mną do pierwszego cyklu kontredansów?

Davina roześmiała się, dotknęła broszki i rzuciła nieco
złośliwe spojrzenie na męża.

- Ależ oczywiście, Geoffreyu, marzyłam już od wieków,
by znowu z tobą zatańczyć. Niech pan pójdzie z nami, De-
verill, znajdziemy panu jakąś stosowną partnerkę.

Gideon nie miał nic przeciw temu, ale szybko zorientował
się, że chociaż Seacourt bez najmniejszych oporów ulegał nie-
skrywanej zalotności Daviny, gdy tylko pojawili się pozostali
członkowie rodziny, jego uwaga skupiała się na żonie. Nie tań-
czył z nią, ale i nie spuszczał z niej oka, a kiedy Gideon ujął
dłoń Daintry przed pierwszym walcem, zobaczył, że Seacourt
wpatruje się w Penthorpe'a groźnie zwięzonymi oczami.

- Geoffrey działa mi na nerwy - wyznała Daintry, kładąc
dłoń na rękę Gideona i zajmując miejsce w tanecznym ko-
rowodzie. - Bez przerwy wpatruje się w Susan jak jastrząb,
który zaraz się rzuci na królika.

- Jego własne zachowanie raczej żadnych narzekań nie
usprawiedliwia. - Penthorpe prowadził właśnie do tańca Su-
san, ale Deverill miał nadzieję, że Seacourt nie zrobi sceny.
W chwilę później zobaczył, że znowu tańczy z Daviną i się
odprężył.

Daintry również się uspokoiła.

- Lepszą pan ma dziś wieczorem cerę, sir. Teraz już wie-
rzę, że czuje się pan całkiem dobrze.

- Och, chyba tak - odpowiedział, uśmiechając się do niej.
- Nie wydaje się pani zdziwiona, że mnie tu dziś widzi.

- Nie, ponieważ ciocia Ophelia mówiła mi, że wysłała
panu zaproszenie; mówił mi też o tym Penthorpe. Polecił,
żebym się panem zajęła, gdyby ojciec chciał stanąć okoniem.

- Cóż za śliczne wyrażenie. - Deverill szeroko się do niej uśmiechnął.

Daintry miała zaskoczoną minę.

- Dobry Boże, czyżbym pana zaszokowała? Po prostu powtórzyłam jego słowa, chociaż przypuszczam, że sama też się często w podobny sposób wyrażam.

- Nie, w najmniejszym stopniu mnie pani nie zaszokowała. Z mojego powodu nigdy nie musi się pani gryźć w język. - Spojrzał jej w oczy i wydało mu się, że widzi w nich jakieś wzruszenie, może wspomnienie z dawnych czasów; miał ochotę chwycić ją tu i teraz w ramiona i pocałować. Muzyka przestała grać, więc ujął Daintry pod rękę i odprowadził tam, gdzie zostawili matkę i ciotkę; okazało się, że lady Ophelia siedzi sama.

- Letty się poszła położyć - powiedziała z uśmiechem. - Kiedy zobaczyła, jak St. Merryn piorunuje was dwoje wzrokiem, poczuła, że zaraz będzie miała atak. Ale nie musicie się nim martwić - dodała, kiedy Gideon pospiesznie rozejrzał się dookoła. - Poszedł zająć się gośćmi w pokoju karcianym, co znaczy, że go już dziś wieczorem nie zobaczymy.

Gideon był już pewien, że mądrze zrobi, nie spuszczać Penthorpe'a z oczu; wicehrabia niewątpliwie był jakiś niespokojny. Przetanączył kotyliona z Daintry, chociaż z wyraźnym roztargnieniem, bo wydawał się uważnie obserwować Seacourta i lady Susan, którzy tańczyli w tej samej grupie. Gideon przyjrzał się im, a doszedłszy do wniosku, że Seacourt aż się rwie do walki, postanowił coś w tej sprawie zrobić. Pospiesznie podszedł do stolika z przekąskami i pićm, kazał sobie podać dwie szklaneczki ponczu, a kiedy taniec się skończył, zastąpił Penthorpe'owi drogę, gdy ten odprowadzał Daintry do ciotecznej babki.

- Pić się po czymś takim człowiekowi chce - rzucił nie dbale i podał jedną szklaneczkę Daintry, a drugą Penthorpe'owi. - Coś mi zdaje, że będziecie mieli ochotę przepłukać gardło.

Daintry uśmiechnęła się z wdzięcznością i zaczęła popijać poncz.

Penthorpe rozglądał się z roztargnieniem po tłumie.

- Wielce ci jestem zobowiązany - mruzczał. - Bardzo to ładnie z twojej strony.

- Wypij to, chłopcze.

- Deverill - odezwała się lady Jerningham, pojawiając się jakby za sprawą czarów u jego boku z dosyć nieładną młodą kobietą na holu - pozwól, że przedstawię ci pannę Haversham.

W kilka chwil później, obracając się w wirowym tańcu szkockim z panną Haversham, Gideon rozglądał się za Penthorpe'em, ale nigdzie go nie zauważył. Ulga, którą odczuł, była jednak krótkotrwała, bo kiedy taniec się skończył, zobaczył, jak wicehrabia ujmuje dłoń Susan, by zatańczyć z nią walca. Zaklął pod nosem i obejrzał się w poszukiwaniu jej męża. Na szczęście Seacourt był zajęty, ponieważ znowu tańczył z Daviną, ale Gideon dostrzegł Charlesa Tarranta, który stanowczym krokiem sunął w stronę tej ostatniej pary. Gideon wymamrotał następne przekleństwo i ruszył, by interweniować.

- Nie teraz, Tarrant - powiedział zdecydowanie, kiedy Charles chciał go wyminąć. - To ani miejsce, ani czas po temu, chłopcze.

Charles popatrzył na niego ze zdumieniem, ale zareagował podobnie, jak reagowali podwładni Gideona w wojsku.

- Tak, sir. Chyba zapomniałem, gdzie jestem, ale niech to, nie powinna po raz trzeci tańczyć z tym przeklętym Seacourtem. Wystarczy chyba, że zatruł życie mojej siostrze. A co Davina może... Zaraz, a to co znowu? - zapytał, wpatrując się gdzieś za plecy Gideona. - On prowadzi moją żonę do prywatnego saloniku, niech go szlag!

Gideon, podążając za wzrokiem Charlesa, zorientował się natychmiast, że oczy kierującego się do saloniku Seacourta płoną furją i że Davina nie tyle chce mu towarzyszyć, ile raczej usiłuje go powstrzymać. Nigdzie nie widział ani Penthorpe'a, ani Susan, ale kiedy usiłował podjąć decyzję, czy lepiej pójść za Seacourtem i Daviną, czy też powstrzymać Charlesa, by za nimi nie poszedł, zobaczył, że do tegoż saloniku kieruje się pospiesznie Daintry i problem sam się rozwiązał.

Deverill zostawił Charlesa o kilka kroków w tyle za sobą, kiedy przepychał się przez tłum, starając się robić to możliwie szybko, ale tak, by nie ściągać na siebie uwagi. Zbliżywszy się do saloniku, usłyszał krzyk Daintry:

- Żebyś się jej nie ośmielił tknąć, Geoffreyu! To wcale nie to, co sobie wyobrazasz, bo ich widziałam. Susan zrobiło się słabo, to wszystko. Przez cały wieczór była przygnębiona, każdy by to zauważył... Nie, przestań!

Gideon widział już teraz, że Penthorpe, który najwyraźniej siedział przedtem obok Susan na malej sofie, zerwał się, by powstrzymać Geoffreya, ale ten wyszarpnął się z rąk Davinia i wyraźnie miał zamiar albo wicehrabiego powalić, albo odtrącić go na bok, by policzyć się z żoną. Nie udało mu się jednak zrobić ani jednego, ani drugiego, bo rzuciła się między nich Daintry.

- Nie ruszaj się, Geoffrey - fuknęła. - Nikogo w tym domu zastraszał nie będziesz, rozumiesz? - Seacourt, którego najwyraźniej ogarnęła już ślepa furia, uderzył Daintry z taką siłą, że poleciała bezwładnie na sofę.

Zanim Penthorpe zdążył zareagować, Gideon jednym krokiem znalazł się przy Seacourcie, chwycił go za ramię, okręcił dookoła i prawym sierpowym w brodę powalił na ziemię.

Za jego plecami Charles wykrzyknął:

- Dobra robota, na Boga! Teraz postawcie tego sukinsyna na nogi i przekażcie go mnie, to dzieła dokończę. Najpierw moja żona, potem moja siostra. Na Boga, zamorduję go!

- Charlesie, nie - krzyknęła Davina. - Nie wolno ci!

- Niczego nie zyskasz, broniąc go, Davino. Uderzył moją siostrę, a i tego mam już po uszy, że goni za tobą, daje ci prezenty... Och, domyśliłem się od razu, że to on dał ci tę diamentową broszkę, dość było spojrzeć, jak na niego dziś wieczorem patrzyłaś! Nie pozwolę na to, mówię ci.

Davina chwyciła go za rękę i zaczęła pospiesznie tłumaczyć:

- To nieprawda, Charlesie. Kupiłam tę gałązkę sama. To błahostka, sztuczne kamienie, przysięgam! Zrobiłam to, żebyś był zazdrosny. Myślałam, że ci na mnie wcale nie zależy, ale zależy ci jednak trochę, Charlesie, prawda?

- Ależ oczywiście, że mi zależy. - Charles popatrzył na Davinę badawczo. - Słuchaj no, Davino, a co z tymi wszystkimi innymi panami?

Davina miała łzy w oczach.

- Chciałam zwrócić na siebie twoją uwagę, Charlesie, bo ciągle zostawiałeś mnie i szedłeś grać w karty albo pić, albo flirtować z jakąś inną kobietą. Skąd miałam wiedzieć, że ci na mnie zależy? Słowem się nie odezwałeś, chyba że się na mnie gniewałeś, że za dużo wydaję pieniędzy na suknię czy coś takiego. A kiedy pożyczyłam ten rulon bilonu od Alvanleya, nie wiedziałam, czy skrzyczałeś mnie z zazdrości, czy tylko dlatego, że to były pieniądze.

Charles nagle uświadomił sobie, że otaczają ich zacieka-wieni słuchacze.

- Słuchaj, Davino, pójdziemy gdzie indziej porozmawiać.

- Och, tak - zgodziła się jego żona. - Och, jak żałuję, że nie powiedziałam ci tego wszystkiego wcześniej. Byłoby o wiele prościej, gdybyśmy wszyscy mówili otwarcie, co czujemy, a nie oczekiwali, że ktoś z nas domyśli się, o co współmałżonkowi chodzi.

Susan, która z kamienną twarzą patrzyła, jak Gideon powalił jej męża, wyszła teraz zza pleców Penthorpe'a, a kiedy Seacourt jęknął i zaczął się podnosić, powiedziała wyraźnie:

- Davina ma rację. Człowiek nie może się spodziewać, że uda mu się coś zmienić, jeżeli nie powie, że pragnie zmian. Geofreyu, jeśli łaska, chciałabym, byś poprosił Catherine, żeby zmieniła plany. Jestem w pełni zdolna kierować moim własnym domem bez jej pomocy i jestem pewna, że bez niej dużo lepiej nam się ułożą stosunki. Co więcej, Daintry trzeba pomóc w przygotowaniach do ślubu, więc będziemy chciały z Melissą często odwiedzać Tuscombe Park, by jej pomóc. Z pewnością nie będziesz, sir, oponował wobec takich planów.

Seacourt, wciąż jeszcze w szoku, nie odzywał się, dopóki nie stanął na nogach, ale wtedy popatrzył kolejno na wszystkich zgromadzonych, łącznie z Charlesem i Daviną, którzy na słowa Susan zatrzymali się w pół kroku, a na koniec spojrzeli wrogo na żonę i oznajmił:

- Wydaje się, że zapomniałaś, gdzie jest twoje miejsce, moja droga, ale niedługo boleśnie będzie ci to przypomniane. Jeśli chodzi o wizyty w Tuscombe Park, możesz o nich zapomnieć, dopóki nie nauczysz się lepszych manier. Co więcej, nigdzie nie pojedziesz w towarzystwie Melissy. Wydawało mi się, że zapowiedziałem ci to już wcześniej całkiem wyraźnie. - Rozejrzał się dookoła, tym razem z niedwuznacznym wyzwaniem w oczach. - Czy ktoś z tu obecnych ośmieli się kwestionować moje prawo do wydawania rozkazów własnej żonie?

Nikt się nie ośmielił i Seacourt, spojrzawszy wilkiem na Gideona, a potem na Penthorpe'a, wyprowadził łkającą Susan z pokoju.

20

Daintry ze łzami w oczach patrzyła, jak Seacourt zabiera ze sobą Susan, i wiedziała, że te łzy nie miały nic wspólnego z palącym ją policzkiem. Kiedy zobaczyła, że Charles i Davina wymykają się z pokoju za Susan i Geoffreyem, wstała, by od razu pójść za nimi.

Deverill zagroził jej drogę.

- Niech się pani tak szybko nie rusza - powiedział. - To był prawdziwie potężny cios.

- Ale ciocia Ophelia będzie mogła powstrzymać Geofreya!

- Nie udałoby się pani do niej dotrzeć na czas - tłumaczył cierpliwie - a poza tym nie może pani w tej chwili wyjść. Andy, pójdz no przynieść szklaneczkę ponczu dla niej, dla siebie zresztą też. - Uśmiechnął się ironicznie. - Coś mi podpowiada, że nie wypijeś tamtego ponczu, który podałem ci wcześniej. Co się z nim, u diabła, stało?

Penthorpe wciąż jeszcze wpatrywał się w drzwi i Daintry zobaczyła, że dłonie zacisnęły mu się w pięści. Kiedy Deverill wymówił jego imię po raz drugi, odwrócił się; wyraż-

nie było widać, że z trudem panuje nad sobą. Rozchylił dłonie i zapytał niecierpliwie:

- Z ponczem? Och, dałem go lady Ophelii. Źle znosi tę duchotę i powiedziała, że jeżeli nie mam na niego ochoty, to chętnie go wypije. Nie miałem ochoty. Wziąłem go tylko dlatego, że się tak upierałeś.

- Dobry Boże - mruknął Deverill, krzywiąc się żałośnie.

- Co się stało? - zapytała Daintry.

Deverill nie odpowiedział od razu, a Penthorpe stwierdził:

- Pójdę od razu po ten poncz. Straszne to, co ci zrobił, moja droga. Należałoby go wychłostać.

- Nie spiesz się tak, Andy - wtrącił nagle Deverill.

- Co takiego? - Penthorpe zatrzymał się; Daintry zobaczyła, że wymienili ze sobą spojrzenia, potem jej narzeczony wzruszył ramionami i powiedział: - Zobaczą, co się tam dzieje.

Popatrzyła za nim skonsternowana.

- Ależ to dziwaczne! Wie pan, Deverill, on chyba już zapomniął, że miał mi przynieść poncz.

- Proszę usiąść - odparł na to Deverill. - Mam pani coś do wyjaśnienia.

- Dlaczego miał pan taką spłoszoną minę, kiedy Penthorpe powiedział, że oddał swój poncz cioci Ophelii?

Na twarzy Gideona znowu pojawił się wyraz skruchy.

- Miałem nadzieję zapobiec takiej właśnie scysji, jak ta, która tu wybuchła. Musiało dojść między nim a Seacourtem do spięcia, ale pomyślałem sobie, że może gdyby Andy poczuł się senny... - poklepał wymownie kieszonkę kamizelki, w której miał proszki przeciwbólowe.

Daintry szybko pojęła, o co mu chodzi.

- Te proszki? Deverill, niech mi pan tylko nie mówi, że pan dodał proszków do ponczu, a Penthorpe oddał go cioci Ophelii! Miłosierny Boże, musimy natychmiast iść jej poszukać. - Już odwracała się do drzwi, ale zdążyła zrobić nie więcej niż dwa kroki, kiedy Gideon złapał ją i pociągnął do tyłu.

- Nie może pani tam jeszcze wychodzić - zwrócił jej łagodnie uwagę. - Ten ślad na pani policzku zaznacza się zbyt wyraźnie, żeby miał nie wywołać komentarzy. - Dotknął go,

dłoń miał chłodną, ale oczy zabłyśły mu nagle płomiennym gniewem i dodał: - Za słabo go uderzyłem.

- Cieszę się, że go pan powalił, sir - powiedziała Daintry miękko. - Zasłużył sobie na to. Właściwie to sama miałabym ochotę to uczynić.

- Kiedy postąpiłem tak poprzednim razem., rozgniewała się pani.

- Tylko dlatego, że nie pozwolił mi pan załatwić z nim sprawy na moich własnych warunkach. Tym razem było inaczej.

Deverill pogładził znowu jej obolały policzek, a ona podniosła wzrok, świadoma jego bliskości, pomna pocałunków. On również je pamiętał, widać to było po wyrazie oczu. Przez chwilę jakby się wahał, ale Daintry czekała bez tchu, każdy nerw w jej ciele zdawał się ożywać, a silna woła ulatniała się. Deverill pochylił się, dotknął wargami jej ust, najpierw lekko, potem jeszcze raz, już mocniej, a potem znalazła się w jego ramionach i pocałunki stały się bardziej zaborcze.

Nagle Daintry załała niespodziewana fala niemiłych wspomnień. Mimo woli dziewczyna wzdrygnęła się i odsunęła od niego.

Deverill natychmiast ją puścił, na jego twarzy malowało się zaskoczenie i skrucha.

- Czy zabolało panią? Zapomniałem, że padając na solę, mogła się pani potłuc.

- Nie, nic mi się nie stało. Naprawdę, nic. - Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy, była pewna, że poznałby po nich, iż kłamie.

Położył jej dłonie na ramionach, a Daintry zdrzęzała. Nie mogła powstrzymać tej reakcji, chociaż doskonale wiedziała, że nie ma ona nic wspólnego z tym, co właśnie się stało, tylko z tym, co przydarzyło się w Seacourt Head.

Dłonie Deverilla zacisnęły się mocniej. Zapytał:

- Drży pani. Co się stało? Czy panią przestraszyłem?

Nie była w stanie powiedzieć mu prawdy. Szepnęła tylko:

- Jestem po słowie z wicehrabią Penthorpe'em, sir. To było bardzo nie w porządku. Nie wolno nam tak postępować.

Gideon milczał, a Daintry zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy. Nie wyglądał na przekonanego, ale po chwili, wciąż jeszcze trzymając ją za ramiona, powiedział łagodnie:

- Myślę, że pani szwagierka miała rację. Przyszedł czas, byśmy otwarcie mówili, co myślimy. Penthorpe, jeżeli pani tego jeszcze nie zauważyła, słoneczko, jest dużo bardziej zainteresowany pani siostrą, Susan, niż panią.

Daintry uśmiechnęła się troszkę smutno.

- Nie jestem głupia, Deverill. Czy spodziewał się pan, że mnie tym zaszokuje albo zmartwi? Jednak w gruncie rzeczy niczego to nie zmienia. Żałuję tylko, że nie da się sprawić, by Penthorpe mógł wykraść Geoffreyowi Susan, uciec razem z nią i zapewnić jej bezpieczeństwo.

- Niczego takiego nie sugerowałem. Pani siostra postąpiłaby dużo słuszniej, gdyby jakoś doprowadziła do porządku swoje stosunki z mężem.

- Co za nedorzecznosc - odparła Daintry poirytowana.
- Ten człowiek to złośliwy brutal bez serca. Po tym, co się tu dzisiaj działo, obawiam się nawet o jej życie.

- Myślę, że nie jest to konieczne - mówił Deverill łagodnym głosem. - Proszę tylko pamiętać, że chcąc wyjść z domu, musi przebić się przez tłum ludzi, co samo w sobie jest niełatwym wyczynem, a potem zaczekać na powóz. Jeśli miałbym opierać się na własnym doświadczeniu, inni goście będą zatrzymywać ich po drodze i gawędzić z nimi. Sporo czasu zajmą im pożegnania, zwłaszcza że oboje muszą zadbać o zachowanie pozorów normalności. Nawet jeżeli nie wstawi się za Susan bezpośrednio lady Ophelia, najdrobniejsze opóźnienie powinno wystarczyć, by przypomniawszy sobie jej testament i to, z jaką łatwością może go ona zmienić.

- No cóż, mam nadzieję, że pan się nie myli, ale nadal uważam, że Susan bardziej byłaby bezpieczna, gdyby uciekła z Penthorpe'em. Chociaż nie zgodziłyby się zostawić Melissy. A może Penthorpe zgodziłby się zabrać również Melisę?

- Nie mógłby tego zrobić - zapewnił ją Deverill. - Nawet gdyby pani siostra miała pójść w ślady księżnej Argyll i uzyskać rozwód w Szkocji, żaden sąd, ani tamtejszy, ani

tutejszy, nie przyznałby jej prawa do opieki nad córką Seacourta. Byłaby zmuszona ją oddać.

- W takim razie nigdy nie ucieknie - szepnęła Daintry.

- Wie pani - ciągnął dalej Deverill cicho, a jego ciepłe dłonie nadal spoczywały na jej ramionach - to wszystko niewiele ma wspólnego z omawianą sprawą.

- Ależ oczywiście, że tak. Penthorpe ma się ze mną ożenić, chociaż bardziej zależy mu na mojej siostrze niż na mnie. Powiedziałabym, że ma to bardzo wiele wspólnego z omawianą właśnie sprawą.

- Chyba że omawiać będziemy sprawę nas dwojga.

- Jestem zaręczona z Penthorpe'em, Deverill. Wicehrabia jest dżentelmenem, więc się nie wycofa, a mój ojciec zdecydował, że nie zwolni mnie z danego słowa. Czy chciałby pan, bym była mu nieposłuszna?

- Ależ oczywiście, że nie, jednak proszę zastanowić się: gdybyście porozmawiali z nim oboje z Penthorpe'em, czy nie dałoby znaleźć się jakiegoś wyjścia, by przynajmniej jedno z was było szczęśliwe?

Daintry zeszywniała.

- Nie wiem, czy dobrze pana zrozumiałam, Deverill. Chce pan, żebyśmy z Penthorpe'em powiedzieli ojcu, iż obydwójce uznaliśmy, że nie będziemy do siebie pasowali. Nie wspomina pan o tym, które z nas ma poruszyć ten temat ani jak ma to zrobić. A kiedy już uwolnię się od Penthorpe'a, mam rzucić się panu w ramiona. Czy o to chodzi?

Wargi Deverilla drgnęły.

- Nie wiem, czy sformułowałbym to aż tak otwarcie, ale jeżeli uwolniłaby się pani od Penthorpe'a i miała przed sobą wolną drogę, niewątpliwie...

- Zapomniał pan, sir, że mój ojciec w żadnych okolicznościach nie zgodziłby się na moje małżeństwo z Deverillem.

Gideon skrzywił się.

- Przyznam, że rzeczywiście zapomniałem o tym, skoro jednak nie całkiem wyprosił mnie stąd dziś wieczorem, to może...

- To może sprawy ułożą się po pana myśli, sir, czy tak? No cóż, jeżeli mamy mówić szczerze, to pozwolę sobie po-

wiedzieć, sir, że nie sędzę, bym nawet wtedy za pana wyszła. Jeżeli chce się jakąś sprawę zakończyć we właściwy sposób, nie wystarczy tylko wyrazić pragnienie, by ludzie robili to, na co pan ma ochotę, Deverill.

- Sama pani nie wie, co mówi!

- O, doskonale wiem. Mówi pan, że lepiej byłoby, gdyby Susan nauczyła się żyć w zgodzie z mężem, ponieważ nie ma to z panem nic wspólnego; chce pan, bym nakłoniła ojca i Penthorpe'a do zmiany zdania, bo wbił pan sobie do głowy, że mnie pożąda. Proszę zwrócić uwagę, że powiedziałam „pożąda”, nie „kocha”. Gdyby mnie pan kochał, znalazłby pan jakiś sposób przynajmniej na to, by zakończyć tę głupią waśń między naszymi rodami. Pan zaś lekceważy tę waśń, nazywa ją głupią i idiotyczną. Ograniczył się pan do przejrzenia kilku dokumentów i przestał szukać jej rozwiązania.

- Niech no pani chwilkę...

- Nie, Deverill, mam zamiar wyjść za Penthorpe'a. Dałam słowo i jeżeli on mnie nie poprosi, bym je złamała, dotrzymam.

Nagle drzwi się otworzyły i wszedł Penthorpe mówiąc:

- Przepraszam was, ale chyba powinienem wam donieść, że lady Ophelia nie najlepiej się czuje. A dokładnie mówiąc, jakoś nie możemy jej obudzić.

- Już idziemy, sir - powiedziała Daintry. - Ciocia czuła się ostatnio bardzo zmęczona.

Lady Ophelia drzemała na krześle z głową wspartą o marmurową kolumnę; naokoło niej zgromadził się cały tłumek zatroskanych ludzi łącznie z St. Merryem, którego odwołano z pokoju karcianego i który w związku z tym był w nie najlepszym humorze.

- Śpi - zwrócił się z oburzeniem do Daintry. - Potrząsałem nią, ale ona tylko mamrocze, żebym sobie poszedł. Słowo daję, co ta kobieta jeszcze wymyśli? - Nie zwracał najmniejszej uwagi na obecność Deverilla, który tymczasem wziął na ręce lady Ophelię i przeszedł za rząd kolumn, by ściągać na siebie jak najmniej uwagi po drodze na schody. Penthorpe zatrzymał się na dole, wyjaśniając zebrany, że

jaśnie pani nie cierpi na nic groźniejszego niż zwykłe wyczerpanie, a Daintry pospieszyła za Deverillem, by zaprowadzić go do sypialni ciotecznej babki i zadzwonić po Almę, żeby położyła lady Ophelię do łóżka.

Kiedy znowu schodzili na dół, Deverill zatrzymał się na podeście na poziomie bawialni i powiedział:

- Pozwoli pani, że ją teraz pożegnam, ale mam nadzieję, że zobaczymy się jeszcze, zanim opuści pani Londyn.

Daintry podała mu dłoń.

- Do... dobranoc, sir. Mam... mam nadzieję, że nie jest pan na mnie za bardzo zły.

- Nie mam ku temu powodów - stwierdził posępnie Deverill i szybko odszedł schodami w stronę holu.

Od tej chwili bal stał się rozpaczliwie nudny, mimo że po powrocie Daintry podano lekką kolację, a Penthorpe z determinacją dbał o jej wygody i z równą determinacją siłił się na wesołość. Wreszcie Daintry nie mogła już tego wytrzymać. *Pochyliła* się nad małym stolikiem, przy którym razem siedzieli, i powiedziała cicho:

- Sir, jeżeli nie w pełni jest pan zadowolony z tego układu spraw, wystarczy, że powie pan słowo. W pełni potrafię zrozumieć...

- Nie, nie - Penthorpe zaczerwienił się aż po korzonki włosów i spojrzał jej prosto w oczy. - Nic podobnego. Absolutnie zadowolony, naprawdę. Najszczęśliwszy na całej ziemi. Dobry Boże, jakżeby mogło być inaczej? Sprawia to radość pani ojcu, sprawia radość mojemu wujowi, a najbardziej mnie samemu. Psiakostka, przykro mi, jeżeli dałem pani coś innego do zrozumienia, moja droga. Może wyglądałem na nieco zdenerwowanego tym, co się wcześniej wydarzyło, ale to dlatego, że nie potrafię znieść okrucieństwa, a jeżeli wybaczy mi pani, że będę mówił szczerze, to właśnie w ten sposób traktuje Seacourt pani siostrę.

- Zgadzam się z panem, sir. - Nie powiedziała nic więcej. Jeżeli wicehrabia podjął życiową decyzję i postanowił się ożenić, nie będzie mu tego próbowała wyperswadować. Rodzina Tarrantów dość już dostarczyła żeru plotkom: wieści

o awanturze w saloniku rozejdą się na pewno, chociażby dlatego, że Susan nie była w stanie ukryć łez, kiedy Seacourt zabierał ją z balu. A jeżeli nawet jakimś cudem cała ta sprawa nie wyjdzie na jaw, plotkarze co najmniej uśmieją się serdecznie z faktu, że lady Ophelia zasnęła na oczach całego towarzystwa. Daintry nie dostarczy im więcej żeru, zrywając jeszcze jedne zaręczyny, nawet gdyby udało jej się przekonać ojca, by na to pozwolił.

Zanim padła wyczerpana na łóżko tej nocy, miała w głowie zupełny mętlik. Zachowała się okropnie wobec Deverilla, a chociaż powiedział, że chciałby się zobaczyć z nią, z nim rodzina wyjedzie z Londynu, zasłużyła sobie na to, by się więcej do niej nie odezwał.

Miała całkowitą rację, myślał Gideon maszerując podjazdem do Jervaulx House. Prawda, że liczył na to, iż sprawy jakoś same poukładają się zgodnie z jego pragnieniami. Miał nadzieję, że Jervaulx zauważy, iż ma syna, który jest w pełni zdolny pomagać mu w jego obowiązkach. Miał nadzieję, że waśń umrze śmiercią naturalną z powodu braku zainteresowania albo że uda się znaleźć klucz do jej rozwiązania. I miał nadzieję, że Daintry przekona się, iż nie jest już w stanie mu się opierać, podobnie jak to się stało z nim.

Godzina była późna, ale Gideon wcale się nie zdziwił, że ojciec siedzi jeszcze w bibliotece i czyta jakiś dokument. Światło lampy padało tylko na biurko; stoczki, które pozapalano wcześniej w lichtarzach ściennych, pogasły. Olbrzymi pokój rozświetlał wyłącznie ogień, który wciąż płonął jasno na kominku i rzucał roztańczone cienie na dywan i ściany.

Gideon pociągnął za sznur od dzwonka i Jervaulx wreszcie podniósł wzrok.

- Służący już się położyli.

- Nie wszyscy, sir. Kiedy wchodziłem, Thornton był w holu, a chociaż kazałem moim ludziom nie czekać na siebie, jestem niemal pewien, że obydwoje będą jeszcze na nogach. Powinieneś być zadzwonić po światło, ojczu. Zrzuńniesz sobie wzrok. Tak, Thorntonie, dzwoniłem - dodał, kiedy lokaj

wszedł do pokoju. - Pozmieniamy świece, dobrze? Powinno się to było zrobić jakiś czas temu.

- Tak, wielmożny panie - odpowiedział spokojnie lokaj, ale nawet w przyćmionym świetle Gideon zauważył, że zerknął przy tym spod oka na markiza. - Przyniosłem kilka ze sobą, wielmożny panie, sądząc, że mogą być potrzebne.

Jervaulx przyglądał się synowi. Gideon odpowiedział mu poważnym spojrzeniem.

- Przypuszczam, że ojciec powiedział im, iż nie życzy sobie, by mu przeszkadzano.

- Nie mieli żadnych więcej obowiązków, a wstawać muszą bardzo wcześnie. Nie było potrzeby, Thorntonie, byś tak długo nie spał.

- Nie, wielmożny panie. Pozapalam teraz te świece. - Ruszył do ściennego lichtarzyka, który był najbliżej Gideona, a mijając go, powiedział cicho: - Pan Peters również jeszcze nie śpi, panie.

Gideon kiwnął głową i podszedł do biurka.

- Muszę prosić, by ojciec przerwał teraz pracę, ponieważ pragnę z ojcem porozmawiać. Zaczekałbym z tym do rana, ale skoro ojciec nie śpi, chciałbym to zrobić teraz.

- Nie ma żadnej sprawy tak ważnej, by nie mogła poczekać.

- Wręcz przeciwnie - odparł spokojnie Gideon. - Dziękuję, Thorntonie, to wszystko. Powiedz Petersowi, że jaśnie pan będzie na górze za pół godziny.

- Tak, panie - skłonił głowę Thornton i wymknął się cicho za drzwi.

- Słuchaj no - zaczął Jervaulx - nie możesz w tym domu w taki sposób wydawać rozkazów.

- Oczywiście może je ojciec cofnąć - zgodził się Gideon, przysuwając sobie krzesło do biurka - ale mam nadzieję, że najpierw zechce mnie ojciec wysłuchać. Czy pozwoli ojciec, że usiądę?

Jervaulx spojrział na niego.

- Nie krępuj się. Przecież zawsze robisz to, co chcesz.

Siadając, Gideon uśmiechnął się.

- Do tego jeszcze nie doszło, zapewniam ojca, ale dużo

spraw sobie dzisiejszej nocy przemyślałem. Szedłem piechotą od Berkeley Square do Jervaulx House i tak byłem zatopiony w myślach, że droga zdawała się trwać nie więcej niż kilka minut.

- Nie powinieneś był chodzić na taką odległość na piechotę - zwrócił mu szorstko uwagę Jervaulx. - Każdy rozsądny człowiek, którego raz już zaatakowano na ulicy, wiedziałby, że nie powinien narażać swojej osoby na powtórny atak. Nie wróciłeś jeszcze całkowicie do zdrowia. Po co, pytam się, trzymamy powozy, jeżeli mamy z nich nie korzystać?

- Wróciłem już w pełni do sił, ojcze, a chciałem się zastanowić. Rzucono dziś na mnie kilka oskarżeń, które, obawiam się, były w pełni usprawiedliwione, a chociaż wolałbym mówić, że przez te ostatnie kilka miesięcy po prostu nie ujawniałem własnych zamiarów, obawiam się, że postępowanie moje bliskie było tchórzostwa.

- Nonsens, na pewno nie jesteś tchórzem.

- Cieszę się, że ojciec tak uważa, sir, ale powiem otwarcie, że nogi mi się w tej chwili trzęsą z obawy, że mogę ojca rozgniewać, kiedy powiem, iż chciałbym, by przekazał mi ojciec niektóre ze swoich obowiązków, zwłaszcza te, które mają związek z naszymi posiadłościami w Kornwalii, i że chciałbym, by ojciec to zrobił od razu.

- Masz ochotę pobawić się w sędziego, sir? - spytał ojciec sarkastycznie.

- Nie, sir, wcale nie. A przynajmniej jeszcze nie. Za mało wiem jeszcze i o hrabstwie, i o prawie. Ale mogę się nauczyć. I w rzeczy samej pragnę się uczyć, a zanim zdobędę wiedzę, czuję się na siłach znaleźć kogoś, kto ojca na tym stanowisku zastąpi. I do tego doprowadzę przed wyjazdową sesją sądu w Bodmin.

- A w jaki to sposób chciałbyś szukać tego kogoś, skoro tak niewiele wiesz o hrabstwie, żeby już nie wspomnieć o prawie?

- Rozpuszczę wieści, że trzeba powołać nowego sędziego i że życzy sobie ojciec wiedzieć, kto byłby chętny podjąć się takich obowiązków. Oczywiście ostateczna decyzja

będzie należeć do ojca, ponieważ nowy sędzia zostanie ostatecznie powołany na to stanowisko za rekomendacją ojca. Chciałbym jednak uczciwie ojca uprzedzić, że jeżeli przekonam się, iż hrabia St. Merryn okaże się chętny i będzie miał najlepsze kwalifikacje, nie zawaham się, by ojcu jego nazwisko przedłożyć.

Kiedy zamilkł, czekał na trzęsienie ziemi, a tymczasem Jervaulx zapytał łagodnie:

- Czy mogę się dowiedzieć, kto popełnił aż tak wielki błąd, by nazwać cię tchórzem?

Gideon przyjrzał się ojcu bacznie i powiedział sobie, że musiał chyba zwariować, bo wydało mu się, że dostrzega w jego oczach błysk rozbawienia.

- Obawiam się, że lady Daintry Tarrant - stwierdził.

- A więc wiatry wciąż stamtąd wieją, czy tak?

- Nie musi się ojciec tą sprawą martwić, sir. Ona jest zaręczona z Penthorpe'em, a do tego mówi, że tak czy owak mnie nie zechce. Wolałbym porozmawiać teraz o Deverill Court. Wiem, że musi czuć się ojciec bardzo zawiedziony, iż przejdzie on na mnie, a nie na Jacka, ale skoro już musi...

- Nonsens.

- Przepraszam ojca?

- Krańcowy nonsens - powtórzył szorstko Jervaulx. - Żaden ojciec nie mógłby czuć się zawiedziony synem, o którym wspomiano w rozkazach dziennych po bitwie pod Waterloo.

- Chodziło mi o to...

- Nie obchodzi mnie, o co ci chodziło, Gideonie - przerwał mu Jervaulx i wstał.

- Sir, sądzę...

- Milcz - uciął Jervaulx. - Teraz ty mnie wysłuchasz, na Boga. Nie pozwolę, byś choć przez chwilę jeszcze myślał, że mnie rozczarowałeś.

- Ale...

- Twój brat pożądał tytułu Jervaulx, Gideonie, ale niewiele interesowały go wiążące się z nim obowiązki. Był wspaiałym chłopcem, zwariowanym na punkcie polowań i po-

pularnym wśród znajomych, boleję nad jego śmiercią tak samo, jak bolałem po śmierci waszej matki, ale gdyby Jack nie zmienił sposobu postępowania, kiepski byłby z niego pan. Myślałem, że jesteś taki sam. Nie wykazywałeś większego zainteresowania majątkiem, a chociaż przyszło mi na myśl, że może się to zmienić, kiedy dowiedziałem się, że przekopałeś całe archiwum w poszukiwaniu informacji o tej starej waśni, szybko stało się oczywiste, iż interesuje cię głównie to, w jak wielu przyjęciach zdołasz wziąć udział. Ponieważ dokładnie w taki sam sposób lubił spędzać czas twój brat, uznałem, że jesteś do niego podobny.

- Sądziłem, że ojciec nie życzy sobie, bym się wtrącał - powiedział Gideon sztucznie spokojnym tonem - a miałem własne powody, by...

- Teraz wiem, jakie *to* były powody. Gdybym nawet nie zaczął tego wcześniej podejrzewać, stałoby się to jasne, kiedy niemal ze skóry wyskoczyłeś, widząc, jak ta młoda kobieta zuchwale rzuca mi wyzwanie w moim własnym sądzie. Ponieważ odnoszę wrażenie, że nadal w tej sprawie skłonny jesteś robić z siebie głupca, raduje mnie fakt, iż moja początkowa opinia o tobie nie w pełni była uzasadniona.

Gideon patrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

- Ojciec nie ma zastrzeżeń wobec mojego zainteresowania córką St. Merryna?

- Oczywiście, że mam zastrzeżenia, ale sądząc, iż mógłbym powstrzymać cię przed ożenkiem z własnego wyboru, przypisujesz mi władzę wykraczającą daleko poza tę, którą posiadam. A może chciałbyś mnie zapewnić, że w żadnym wypadku nie ożeniłbyś się, gdyby miało to być sprzeczne z moimi życzeniami?

Gideon rozłożył ręce.

- Prowadzimy czysto teoretyczne rozważania, sir, ponieważ ona jest jeszcze niepełnoletnia, nie mówiąc już o tym, że zaręczona, a nawet gdyby tak nie było, nie mógłbym nalegać, by okazała nieposłuszeństwo swemu ojcu. Dopóki nie skończy się rozdźwięk między naszymi rodzinami, nie mogę własnej sprawy w najmniejszym stopniu posunąć do przodu.

A ponieważ oskarżyła mnie dziś między innymi o to, że **nie** zrobiłem nic, by odkryć klucz do waśni, pragnąłbym, by powiedział mi ojciec, od czego zaczęła się wrogość obu rodzin.

- Wiem tylko, że wina leżała po stronie Tarranta, który rzucał jakieś groźby, a następnie nie zgodził się przyjąć wyzwania dziadka na pojedynek. Więcej nic mi nigdy nie powiedziano.

- Lady Daintry mówiła, że słyszała jakieś pogłoski o jakobitach.

- To oczywiście możliwe, choć pełne wyjaśnienie sprawy może się znaleźć gdzieś w papierach rodzinnych.

- To dlatego przewróciłem archiwum do góry nogami - zauważył Gideon - ale nie bardzo wiedziałem, czego szukam. Usiłowałem oczywiście znaleźć jakieś wzmianki o Tarrantach, ale poza łączącymi rodziny interesami, na ile mogłem się zorientować absolutnie uczciwymi, nie znalazłem nic. Kiedy wrócę... - Urwał. - Udało się ojcu zbić mnie z tematu, sir, ale mam nadzieję, że nie zabroni mi ojciec przejąć kontroli nad sprawami w Kornwalii.

- Nic nie stoi na przeszkodzie.

- A więc dlaczego nigdy nie prosił mnie ojciec o pomoc? Przecież ojciec mógł jej nawet żądać.

- Pan z przymusu nie jest dobrym panem - wyjaśnił Jervaulx. - Gdybym po twoim powrocie z kontynentu zauważył u ciebie choć najmniejsze zainteresowanie majątkiem, byłbym z radością zaaranżował sprawy tak, byś zajął jakąś bardziej wpływową pozycję.

- Wydawało mi się, że ojciec mnie nie lubi.

Jervaulx odwrócił się gwałtownie w stronę kominka, jego ciało zeszytniało. Kiedy się odezwał, głos miał ochryply.

- Nigdy nie było tak, bym cię nie lubił. Po śmierci waszej matki uznałem, że nie mogę pozwolić sobie na luksus okazywania podobnej głębi uczuć w stosunku do nikogo innego. W rzeczywistości moja miłość dla was była tak wielka, że bałem się, iż was zadusi. Jack był już w Eton; oczywiście ponowne odesłanie go tam po pogrzebie było dla mnie szczególnie trudne. Wiedziałem, że jeżeli w ogóle mam wysłać tam i ciebie, muszę się uczuciowo od ciebie zdystansować. Po

śmierci Jacka byłem sam, Gideonie, ty nadal byłeś na wojnie, mogłeś w każdej chwili zginąć. Czy potrafisz sobie wyobrazić, co to dla mnie znaczyło? Jeżeli nie okazuję po sobie uczuć, to dlatego, że uznałem, iż nie będzie ani bezpiecznie, ani mądrze tak robić, a nie dlatego, że ich nie mam.

Gideon nie mógł wydobyć z siebie głosu. W końcu powiedział:

- Nie zawiodę cię, ojcze. Czy będzie ojciec niedługo wracał do Abbey?

- Muszę jeszcze na kilka tygodni zatrzymać się w Londynie. Ale wyznam, że z ulgą zrezygnuję z obowiązków sędziego. Spodziewałem się, że będę musiał stąd pojechać do Deverill Court, lecz teraz mogę udać się prosto do Abbey. - Podszedł do biurka, by zgasić lampę. - Nie bądź tam rzadkim gościem, synu.

- Nie będę, sir - wyjąkał Gideon.

Tej nocy długo leżał, nie śpiąc, myślał o tym, co powiedział mu ojciec, i zastanawiał się, jak ułożyłoby się jego życie, gdyby przez tak wiele lat nie byli sobie obcy. Wiedział, że ponosi za to winę niemal w tym samym stopniu jak ojciec, i przysiągł sobie, że żadne z jego dzieci nigdy nie będzie musiało zastanawiać się nad tym, co o nim sądzi. Na myśl o dzieciach przypomniła mu się niemal natychmiast Daintry. Ciekaw był, co powiedziałyby, gdyby usłyszała, że jego ojciec nie stanie im na przeszkodzie, jeżeli zgodzi się na niego wyjść. Niewątpliwie powiedziałyby coś nieuprzejmego; a jednak, jeżeli nadarzy się po temu okazja, zanim Tarrantowie wyjadą z Londynu, powie jej o tym.

Ale następnego ranka jego dwaj czujni służący wyjątkowo zgodnie postanowili go nie budzić, a rezultat był taki, że spał aż do popołudnia. Obudziwszy się, ruszył od razu na Berkeley Square; tu okazało się, że St. Merryn, zapowiadając, iż odjada natychmiast po balu, mówił serio. Z drzwi zdjęto kołatkę*, służący pakowali wszystko, by dom zamknąć. Rodzina powróciła do Kornwalii.

*"Wisząca na drzwiach kołatka oznajmiała o obecności właściciela domu (przyp. tłum.).

Popatrując przez okno powozu na mijany krajobraz, Daintry westchnęła i pomyślała, że ojciec w takim pośpiechu wyrwał ich z Londynu, iż niemal nie zdążyła zabrać ze sobą niezbędnych na drogę rzeczy. Ale i tak zanim wyjechali, dochodziła już druga, więc nie spuszczała oka z placu przed domem w nadziei, że Deverill zdąży im złożyć wizytę. Nie pokazał się jednak, może się rozmyślił. Choć bardziej prawdopodobne, że po prostu nie wpadło mu do głowy, iż mają zamiar wyjechać tak wcześnie. Penthorpe'a również zaskoczy ten pospieszny wyjazd, chociaż ojciec obiecał, że prześle mu wiadomość.

- Nie ma co siedzieć tu dłużej - oznajmił St. Merryn, zanim się położył po balu. - Ostatecznie po to przyjechaliśmy do miasta, żeby ci znaleźć męża, a skoro Penthorpe wrócił, lepiej żebyś szła za niego ze swego własnego domu, i tak mu sprawę przedstawiłem. Być może nie zechce z miejsca wracać do Kornwalii, ale dam mu jasno do zrozumienia, że ma się za długo nie ociągać.

Charles i Davina, ku zdziwieniu wszystkich, postanowili opuścić Londyn razem z rodziną. Davina zajrzała do pokoju Daintry i powiedziała ze śmiechem:

- To okropne, jak wyrывают człowieka ze snu tak wcześnie, kiedy najchętniej przespałby cały dzień, zwłaszcza po takiej nocy, ale twój ojciec gdera, że jeżeli się nie pośpieszymy, to będziemy mogli wyjechać dopiero w poniedziałek i ma rację, bo droga mama St. Merryn podniosłaby wielki krzyk, gdyby chciał zmusić ją do podróży w niedzielę.

- A więc naprawdę z nami jedziecie?

- Och, tak, teraz kiedy sprawy między nami przynajmniej częściowo się wyjaśniły, nie chcemy tego znowu ze-

psuć, a kto wie, co by się działo, gdybyśmy dalej tak balowali jak dotychczas. Dużo bardziej będzie brakowało tych wszystkich bali i przyjęć mnie niż Charlesowi, ale przypuszczam, że nie zatęsknię za nimi aż tak bardzo, jeżeli będę mogła więcej czasu spędzać z mężem.

Tym razem Daintry dzieliła powóz tylko z lady Ophelią. Skręcali właśnie z bruku na drogę do Exeter, kiedy starsza pani powiedziała:

- Szkoda, że musimy wyjeżdżać akurat teraz, kiedy wreszcie się dobrze wyspałam, chociaż pojęcia nie mam, co mnie opętało, żeby tak odpłynąć przy wszystkich. Wiesz, przezdziwne to - ciągnęła dalej lady Ophelia - żebym tak zapadła w drzemkę. I pomyśleć, że nawet nie drgnęłam, kiedy ktoś niósł mnie na górę ani kiedy Alma mnie rozbierała i kładła. A przecież nie żadne ze mnie piórko, jak wiesz. Mam nadzieję, że ten, kto mnie niósł, nie zrobił sobie krzywdy.

- To Deverill ciocię zaniósł. Nie sprawiło mu to żadnych trudności.

- Wcale mnie to nie dziwi, chociaż wyznam, że czuję się zaskoczona, iż twój ojciec pozwolił mu na to.

- Papa miał co innego na głowie, jak mi się zdaje - powiedziała Daintry, myśląc o Geoffreyu i Susan.

- Biedny St. Merryn - uśmiechnęła się lady Ophelia. - Co też on musiał sobie pomyśleć, kiedy znalazł mnie pogrążoną w tak głębokim śnie? Ale powiem ci, że zbyt jestem wdzięczna za całonocny odpoczynek, by troszczyć się o to, jak musiałam wyglądać. A już mi się zdawało, że w tym roku za nic nie przystosuję się do londyńskiego rozkładu dnia.

Daintry zagryzła wargę.

- Co się dzieje? - zapytała starsza pani. - Minę masz jak kot, który wylizał śmietankę. Co ty znowu knujesz?

- Ja nic nie knuję, proszę cioci, a napsociliśmy tylko przez przypadek, ale wyznam, że sen cioci nie w pełni był naturalny. Kiedy ciocia powiedziała, że chce się cioci pić, Penthorpe podał cioci szklaneczkę, w której był poncz doprawiony przez Deverilla w nadziei, że uda mu się zapobiec kłótni wicehrabiego z Geoffreyem.

Lady Ophelia patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami, a potem nagle wybuchnęła śmiechem.

- Czego on tam dosypał? - zapytała, kiedy już znowu mogła mówić. - Powiadam ci, że nigdy tak dobrze nie spałam.

- To jakaś mieszanka doktora Kingstona, który przepisał ją Deverillowi na jego bóle głowy - poinformowała ją Daintry. - Nie wiem, co w niej było.

- No cóż, muszę się tego dowiedzieć, bo nie pojedę w przyszłym roku do Londynu, nie mając jej przy sobie, zapewniam cię. Cudowne, nie da się tego inaczej określić, cudowne.

Daintry poczuła ulgę, że ciotka czuje się bardziej rozbawiona niż zła. Opowiedziała jej także o innych wydarzeniach ostatniego wieczoru, a chociaż lady Ophelia się zmartwiła, skłonna była zgadzać się z Deverillem, że Geoffrey tak naprawdę nie zrobi Susan krzywdy.

- Możesz być tego pewna, moja droga: Geoffrey wie, że ludzie darują mu, iż go poniosło, kiedy pochopnie zaczął podejrzewać, że Penthorpe flirtuje z jego żoną, ale jeżeli dojdą do wniosku, że ją źle traktuje, popatrzą na sprawę całkiem inaczej. A nawet gdyby tego nie rozumiał, to możesz mieć całkowitą pewność, że rozumie to doskonale ta jego bezcenna lady Catherine.

- Ale Geoffrey przekonany jest, że może sobie na wszystko pozwolić, bo i tak mu wszyscy zawsze wybaczą.

- Ależ oczywiście, że tak, kochanie. Panowie na ogół mają takie przeświadczenie i jest to całkowicie naturalne, jeżeli wziąć pod uwagę, że na świecie panuje porządek, który im ma odpowiadać. Przecież Geoffrey doskonale wie, że chociaż mogłaś się bardzo rozgniewać na niego za złe traktowanie Susan, spotkawszy go masz obowiązek zachowywać się uprzejmie, a jeżeli nie, ty zostaniesz potępiona za brak manier, a nie on za to, że takie zachowanie sprowokował. Na tym świecie maniery pełnią rolę kleju, dzięki któremu wszystko się razem trzyma, zwłaszcza w przypadku kobiet. - I dodała, uśmiechając się z ironią: - Kiedy mężczyznę, nawet takiego jak Geoffrey, poniesie wściekłość na żonę, cały świat zastanawia się, co ona mogła zrobić, że go tak

zdenerwowała. Ale kiedy wściekłość poniesie żonę, cały świat przekonany jest, że należy wziąć ją w karby.

Daintry, słysząc to, doszła do wniosku, że jeżeli ma wyjść za mąż, to lepiej za kogoś takiego jak Penthorpe, który nie będzie usiłował kształtować jej na obraz i podobieństwo uległej żony, a nie jak Deverill, który by tak uczynił.

Podróż powrotna do Kornwalii przebiegała szybciej niż droga do Londynu, ale była męcząca i Daintry ucieszyła się, gdy w końcu powóz przetoczył się przez bramy Tuscombe Park. Kiedy zatrzymali się przed głównym wejściem, wyjrzała z nadzieją przez okno, ale chociaż wysłali wiadomość o swoim przyjeździe, w żadnym oknie nie było śladu wypatrującego ich dziecka. Jednak ledwo weszli do głównego holu, sprawa się wyjaśniła, ponieważ po schodach zeszła pośpiesznie bardzo zmieszana panna Parish.

Zaczekała tylko, aż Daintry przywita się ze wszystkimi, i powiedziała niespokojnie:

- Przykro mi, że panny Charlotty nie ma i nie może państwa powitać, ale właściwie nikt nie mówił, że nie wolno jej jechać, a ja nie bardzo chciałam zabraniać, skoro pani tego nie zrobiła.

- Nie ma jej tutaj? - Lady St. Merryn przycisnęła ręce do łona. - Ależ co pani może mieć na myśli?

Równocześnie z nią Charles zapytał:

- O czym, u diabła, pani mówi? Gdzie jest moja córka?

- Och, sir, pojechała do Seacourt Head odwiedzić swoją kuzynkę. Kiedy państwo byliście w Londynie, robiła tak kilka razy. Nie widziałam w tym niczego złego. Mam nadzieję, że nie zirytowali się państwo.

Charles odwrócił się natychmiast do Daviny.

- Czy pozwoliłaś Charley jechać samej tak daleko?

- Nie. W rzeczy samej... - Urwała, nie chciała jeszcze bardziej pogarszać sprawy.

Charles spiorunował ją wzrokiem.

- W rzeczy samej powiedziałaś, że niczego takiego nie wolno jej robić, prawda?

Davina niechętnie przytaknęła.

- Prosiła mnie kilkakrotnie, a ja tłumaczyłam jej, że to za daleko, by jechała sama. Ale radzi sobie świetnie, Charlesie, i na pewno wzięła ze sobą stajennego.

- Och, tak, jasnie pani - wtrąciła natychmiast panna Parish - wzięła, ale może powinnam się państwu przyznać, że dziś rano mówiłam jej, iż powinna raczej zająć się lekcjami. Obawiam się, że była nieco zuchwała, powiedziała, że państwo niedługo wrócą do domu i może to być ostatnia okazja.

- No, to już jest szczyt wszystkiego! - wykrzyknął Charles. - Żeby guwernantka pozwalała dziecku na zuchwałość w stosunku do siebie. Chociaż to pewnie twoja robota, Daintry. O ile sobie przypominam, sama byłaś dosyć bezczelną smarkulą.

- Może i byłam, Charlesie - odparła Daintry - ale jeżeli Charley wymyka wam się spod kontroli, winić za to możesz tylko siebie i Davinę. Oboje nieczęsto zwracaliście na nią uwagę.

- To się teraz zmieni - zapowiedział surowo jej brat. Odwrócił się do kamerdynera, który wszedł za nimi do domu, i warknął: - Kiedy moja córka wróci, proszę ją natychmiast do mnie przysłać.

Daintry poczuła się zaskoczona zmianą w zachowaniu brata, ale nie mogła się z niej nie cieszyć, ponieważ od dawna żywiła głębokie przekonanie, że Charley zasługuje na więcej uwagi ze strony obojga rodziców. Dziewczynka pojawiła dopiero przy obiedzie, który to posiłek podawano teraz o piątej; wbiegła do pokoju w chwili, kiedy rodzina właśnie zasiadała do stołu. Miała wciąż na sobie amazonkę, ale kapelusza się pozbyła, więc włosy rozsypały jej się na wietrze i spletały.

- Dobry Boże, Charlotto! - wykrzyknęła lady St. Merryn - wyglądasz, jakby cię przeciągnięto przez krzaki. Idź i natychmiast doprowadź się do porządku.

- Przepraszam, babciu, już idę - powiedziała Charley i do dała wesoło: - Kiedy dowiedziałam się, że ciocia Susan i wuj Geoffrey przyjechali, miałam nadzieję, że wszyscy niedługo wrócicie, ale nikt mi nie powiedział, że będzie to dziś! Co mi przywieźliście?

- Dzisiaj nie będzie żadnych prezentów, moja córko - odezwał się surowo Charles. - Pójdiesz prosto do łóżka i nie chcę słyszeć żadnych impertynencji, bo dostaniesz lanie.

Kuzynka Ethelinda aż krzyknęła; Charley szeroko otworzyła buzię i patrzyła na ojca zaszokowana.

- Ale...

- Idź - polecił jej Charles i pokazał na drzwi.

Charley zerknęła na Daintry, ale z tej strony nie należało spodziewać się pomocy, bo ciotka również była z niej niezadowolona, tak więc dziewczynka wybiegła bez słowa z pokoju.

Charles rzucił spojrzenie na ojca, ale St. Merryn nakładł sobie właśnie jedzenie z półmiska, który podawał mu lokaj, i nie zwracał na niego uwagi. Przeniósł więc wzrok na Daintry, potem na kolejnych biesiadników, wreszcie spojrzął na lady Ophelię i powiedział z powagą:

- Mam nadzieję, że nikt z was nie powie, że byłem dla tego bachora za surowy.

Ani lady St. Merryn, ani kuzynka Ethelinda słowem się nie odezwały, ale lady Ophelia, która właśnie podziękowała za zielony groszek z cebulką, stwierdziła:

- Wręcz przeciwnie, drogi chłopcze. Przekonana jestem, że może to na nią wpłynąć tylko jak najlepiej. Poproszę trochę tej szynki, Jago.

- Odbyliśmy z Charlesem długą rozmowę po drodze do domu - odezwała się nagle Davina, trochę ni przypiął, ni przyłatał.

- I nic w tym dziwnego, skoro siedzieliście zamknięci we dwoje przez ponad tydzień w powozie - skomentował z pełnymi ustami St. Merryn.

Davina spoglądała na Charlesa, który wydawał się tego nie zauważać, wreszcie powiedziała:

- Charles podjął pewną decyzję, prawda, kochanie?

- Co to powiadasz? - Charles napotkał groźne spojrzenie żony i dodał pospiesznie: - Och, tak, oczywiście. - Spojrzął znowu na ojca. - Ja... to jest Davina i ja postanowiliśmy wynająć sobie na lato dom w Plymouth, sir. Pozwolę sobie powiedzieć, że będzie to coś w sam raz dla nas.

- Będzie to coś cholernie drogiego, i tyle - warknął St. Merryn.

- No, jeżeli nie podoba się ojcu ten pomysł...

Tu wtrąciła się szybko Davina:

- To nie będzie aż takie kosztowne, papo St. Merryn, a zrobi nam to z Charlesem bardzo dobrze... i Charlotte też, oczywiście... bardzo dobrze... jak trochę czasu razem... to jest...

Daintry pospiesznie przerwała bratowej, nie czekając, aż ta zapłacze się bez reszty.

- Ależ to będzie cudownie dla nich, papo! Pomyśl tylko, jak bardzo Charley się ucieszy, że zamieszkają na kilka miesięcy tuż nad morzem, no i będą dużo bliżej domu, niż gdyby mieli znowu jechać do Brighton. Właściwie powinno im to wypaść sporo taniej.

- Na moją duszę, może i masz rację - mruknął St. Merryn po krótkim zastanowieniu.

Jak tylko panie zostawiły panów, pozwalając im rozkoszować się portwajnem, Daintry udała się na górę. Chciała porozmawiać z Charley, zanim dziewczynka zaśnie. Wcale się nie zdziwiła, że mała nie ma jeszcze zamiaru spać, a nawet podejrzewała, że wskoczyła pod kołdrę dopiero wtedy, kiedy usłyszała, że ciotka naciska klamkę.

Daintry podkręcała knot w lampie na stoliku, aż pokój wypełniła delikatna złocista poświata, podeszła do niskiej kozetki, potem powiedziała cicho:

- Trochę się na tobie zawiodłam.

Charley usiadła, wepchnęła sobie poduszkę pod plecy i powiedziała nieskruszona:

- Bałam się, że tak będzie, ale musiałam pojechać, bo Melissa czuła się samotna i ja też. Jak tylko wyjechaliście, wysłałam jej przez Teddy'ego list, a ona odpisała mi przez jego kuzyna, Todda, który pracuje w Seacourt Head, ale listy nam nie wystarczały, więc któregoś dnia po prostu tam pojechałam. A potem znowu, i znowu. Ale zawsze jeździł ze mną Teddy, więc nic mi nie groziło.

Daintry przypomniała sobie, jak to bandyci napadli po-

wóz z nią i lady Ophelią, a także kilka incydentów, wywołanych przez zbuntowanych górników.

- Nie wolno ci już więcej tego robić, kochanie. Czy Melissa cieszyła się, że rodzice wrócili do domu?

Charley skrzywiła się.

- Nie wiem, nie udało mi się z nią zobaczyć. Czekałam i czekałam w naszym umówionym miejscu, bo równie dobrze mogę cioci od razu się przyznać, że doszliśmy od samego początku do wniosku, że lepiej będzie, jeżeli wuj Geoffrey nigdy się nie dowie o naszych spotkaniach. Melissa zawsze w taki czy inny sposób usprawiedliwiała się przed swoją guwernantką, a tak naprawdę to jeździłyśmy po tamtej kamienistej plaży i zwiedzałyśmy jaskinię przemytników. - Uśmiechnęła się. - Nigdy jeszcze żadnego nie spotkałyśmy, chodzi mi o przemytnika, i pewnie nigdy nie spotkamy.

- Ale dziś Melissa nie przyjechała na spotkanie z tobą.

- Nie, a ja czekałam i czekałam, aż w końcu pojechałam do Seacourt Head. Zanim zbliżyłam się na tyle, żeby mnie mogli zobaczyć, zauważyłam, że ktoś przyjechał, bo na podjeździe stały powozy, a naokoło krzątała się służba. Kazałam Teddy'emu dowiedzieć się, co się dzieje, a on wrócił i powiedział mi, że są znowu w domu. - Ściągnęła brwi i popatrzyła ponuro na Daintry. - Nawet ta lady Catherine też z nimi wróciła. Melissa jej nie lubi. Dlaczego ona wróciła?

- Pewnie została o to poproszona - powiedziała Daintry, ale serce w niej zamarło. - Może uda nam się zaprosić Melissę do nas na tydzień czy dwa.

- Wuj Geoffrey mówi, że jej nie puści.

Daintry przypomniała sobie, że coś bardzo podobnego powiedział w Londynie, więc stwierdziła tylko:

- No cóż, może zmieni zdanie. Ja w każdym razie dowiedziałam się o czymś, co cię na pewno zdziwi. Twoja mama i papa postanowili wziąć na lato dom w Plymouth i wcale nie jechać w tym roku do Brighton. Masz teraz coś miłego, o czym możesz sobie pomyśleć. Ale zważ, żadnych więcej przejażdżek do Seacourt Head.

- Dobrze - szepnęła z westchnieniem Charley, zsunęła

się niżej na łóżku, a Daintry ją okryła. - Dobranoc, ciociu Daintry.

- Dobranoc, kochanie. - Daintry ucałowała ją, przykręciła lampę i przystanęła przy drzwiach, by dodać: - Miłych snów.

- Cioci też - zamruczała Charley.

Ale kiedy Daintry znalazła się sama w sypialni, przekonała się, że sen nie nadchodzi. Było oczywiste, że Charles i Davina cieszą się na swój własny dom, nawet na jedno lato. Rozumiała, że Davina ma zamiar nakłaniać męża, by był jeszcze bardziej stanowczy. Mogło to tylko oznaczać, że Charles w coraz większym stopniu będzie panem we własnym domu, więc kiedy przyłapała się na tym, że im zazdrości, zaczęła zastanawiać się, dlaczego, na Boga, tak było.

Po drodze St. Merryn wielokrotnie powtarzał, że jak tylko wróca, należy zająć się przygotowaniami do jej ślubu. Widać było, że jest zdecydowany wydać ją za mąż, zanim cokolwiek zdoła mu w tym przeszkodzić, a kiedy raz od niechcienia nadmieniła, że nie ma chyba powodu do aż takiego pośpiechu, omal nie pękł ze złości.

Tak czy owak nie ma na co czekać, pomyślała, bo ze zwlekania nic nie wyniknie. Penthorpe upierał się, że chce ją poślubić, był miły i zabawny. Poza tym wcale nie była przekonana, czy małżeństwo z kimś innym okazałoby się łatwiejsze do zniesienia. Mimo to kiedy usiłowała sobie wyobrazić, jak siedzi przy śniadaniowym stole na przeciw Penthorpe'a, na jego miejscu zawsze pojawiała się postać Deverilla.

Gideonowi nie od razu udało się opuścić Londyn, ponieważ przed wyjazdem musiał omówić z ojcem sprawę urzędową; kiedy już jednak ruszył, nie ociągał się, bo nie mógł się doczekać, kiedy podejmie swe nowe obowiązki. Po kilku dniach podróży nacieszyć się nie mógł, iż widzi znów Deverill Court.

Dom, jak zawsze, przygotowany był na przyjazd pana z bardzo prostego powodu: mianowicie służba nigdy nie wiedziała, kiedy ma się spodziewać przyjazdu Jervaulxa. Markiz nieczęsto raczył o tym uprzedzać i w konsekwencji

Gideon zaraz po przyjeździe mógł zasiąść do wspianałej kolarcji, a następnego dnia z miejsca zabrać się do pracy.

Najpierw posłał po Bartona, by wyjaśnić mu, że na polecenie ojca przejmuje kontrolę nad majątkiem.

- Najwyższy już czas, sir, jeżeli mogę sobie pozwolić na takie słowa - oznajmił rządcą. - Mam tutaj pod ręką księgi. Była chyba jakaś scysja pomiędzy Sandersonami spod Mulberry Mines a tą grupą dzierżawców ze wschodniego skraju wrzosowiska. Mam tu spisane wszystko ze szczegółami, bo zamierzałem przesłać panu markizowi wiadomość. Pozwoli pan, że przejrzę tylko, co napisałem. Zalecałbym, co następuje. - Gideon, słuchając wyjaśnień Bartona, poczuł, jak gwałtownie rośnie jego szacunek dla ojca, który potrafił równocześnie kierować mnóstwem spraw. Sporo czasu minęło, zanim mógł znowu poruszyć sprawę dokumentów i innych akt w archiwum.

- Za poprzednim razem, Barton, uporządkowałem wszystko, co wiązało się z okresem od śmierci mojego pradziadka do małżeństwa dziadka, ale ponieważ sam nie wiedziałem, czego szukam, nie znalazłem niczego istotnego. Trzeba jeszcze wiele papierów przejrzeć. Przekonałem się natomiast o jednym, a mianowicie że chyba tylko mój ojciec układał papiery w jakim takim porządku. Dziadek i wszyscy przed nim po prostu na chybił trafił wrzucali je do pudeł i na półki.

- W istocie tak było, sir - zgodził się z nim Barton - chociaż oni również postępowali na swój sposób metodycznie, aczkolwiek trudno to zauważyć.

- No cóż, przypuszczam, że jeżeli panował tam jakiś porządek, to zniweczyły go nasze wcześniejsze poszukiwania - powiedział Gideon z westchnieniem - ale pan z pewnością wie o tym więcej niż ja, więc chciałbym, by poszedł pan z nami i pomógł te papiery przeglądać.

Podczas następnej wyprawy do archiwum miał do pomocy rządcę, *ordynansa*, kamerdynera oraz młodszego lokaja. Tym razem zaczęli od samego początku i szybko posuwali się do przodu, głównie dzięki temu, że za pierwszym razem posortowali ogólnie wszystkie papiery. Rozdzielili między

siebie robotę, a ponieważ Gideon nadal był przekonany, że potrzebne mu materiały muszą znaleźć się w latach poprzedzających małżeństwo dziadka, zaczął właśnie od nich, zostawiając okres wcześniejszy Kibworthowi i Shaltonowi, a lata późniejsze Bartonowi i lokajowi.

Na drugi dzień po południu Gideon czytał właśnie sumiennie jakiś dokument i był tak głęboko skoncentrowany, że aż podskoczył, kiedy Barton, stając obok niego, odchrząknął i powiedział:

- Przepraszam, wielmożny panie.

- O co chodzi, Barton?

- Pomyślałem, że może będzie pan chciał rzucić na to okiem, sir. - Rządca trzymał w ręce gruby plik kartek i Gideon nabrał nadziei, że może ktoś w końcu znalazł coś ważnego.

Wziął pakunek, położył go przed sobą i zorientował się, co widzi, jeszcze zanim rozwiązał sznurek.

- Powieść babki. - Uśmiechnął się. - Nie zdawałem sobie sprawy, że tu jest.

- I nie byłoby jej - powiedział Barton - gdyby stary lord nie miał tego zwyczaju, na który właśnie się pan skarżał, sir. Po prostu wrzucono ją do pudła razem z całą kolekcją jego osobistych papierów, które, jak się zdaje, przeglądaliście panowie już wcześniej.

- Wydaje mi się, że tą partią zajmował się Shalton - mruknął Gideon, rzucając spojrzenie na pudło. - Kazałem mu uporządkować papiery w sposób, który wyda mu się właściwy, ale nie wydaje mi się, żeby coś takiego należało trzymać z dokumentami i aktami. Proszę to uprzejmie odłożyć gdzieś na bok. Albo nie, proszę poczekać. - Po drodze z Londynu zastanawiał się, w jaki sposób mógłby pogodzić się z Daintry, i przyszło mu teraz na myśl, że może rozbawi ją czytanie powieści autorstwa szlachetnie urodzonej damy z zeszłego wieku. Nie sądził, by miała wyrzecć na niej wielkie wrażenie, ale przyświecała mu nadzieja, że doceni i źródło, i autorkę. - Proszę ją zapakować, Barton. Znam kogoś, kto może chętnie rzucić na nią okiem.

Clemons przekazał Daintry owiniętą w szary papier paczkę tego samego popołudnia, kiedy przyszła z Charley do stajni, żeby złożyć wizytę Victorowi i Obłokowi.

- A cóż to może być, Clemons? - zapytała zdumiona.

Stajenny pospiesznie rozejrzał się i powiedział:

- Ten sam człowiek, co mi przyniósł tamten list, przyniósł dziś to, panienko Daintry.

Daintry obejrzała się na Charley, a widząc, że dziewczynka z radością rozprawia o zaletach i wadach Victora z Teddym i jego kuzynem Toddem, szybko odsunęła się, położyła paczkę na ławie i rozwiązała sznurek. Rozchyliła papier tylko na tyle, by przeczytać pierwszą ze stron. *Przystojny książę, autorka: Harriet Slocum, lady Thomasowa Deverill.* Ostatnie trzy słowa zostały dopisane nieco odmiennym piśmem niż cała reszta. Zauważyła, że na samym wierzchu ktoś położył złożoną kartkę, wyjęła ją i rozwinęła.

Deverill pisał:

Nie mam zielonego pojęcia, co innego mógłbym zrobić z zawartością tej paczki, a chociaż wątpię, by dało się ją porównać z pracami godnej podziwu panny Haywood, przesyłam powieść w nadziei, że panią rozbawi. Może, jeżeli się pani chociaż lekko uśmiechnie, serce pani skłonne będzie przebaczyć temu, komu zależy tylko na pani pomyślności. List podpisał literą „D”.

Daintry starannie zawinęła z powrotem paczkę, zawiązała sznurek i zawołała do Charley, że czas już wracać do domu. Dziewczynka przyszła, nie ociągając się, i chociaż to graniczyło z cudem, nie okazywała zaciekawienia niesioną przez ciotkę paczką. Wydawała się czymś zaabsorbowana, ale kiedy Daintry zapytała, czy coś się stało, odpowiedziała:

- Och, nie, wcale nie. Już chyba pora na kolację, nie uważa ciocia?

Daintry aż do wieczora nie miała czasu rzucić okiem na rękopis, bo lady St. Merryn uparła się, by córka od razu po kolacji pomogła jej ułożyć listę osób, które należało zaprosić na wesele, a zanim się na dobre do tego zabrały, wymy-

śliła jeszcze wiele obowiązków, które należało wypełnić, z nim będzie można ustalić datę ślubu.

- I pomyśleć, że twój ojciec chce, bym uporała się z tym wszystkim do przyszłego miesiąca - mówiła. - To niewykonalne, chyba żebyśmy zdecydowali się na najędźniejsze wesele. Za wiele tego na moje nerwy!

- Mógłby ktoś pomyśleć, że twoja mama sądzi - rzuciła lady Ophelia, kiedy lady St. Merryn poszła, jak zwykle, wcześniej się położyć - iż będzie musiała osobiście dopilnować każdego drobiazgu. - Odłożyła robótkę, wyjęła z torebki dziennik i przeszła do biurka.

Widząc, że cioteczna babka jest zajęta, Daintry przeprosiła ją i udała się do sypialni, odwinęła rękopis i położyła go na stoliku pod oknem, a potem przyniosła wieloramienny świecznik. Zamierzała przeczytać tylko jeden czy dwa rozdziały, bo pamiętała opinię ciotecznej babki o umiejętnościach autorki; przekonała się też, że było dokładnie tak, jak mówiła lady Ophelia. Tekst był nie tylko nieudolny, ale na dodatek upstrzony zawiłymi, drobnymi komentarzami, które nie miały chyba nic wspólnego z powoli rysującą się treścią. Gdyby nie to, że autorką była babka Deverilla, przerwałaby czytanie po półgodzinie, ale ponieważ było to dzieło Harriet Deverill, dygresje narratora zaczęły ją bawić, jako że pozwalały na niezwykły wgląd w osobowość autorki. Czytała więc dalej.

Harriet musiała mieć bardzo dobrą opinię o sobie samej. Szybko stało się jasne, że lady Fanny, bohaterka „Przystojnego księcia”, przedstawia autorkę widzianą własnymi oczyma, chociaż bez wątpienia nigdy Harriet nie otaczało tylu niegodziwców co nieszczęsną lady Fanny.

Daintry zapaliła następne świece, kiedy pierwsze się dopaliły, i czytała dalej. Wpadła jej w oko niedbała uwaga, że jeden z bohaterów jest do pewnego stopnia jakobitą, i zaczęła czytać bardziej uważnie. W piętnaście minut później tekst przykuł jej uwagę, a podniecenie walczyło o lepsze z konsternacją. Niebo szarzało już w pierwszym świetle brzasku, kiedy przewróciła ostatnią stronę i odchyliła się do tyłu, patrząc niewidzącymi oczami na nieporządną stosik

kartek, zastanawiając się, czy ktoś będzie w stanie uwierzyć, że klucz do waśni Tarrantów i Deverillów znalazła w tak mało prawdopodobnym miejscu.

22

Daintry długo spała następnego ranka, ale jak tylko ubrała się i zjadła, ruszyła na poszukiwania St. Merryna, słowa nikomu nie mówiąc o powieści Harriet Deverill. Dowiedziawszy się, że ojciec konferuje na osobności z rządcą, zmuszona była poskromić swą niecierpliwą duszę jeszcze na półtorej godziny, ale udało jej się w końcu się dopaść ojca w bibliotece i z miejsca przeszła do sedna sprawy.

- Papo, odkryłam, od czego zaczęła się waśń, i wszystko to jest jedna wielka bzdura.

- Co takiego? - St. Merryn podniósł wzrok znad papierów, które właśnie czytał, i popatrzył na córkę znad okularów. - Podczas mojego pobytu w Londynie wyszło na jaw całe mnóstwo spraw, którymi należy się teraz zająć. Co ty paplesz?

- Mówię o waśni, sir, o waśni z Deverillami. Wiem, co ją wywołało. Winna była jedna tylko osoba, a ona od dawna już nie żyje.

- Ona? O czymże ty mówisz, Daintry? Słowo daję, chciałbym, żebyś powiedziała *coś* z sensem. Skąd możesz coś o tym wiedzieć?

- Niebawem ojcu wyjaśnię. Cała rzecz poczęła się w umyśle babki Deverilla, sir. Była nieprzytomnie zazdrosna o ciocię Ophelię; widziała w niej swoją główną rywalkę i jedyną przeszkodę, która nie pozwalała Tomowi Deverillowi się zdeklarować. Nie wierzyła, że ciocia Ophelia nie życzy sobie wychodzić za mąż, ponieważ rzeczywiście takie nastawienie było w tamtych czasach dla większości ludzi czymś obcym. Podobnie jak i teraz - dodała z wymownym spojrzeniem.

- Mam nadzieję, że nie masz zamiaru poniewczasie infor-

mować mnie, iż nie pragniesz wychodzić za męża, bo nie chcę tego słyszeć - stwierdził St. Merryn z rozdrażnieniem. - Ale co mają wspólnego z całą sprawą opinie Harriet na temat Ophelii? Harriet wyszła w końcu za Deverilla, prawda?

- Tak, ale dopiero w kilka lat po tym, jak poróżniła dwóch dobrych przyjaciół. Nie jestem pewna, jak przedstawiła tę sprawę Tomowi Deverillowi, ale ojciec sam mówi mi, że podejrzewano go o powiązania z jakobitami; udało jej się, psim chyba śwędem, przekonać go, że dziadek groził, iż zdemaskuje przyjaciela, jeżeli ten nie zostawi mu wolnej ręki w staraniach o serce cioci Ophelii. Widzi ojciec, dziadek pożądał jej majątku, ale Tom Deverill naprawdę ciocię kochał i wolał zrezygnować z niej, niż wciągać ją w skandal, który, jak przekonała go Harriet, dziadek na pewno wywoła, jeżeli rywal nie ustąpi. Odbył się nawet pojedynek, sir, chociaż oficjalnie podano, że panowie walczyli o jakąś karcianą rozgrywkę czy coś takiego, ponieważ oczywiście dżentelmen nigdy nie przyznawał się, że walczy przez damę. Trzeba przecież było przestrzegać dobrych manier i zasad przyzwoitego zachowania, tak więc Tom Deverill nigdy nie zapytał dziadka wprost, jak miały się sprawy z tym potencjalnym ujawnianiem jego powiązań, a Harriet doskonale zdawała sobie sprawę, że tego nie zrobi.

- To jakieś piramidalne bzdury! - prychnął St. Merryn. - Mój ojciec w życiu by czegoś takiego nie zrobił i Deverill musiał o tym wiedzieć. A niech mnie, przecież byli najlepszymi przyjaciółmi!

- Tak, sir, ale proszę tylko pomyśleć, jak bardzo mógł się Tom Deverill poczuć rozczarowany, że jego przyjaciela stać było na wypowiedzenie takiej groźby. Pewnie później jeszcze kilkakrotnie ze sobą rozmawiali, ale jeżeli każdy miał przy tym co innego na myśli, a łatwo mogło się tak zdarzyć, nie jest wykluczone, że Deverill nigdy nie dowiedział się, iż dziadek nic o żadnych pogroźkach nie wie. Natomiast co do jednego Tom Deverill miał pewność, a mianowicie że dziadek z całego serca pragnie ożenić się z ciocią Ophelią dla jej majątku. Był przekonany, że dziadek jej nie kocha, a zatem

wydawało mu się całkiem prawdopodobne, że z chciwości zdecydował się zagrozić skandalem, który równie fatalnie odbiłyby się na niej, jak na Tomie Deverillu. Tak więc Tom Deverill zachował się w tej sprawie szlachetnie i moim zdaniem raczej głupio. Zrezygnował z cioci, a całą swoją wściekłość przelał na całą rodzinę Tarrantów. Uchylił się od jakichkolwiek z nią kontaktów, a swoje nastawienie przekazał synowi, który teraz usiłuje je przekazać swojemu synowi. Musi ojciec z tym skończyć, to jest nie w porządku.

- Chyba ci się króliki w głowie załęgły, dziewczyno. Skąd ty wzięłaś taki absurdalny pomysł?

- Babka Deverilla napisała powieść, sir - odpowiedziała Daintry, widząc, że nie czas już na wykrety. - Nigdy jej nie wydano, bo była bardzo źle napisana, ale jeżeli założyć, że w bohaterkę wcieliła się sama Harriet Deverill, można zrozumieć, w jaki sposób przekonała Toma Deverilla, iż dziadek go zdradzi, jeżeli rywal nie zrezygnuje z wszelkich roszczeń do ręki cioci Ophelii i nie zostawi dziadkowi wolnej drogi. Harriet doprowadziła do tego, że Tom uwierzył, iż jego najlepszy przyjaciel jest jego najgorszym wrogiem.

- Co? Słowo daję, dziewczyno, powieść? Jakim cudem jedna głupia kobieta mogła powołać do życia tę waśń? To musi być jakaś bzdura.

- Sam mi ojciec powiedział, że ludzie podejrzewali Toma Deverilla o to, iż był jakobitą. Gdyby takie oskarżenie przedłożono władzom, ryzykował utratą Deverill Court, czyż nie?

- Och, może to i prawda - przyznał St. Merryn - ale co do spisku, który miał rzucić Ophelię w ramiona dziadka, to jakieś brednie, przecież do niczego takiego nie doszło.

- Nie, sir, ale mogło dojść, gdyby nie to, że ciocia tak zdecydowanie postanowiła nie wychodzić za mąż. W każdym razie rozumie chyba ojciec, że trzeba teraz z tym skończyć.

- Słowo daję, dziewczyno, czemu miałbym coś takiego zrobić?

- Przecież u podstaw waśni leżało kłamstwo, sir. Musi ojciec po prostu porozmawiać z Jervaulxem.

- Phi, nonsens, nawet jeżeli w tej twojej paplaninie jest ziar-

no prawdy, nie myśmy całą sprawę zaczęli. Zaczął ją Deverill, więc tylko Deverill może ją zakończyć, ale jeżeli myślisz, że uda ci się skłonić tego Jervaulx o sztywnym karku, by za cokolwiek przeproszał, a zwłaszcza za coś, co wyciągnęłaś z jakiegoś zatraconego romantycznego powieściidla, to masz źle w głowie, dziewczyno. Nie bardziej teraz będzie cię słuchał niż wtedy, kiedy się tak wygłupiłaś na jego sali sądowej.

- Ale gdyby ojciec wybrał się do niego i mu to wytłumaczył, na pewno...

- Słowo daję, i co jeszcze? Krokiem się nie ruszę. Czy nie powiedziałem ci właśnie, że nie ja powinienem wyciągać rękę? Oni zaczęli, niech oni skończą.

- No to ja porozmawiam z Deverillem.

- Niczego takiego nie zrobisz. W życiu nie słyszałem o czymś równie niestosownym! Masz wyjść za Penthorpe'a, moja panno, i z nikim innym się nie będziesz umawiała, dopóki cię nie zaobrączkuje. Co będziesz robiła później, to już sprawa Penthorpe'a, nie moja.

Daintry nie poddała się bez walki, ale ojciec szybko się rozżłościł, a kiedy kazał jej opuścić pokój, poszła szukać pociechy u ciotecznej babki. Lady Ophelia wysłuchiwała Daintry i zgodziła się, że dziewczyna zinterpretowała powieść w najbardziej sensowny sposób.

- Ale kto by pomyślał, że Harriet ma w sobie tyle złości? - mruzczała. - Chociaż pewnie wielkość mojej fortuny przydawała wiarygodności każdej plotce, którą szeptała Tomowi do ucha.

- Papa powiedział, że nie wierzy w ani jedno słowo.

- Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby miały z tym coś wspólnego pieniądze - powiedziała lady Ophelia, a oczy jej wesoło zabłyśły. - Nie będzie miał nic przeciw temu, żeby przeszły na Penthorpe'a, ale ze swoją wrogością zżył się już tak bardzo, że nie sądzę, by potrafił bez trudu się jej pozbyć. A co ty zamierzasz w tej sprawie zrobić?

- Nie mam zielonego pojęcia - westchnęła Daintry. - Gdyby zakończenie waśni mogło wpłynąć na moją przyszłość, łatwiej byłoby mi podjąć decyzję, ale w najmniej-

szym stopniu na nią nie wpłynie. Papa upiera się, że mam wyjść za Penthorpe'a, a ja dałam mu słowo.

- Nie chcesz pozostać w panińskim stanie - zauważyła lady Ophelia łagodnie. - To już od dawna jest dla mnie jasne.

- Czy tak, ciociu? - zapytała Daintry i dodała załośnie: - Dla mnie stało się to jasne dopiero ostatnio. Gdybym była bardziej podobna do cioci, to może zadowolilibym się paniństwem, ale doszłam do przekonania, że wyjątkowo się do niego nie nadaję. Wiem, że musi czuć się ciocia mną bardzo rozczarowana...

- Miłosierne nieba, dziecko, dlaczego miałabym być rozczarowana? - obruszyła się lady Ophelia.

- Jeżeli wyjdę za męża, zlekceważę nauki cioci.

- Absolutnie nie.

- Ale ciocia zawsze chciała, żebym była niezależną kobietą!

- I nadal tego chcę - stwierdziła rzeczowo lady Ophelia - ale co ty właściwie rozumiesz pod pojęciem człowieka niezależnego, moja droga?

- Oczywiście kogoś, kto żyje sam, potrafi o siebie zadbać i jest z tego stanu rzeczy całkiem zadowolony. A cóż innego mógłby taki zwrot oznaczać?

- Czy ja żyję sama?

- Nie, ale mogłaby ciocia, gdyby tylko chciała. Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości.

- Ja również nie, ale chociaż zdecydowałam się zamieszkać pod dachem twego ojca, jestem mimo to niezależna.

- Ale ja nie chcę nadal mieszkać pod dachem papy. Równie gorąco jak Davina pragnę mieć swoje własne ognisko domowe. Chcę być panią dla siebie, podejmować własne decyzje i kontrolować własne życie, ale skoro żadne z tych pragnień nie może się spełnić, jeżeli nie złamię danego papie słowa i nie uprę się, że zamieszkam sama lub z jakąś damą do towarzystwa, muszę pogodzić się z tym, co osiągalne, a to oznacza małżeństwo z Penthorpe'em. Przynajmniej jako jego żona będę panią we własnym domu, a nie sądzę, by wicehrabia miał być trudnym mężem, prawda, ciociu?

Lady Ophelia, zamiast od razu odpowiedzieć, długo i bawczo przyglądała się Daintry. Potem zapytała:

- Czy kochasz Penthorpe'a, moja droga?

- Doszłam do wniosku - odpowiedziała cicho Daintry - że głębokie przywiązanie do mężczyzny może tylko prowadzić do rozterki, a to nie jest dobry sposób na życie i nie zapewnia najmniejszej nawet niezależności. Penthorpe jest życzliwy i mówi, że pragnie mnie poślubić. Nie miałabym sumienia powiedzieć nic więcej, bo nie mogę się z tych zaręczyn wycofać, nawet gdybym tego pragnęła, a zapewniam ciocię, że tak nie jest.

- Niezależna kobieta, moja droga, to taka, która podejmuje z własnej woli decyzje i znajduje się w tej luksusowej sytuacji, że może dokonać wyboru, który ją uszczęśliwi. Nie oznacza to, że lekce sobie waży wymagania czy życzenia ludzi, którzy są jej drodzy, albo że ignoruje czy to własny honor, czy najgłębsze uczucia. Bierze takie sprawy pod rozwagę. Wyraziłaś wcześniej pogląd, że mogę czuć się tobą rozczarowana. Powiem ci teraz prosto w oczy, że możesz mnie rozczarować w jeden jedyny sposób: decydując się na to, co stoi na drugim miejscu, kiedy w zasięgu ręki masz prawdziwe szczęście.

Daintry z trudem przełknęła ślinę.

- Ja... ja nie wiem, o czym ciocia mówi.

- Nie wiesz? Więc może powinnaś się nad tą sprawą trochę bardziej sumiennie zastanowić. Muszę iść się przebrać. Dziś wieczorem przychodzi do nas na kolację Lionel Werring, a zaprosił mnie wcześniej na przejażdżkę do Bodmin i z powrotem, żebym mogła sobie wybrać książkę z bibliotecznej listy.

Daintry poczuła nagle, że musi wydostać się z domu; przesłała do stajen polecenie, by osiodłano jej Obłoka, poszła przebrać się do sypialni i była już w połowie schodów, kiedy przypomniała sobie o Charley. Uświadomiwszy sobie, że dziewczynce będzie przykro, jeżeli dowie się, że ciotka wyjechała bez niej, wróciła na górę.

Kiedy weszła do pokoju szkolnego, panna Parish podniosła oczy znad atlasu, któremu się uważnie przyglądała, i odezwała się "wesoło:

- Dzień dobry, lady Daintry. Przyszła do ciebie z wizytą ciocia, Charlotta.

Charley natychmiast podniosła się z ławki przy stoliku, przy którym nad czymś pracowała, a Daintry powiedziała:

- Mam *ochotę* na galop, więc przyszłam się dowiedzieć, czy chciałabyś przejechać się ze mną.

- Och, tak!

Panna Parish odkaslnęła, zakrywszy dłonią usta, i wtrąciła przepaszająco:

- Obawiam się, że nie dzisiaj, milady. Charlotta ma troszkę zaległości w pracy i musi nadrobić opuszczone lekcje.

Charley skrzywiła się, opadła z powrotem na ławkę przy długim stole i powiedziała ze złością:

- Przyszedł tu dziś rano papa! Czy da ciocia wiarę? Chyba pierwszy raz pojawił się w pokoju szkolnym i musiało się to wydarzyć akurat dzisiaj. Oczywiście nie ma go już, bo pojechali z mamą do Plymouth szukać domu na lato, ale zanim wyjechali, przyszedł się ze mną zobaczyć. A dlaczego? Tylko dlatego, żeby zniweczyć moje nadzieje, ot co.

Daintry roześmiała się.

- Winę możesz przypisać wyłącznie sobie, kochanie, ale jeżeli dobrze pamiętam, wiele razy skarżyłaś się, że ojciec nie zwraca na ciebie uwagi. Uważam, że powinnaś być mu wdzięczna za jego dbałość.

- Nie za tego rodzaju dbałość - mruknęła Charley. - Dużo bardziej wolałabym, gdyby mnie zabrał do Plymouth, żebym pomogła im szukać domu, ale oczywiście nie było powodu, żeby o czymś takim pomyślał, a kiedy mu powiedziałam, że chciałabym pojechać, stwierdził tylko, że takie sprawy nie powinny mnie interesować. No i muszę tu siedzieć.

- Jeżeli uda ci się dzisiaj nadgonić obowiązki, to będziemy mogły razem pojechać jutro - obiecała Daintry.

Wyszła od razu, zadowolona, że będzie miała trochę czasu dla siebie, a kiedy wróciła z przejażdżki, czuła się odświeżona, ale wciąż jeszcze nie podjęła możliwej do zaakceptowania decyzji. W stajni spotkała Charley, która karmiła marchewką Victora i rozmawiała z chłopcami stajennymi.

Dowiedziała się, że już niemal pora na kolację, przypomniała sobie, że sir Lionel Werring miał jeść razem z nimi i pospieszyła do domu, by przed posiłkiem zmienić suknię. Dopiero kiedy się wieczorem położyła, została sam na sam ze swymi myślami, ale chociaż miała zamiar je sobie uporządkować, była na to zbyt zmęczona i wkrótce mocno zasnęła.

Śniło jej się, że ktoś w ciemnościach dotyka jej policzka, łóżko ugięło się pod jego ciężarem, a jej aż dech zaparło z przerażenia na wspomnienie ataku Seacourta. W panice nic w pierwszej chwili nie widziała, nie mogła głosu z siebie wydobyć, ale groza minęła niemal równie szybko, jak przyszła.

Ten ktoś wargi miał delikatne, czułe, smakował jej usta, policzki i nawet powieki, potem poczuła, jak dłoń z ramienia przesunęła się na pierś. Nie czuła lęku, tylko tęsknotę, i uniosła rękę, by pieścić jego ciało.

Był nagi. Skórę miał gładką i ciepłą. W chwili gdy sobie to uświadomiła, dotknął palcami jej piersi i okazało się, że ona też jest naga. W sutkach ją mrowiło, a jego dłoń pieszczotliwie przesunęła się w dół i oto dotykał jej tam, gdzie, jak sądziła tylko jakiś łajdak mógłby jej dotknąć. Zamiast jednak się wzbraniać, uniosła biodra na spotkanie jego palców, a po całym ciele rozpląnęło się ciepło, jakiego jeszcze nigdy wcześniej nie zaznała.

Dłonie zatrzymały się, a wtedy ciało Daintry poruszyło się jakby z własnej woli i ręce mężczyzny znowu zaczęły ją pieścić. A kiedy drugi raz przerwały pieszczoty, sarna je zachęcała i nagle, nieopanowanie zaciekawiona, zaczęła przesuwając rękami po jego ciele, rozkoszując się twardością mięśni, szerokim torsem, płaskim brzuchem....

Obudziła się, cała spływając potem. W pokoju było ciemniej niż we śnie, wiedziała, że obudziła się bez reszty i nieodwoalnie. Wystarczyło pomyśleć o tym, co jej się śniło, a zaczynała dygotać, wciąż jeszcze czuła pieszczotliwy dotyk dłoni, a chociaż koszula okrywała ją od karku po palce u nóg, miała wrażenie, że jest naga i bezbronna. Z ust wyrывało jej się łkanie; nie rozumiała, skąd mógł się wziąć taki bezwstydnny sen. Jedno natomiast stało się dla Daintry cał-

kiem jasne: bez względu na okoliczności nie może poślubić Penthorpe'a.

Spała później niespokojnie, a kiedy się obudziła następnego ranka, w pokoju unosił się zapach gorącej czekolady, którą przyniosła Nance; żadnych więcej snów nie pamiętała, tylko ten jeden, którego - była o tym przekonana - nie zapomni nigdy.

- Już się panienka obudziła, co? - powiedziała Nance, a potem zapytała, czy panienka wymyśliła jakiś nowy sposób, który pozwala pić czekoladę na leżąco, czy też może, jak przystało na porządną chrześcijankę, usiądzie.

Na te słowa Daintry usiadła pospiesznie, a przykrycie zsunęło się, musnąwszy pod drożdże piersi, które zaczęły mrowić, jakby je znowu pieścił. Jakby nagle pojawił się w jej sypialni Deverill. Na samą myśl zapłonęły Daintry policzki, tak że kiedy brała czekoladę od Nance, ta dotknęła jej czoła.

- Czy to panienka nie ma trochę gorączki? - zapytała. - Czuje się panienka całkiem dobrze?

- O, tak - powiedziała Daintry zdumiona, że jej głos brzmi normalnie. - Trochę tu w pokoju gorąco, nie sądzisz?

- Ja tam tego nie czuję - odrzekła Nance - no ale dopiero co byłam przy oknie, na wrzosowisku hula wiatr, a na niebie zbierają się czarne chmury. Dzisiejszy ranek nie bardzo przypomina wiosnę. Czy będzie panienka od razu wstawała?

- Tak, proszę. Będzie mi potrzebny papier listowy, atrament i opłatki. Bądź tak dobra, Nance, i poślij po nie.

- Lady St. Merryn zamówiła karty ze złoconymi brzegami na zaproszenia ślubne panienki, tak mi mówiła panna Davies. Śliczne muszą być.

- Jeszcze nie przyszły, a ja chcę pisać list, a nie zaproszenie. I nic ci nie da wścibstwo, moja Nance, bo nie zamierzam powiedzieć ci nic więcej.

Ale kiedy przyniesiono to, o co prosiła, przyszło jej na myśl, że zadanie nie będzie tak proste, jak się spodziewała. Chociaż podjęła decyzję, że najlepiej postąpi, pisząc z jak największą szczerością do Penthorpe'a, nie miała pojęcia, dokąd skierować list, a nie śmiała o to pytać ojca. Mogła tylko na-

pisać do Deverilla, by poinformować go, że odkryła klucz do waśni. Ale to również wiązało się z pewnymi problemami.

Nie dość że ojciec zabronił jej zwracać się do niego w tej sprawie, to jeszcze nie potrafiła sobie wyobrazić, jak ma mu prosto w oczy powiedzieć, że za całą tę historię ponosi winę jego babka. A gdyby próbowała wypisać z powieści co istotniejsze fragmenty w taki sposób, by cała sprawa stała się dla niego jasna, a nie uraziła go, musiałaby dysponować sporą ilością czasu i umiejętności, a tych jej chwilowo brakowało.

Sprawę Penthorpe'a trzeba pozostawić w zawieszeniu, dopóki wicehrabia się u nich nie pojawi, uznała, chociaż niewątpliwie musi wyjaśnić matce i pozostałym, jakie podjęła postanowienie, zanim zaczną wypisywać zaproszenia.

I oto znalazła się w ślepej uliczce. Czuła się związana zmysłowo z Deverillem równie silnie jak para łabędzi, które kiedyś widzieli, ale przecież postanowiła, że ani ciałem, ani duszą nie odda się pod władzę mężczyzny, zwłaszcza tak przyzwyczajonego do wydawania rozkazów jak on. Po tym, co jej się śniło, nie mogła już udawać, że cokolwiek łączy ją z nieszczęsnym Penthorpe'em. Istniało więc tylko jedno rozwiązanie: musi pozostać w stanie panieńskim i z finansową pomocą lady Ophelii stworzyć sobie własny dom, jak tylko będzie na tyle dorosła, by móc to zrobić.

Wstała wreszcie i pozwoliła Nance ubrać się w skromną poranną sukienkę z muślinu w różowe paski.

- To śliczna sukienka - powiedziała Nance, kiedy nastroszyła już kokardę przy szarfie z różowego atłasu i poprawiła zwisające z tyłu wstążeczki. - Kiedy to spodziewamy się lorda Penthorpe'a?

- Może dziś - odparła Daintry z nadzieją, że jego lordowska mość nie będzie się ociągał. Im szybciej się pojawi, tym lepiej, bo im dłużej ludzie będą wierzyli w ich zaręczyny, tym trudniej będzie je zerwać.

Podczas śniadania miała cały pokój dla siebie, a kiedy poszła szukać lady Ophelii, dowiedziała się, że wielmożna pani wyjechała już z domu, by złożyć wizytę w sąsiedztwie. Daintry skończyła śniadanie dosyć późno, ale matka jesz-

cze nie zesłała na dół; była z tego zadowolona, bo nie miała ochoty, by zasypały ją wyrzuty i zalał potok łez, kiedy ujawni swoją decyzję.

Z chęcią wybrałyby się na przejażdżkę, ale Charley jeszcze jej nie szukała i nie przypominała o wczorajszej obietnicy, zdecydowała więc, że lepiej będzie zatrzymać się w domu na wypadek, gdyby przyjechał Penthorpe. Doszła również do wniosku, że nie okaże nieposłuszeństwa względem ojca, jeżeli tylko zwróci Deverillowi to, co do niego należy, tak więc, chcąc wziąć paczkę z sypialni, ruszyła na górę po schodach i spotkała pannę Parish, która właśnie miała schodzić na dół.

- Dzień dobry, jaśnie panienko - odezwała się guwernantka jak zwykle wesoło. - Nie było pani raczej dłużej, niż się... Ale musiała pani wrócić już jakiś czas temu, czyż nie, skoro zdążyła pani zmienić suknię, no i idzie pani na górę, a nie na dół; a ja prosiłam pannę Charlotte jak najwyraźniej, by przyszła od razu do pokoju szkolnego, kiedy panie wrócicie. Co za niegrzeczne dziecko! Tak nie lubię jej karcić, ale obawiam się, że tym razem to nieuniknione. Gdzie ona jest, czy zechce mi pani powiedzieć?

- Nie najlepiej panią rozumiem - odparła Daintry, chociaż obawiała się, że niestety rozumie aż za dobrze. - Czy chce pani powiedzieć, że Charley sugerowała, że jest ze mną?

- Obawiam się, że nie ma mowy o sugerowaniu. Przypomniała mi, że obiecała jej pani, iż weźmie ją dziś na przejażdżkę, i upierała się, że chciała pani wyjechać z samego rana, ponieważ wyglądało na to, że zbiera się na deszcz. No i zebrało się - dodała z westchnieniem - ale przypominam sobie, że nic takiego pani wczoraj nie mówiła, więc gdzie ona mogła się podziać?

- A ja myślałam, że jest jeszcze zajęta lekcjami i dlatego nie nagabywała mnie o przejażdżkę - mruknęła Daintry. - Skoro jednak tak nie jest, obawiam się, że musiała znowu pojechać w odwiedzinę do kuzynki, a w tym przypadku trzeba ją będzie ukarać. - Wyrzała przez okno i zobaczyła, że chmury pociemniały jeszcze bardziej. - Niedługo zacnie padać, więc chyba lepiej będzie, jak za nią pojedę. Proszę

kazać przygotować dla mnie konia, dobrze? Przebiorę się w amazonkę.

Już miała ruszyć na górę, kiedy usłyszała, że ktoś na dole wypowiada jej imię; odwróciła się i zobaczyła gospodynię z jedną z młodszych służących u boku. Dziewczyna miała oczy czerwone od płaczu.

- Tak, pani Medrose, o co chodzi?

- Proszę o wybaczenie, jaśnie panienko, ale ta tutaj Millie ma coś dla pani. Powiedzieli jej, że ma tego nie oddawać przed drugą, ale zaczęło ją gryźć sumienie, a miało ku temu powody, tak więc przyszała do mnie, a ja porządnie ją zbesztalam, bo nigdy nie powinna się była zgodzić na coś tak niegrzecznego. No, Millie, idź i daj ten list lady Daintry, natychmiast.

Malutka służąca, pociągając nosem, ze spuszczonymi oczami weszła po schodach i wręczyła Daintry ciasno zwinięty kawałek papieru.

- Kto ci to dał, Millie?

- Panna Charley, jaśnie panienko. Och, ale ja nie wiedziałam, że nie powinnam tego brać. Zawsze była taka wesoła i miła, jaśnie panienko. Och, proszę, niech się pani na mnie nie gniewa!

- Dość tego - powiedziała surowo pani Medrose. - Idź i zajmij tym, co do ciebie należy, i dziękuj swoim gwiazdom, że lady Daintry nie powie wielmożnemu panu, żeby cię wyrzucił bez referencji. Co za pomysł!

Daintry nie zwracała na nie uwagi, jako że czytała liścik od Charley.

Kochana ciociu Daintry!

Pojechałam uratować Melisę. Todd przywiózł mi od niej list i nie ma czasu do stracenia. Jej papa był bardzo zły przez cały czas, od kiedy wrócił do domu, i ona się go boi, i boi się, co on robi cioci Susan, chociaż lady Catherine mówi, że nie pozwoli już więcej mu robić jej krzywdy, ale Melissa nie wierzy jej i nienawidzi jej, a ciocia Susan będzie mogła znowu uciec, jeżeli Melissa nie będzie musiała zostać z wujem Geoffryem, bo powiedziała, że uciekłaby, tylko

że wuj Geoffrey nie pozwoli jej zabrać ze sobą Melissy, no i dlatego uciekamy. Proszę powiedzieć mamie i papie, że było mi przykro, że nie chcieli, żebym z nimi zamieszkała w Plymouth, ale może to i dobrze, tak teraz myślę, bo gdyby chcieli, żebym z nimi pojechała, to nie byłoby mnie tutaj, żebym mogła uratować Melisę. Niech się ciocia o nas nie martwi. Ja się nią dobrze zaopiekuję.

Kochająca

Charley

PS. Proszę nie winić panny Parish, bo ja jej nakłamałam; wiem, że nie powinnam była, ale nie umiałam nic innego wymyślić.

Daintry wpatrywała się jeszcze przez kilka sekund w liścik, walcząc ze łzami i równocześnie mając ochotę zamordować Seacourta. Z trudem opanowała miotające ją uczucia i powiedziała z godnym podziwu spokojem do gospodyni:

- Dziękuję pani, pani Medrose, postąpiła pani całkowicie słusznie. Proszę, niech pani będzie tak dobra i nikomu o tym nie mówi. Pani również, panno Parish - dodała, zwracając się do guwernantki. - Panna Charlotta pojechała do kuzynki, tak jak się obawiałam; zostawię wiadomość dla lady Ophelii i mojego brata. Jeżeli każe pani osiodłać mi konia, nic więcej nie musi pani robić.

Pospieszyła do sypialni przebrać się w amazonkę i uświadomiła sobie, że chociaż jest właściwie pewna, dokąd dziewczynki mogły się udać, będzie jej potrzebna pomoc, jeżeli ma odwiedzić Melisę do Seacourt Head i nie wpaść przy tym w tarapaty. W ślad za tą myślą przyszła następna, że Geofreyowi może się udać odnaleźć dzieci wcześniej niż jej.

Papier listowy i rękopis leżały tam, gdzie je zostawiła; zadzwoniła po Nance, by pomogła jej się przebrać, usiadła i napisała do Deverilla, modląc się przy tym, by był w domu, nigdzie nie wyjechał i mógł odebrać list. Potem pospieszenie nabazgrała kilka słów do lady Ophelii i Charlesa. Właśnie kończyła, kiedy pojawiła się Nance.

W dziesięć minut później Daintry wzięta ze sobą pacz-

kę, pospieszyła do stajni i poprosiła Clemonsa, by osobiście zadbał o bezpieczne doręczenie przesyłki.

- Nikomu innemu nie mogę zaufać - powiedziała - a jest to sprawa niecierpiąca zwłoki; ta paczka musi się jak najszybciej znaleźć w rękach Deverilla.

Żyłasty stajenny patrzył na nią krzywo.

- Dostałem polecenie, żeby osiodłać Obłoka, milady. Chyba panienka nie ma zamiaru jechać beze mnie.

- Jadę w drugą stronę, Clemons, nad morze.

- Każę któremuś koniuchowi osiodłać konia i pojechać z panienką.

- Nie potrzebuję nikogo. - Daintry uznała, że jeśli rzeczywiście trafi na Geoffreya, to koniuch nic jej nie pomoże, a im mniej służących będzie wiedziało o wszystkim, tym lepiej.

Nie tracąc czasu, popędziła Obłoka w nadziei, że to ona będzie pierwszą, chociaż może nie jedyną osobą, która domyśli się, gdzie najprawdopodobniej udały się dziewczynki. W godzinę później, zanim po stromej ścieżce zjechała z urwiska, przyjrzała się uważnie kamienistej plaży w dole. Nie widać było żywego ducha, więc odetchnęła z ulgą i przynagliła Obłoka, po czym zsiadła przy pierwszej jaskini i najpierw przywiązała konia do krzaków, a potem ruszyła w kierunku wejścia.

Pierwsza jaskinia była pusta, podobnie jak druga, ale kiedy podkradła się do wylotu trzeciej, największej, usłyszała w końcu głosy. W chwili gdy uświadomiła sobie, że przynajmniej jeden z nich należy do mężczyzny, tuż za nią ktoś powiedział:

- Proszę do środka, panienko, im więcej, tym weselej. Pa-trzcie no, chłopaki, co my tu mamy!

Ktoś położył jej dłoń na plecach i szorstko pchnął do przodu w kierunku mdłego blasku niewielkiego ogniska. W jego światło zobaczyła wystraszone buzie bratanicy i siostrzenicy, naokoło których stało kilku nieokrzesanych mężczyzn; z konsternacją, którą powoli zmieniała się w szok, zrozumiała, że liczyć może teraz wyłącznie na Deverilla.

Gideon poprzedni dzień spędził na czytaniu dokumentów, a rano razem z Bartonem zajmował się związanymi z majątkiem sprawami. Mieli zamiar przed południem złożyć wizytę dzierżawcom, którzy prosili o taką czy inną pomoc, ale ten plan uległ zmianie, kiedy tuż przed jedenastą lokaj wprowadził do kancelarii wicehrabiego Penthorpe'a.

- Przypuszczam, że spodziewają się mnie w Tuscombe Park - wyjaśniał Penthorpe, kiedy już podali sobie z Gideonem ręce i przedstawiono go Bartonowi - ale musiałem zapędzić się za ten zakręt, który, jak mówił St. Merryn, miał mnie wyprowadzić za wrzosowisko. Zanim się obejrzałem, już miałem przed oczami rzekę Fowley, a więc powiedziałem sobie, że dobrze byłoby wpaść do ciebie i złożyć ci kilkudniową wizytę, zanim pojedę dalej.

- Znowu odkładasz na później, co, Andy? - zapytał Gideon. Nie spał ostatnio dobrze. Jego myśli zdawały się krążyć wyłącznie wokół kwestii, które nie miały nic wspólnego z zarządzaniem majątkiem. - Chodź ze mną, każemy podać jakieś jedzenie, nie będziesz chciał przecież czekać na obiad aż do piątej.

- Przyzwyczałem się do tego, żeby jadać obiad, jak mi przyjdzie na niego ochota - mówił Penthorpe, podążając za nim na górę do biblioteki Jervaulxa i rozglądając się po niej z aprobatą. - Dobry widok na rzekę i wesoły ogień. Bardzo miło.

- To ulubiony pokój mojego ojca i ja go też bardzo polubiłem. Siadaj, Andy. Jak długo chcesz się tu zatrzymać?

- Już się mnie próbujesz pozbyć, stary?

- Wcale nie, ale ponieważ St. Merryn nie ukrywał, że bez dalszych ceregieli chce wydać za ciebie córkę, muszę zakładać, iż wyglądają twego przyjazdu z niemałą niecierpliwością.

- Widząc bez większego zdziwienia, że przyjaciel nie odpowiada mu uśmiechem, dodał łagodnie: - Przygnębiony, Andy?

- Nie, nie, w najmniejszym stopniu. Cóż ty opowiadasz, Gideonie? Dobry Boże, czemu miałbym być przygnębiony? Przecież mam się ożenić z dziedziczką, czyż nie? Ładny grosz mi powinna przynieść, kiedy stara dama wykorkuje. Nie trzeba chyba dodawać, że każdy rozsądny człowiek byłby zachwycony.

- Lepiej żebyś nie liczył na to, iż te pieniądze przejdą pod twoją kontrolę - ostrzegł go Gideon. - Poznałem trochę lepiej lady Ophelię i mogę cię zapewnić, że z prawem cywilnym zawarła coś więcej niż tylko przelotną znajomość. Założę się z tobą o ładną sumkę, że tak obwaruje te pieniądze, iż żadnemu mężczyźnie nie uda się na nich położyć ręki.

- Czy tak? - Penthorpe'a wydawało się to niezbyt obchodzić. Wpatrywał się markotnie w rzekę za oknem i przez kilka minut w ogóle się nie odzywał. W końcu z absolutnie obojętną twarzą zapytał: - Przypuszczam, że Seacourt i jego rodzina również wrócili już do domu, prawda?

- Pewnie tak. - Gideon przyglądał się bacznie profilowi Penthorpe'a, ale poza lekkim zaciśnięciem szczęk prawie żadnej reakcji widać nie było. Wicehrabia mocno trzymał się w ryzach.

W chwilę później Penthorpe odwrócił się i uniósł kieliszek z winem, który wcześniej podał mu Gideon.

- Twoje zdrowie. Widziałem się z twym ojcem na dzień przed wyjazdem. Dobrze wyglądał, muszę mu to przyznać, i naprawdę mnie pozdrowił, jakbym był kimś, a nie tylko grudą błota pod nogami.

Kiedy Penthorpe zamilkł, by łyknąć wina, Gideon, któremu nie udało się niczego lepszego wymyślić, zapytał bez ogródek:

- Słuchaj no, Andy, tak naprawdę to wcale nie chcesz się zenić z Daintry Tarrant, prawda?

Penthorpe zakrzuszył się i prychnął winem. Wyszarpnął chusteczkę z kieszeni kamizelki, wytarł sobie usta i popatrzył z konsternacją na plamy na surducie.

- No i popatrz, co przez ciebie narobiłem. Te plamy w ży-

ciu się nic spiorą, a mój kamerdyner będzie na mnie ujadał jak jakiś cholerny pekińczyk. Oczywiście, że chcę się z nią ożenić. Czy nie powtarzałem tego wielokrotnie? A nawet gdyby nie... na Boga, Gideonie, nawet gdyby to była prawda, z pewnością nie możesz się spodziewać, żebym się do tego przyznał, więc nie strasz mnie tak więcej, dobrze?

Gideon westchnął.

- Miałem nadzieję, że porozmawiamy otwarcie, Andy, ale jeżeli uważasz, że nie możesz z pełnym zaufaniem zwierzyć mi się ze swych szczerych uczuć w tej materii, to oczywiście nic więcej nie powiem.

Drzwi otworzyły się i pojawił się w nich lokaj; Gideon kazał podać jedzenie za godzinę, służący, skłoniwszy się, wyszedł, a Penthorpe stwierdził kwaśno:

- Sam widzisz, do czego prowadzą takie bzdury. Przypuśćmy, że byłbym na tyle głupi, by akurat w tym momencie powiedzieć, że nie chcę żenić się z tą dziewczyną... zważ jednak, że niczego takiego nie powiedziałem... - dodał, bacznie spoglądając na drzwi. - Ale nawet gdybym miał przyznać, że uszczęśliwiłaby mnie wieść, iż Geoffrey dostał wypowiedzenie, co z tego? Nic się takiego nie stanie, Gideonie, a najlepszą szansę na szczęście daje mi ta ścieżka, którą sobie wytoczyłem. Prawda?

- Nie mam pojęcia, jak mogłaby przynieść ci szczęście.

- Ależ to jasne jak słońce! W tym stanie rzeczy nic dla niej zrobić nie mogę, ale jako członek rodziny będę miał szansę widywać się z nią od czasu do czasu i służyć jej jakąś ochroną.

Starając się panować nad sobą, Gideon powiedział surowo:

- Marne to usprawiedliwienie, żeby żenić się z Daintry, mój przyjacielu.

- Czy tak? Lepszego nie potrafię wymyślić; na dodatek nie tylko jestem z tą dziewczyną zaręczony, ale St. Merryn ma zamiar doprowadzić sprawę do końca, a gdybym to ja się wycofał, zasłużyłbym na potępienie. - Napotkał srogie spojrzenie Gideona i powiedział zniecierpliwiony: - Och, dobrze, skoro już mamy mówić ze sobą otwarcie, to gdy-

bym tylko mógł, ułożyłbym sprawę inaczej. Godzinami zastanawiałem się, jakby tu pozbyć się Seacourta. Przyszło mi nawet na myśl, że może udałoby się znaleźć jakiś sposób... Na przykład on by mnie zamordował, a jakby go już za to powiesili, pojawiłbym się znowu cały i zdrowy, i odjechałbym z jego żoną. Ale to wszystko czyste mrzonki, stary, nic więcej - dodał ponuro.

Gideon roześmiał się.

- Przy twoim szczęściu, Andy, marzenie zmieniłoby się w koszmar. Seacourtowi udałoby się uzyskać niewinność, a kiedy pojawiłbyś się znowu, zamordowałby cię naprawdę. I do tego uszłoby mu na sucho, ponieważ nie można sądzić dwa razy za to samo morderstwo, jak wiesz.

- Prawo - stwierdził cierpko Penthorpe - jest moim zdaniem po brzegi pełne idiotycznych pomysłów.

- To samo zdanie ma na ten temat twoja narzeczona - poinformował go Gideon. - Wyrobiła sobie bardzo kiepskie zdanie o angielskich prawach. Powiedziała mojemu ojcu, że są one niesprawiedliwe dla kobiet, a chociaż dokładała wszelkich starań, by dowieść jej, że jest inaczej, podkreślając, że zgodnie z prawem kobiety mają wszelkiego rodzaju przywileje i wolno im nawet zaciągać długi, popełniać zbrodnie i rodzić dzieci z nieprawego łoża, a za to wszystko odpowiedzialny będzie ich mąż, wątpię, czy udało mu się przekonać ją, że da się w prawie znaleźć sprawiedliwość dla płci pięknej.

- Uparta dziewczyna - mruknął Penthorpe.

- Będziesz miał pełne ręce roboty.

- Jak każdy na moim miejscu, ale posłuchaj mnie, jesteśmy po słowie i nie ma o czym gadać. Co więcej, jak już mówiłem, mam własne powody, by pragnąć tego małżeństwa, no i przecież nikt inny tej dziewczyny nie zechce. Dobry Boże, kto by ją chciał?

Gideon zdołał się opanować. Jeszcze nie pora na wyznaczenie, że chciałby jej sam; na to przyjdzie czas, kiedy zdobędzie pewność, iż ona przychylnie patrzy na jego starania i że da się przekonać jej ojca, by zaakceptował połączenie obu rodzin przez małżeństwo. Na razie zmienił temat i robił co

mógł, by rozproszyc przygnębienie Penthorpe'a. Kończyli właśnie posiłek, kiedy wprowadzono Clemonsa.

Stajenny wszedł do pokoju za lokajem, przez co ten ostatni zaczął się usprawiedliwiać:

- Przepraszam, wielmożny panie, ale nie chciał zaczekać w holu. Mówi, że musi panu oddać tę paczkę do rąk własnych, i to bezzwłocznie.

- Możesz odejść, Robercie - rzekł Gideon, widząc, że Clemons nie może doczekać się, by coś powiedzieć. - Co się dzieje, Clemons? - zapytał, kiedy lokaj wyszedł. - Czy przysłała cię twoja pani? Z pewnością nie tylko dlatego, byś oddał tę paczkę?

- Nie, wielmożny panie - odparł Clemons, wyciągnął list i położył paczkę na stole. - Kazała to panu od razu doręczyć, sir. - Zerknął na Penthorpe'a. - Nie wiem, czy powinienem coś więcej mówić, wielmożny panie.

- Nie musisz się z mojego powodu gryźć w język, człowieku - mruknął Penthorpe i wstał. - Zostawię was.

Gideon gestem powstrzymał go.

- Zostań, Andy. Ten człowiek to stajenny Daintry. Lord Penthorpe ma nadzieję poślubić twoją panią, Clemons, więc im szybciej się dowie, co złego się stało, tym lepiej. - Mówiąc to Gideon rozłamał pieczęć i rozwinął list Daintry; w środku znalazł jeszcze jedną kartkę. Najpierw przeczytał jedną wiadomość od niej, potem pospiesznie tę drugą; w miarę czytania twarz jego mroczniała.

- Co się dzieje? - zapytał Penthorpe.

Gideon zerknął na Clemonsa i powiedział:

- Mam zamiar zaufać ci, że potrafisz milczeć, Clemons, ponieważ, jak sądzę, może nam potrzebna być twoja pomoc, ale jeżeli kiedykolwiek dojdzie do mnie, że pisałeś choć słówko...

- Nie pisnę, wasza wielmożność. Umieję trzymać gębę na kłódkę.

- Dobry człowiek. Masz, Andy, czytaj.

Penthorpe szybko przeczytał listy i w dwadzieścia minut później obydwaj mężczyźni byli już przebrani i uzbrojeni.

Gideon polecił Clemonsowi dopilnować, by osiodłano im konie. Kiedy panowie zeszli na podwórze przy stajni, czekali już na nich Clemons i Ned Shalton.

- Widziałem, jak siodłali pana konia, majorze - rzekł Shalton - i kazałem mojemu też przygotować. Obojętne, jaka to rozróżba, służę panu.

- Dobrze - powiedział Gideon, zauważywszy olstro przyczepione do siodła Shaltona. - Możesz nam się przydać, Ned. - Zerknął na ciemniejące niebo; miał nadzieję, że wiśszy w powietrzu deszcz jeszcze trochę się odwlecze.

- Gdzie są, u diabła, te jaskinie, o których ona pisze? - zawołał Penthorpe, kiedy cała czwórka cwałem wypadła z podwórza.

- Nad zatoką St. Merryn, ponad piętnaście mil stąd lotem ptaka - odpowiedział Gideon. Uświadomił sobie nagle, że reaguje tak, jakby mieli brać udział w walce, i zastanawiał się, czy ma ku temu powody. Pociemniałe niebo nad głową i daleki pomruk grzmotu przypominały mu Waterloo.

- Nie mogę winić tego dziecka, że uciekło - odezwał się Penthorpe, kiedy po raz pierwszy zwolnili do stępa, by konie mogły odpocząć - ale lady Susan zamartwia się pewnie na śmierć, co się z nią stało. Jeżeli Daintry ją znalazła, musi bezzwłocznie odprowadzić ją do domu.

- Nie będzie to takie proste - odrzekł Gideon. - Widziałeś, co pisała; obawia się, że sprawy mogą przybrać jeszcze gorszy obrót, jeżeli po prostu zabierze dziecko do domu, kiedy je znajdzie. Bez wątpienia Seacourt będzie rozgniewany, niezależnie od tego, jakie uda im się wymyślić wytłumaczenie dla ucieczki Melissy. A jeżeli spotkają go jeszcze wcześniej, Bóg jeden wie, czego on się może dopuścić.

- Bez wątpienia będzie się rzucał, nie ma co - rzekł Penthorpe - i nic w tym dziwnego, że ona się go boi. Przypomnij sobie tylko, co zrobił w tamten wieczór na balu.

Potem jechali już w milczeniu, od czasu do czasu wymieniając tylko uwagi na temat drogi. Wreszcie dotarli do urwiska, gdzie Gideon kazał im się zatrzymać, żeby przeszukać kamienistą plażę w dole. Nie było widać żywego ducha.

- Spodziewałem się, że będzie nas wypatrywała - powiedział. - I gdzie podziała konia?

- Jedna z tych jaskiń jest taka wielka, sir - wtrącił nieśmiało Clemons - że pomieści się w niej kilka koni, a że w każdej chwili może lunąć, więc pewnie zabrały je do środka. Panna Charley pojechała na Victorze; pewno nie chciała zostawiać go na zewnątrz, kiedy zanosi się na grzmoty i pioruny.

Gideon miał nadzieję, że deszcz, który przez cały czas wisiał w powietrzu, nie spadnie, dopóki nie znajdą Daintry i nie odwieżą bezpiecznie Melissy do domu, ale grzmoty rozlegały się coraz bliżej, a niebo pociemniało. Popatrzył na Clemonsa, zmarszczył brwi i zapytał:

- Czy Victor boi się burzy?

- Tak, sir. Do szaleństwa.

Przez krótką chwilę Gideon zastanawiał się, czy Daintry nie posłała po niego tylko dlatego, że obawiała się, iż nie poradzi sobie sama z dwoma małymi dziewczynkami i przerażonym koniem, ale była to tylko przelotna myśl. Gdyby taki był powód, wzięłaby ze sobą ludzi z własnej stajni.

Zsiadł i przykucnął, by przyjrzeć się śladom na prowadzącej w dół na plażę ścieżce, a kiedy się znowu wyprostował, marszczył z namysłem brwi. Odwrócił się do pozostałych jeźdźców.

W jaskini Daintry siedziała pod wilgotną, zimną ścianą skalną i trzymała za ręce siedzące po jej obu stronach dziewczynki. Konie zagnano do pobliskiej niszy, a ci, którzy wzięli je w niewolę - a było ich pięciu - siedzieli przy małym ognisku i rozmawiali przyciszonym tonem. Słyszała, że się z sobą nie zgadzają.

W pierwszej chwili wydało jej się, że muszą to być przemytnicy, ale kiedy wypowiedziała tę myśl na głos, ich przywódca się roześmiał. Wetknął pistolet za szeroki, skórzany pas i stwierdził:

- Chwała niebiosom, panienko, nie tędy nas droga prowadzi. Uczciwi z nas ludzie, ale kiedy pozamykali kopalnię, to nie było nam co robić, tylko brać szylingi tam, gdzie je

dają, i taka jest prawda. Nie żebym miał mówić, że żaden z nas nigdy przemytów nie ruszył. Ten tam, Dewy, wspólnie potrafi stać na oku, a czasami, kiedy nie wszystko gra, z krypą też sobie nieźle poradzi, ale nie ma co mleć o tym ozorem - ostrzegł, napotykając piorunujące spojrzenie swoich ludzi. - Nie lubi, jak się za dużo o tym trąbi.

Daintry podażyła za jego wzrokiem, a kiedy mężczyzna przy ognisku uświadomił sobie, że to na niego patrzy, zmieształ się okropnie i szybko odwrócił wzrok, jednak dopiero wtedy, kiedy krzyknęła, poznając go:

- Dewy Warleggan! Jak śmiesz nas brać w niewolę? Zaczekaj tylko, aż się Feok dowie, co zrobiłeś!

- Mówiłem ci, Nicca - zamruczał mężczyzna zdęgowany. - Ja...

- Nie ma co sikać pod wiatr, człowieku - warknął przywódca - i bez nazwisk! Obiecali nam, że sprawa przejdzie gładko, i tak będzie.

- Będziecie mieli straszne kłopoty - rzekła z oburzeniem Charley - kiedy mój papa i dziadek dowiedzą się, co zrobiliście. Wytną wam wątrobę i rzuca psom na pożarcie. Zobaczycie!

- Niczego się nie dowiedzą - zawarczał ten, którego nazywali Nicca.

- A w jaki sposób zamierzacie temu zapobiec? - zapytała Daintry.

Nicca przyłożył palec do ust.

- Nie ma se co strzepić języka, panienko. Jak się nie dowiedzą, to się nie będą martwili.

- Jeżeli rozumiecie przez to, że nikomu nic nie będziemy mogły powiedzieć, to wołałabym to od was usłyszeć - oznajmiła Daintry i uściśnęła mocno każdą z trzymanyh w rękach dłoni. Jedyną reakcją było zduszone łkanie Melissy, ale Daintry zobaczyła, jak Dewy Warleggan wymienia w milczeniu spojrzenia z przywódcą, a potem odwraca się do ogniska.

- Jak przyjdzie ćma, wszystko się wyjaśni, ale nie ma powodu do płaczu, daję słowo.

- Jak co przyjdzie? - zapytała Charley. Wpatrywała się w niszę, gdzie ustawiono zwierzęta; Daintry zdała sobie

sprawę, że konie wiercą się nerwowo. Jeden z nich niespokojnie zarżał.

- Jak noc zapadnie, panienko - wymamrotał Dewy Warleggan.

- Dość tej paplaniny - warknął Nicca i rzucił okiem w stronę niszy, w której stały niespokojne konie.

- Słyszała ciocia grzmoty? - szepnęła Charley.

Daintry potrząsnęła głową. Nicca, który najwyraźniej uwierzył, że zastraszył je swoją reprimendą, poszedł przyłączyć się do reszty ludzi przy ognisku i przez bardzo długi - jak się wydawało - czas, mamrotali coś między sobą. Daintry milczała w nadziei, że Dewy Warleggan i może jeszcze jeden mężczyzna wstawiają się za nimi. Poruszała się tylko po to, by przynieść ulgę sztywniejącym mięśniom. Mężczyźni nie związali ani jej, ani dziewczynek i zastanawiała się, czy nadarzy im się jakaś okazja, by przed nocą uciec. Słyszała teraz daleki pomruk grzmotu, konie poruszały się niespokojnie. Victor znowu zarżał. Daintry zerknęła na Charley, ale dziewczynka, zamiast błagać, by ktoś uspokoił jej konia, obserwowała tylko bacznie niszę.

- Nic mu nie będzie - szepnęła, Daintry, choć sama była zdenerwowana.

W końcu nie mogła już dłużej wytrzymać napięcia i spytała głośniej, niż miała zamiar:

- Czy zatrzymaliście nas dla okupu?

- Może i tak - zaczął Nicca - ale nikt...

Przerażliwy trzask pioruna odbił się echem w jaskini; konie oszalały. Krzyk Melissy zagłuszyło rzenie Victora, wielki wałach stanął z przerażenia dęba i zaraził paniką pozostałe wierzchowce. Po chwili Victor wyrwał się na swobodę i popędził w stronę ognia.

Mężczyźni natychmiast zerwali się na nogi, kilku z nich rzuciło się uspokajać wystraszone konie. Nicca znalazł się najbliżej Victora i wyciągnął rękę, by chwycić go za uzdę, ale olbrzymi wałach ponownie wspiął się na tylne kopyta, a przednim uderzył mężczyznę w ramię i cisnął nim o podłogę jaskini do stóp Daintry.

Daintry wyrwała mężczyźnie zza pasa pistolet i powiedziała:

- Cofnijcie się razem ze mną, dziewczynki. Nie zbliżajcie się do Victora i uważajcie na ludzi przy koniach.

Kiedy już na tyle daleko odsunęła się wzdłuż ściany, że była pewna, iż Nicca nie zdoła jej wyrwać pistoletu, powiedziała spokojnie i wyraźnie:

- Nie ruszaj się, bo cię zastrzelę.

Pozostali mężczyźni zdążyli opanować wszystkie konie łącznie z Victorem i na słowa Daintry odwrócili się jak jeden mąż. Dewy Warleggan postąpił krok w jej kierunku.

- Nie ruszaj się. Jeżeli sądzisz, że go nie zabiję, to bardzo się mylisz. Powinniście właściwie dołożyć jeszcze jedno polano do ognia, bo bardzo nie chciałabym zastrzelić nie tego z was, którego powinnam, tylko dlatego, że nie widać wyraźnie.

Nicca usiadł, pocierając ramię.

- Zróbcie tak, jak panienka mówi. - Potem, kiedy Dewy dokładał do ognia, zaczął się podnosić. - Nie zrobi panienka w człowieku dziury tylko dlatego, że chce się przekonać, czy ma całe kości? Zresztą wątpię, czy jak dojdzie co do czego, to będziesz panna mordować - rzekł i postąpił krok w jej kierunku.

- Nie rób tego, Nicca - odezwał się stanowczo Dewy. - Ona nie lubi mężczyzn i może cię zabić!

- Nie, chłopcze, nie ona. Widzisz, jak znam tych szlachetnie urodzonych, to nie wypali do nieuzbrojonego człeka.

- Zastrzel go - krzyczała Charley. - Och, zastrzel go!

Nicca wyciągnął rękę i Daintry widziała rozbawienie w jego oczach, kiedy mówił:

- Nie zrobisz tego, panienko.

- Ona może tego nie zrobi - odezwał się Deverill od wejścia do jaskini - ale ja zrobię to z pewnością. - Trzymał w ręce pistolet, za nim stał Penthorpe z drugim. - A teraz cofnij się od pań, a wy, chłopcy, odejdźcie od koni i stańcie tam, pod ścianą, żeby się wam można było przyjrzeć.

- Grzmoty, sir - wtrąciła się pospiesznie Daintry - Ktoś powinien przytrzymać Victora, bo ponownie wpadnie w panikę.

- Clemons! - zawołał ostro Deverill, ale Charley już zdążyła się zerwać i podbiegła do wałacha.

- Ja go utrzymam, jeżeli nikt go znowu nie przestraszy.

Deverill popatrzył na Daintry, która przytaknęła w odpowiedzi na jego nie wypowiedziane pytanie.

- Clemons, Ned, zajmijcie się pozostałymi.

- Wielmożny panie - odezwał się Dewy Warleggan - nie zrobilibyśmy im krzywdy, przysięgam.

- Sami widzieliśmy - odpowiedział ponuro Deverill.

- Żadnych bajów nie baje, wasza wielmożność - odezwał się inny z mężczyzn. - Trafunkiem żeśmy zobaczyli szelmę w zagaisku, a że nie mieliśmy najmniejszej ochoty, by nam na trzech drewnach węzeł pasowali, bylibyśmy dali stamtąd dyla, gdyby nie ta gotowizna, co nam ją obiecali. Ni okrucza, ni drwa se człek nie kupi bez monety w płótnie, wielmożny panie, a czasy są ciężkie.

- O czym ten człowiek mówi? - zapytał Penthorpe z oburzeniem. - Psiakostka, słowa z tego nie rozumiem.

Deverill popatrzył na Dewy Warleggana, ale odpowiedział mu Nicca:

- On mówi, że to nie była całkiem czysta sprawa, wielmożny panie, co jest i prawdą, bo ten frant, co nas najał, dopilnowałby, żebyśmy wszyscy wisieli, gdybyśmy zrobili wszystko, czego od nas chciał. Bylibyśmy go odstąpili, tylko że tak szczerze sypnął gotowizną.

Daintry, wciąż jeszcze nie do końca rozumiejąc, popatrzyła pytająco na Deverilla, który uśmiechnął się do niej i wyjaśnił:

- Ich pracodawca jest do pewnego stopnia łajdakiem, a ponieważ nie mają ochoty wisieć, byliby go całkiem opuścili, gdyby im tak regularnie nie płacił.

Rozległ się następny ostry trzask pioruna i Victor znowu stanął dęba. Nicca skoczył przytrzymać wałacha, a Deverill opuścił pistolet. Przeniósł wzrok z jednego niedoszłego bandyty na drugiego, a potem zapytał:

- Jaki mieliście na dzisiaj plan? Tylko, z łaski swojej, czy stą angielszczyzną poproszę.

Odezwał się Dewy Warleggan:

- Nam powiedzieli, że ta malutka - tu pokazał na Melisę - uciekła; mieliśmy ją znaleźć, ale nie przyprowadzać od razu z powrotem, tylko trzymać bezpiecznie w ukryciu. Zmusili jednego z chłopców stajennych, żeby powiedział, gdzie pewnikiem będzie, a jeżeli panna Charley będzie z nią, to mieliśmy ją też zatrzymać i wypatrywać, czy nie pokaże się lady Daintry. - Oblizał wargi. - Nigdy byśmy jaśnie panienki nie skrzywdzili, wielmożny panie, za nic, ale jak mówi Nicca, czasy są naprawdę ciężkie i pieniędzy nie widać. Wątpię, czy wielmożny pan uwierzy, kiedy powiemy panu, kim on jest, ale...

- Nie teraz - przerwał mu szorstko Deverill. - Powiedz mi tylko, czy to wy jesteście odpowiedzialni za tę strzelaninę przy powozie lady Daintry, za podburzanie do zamieszek przy kopalni Mulberry i za strzelanie do mnie?

Dewy skrzywił się.

- Ja to bym o tej kopalni wolał nie mówić, wielmożny panie. To była całkiem osobna sprawa i nie miała nic wspólnego z tym frantem... z tym, co to o nim mówiłem. Nicca strzelał do pana, ale nie tak, żeby zrobić krzywdę, i mówił mi, że oba razy był pan dla niego za szybki. Co do reszty, to wcale nam nie powiedział, że tamtego dnia ta stara smoczyca miała siedzieć w powozie, i o lady Daintry też nie mówił, tyle że znajdziemy łatwy łup, jeżeli powóz obrabujemy, a on nie będzie płakał, jak ktoś w środku zginie. Tak mi się widzi, że tego chciał - dodał Dewy - ale nigdy nie powiedział do końca, a jak my tylko zobaczyli, kto jest w środku, tośmy od razu nawiali. Z tego franta to trochę taki pieski syn, jeżeli wielmożny pan rozumie, co chcę powiedzieć.

Deverill skinął głową, a Daintry, która z dużymi trudnościami nadażała za rozmową, zapytała nagle:

- A czy to wy zaatakowaliście lorda Deverilla w Londynie?

Dewy potrząsnął głową.

- W życiu nie byłem w Londynie ani Nicca też nie, ale, wielmożny panie, ten... - urwał, zauważywszy spojrzenie Deverilla, potem ciągnął dalej: - To jest ten frant, co to go wcześniej wspominałem, mógł se kogoś wynająć do takiej

roboty. Wielmożny panie - dodał - my do pana nic nie mamy, wcale. Tak naprawdę tylko pan, jaśnie pan Jervaulx i lord St. Merryn próbowali znowu otwierać kopalnie, o nikim innym nie wiemy. Nie chcemy sami pod sobą gałęzi podcinać, żeby tak powiedzieć, ale robimy, co się da, żeby zarobić to tu, to tam, tyle że zabijać nie będziemy.

- Tak więc gotowi jesteście robić, co ten człowiek wam każe, jeżeli nie kłóci się to z waszym sumieniem, o to chodzi?

Nicca szeroko się uśmiechnął.

- Dokładnie. Pracujemy jak owczarek, co gryzie owce, kiedy tak trzeba, ale nie jesteśmy łajdakami ani szaleńcami.

- Co z nimi zrobimy, Gideonie? - zapytał nagle Penthorpe. - Musimy odwieźć małą Melisę do matki.

- Nie! - krzyknęła Charley. - Nie możecie jej tam zawozić!

Deverill popatrzył na Daintry i powiedział spokojnie:

- Lepiej będzie porozmawiać na ten temat bez tak licznych słuchaczy, jak sądzę, ale to pani, moja droga, musi podjąć decyzję, co zrobić z tymi ludźmi. W końcu to pani padła ich ofiarą.

- Jestem za tym, żeby całą tę bandę powiesić! - wykrzyknął gniewnie Penthorpe. - Nie masz chyba zamiaru pozwolić, by uszło im to płazem, Gideonie!

- No, Daintry? - zapytał Gideon.

Daintry, czując na sobie niespokojne spojrzenia wszystkich mężczyzn, stwierdziła:

- Nie zrobili nam krzywdy, sir, i nie wierzę, żeby w głębi serca byli bardzo niegodziwi, ale z pewnością, jeżeli to właśnie oni strzelali do naszego powozu...

- Ale chybiliśmy, panienko, o milę - zwrócił jej pospiesznie uwagę Nicca - ten tam, Cub, prawym skrzydełkiem jeszcze w oktawę nie mógł machać. Stara smoczyca przedziurawiła go jak złoto.

- To prawda - zgodziła się Daintry. Popatrzyła na Deverilla w nadziei, że rozstrzygnie sprawę, ale kiedy czekał dalej niby istnie wcielenie cierpliwości, zrozumiała, że naprawdę chce utrzymać w mocy jej decyzję. - Niech odejdą, sir. Jestem pewna, że się poprawią.

- Poprawimy się - przytaknął Dewy i dodał bardziej niepewnie: - Panienko, czy... czy panienka nie powie nic Feokowi? Chodzi mi o to, że... no, ten Feok, on jest... - Tu rozłożył ręce.

- Zobowiązuję się nic nie mówić, jeżeli obiecasz, że będziesz pomagał bratu na farmie, dopóki na nowo nie otworzą się kopalnie albo dopóki nie znajdziesz jakiejś innej roboty, która by ci się bardziej podobała. Umowa stoi, Dewy?

- Tak, panienko, stoi. - Popatrzył zakłopotany na Nickę, który tylko się do niego wykrzywił. W kilka minut później nie było już śladu po mężczyznach i ich koniach, a Daintry uświadomiła sobie, że od jakiegoś czasu nie słychać grzmotów. Światło padające od wejścia do jaskini też wydawało się jaśniejsze.

Penthorpe prychnął zdegustowany.

- No dobrze, nie ma ich - powiedziała - ale ja nadal podtrzymuję, że powinniśmy ich byli powywieszać za to, że niemal na śmierć przestraszyli biedną Susan, co do czego nie mam najmniejszych wątpliwości. Ponieważ już jednak odjechali, możemy przynajmniej, nie zwlekając, odwieźć pannę Melisę z powrotem.

- Nie - krzyknęła Charley - nic nie rozumiecie!

- Ani słowa więcej - odezwał się surowo Deverill. - Ned, Clemons, wyprowadźcie konie na zewnątrz i upewnijcie się, czy te łajdaki odjechały. Dołączymy do was za moment. Posłuchaj, Charley - dodał, kiedy tamci wyszli - zbliżyłaś się niemal do granicy tego, co skłonny jestem tolerować, tak więc radzę ci zachować ostrożność, ale jeżeli jest coś, co twoim zdaniem powinnaś nam powiedzieć, powiedz to teraz.

Charley patrzyła na niego z otwartą buzią, potem zamknęła usta i wbiła wzrok w ziemię, gryząc dolną wargę.

Daintry milczała.

Nikt więcej się nie odzywał.

W końcu Charley powiedziała cicho:

- Zostawiłyśmy list do cioci Susan, więc nie będzie się bała. M...my myślałyśmy, że pomożemy jej, kiedy Melissa ucieknie, bo wtedy ona też mogłaby uciec. Jeżeli Melissa teraz wróci... - Nie zdołała dokończyć i Daintry zobaczyła, że oczy dziewczynki napełniły się łzami.

Penthorpe już zaczynał coś mówić, ale Deverill uciszył go gestem i oznajmił:

- Pojedziemy z wami do Seacourt Head, Charley, i dopilnujemy, by sprawę w odpowiedni sposób wyjaśniono i by nikomu nie stała się krzywda. Czy zaufasz nam, że tak zrobimy?

Charley skinęła głową, ale Daintry widziała, z jaką niechęcią to robiła. Miała nadzieję, że Deverillowi uda się dotrzymać słowa. Zdawała sobie sprawę, że łatwiej będzie mu to zrobić, jeżeli dowie się, do czego zdolny jest Seacourt, wiedziała więc, że musi w końcu wyznać mu prawdę, ale kiedy poleciał reszcie towarzystwa pojechać przodem i zrównał Cienia z Obłokiem, przekonała się, że nie ma pojęcia, od czego zacząć. A gdyby nawet miała, to nie wiedziała, czy potrafi powiedzieć mu o tym, co było najważniejsze. Burza minęła, a chociaż nad ich głowami wciąż jeszcze sunęły ciemne chmury, niebo za nimi znowu zrobiło się błękitne, a grzmoty ucichły.

- Czy nic pani nie jest? - zapytał cicho Gideon.

- Nie, nic, chociaż przypuszczam, że zechce mnie pan skarcić za to, że pojechałam za nimi, nie biorąc nikogo ze sobą.

- Nie mam żadnego prawa pani karcić, ale radziłbym, by uważała pani na to, co powie Penthorpe'owi. On ma do tego prawo.

Daintry przełknęła i popatrzyła w przód, gdzie jechali pozostali.

- Nie wiedziałam, że jest w Kornwalii - powiedziała.

Gideon roześmiał się.

- Jakoś nie zebrał się jeszcze, by pojechać do Tuscombe Park, widzi pani. Wygląda na to, że tak długo odkładał moment, w którym miał skręcić na wrzosowisku, aż znalazł się niespodziewanie w Deverill Court.

Daintry kiwnęła głową, odwróciła się do niego impulsywnie, ale potem zapatrzyła przed siebie.

Gideon przyglądał jej się przez kilka minut, nim łagodnie zapytał:

- O co chodzi, moja droga? Widywałem taki wyraz na twarzach wielu młodych żołnierzy, kiedy aż palili się, by coś powiedzieć, ale bali się konsekwencji. Już mówiłem,

że z mojej strony nie musi się pani niczego obawiać.

- Nie pana się boję, tylko tego, co pan o mnie pomyśli, ale to nieważne, bo stawką są tu inne, ważniejsze rzeczy.

- A więc proponuję, by mi pani powiedziała. Obiecuję, że nic, co pani mi powie, nie zmieni mojej opinii o pani.

Na ciepły ton jego głosu policzki Daintry zapłonęły i nagle okazało się, że może do niego mówić tak, jakby mówiła do siebie; słowa same płynęły z jej ust. Opowiedziała mu o wszystkim, co Geoffrey zrobił Susan. Następnie opowiedziała mu o tamtej nocy, kiedy była burza, a kiedy skończyła i zobaczyła zaciśnięte wargi Gideona, przez jedną króciutką chwilę obawiała się, że to ją będzie obwiniał. Potem podniósł na nią oczy i trwoga się ulotniła.

- Czy to dlatego odsunęłaś się ode mnie tamtego wieczoru? Kiwnęła głową.

- Ja... nie mogłam na to poradzić.

- Mamy sporo rzeczy do omówienia, a kilka spraw trzeba będzie uporządkować - rzekł - ale najpierw chcę pogadać z sir Geoffreyem Seacourtem.

Podjechali przed dom i po kilku minutach byli już w środku. Daintry poszła przodem do salonu, pewna, że o tej porze muszą zastać tam Susan, a reszta następowała jej na pięty. Kiedy zbliżyła się do drzwi, zobaczyła, że są lekko uchylone, i usłyszała gniewne głosy. Gestem nakazała towarzyszom milczenie, podkraśnia się bliżej i usłyszała słowa swojej siostry:

- Nie wierzę ci, Geoffreju, i jeżeli natychmiast nie powiesz mi, gdzie ukryłeś Melisę, zabiję Catherine.

24

- Do wszystkich diabłów, Susan - powiedział ze złością Seacourt - odłóż natychmiast ten pistolet. Sama nie wiesz, co robisz, a broń może przecież przypadkiem wypalić! Powiadam ci, że Melissa uciekła. Znalazłem jej list, ale nie mó-

wielem ci nic, bo miałem nadzieję, że sprowadzę ją z powrotem do domu, zanim się zorientujesz, że zniknęła.

- Nie wierzę ci - ucięła Susan. - Nie siedziałbyś tu tak spokojnie, Geoffreyu, gdybyś nie wiedział, gdzie ona jest. Wiem, że wywiozłeś ją po to, by mnie dręczyć, ponieważ prosiłam, żebyś odesłał stąd Catherine, a jeżeli natychmiast nie sprowadzisz Melissy z powrotem, dam ci słowo, że Catherine zastrzelę.

- Diabli nadali, mówię ci, że nie mogę...

Daintry zajrzała przez wąską szparę i udało jej się zobaczyć Susan. Siostra stała za krzesłem, na którym siedziała Catherine, i trzymała pistolet tuż przy jej głowie. Ręka Susan dygotała, a Catherine siedziała w absolutnym bezruchu. Daintry nie udało się zobaczyć Geoffreya.

Wyczuła, że Gideon stanął tuż przy niej, i zanim zrozumiała, że wcale nie ma on zamiaru otwierać drzwi na oścież, wyciągnęła rękę, by go od tego powstrzymać. Zerknęła w górę i zobaczyła, że zagląda ponad jej głową przez szparę, a za jego plecami Penthorpe aż tańczy z niecierpliwości. Charley i Melissa stały z tyłu z rozszerzonymi ze strachu oczami. Daintry wiedziała, że cała trójka musiała słyszeć słowa Susan równie wyraźnie jak ona. Przynajmniej tym razem wdzięczna była za skłonność Melissy do milczenia i skinęła z aprobatą głową, kiedy Charley objęła młodszą dziewczynkę. Teraz nie musiała martwić się już nikim poza Penthorpe'em, ale chociaż wicehrabia wyraźnie aż palił się do interwencji, nie bardziej niż Gideon skłonny był do pochopnego działania. Pomoc mężczyzn, przyzwyczajonych postępować z rozważą, najwyraźniej okazywała się czymś wspaniałym.

- Rozkazuję ci odłożyć tę broń, Susan - powiedział Geoffrey. - Jeżeli wyrządzisz najmniejszą krzywdę Catherine, każę ci zamknąć w domu dla obłąkanych. Sama wiesz, że jako mąż posiadam taką władzę, a gdybyś była na tyle szalona, by ją zastrzelić, to z pewnością cię za to powieszają.

- Nie, wcale jej nie powieszają, Geoffreyu - odezwała się Daintry i otworzyła drzwi na tyle szeroko, że mógł zobaczyć ją oraz Deverilla za jej plecami.

- A ty co, u diabła, tutaj robisz! - wykrzyknął Seacourt.

- Przyjechałam w odwiedziny do siostry. Po cóż innego miałabym przyjeżdżać? Och, nie opuszczaj broni, Susan - dodała tym samym spokojnym tonem. - Właściwie to nie widzę żadnego rozsądnego powodu, by nie zastrzelić tej Catherine; pozbyłybyśmy się wszystkich kłopotów za jednym zamachem. - Usłyszała za sobą jakiś ruch i pomodliła się w duchu, by Penthorpe się jeszcze nie pokazywał ani nie pozwolił pokazać się żadnej z dziewczynek.

- Dobry Boże - zawołał Seacourt - nie podpuszczaj jej, Daintry! Czy jesteś równie szalona jak ona?

- Och, Susan nie jest w najmniejszym stopniu obłąkana, Geoffreyu - odparła Daintry, zmuszając się do uśmiechu. - Czy nie pamiętasz już, co lord Jervaulx powiedział w sądzie? Mój drogi panie, jeżeli twoja żona zastrzeli twoją kochankę w twojej obecności, sędziowie założą, do czego w rzeczy samej zobowiązuje ich prawo, że działała ona na twój rozkaz i pod twoją kontrolą. Tak więc to nie Susan będzie wiścieć, tylko ty, czyli stanie się dokładnie tak, jak stać się powinno. Jak doszło do tego, Susan?

- Ukrył gdzieś Melissę, by ukarać mnie za to, że zażądałam, by odesłał stąd Catherine. Och, Daintry, zaczął się tak zachowywać, jakby to ona była jego żoną, a ja jedną ze służ. A wczoraj wieczorem doszło do tego, że dał służbie wychodnie, a mnie kazał ją obsługiwać, i to na oczach Melissy! Powiedziałam mu, że mam tego dosyć. - Pokazała jaskrawy siniec na policzku. - Oto co dostałam w nagrodę, ale teraz... - Uniosła znowu pistolet w górę. - Gdzie jest Melissa, Geoffreyu?

- Proszę cię, Susan, to nie moja wina - odezwała się po raz pierwszy głosem zbliżonym do szeptu Catherine. - Dla czego mi grozisz?

- Milcz - wycodziła Susan przez zęby. - Wkradłaś się do mojego domu, żeby uwięzić Geoffreya. Wdzięczyłaś się, udawałaś, że pomagasz, a w rzeczywistości przejęłaś mojego męża, mój dom i moje dziecko. Zrobiłaś z mego małżeństwa farsę, drwiłaś ze mnie na oczach Melissy i służby. To ty zaproponowałaś, żeby Geoffrey mnie tu uwięził i żeby zabro-

nil mi gdziekolwiek jeździć z moim własnym dzieckiem. A gdyby udało się poznać prawdę, okazałoby się bez wątpienia, że to przez ciebie Melissa uciekła. Nie waż się więc mówić, że to wszystko nie twoja wina.

- Jesteś obłąkana - stwierdził Seacourt. A potem, piorunując Daintry wzrokiem, dodał: - I ty też, jeśli sądzisz, że jakkolwiek sąd w tym kraju uwierzy, iż miałem z tą sprawą coś wspólnego. Ty głupia dziewczyno, są przecież świadkowie. Sama jesteś świadkiem, a Catherine i Deverill również będą musieli wypowiedzieć się przeciw Susan.

- Catherine będzie martwa - odparła Daintry - więc to, co mogłaby zrobić, jest bez znaczenia, a jeżeli wydaje ci się, że ja będę świadczyć za tobą, to masz źle w głowie. - Widząc, że dłoń siostry opada, i mając świadomość, że Susan wreszcie się załamie, zastanawiała się co dalej począć.

- Nie masz żadnych świadków, którzy by cię poparli, Seacourt - odezwał się spokojnie Gideon. - Ja z pewnością nie mógłbym przysiąc, że to nie ty ponosisz odpowiedzialność za zaistniałą sytuację.

- Skłamałbyś w sądzie swego ojca, Deverill? - zapytał drwiąco Seacourt. - Jakoś w to wątpię. Zbyt wielką obciążył cię los uczciwością, sir, by stać cię było na kłamstwo w jakimkolwiek sądzie.

- To nie byłoby kłamstwo - odparł Gideon. - Jesteś odpowiedzialny za wszystko, co się tutaj dzieje.

- Taka jest prawda - dodał Penthorpe, przepychając się przed Gideona i Daintry. - Równie łatwo przyjdzie mi zacytować tchu, jak stanąć przed sądem i zeznać, że Susan popełniła ten czyn za twoją przyczyną. Psiakość, przecież ona nie jest żadną morderczynią! Niełatwo spotkać niewiastę łagodniejszą i życzliwszą od niej, ale to ty, psiakość, ty ją do tego doprowadziłeś i powiem tak każdemu, kto będzie słuchał. Ale nie dojdzie do tego. Odłóż tę broń, Susan, zabieram cię stąd.

Susan patrzyła na niego zaskoczona, ale opuściła pistolet. Kiedy Seacourt wyciągnął po niego rękę, Penthorpe powiedział ostro:

- Zostaw to, kretynie, albo będziesz miał ze mną do czynienia!

Seacourt zeszytniał.

- Zapominasz, Penthorpe, że nie twoja to rzecz troszczyć się o moją żonę. Nigdzie jej nie zabierzesz, chyba że masz ochotę na sprawę o namawianie jej do przestępstwa. A nie sądzę, że takiej sprawy nie wytoczę. Susan, daj mi tę broń.

Susan popatrzyła niepewnie na męża, potem na Penthorpe'a.

- Nie rób tego - odezwała się Daintry. - Geoffreyu, zostaw ją w spokoju. Ona pojedzie z nami i tym razem już jej nie odzyskasz.

- Jest moją żoną - stwierdził Seacourt - i kiedy już raz cała ta bzdura się skończy, szybko jej się ten fakt przypomni. Co więcej, wszystko to są puste groźby, ponieważ nie wierzę, że ty, czy ktokolwiek z was, naprawdę zachęci ją do tego, by zastrzeliła Catherine.

- Ależ Geoffreyu - upomniała go słodko Daintry - wcale jej nie musimy zachęcać ani na to pozwalać. O ile dobrze pamiętam, próba morderstwa również jest zagrożona szubienicą i wystarczy nam powiedzieć, iż kazałeś jej zastrzelić Catherine, ale interweniowaliśmy w ostatniej chwili i udało nam się je obie ocalić. A nas jest troje, tak więc nawet gdyby Catherine miała mówić coś innego, nikt jej nie uwierzy, zwłaszcza kiedy wyjdzie na jaw, że jest twoją kochanką.

- DUBY SMALONE! - wykrzyknął Seacourt. Popatrzył na Gideona. - Przecież pan chyba nie podtrzyma tak absurdalnego oskarżenia, Deverill!

- Nie - powiedział Gideon i uśmiechnął się, kiedy Daintry okręciła się jak fryga i spiorunowała go wzrokiem - ale Daintry zapomina, że nie ma najmniejszej potrzeby, by jakieś oskarżenia tworzyć. Wystarczy tych autentycznych, Seacourt, które są w tej chwili dla pana bardziej niebezpieczne. Chyba nie zapomniał pan o ataku na powóz lady Ophelii, żeby nie wspomnieć o łajdackim ataku na mnie w Londynie. Z pewnością wpadł pan na pomysł, iż pozbywając się lady Ophelii, zapobiegnie pan zmianie jej testamentu, ale z jakiegoż to powodu chciał pan pozbyć się mnie?

Seacourt zaczerwienił się.

- Nie ma pan żadnego dowodu!

- Niech pan nie będzie taki pewny - zareplikował Gideon. - Melisso, chodź tutaj.

- Jeżeli naprawdę chcesz wmieszać w to dzieci - wtrącił pospiesznie Penthorpe - to dziewczynki są w saloniku po drugiej stronie korytarza, pozwoliłem sobie umieścić je tam na wypadek, gdyby sprawy przybrały brzydki obrót. Naprawdę chcesz ją tu przywołać, Gideonie?

- Melissa? - Oczy Susan rozbłyły. - Znalazł ją pan?

- Całą i zdrową - odpowiedział Penthorpe, podszedł i wyjął broń z jej osłabłych palców, a potem popatrzył na Gideona. - No więc?

- Nie, zostaw je. To niczego nie zmieni, Seacourt, nie były same, kiedy je znaleźliśmy, a opryski, które je trzymały w niewoli, po krótkiej zachęcie z naszej strony z dużym zapałem opowiadały o swej działalności, i tej najnowszej, i przeszłej.

- Na pewno nie przyznali się do żadnych ataków w Londynie - stwierdził z absolutnym przekonaniem Seacourt, wyjął z kieszonki kamizelki tabakierkę i pociągnął niuch tabaki, jakby nie miał żadnych zmartwień. - Dobry Boże, człowieku, o ile wiem, zaatakowano pana, ledwo przybyłeś do miasta. Wątpię, czy tamci ludzie w ogóle się do czegoś przyznają, bo gdyby tak zrobili, sami by się wkopali. Co więcej, ja osobiście niczemu nie jestem winien.

- Na Boga, nie zniosę tego dłużej - odezwała się nagle Catherine. - Nie mogę wypowiadać się o ataku na lady Ophelię i Daintry, chociaż przekonana jestem, że mógł to zaaranżować, ale wiem, że chciał się pozbyć nie tylko lady Ophelii, ale i Daintry, ponieważ wbił sobie do głowy, że jeżeli one zginą, to Susan odziedziczy wszystkie pieniądze starej lady. To prawda, że dręczył biedną Susan, i niech mi Bóg wybaczy, bo sama się podle w stosunku do niej zachowywałam, początkowo dlatego, że sądziłam, iż jest głupia, nie próbując stać się dokładnie taką kobietą, jakiej pragnął, a potem przez osobliwe, ale narastające poczucie władzy, które chwilami uderzało mi do głowy. Nie potrafię tego wy-

jaśnić, ale stopniowo zrozumiałam, że Susan stara się go zadowolić, że stara się za bardzo, a on to wykorzystuje. Jest okrutnym człowiekiem, ale wydawało mi się, że zależy mu na mnie, i aż do dziś pozwalałam, by mnie to zaślepiało.

Popatrzyła w końcu na Seacourta.

- Kiedy pozwoliłeś dziś Susan uwierzyć, że nie masz pojęcia, gdzie podziała się Melissa, chociaż zagroziła, że mnie zabije, dowiodłeś, jak naprawdę potrafisz być niegodziwy. Wolę żyć w biedzie, niż pozwolić, by uważano mnie za kogoś bliskiego tobie. Wiem, że przeprosiny są marnym zadośćuczynieniem za wszystko, co zrobiłam, by potęgować cierpienia Susan, ale jeżeli moje zeznania w sądzie mogą wam pomóc...

- Zwariowałaś? - zapytał Seacourt.

- Wręcz przeciwnie, Geoffreyu. Co muszę zrobić, Deverill? Gideon powiedział spokojnie:

- Nie musi do tego dojść. Lady Susan pragnie otrzymać wolność i opiekę nad dzieckiem. Jeżeli Seacourt zagwarantuje jej to, możemy sprawę zakończyć już dziś. Nikomu się krzywda nie stała, a żadne z nas nie chce skandalu. Nie zrozum mnie źle - dodał, patrząc surowo na Seacourta. - Ludzie, którzy przetrzymywali twoją córkę i Charley, zostaną zmuszeni do zeznań, jeżeli zajdzie taka konieczność, a przestępstwa, które popełnili z twego poduszczenia, są wystarczająco poważnie, byś wisiał, nawet gdyby dowieść tylko uprowadzenia dzieci i ataku na powóz lady Ophelii. Te zarzuty i bez zeznań lady Catherine są nie do podważenia. Czy rozumiesz to?

Seacourt popatrzył spode łba na niego, potem na Catherine, ale kiedy odpowiedziała mu pewnym spojrzeniem, pierwszy spuścił oczy. Zwrócił się znowu do Gideona:

- Czego chcesz?

- Twojej żonie potrzebne będzie pisemne oświadczenie, że zgadzasz się na rozwód i że nie będziesz sobie rościć żadnych praw do córki. Gdybyś w przeszłości dokonał jakiegoś zapisu na rzecz lady Susan, należy uznać, że są to jej osobiste pieniądze, podobnie jak posag, który przeznaczył dla niej St. Merryn. Jeżeli napiszesz teraz takie oświadczenie i pozwolisz obu natychmiast odjechać z nami, nie powiemy

już słowa o obciążających cię oskarżeniach. Utrzymamy to zobowiązanie w mocy, dopóki ty ze swej strony będziesz dotrzymywał umowy, ale jakiegokolwiek nękanie jaśnie pani zwolni nas z obietnicy i pozwoli postąpić tak, jak uznamy za stosowne. Czy zgadzasz się?

- Niech cię diabli wezmą, nie zostawiasz mi żadnego wyboru.

Seacourt pisał żądany dokument, a Penthorpe poszedł po Charley i Melisę, a także wysłał polecenia do stajen. Potem obydwaj z Gideonem jako świadkowie podpisali dokument. Daintry zabrała Susan i dzieci na górę, wezwała Rosemary i pomogła Susan i Melissie pakować rzeczy, kiedy Rosemary pakowała swoje. Wróciwszy na dół, dowiedziały się, że Catherine również ma zamiar wyjechać, i przez krótką chwilę Daintry obawiała się, iż razem ze służącą zabierze się z nimi. Zobaczyła jednak, że przygotowano dwa powozy: bryczkę, którą zwykle jeździła z wizytami Susan, i karetę podróżną, używaną przy dalszych wyjazdach.

Gideon polecił forysiom eskortować Catherine do St. Ives, gdzie dama ta postanowiła szukać schronienia u swych krewnych, zanim podejmie decyzję, co robić dalej; a Daintry, przyglądając się, jak lokaj pomaga jej wsiąść do bryczki, podeszła i powiedziała:

- Bardzo jesteśmy pani zobowiązani za to, co pani dziś zrobiła.

Catherine usadowiła się na poduszkach i uśmiechnęła żałośnie.

- Zaskoczona jestem, że te słowa nie uwięzły pani w gardle, moja droga, przecież musi mi pani życzyć, bym z piekła nie wyrzała. Żle go osądziłam, i siebie również, ale kiedy przyszło do ostatecznej rozgrywki, zrozumiałam, że nie mogę stanąć po jego stronie. Wszystko przez chciwość, wie pani. To okropne przyznawać się do czegoś takiego, ale po rozpaczliwie długim roku w hrabstwie York Seacourt Head i jego czarujący pan wydawały mi się jak z bajki. Prawda była oczywiście całkiem inna; wiem, że jest pani zdania, iż powinnam była interweniować, kiedy Geoffrey brał się do

rękoczynów, ale wpływ, jaki miałam na niego, okazał się zdumiewająco niewielki.

- To pani przysłała do mnie pokojówkę tamtej nocy, prawda?

- Och, tak, posłałam Hildę. Po sprawie w sądzie Geoffrey nie robił żadnej tajemnicy z tego, że pani nienawidzi; zauważyłam, że tamtego wieczoru przyglądał się pani niczym jastrzęb obserwujący królika. Kiedy nie przyszedł do mnie, jak niemal co wieczór robił, obawiałam się, że mógł pójść do pani, więc posłałam Hildę, żeby to sprawdziła. Ale wyznam, że nigdy nie przyznałam się wobec niego do najmniejszych nawet podejrzeń. Wytykanie mu jego okropnych postępów doprowadzało go tylko do wściekłości, a dziś przekonałam się, że potrafiłby być równie okrutny w stosunku do mnie, jak do Susan. Zrozumiałam wtedy, że kiedy jej nie stanie, albo zajmę jej miejsce jako kolejna ofiara, albo mnie w ogóle wyrzuci. - Przerwała, potem dodała z namysłem: - Niech pani nie pozwoli, by okazała mu zbyt wiele zaufania przy tym rozwodzie, dobrze? On nie dotrzyma słowa.

Z domu wyszła Hilda w towarzystwie służących z bagażami Catherine; lokaje pomogli Susan, Rosemary i dwóm dziewczynkom wsiąść do powozu. Gideon z Penthorpem i Daintry dosiedli koni.

- Proponowałbym, byśmy wyprzedzili nieco powozy, żeby nie dusił nas kurz - rzekł Gideon.

Shalton i Clemons jechali za nimi, ten ostatni prowadził Victora; cała kawalkada wyjechała z podjazdu na gościniec. Pograżona w myślach Daintry w pierwszej chwili nie zwróciła uwagi, że żaden z jej towarzyszy się nie odzywa.

Gideon wpatrywał się w drogę przed sobą, a Penthorpe najwyraźniej głęboko się zamyślił. Daintry zastanawiała się przez chwilę, czy porozmawiać z narzeczonym otwarcie, czy też poczekać, aż on się wypowie. I już niemal zdecydowała się wziąć byka za rogi, kiedy Gideon odezwał się nagle:

- Zapomniałem, że miałem powiedzieć coś Shaltonowi. Jedźcie, państwo, przodem. Muszę z nim porozmawiać.

Spojrzała na niego i zobaczyła, że rzuca Penthorpe'owi

rozkazujące spojrzenie. Kiedy już został w tyle, wicehrabia odezwał się półgłosem:

- Czy zechce pani podjechać ze mną kawałek do przodu?

Widziała, że walczy ze sobą, bo to popatrywał na nią, to znów odwracał wzrok. Wydawało się, że nie wie, od czego zacząć. Rozumiała dokładnie miotające nim uczucia, zlitowała się więc i powiedziała:

- Wszystko w porządku, sir. Nie musi pan nic mówić.

Penthorpe rzucił jej pełne skruchy spojrzenie.

- To aż tak widać? Psiakość, równie wielki ze mnie łajdak, jak z tych opryszków, którzy panie przetrzymywali. Nie mogę sobie wyobrazić, co mnie napadło, moja droga, ale gotów jestem... jestem... Och, psiakostka!

- Z radością zwolnię pana z danego słowa, sir. To jest, chciałam powiedzieć, chociaż głęboko świadoma jestem zaszczytu, jaki...

- Psiakostka, Daintry, dość już! Przez panią czuję się jeszcze gorzej, a jeżeli to tak pani zdaniem powinny kończyć się zaręczyny... Niech no pani posłucha, czy jest pani całkiem pewna? Sam nie wiem, co zrobię, jeżeli nie, bo zamierzam dołożyć wszelkich starań, żeby Susan i Melissa były bezpieczne, zanim się wezmę za cokolwiek innego, ale...

- Dokładnie tym właśnie powinien się pan zająć - zgodziła się z nim Daintry. - Lady Catherine mówiła, że głupota byłoby zaufać Geoffreyowi, iż dotrzyma umowy, i sądzę, że miała całkowitą rację. A nawet wcale bym się nie dziwiła, gdyby rano wpadł rozwścieczony do Tuscombe Park i zażądał, by papa odesłał mu natychmiast Susan i Melissę. Na dodatek wydaje mi się, że papa kazałby Susan wracać.

- Tak się nie stanie - stwierdził Penthorpe stanowczo. Uśmiechał się teraz i rzucał spojrzenia do tyłu, na powóz.

- Nie ma sensu jeszcze jej teraz opowiadać, jakie to mam zamiary, ale Seacourt już nigdy więcej jej nie skrzywdzi. Gideonie! - zawołał. - Chodź no tu i pogratuluj mi... Nie, psiakostka, czegoś takiego nie powinienem mówić. - Popatrzył na Daintry z rozbawieniem w oczach. - Poniosło mnie. Mam nadzieję, że się pani nie obrazi, ale pozwolę sobie po-

wiedzieć, że tak będzie najlepiej dla wszystkich zainteresowanych. Ach, jesteście, Gideonie. Musisz mi wybaczyć, stary. Przypomniałem sobie o kilku sprawach, o których chciałbym porozmawiać z lady Susan. Zostanę trochę z tyłu i pojedę przez jakiś czas przy jej powozie.

Gideon zmierzył go baczny spojrzeniem, a Penthorpe dodał beztrząskko:

- A właśnie, stary, obawiam się, że akurat dostałem odprawę. Lady Daintry poinformowała mnie, że nie będziemy do siebie pasowali. - Uśmiechnął się raz jeszcze szeroko do Daintry, zawrócił konia i czekał na jadący przodem powóz.

- Czy to prawda? - zapytał w chwilę później Gideon.

Daintry tylko kiwnęła głową i powiedziała, starannie dobierając słowa:

- Pewnie papa dostanie ataku hysterii z wściekłości, a ja złamałam dane mu słowo, ale w tych okolicznościach nie mogłabym postąpić inaczej. Penthorpe kocha Susan, a nie mnie. Wiedziałam o tym oczywiście od jakiegoś czasu, ale ponieważ ojciec postanowił, że mam go poślubić, a Susan jest żoną Geoffreya... A jeżeli ona nie dostanie rozwodu, sir? Chociaż mamy ten papier, który podpisał, wcale nie jestem pewna, czy postąpi, tak jak się zobowiązał.

- Nie, jestem głęboko przekonany, że tak nie postąpi - przyznał Gideon - ale to podpisane oświadczenie wystarczy, by siostra pani dostała rozwód w Szkocji, gdzie do usprawiedliwienia jej starań wystarczy sam fakt, że zmuszona była akceptować obecność lady Catherine w swoim domu.

- Czy taki rozwód będzie strasznie drogi?

- Nawet w przybliżeniu nie tak bardzo jak angielski.

- Ciocia Ophelia uwolni ją od opłaty, jestem tego pewna.

- Wie pani, że to niekonieczne.

Daintry uśmiechnęła się do niego.

- Ma pan na myśli, że wydatki poniesie Penthorpe. Sądzę jednak, że Susan będzie wolała załatwić to sama.

- Taki byłby pani wybór, ale wcale nie jestem przekonany, czy opinia pań byłaby tu zbliżona, nie mówiąc już o pełnej zgodności. Lady Susan jest dużo mniej niezależną kobietą, wie pani.

Daintry westchnęła. Przez chwilę milczała, potem zmieniła temat.

- Powieść pańskiej babki okazała się nadzwyczaj interesująca, sir.

- Tak, polecała mi pani jej lekturę, o ile sobie przypominam. W liście, który mi pani przysłała, zwracając ją. Zapomniała pani?

- Dobry Boże, przypuszczam, że rzeczywiście o tym wspomniałam, ale ponieważ pisałam również, że jadę szukać Charley i Melissy, wyleciało mi to kompletnie z głowy. Niemniej jednak naprawdę powinien pan ją przeczytać.

- Dlaczego? O ile dobrze pamiętam, lady Ophelia mówiła, że jest okropna: swawolna i słodka. To wcale nie w moim stylu.

- Ale powinien pan ją przeczytać - upierała się Daintry. Gideon odwrócił się nagle do niej i uśmiechnął się.

- Dlaczego? Może mi pani ją opowiedzieć. Jestem pewien, że będzie to dużo bardziej zabawne.

- Niewykluczone, sir, ale trudno byłoby mi to zrobić, ponieważ to w tej powieści znajduje się odpowiedź, której szukaliśmy, a mianowicie klucz do waśni Tarrantów i Deverillów.

- Ta waśń jest już nieważna - rzekł, mrużąc oczy w blasku słońca.

- Dlaczego nieważna? - zapytała. - Całymi miesiącami szukaliśmy odpowiedzi, a ponieważ to wszystko była wina pańskiej babki, mój ojciec palcem nie ruszy, żeby waśń zakończyć, co oznacza, że musi to zrobić pana ojciec, a przypuszczam, że nie zrobi... - Urwała, widząc, że Gideon znowu się do niej uśmiecha. - Co się z panem dzieje, Deverill? Czy słyszał pan chociaż słowo z tego, co mówiłam?

- Wszystkie, co do jednego - powiedział - i nic się ze mną nie dzieje. W ogóle nic. - Zaczął cichutko pogwizdywać.

Daintry przypomniała sobie, że Deverill jest szeroko znany jako flirciarz, i przemknęło jej przez myśl, że może przez cały ten czas, kiedy sądziła, że się nią interesuje, on się z nią tylko bawił w przekonaniu, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, skoro jest zaręczona z innym mężczyzną.

Ale nie mogło tak być, bo kiedy myślał, że Penthorpe nie żyje, powiedział całkiem jasno, że chciałby się z nią ożenić. Dopóki nie pojawił się Penthorpe, tylko waśń stała temu na przeszkodzie, a teraz się wycofał... Nigdy właściwie nie dawała mu do zrozumienia, że może mieć nadzieję, iż jego starania będą uwieńczone sukcesem, a już na pewno nigdy mu nie powiedziała, że go kocha. Upierała się nawet, że w gruncie rzeczy nie jest zainteresowana małżeństwem i że, gdyby nie żądania ojca, wolałaby zostać panną. Chciała, żeby już przestał gwizdać i porozmawiał z nią. Kiedy to pomyślała, stanęła jej nagle przed oczami Davina.

- Niechże pan przestanie gwizdać i porozmawia ze mną!
- poprosiła cierpko.

- Ależ oczywiście - zareagował od razu. - Co pani ojciec sądzi o tych kłopotach z kopalnią Mulberry? Czy mówił, co powinniśmy zrobić z górnikami, którzy stracili pracę?

Wcale nie o tym miała ochotę rozmawiać, ale ponieważ nie wypadało jej pytać, czy wciąż jeszcze chce się z nią ożenić, musiała podjąć wybrany przez niego temat. Zajmowali się nim aż do chwili, kiedy dojechali do płatnej drogi prowadzącej w kierunku St. Ives, gdzie rozstali się z lady Catherine. Dopiero kiedy ruszyli w dalszą drogę, Daintry uświadomiła sobie, że Gideon pytał nie tylko o zdanie ojca, ale i o jej zdanie dotyczące wielu kwestii i że z szacunkiem słuchał tego, co mówiła. Przypomniała też sobie, że nie skrzyczał jej za to, iż pojechała sama szukać Charley i Melissy, ale wydawał się zakładać, że miała powód, by tak postąpić. Z pewnością żaden inny mężczyzna tak by się nie zachował.

Rozmowa toczyła się dalej, ale myśli Daintry rozpraszały się i w końcu dwa razy pod rząd musiała prosić, by Gideon powtórzył to, co wcześniej mówił, a wtedy stwierdził:

- Moja słodka, tego już za wiele. O ile dobrze pamiętam, zostałem poinformowany, że to mężczyźni nie słuchają, że nieustannie proszą, by kobiety powtarzały swoje słowa, ale w rzeczywistości okazuje się, że wcale tak nie jest. Niechże się pani skupi.

- Przepraszam pana - powiedziała Daintry ze skruchą. -

Mój umysł upiera się, by bujać w obłokach, wiem, że to okropnie niegrzecznie, a jakoś nic na to nie mogę poradzić.

- A jakież to myśli tak panią fascynują, że niezdolna jest pani zwracać uwagi na moje słowa, pełne nieskończonej mądrości?

- Czy wciąż jeszcze chce się pan ze mną ożenić? - Słowa wyleciały z ust Daintry, zanim uświadomiła sobie, że chce je wypowiedzieć; słyszała, jak echem dudnią jej w głowie, i zmusiła się, by patrzeć prosto przed siebie, chociaż czuła, jak płoną jej policzki i z trudem powstrzymywała chęć, by odwrócić głowę w bok. Potem usłyszała śmiech Deverilla.

- Rzeczywiście warto by się nad tym zastanowić - powiedział - ale nie będziemy tej sprawy omawiać jeszcze w tej chwili.

Daintry spiorunowała go wzrokiem. Nie była wcale pewna, czy ma się czuć upokorzona, rozwścieczona czy też może jego słowa powinna przyjąć z ulgą. W każdym razie już się do niego nie odezwała, nawet wtedy kiedy znowu zaczął gwizdać, a gdy zamajaczyły przed nimi w półmroku bramy Tuscombe Park, powitała ten widok z ulgą, zapominając, jakie przeszkody piętrzą się przed nimi. Przypomniała sobie o nich, kiedy tylko weszli do holu, jako że stał tam po-grażony w rozmowie z Charlesem i Daviną St. Merryn, który na ich widok nie okazał zachwyty.

- Słowo daję, co się tu, u diabła, dzieje? Czy znalazłaś Charley? Och, tam jesteś, dziecko! No, twój papa i mama od zmysłów odchodzą, tak się o ciebie martwili.

Davina wyciągnęła ręce i Charley rzuciła się w jej objęcia. St. Merryn odwrócił się do pozostałych.

- Dobry Boże, przecież to Deverill! - wykrzyknął, kiedy Gideon wszedł do środka za Susan, Penthorpem i Melissą.
- Przypuszczam, że skoro ta głupia ciotka mojej żony zaprosiła pana do mojego domu w Londynie, choć nie do niej należała decyzja, spodziewa się pan teraz, że będzie u nas bywał wedle woli.

- Nie, sir, nie spodziewam się, ale mamy pilne sprawy do omówienia, a nie jest to właściwe miejsce po temu. Pro-

ponowałbym, byśmy od razu przeszli do pana biblioteki.

St. Merryn popatrzył na niego wilkiem, ale wystarczył widok jednego z lokai, który właśnie schodził po schodach, by skinął głową.

- Muszę iść z Melissą - poinformowała Charley rodziców, usiłując uwolnić się z objęć matki.

- O, co to, to nie - zareagował surowo Charles. - Ty, moja panno, pójdziesz ze mną prosto na górę i wyjaśnisz, co to ma znaczyć, że w taki sposób opuściłaś dziś dom. I lepiej, żebyś miała bardzo dobre wyjaśnienie, ponieważ zmarwiłaś mamę, a tego tolerować nie będę, jak się bardzo szybko przekonasz.

- Nie krzycz na nią, Charlesie - wtrąciła niespokojnie Susan - bo naprawdę jestem jej wielką dłużniczką, ale Charley, kochanie, nie musisz iść z nami. Wolałabym, żebyście raczej zabrali ze sobą Melissę. Musimy porozmawiać z dziadkiem, a wy, dzieci, już widziałyście i słyszałyście dziś o wiele za dużo. Wyjaśnię wszystko później, Charlesie, jeżeli teraz to dla mnie zrobisz.

Charles wymienił spojrzenia z żoną, potem rzekł:

- Oczywiście, że zabierzemy je na górę. Charley, co ty takiego powiedziałaś cioci, że ona pomyślała, iż nie będziesz mieszkała w Plymouth razem z nami? Przynajmniej tyle musisz mi wyjaśnić.

- Och, papo, naprawdę tak myślałam, ale ciocia Daintry wytłumaczyła mi, że się myliłam, i naprawdę bardzo mi przykro, że się oboje martwiliście. - Wciąż jeszcze nie skończyła swych wyjaśnień, kiedy Gideon zamknął drzwi do biblioteki i wszystkie odgłosy z holu ucichły.

St. Merryn podszedł do biurka i odezwał się szorstko:

- Może teraz ktoś wyjaśni mi to całe zamieszanie. Susan, jeżeli znowu uciekłaś od męża, to pozwól sobie powiedzieć...

- Proszę wybaczyć, że panu przerywam, sir - wtrącił spokojnie Gideon - ale zanim powie pan coś, czego może pan później żałować, powinienem chyba wyjaśnić, że Seacourt zgodził się na rozwód.

- Rozwód! Nigdy w tej rodzinie nie miewaliśmy rozwo-

dów i, na Boga, nie będziemy teraz zaczynali. Susan, idź nacychmiast po córkę. Odwiozę was sam.

W tym momencie do przodu wystąpił Penthorpe i oznajmił:

- Nie, sir, nie zrobi pan tego. Stało się dziś dla nas jasne, że to Geoffrey Seacourt ponosi odpowiedzialność za atak na powóz lady Ophelii, który to atak miał się zakończyć jej śmiercią. Naszym zdaniem chciał, by zginęła, bo wtedy mógłby domagać się części majątku, zapisanej na żonę, zanim lady Ophelia zdąży zmienić testament. Z wiarygodnego źródła dowiedzieliśmy się też, że chciał, by zginęła lady Daintry. Gdyby stało się tak, życie Susan grosza nie byłoby warte, ponieważ Seacourt pożądał wyłącznie jej pieniędzy i niczego więcej. I powiem panu coś więcej - dodał posępnie. - Nie będziemy czekali, aż Seacourt wystąpi o rozwód. Susan ma zamiar sama wnieść petycję do sądu w Edynburgu, a ponieważ mądrze byłoby, gdyby wyjechała z samego rana, powinna teraz dostać coś do jedzenia i przespać się trochę.

St. Merryn patrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

- Co to ma znaczyć? Pan, sir, jest zaręczony z moją młodszą córką, ale to nie daje panu...

- Nie, nie jest zaręczony, papo - przerwała mu Daintry. - Zgodziliśmy się, że nie pasujemy do siebie.

- Na Boga, powiedziałem, że nie ścierpię jeszcze raz czegoś takiego! - St. Merryn piorunował Daintry wzrokiem. - Postawię na swoim!

- Musi ojciec to ścierpieć - odparła Daintry spokojnie - bo ja za niego nie wyjdę.

- No, jeżeli sądzisz, że jeszcze raz będę ponosił koszty sezonu w Londynie dla dzierlatki, która nie okazuje cienia wdzięczności za nic, co się dla niej robi, to się bardzo mylisz. Rezygnować z Penthorpe'a, kiedy wszystko właściwie było już załatwione! Słowo daję, sam nie wiem, co mam ci powiedzieć.

- Może jej pan pogratulować, sir - roześmiał się Gideon - ponieważ pewnego dnia zostanie markizą.

- Co takiego? Nonsens, na to też nie pozwolę! Daintry,

powiedz mu. Na Boga, wolę już, żebyś została starą panną. Koniec końców to wspaniałe rozwiązanie. Na Boga, tak jest!

- Zgadza się, tak jest - przyświadczyła Daintry, wściekła, że Gideon tak od niechcenia jej się oświadczył. Musi mieć źle w głowie, jeżeli wciąż mu się wydaje, że wystarczy rozkazać, a wszystko ułoży się tak, jak on tego pragnie.

25

Daintry aż kipiała ze złości, a Gideon zwrócił się do skosternowanego hrabiego:

- Miało miejsce wiele wydarzeń, które należy panu wyjaśnić, sir, ale mówiąc krótko i wężłowato, Penthorpe jest dużo bardziej zainteresowany uwolnieniem pańskiej starszej córki od jej małżeństwa niż ożenkiem z młodszą, a ja równie stanowczo zdecydowany jestem ożenić się z Daintry, i to od pierwszego dnia, kiedy ją ujrzałem na oczy.

- Mówiłem panu wtedy - zawarczał St. Merryn - czy raczej w chwili, kiedy wyszło na jaw pana grube oszustwo, że nie chcę o tym słyszeć, a nie wydarzyło się nic takiego, bym miał zmienić tę decyzję, młody człowieku.

- Ależ, sir - zwrócił mu łagodnie uwagę Gideon - wie pan doskonale, bo Daintry na pewno panu o tym mówiła, że waśń rozpoczęła kobieta, która prawdopodobnie zasłużyła sobie na to, by nią porządnie potrząsnąć. Nie ma jednak to najmniejszego znaczenia, ponieważ rozdźwięk między naszymi rodzinami jest w zasadzie czymś martwym. Mój ojciec nic nie robił, by waśń wcześniej zakończyć, ale w tej chwili to ja nadaję ton w Deverill Court. Z pewnością nie pozwolę, by owa waśń stanęła na przeszkodzie mojemu przyszłemu szczęściu i szczęściu pana córki.

- Sam pan ją słyszał - prychnął St. Merryn. - Nie wyjdzie za pana. A jeżeli mam panu dobrze radzić, to niech pan tej

dzierlatki posłucha, bo mężczyzna, który się z nią ożeni, szybko zrozumie swój błąd.

- Papo! - wykrzyknęła Susan. - Jak możesz mówić coś takiego?

- Z łatwością - odparł hrabia; oczy mu się zwięziły i odwrócił się, by na nią popatrzeć. - Coś mi się zdaje, że miałas iść do łóżka. Naprawdę chcesz wystąpić o rozwód?

Susan popatrzyła na Penthorpe'a, potem skinęła głową.

- Tak, papo, chcę. Czy rozwód całkiem wyrzuci mnie poza nawias, czy może pozwolisz mi od czasu do czasu przyjeżdżać w odwiedziny do ciebie i mamy, i cioci Ophelii?

- Pewno i tak postąpisz wedle własnej woli - burknął w odpowiedzi jej ojciec. Potem spojrział na Penthorpe'a, na Gideona, w końcu na Daintry i dodał: - Do czorta, pewnie wszyscy postąpicie wedle własnej woli.

- Jeśli o to chodzi, sir - stwierdził z powagą Penthorpe - chciałbym omówić z panem kilka spraw, ale mam nadzieję, że najpierw wyśle pan Susan do łóżka, zanim padnie nam tu z wyczerpania. Gideonie - dodał tym samym zdecydowanym tonem - jeżeli z samego rana mamy opuścić Kornwalię, będę musiał wrócić do Deverill Court po swoje rzeczy.

Gideon przypatrywał się Daintry. Nie odwracając od niej wzroku, powiedział:

- Będę do twojej dyspozycji, Andy, jak tylko skończę załatwiać własne sprawy. - Potem obejrzał się przez ramię na St. Merryna i dodał: - Czy mogę spędzić kilka chwil w cztery oczy z Daintry, sir? Mamy parę spraw do omówienia.

- Nie mamy już żadnych spraw do omówienia - zaprotestowała Daintry, chociaż serce jej biło gwałtownie.

- Zobaczymy, moja miła. No i jak, St. Merryn?

Hrabia patrzył to na jedno z nich, to na drugie i nagle wargi zaczęły mu drgać w powstrzymywanym śmiechu.

- Słowo daję - rzekł - jeżeli uda się panu, chłopcze, przekonać ją, to niech mnie kule biją, jak ci jej nie dam. Nigdy nie sądziłem, że dożyję takiej chwili, a niech mnie, jeśli kłamie, ale pamiętam ten dzień, kiedy się tu zjawiłeś po raz pierwszy. Przyjemnie było patrzeć, jak się za nią zabrałeś.

Susan, biegnij już do łóżka, a pan, Penthorpe, niech idzie ze mną. Przypuszczam, że znajdzie się jeszcze jakiś pokój, gdzie da się porozmawiać.

W chwilę później Daintry została sam na sam z Gideonem. Nie wiedziała, czy bardziej pragnie go spoliczkować za jego oburzające zachowanie, czy rzucić mu się w objęcia, więc idąc na kompromis przybrała sztywną postawę i nawet na niego nie patrzyła.

- Chodź tu, kochanie.

- Nie.

- Bardzo dobrze, więc ja do ciebie przyjdę.

- Nie!

Gideon, nadal posuwając się w jej stronę, szeroko się uśmiechnął.

- Poślubisz mnie, przecież sama wiesz.

- Wcale nie wiem. Żadną miarą nie przekonał mnie pan, sir, że mogę zaznać szczęścia z mężem, który z samej swojej natury będzie spodziewał się po mnie posłuszeństwa wobec każdego swego kaprysu czy polecenia.

Zamiast niezwłocznie obiecać, że nigdy się czegoś takiego po niej spodziewał nie będzie, co zrobiłby każdy rozsądny człowiek na jego miejscu, Gideon w ogóle się nie odezwał. Po prostu szedł dalej, a ona cofała się, dopóki nie oparła się o biurko ojca. Próbowała wyślizgnąć się bokiem, ale położyła jej dłoń na ramieniu, by ją zatrzymać, i Daintry zamarła.

Podle wykorzystał wpływ, jaki wywierało na nią najbliższe jego dotknięcie - a była pewna, że tak właśnie postąpi - przyciągnął ją bliżej do siebie, a potem pochylił głowę i pocałował ją. Pocałunek był łagodny, ale chyba uwolnił w nim coś, co wcale łagodne nie było, bo nagle chwycił Daintry za oba ramiona, przyciągnął jeszcze bliżej, pocałunki stały się gorące, pożądliwe, a ona zareagowała na nie z namiętnością równie nieopanowaną jak jego uczucie. Przywarła do niego całym ciałem i objęła ramionami, jakby chciała się w niego wtopić. Dłonie Gideona przesunęły się z ramion na plecy, talię, a potem jedna z nich nakryła pierś.

Daintry jęknęła z rozkoszy, a groza burzliwej, spędzonej

w Scacourt Head nocy roztopiła się niepamięci, kiedy całe jej ciało z własnej woli poddało się nowym wrażeniom.

Minęło kilka chwil i Gideon pociągnął ją na sofę w pobliżu biurka, a kiedy usiedli i Daintry wtuliła głowę w jego ramię, powiedział:

- Mam nadzieję, że nie będziesz mnie trzymała w niepewności po tak kuszącym popisie, moja kochana.

- Przez ciebie wychodzę na rozpustnicę - zamruczała Daintry. - Pewnie jesteś przekonany, że jak tylko dotkniesz mnie czy pocałujesz, to zrobię, co zechcesz.

Gideon roześmiał się.

- Wątpię, czy będzie to aż takie proste. Czy sądzisz, kochanie, że istnieje mężczyzna, który zdołałby cię do tego stopnia ujarzmić?

- Ty zdołałbyś, tak sędzę - odparła poważnie i ściągnęła brwi. Potem wyprostowała się, odwróciła tak, by widzieć jego twarz, i powiedziała: - Przyszło mi właśnie na myśl coś okropnego. Jaką mogę mieć pewność, że nie okażesz się taki sam jak Geoffrey? Nie irytuj się - dodała pospiesznie. - W końcu Susan uważała, a i my byliśmy tego zdania, że Geoffrey jest czarujący i uroczy, całkiem jak ty, a popatrz, co z nią zrobił. Susan była kiedyś taka wesoła. To Geoffrey zmienił ją w ten bladej cień, który dziś przypomina. Skąd mogę wiedzieć... Dlaczego się śmiejesz? Nie, Deverill, nie dotykaj mnie. To jest poważna sprawa!

Z twarzy Gideona zniknęła surowość; nie śmiał się wprawdzie, ale z pewnością miał rozbawioną minę. Wyciągał już rękę do Daintry, *lecz na jej polecenie powstrzymał się i powiedział rzeczowo:*

- Wiem, że mówisz poważnie, kochana, ale wiem również, że wyjdiesz za mnie i jestem absolutnie pewien, że ani przez chwilę nie wierzylaś, bym miał być ulepiony z tej samej gliny, co ten łajdak Seacourt. A nawet gdyby tak było, zapewniam cię, że nigdy nie dopuszczę, byś się o tym dowiedziała. Zastanów się tylko, jaki los spotkałby Seacourta, gdyby był na tyle nieroztropny, by ożenić się z tobą zamiast z twoją siostrą.

Daintry zastanowiła się.

- Susan mówiła, że nie miałyby to znaczenia; że nikt nie zdołałby go powstrzymać. To prawda, bo jest silniejszy ode mnie, jak się miałam okazję przekonać.

Szczęki Gideona znowu się zacisnęły, ale głos miał opamnowany.

- Widzę, że nie rozważyłaś tej sprawy starannie. Tamtej nocy Seacourt rzeczywiście cię zaskoczył, ale chociaż próbujesz mnie przekonać, że gdybyś była mu poślubiona, nie zrobiłabyś nic, by się chronić, nie uwierzę w to.

- Nie?

- Ani przez chwilę. Ty i twoja siostra bardzo się różnicie od siebie. Ty korzystałaś z nauk ciotki Ophelii, podczas gdy Susan najwyraźniej znajdowała się pod dużo silniejszym wpływem twojej matki i pań jej podobnych. Gdybyś znalazła się na miejscu Susan, moja ukochana, to nie minąłby rok od waszego ślubu, a zamordowałabyś Seacourta, i na dodatek dokonałabyś tego w taki sposób, że nikt nie żywiłby nawet cienia podejrzenia, iż nie umarł on śmiercią naturalną.

Daintry uśmiechnęła się.

- Masz całkowitą rację, sir, i bardzo się cieszę, że mnie tak dobrze rozumiesz. Ale czy jesteś pewien, że chcesz się zenić z tak niebezpieczną istotą?

- Jestem, i cieszę się, że już nie odtrącasz moich pieśczoł
- dodał, biorąc ją znowu w ramiona.

- Miałam po temu powód, wiesz.

- Wiem. Na Seacourcie ciąży odpowiedzialność za wiele spraw.

- Mam tylko nadzieję, że nie wpadnie tu rozwścieczony dziś wieczorem, ale ostatnim razem tego nie zrobił, więc może nie zrobi i teraz.

- Sądząc po tym, co widziałem, dużo to bardziej prawdopodobne, że będzie topił swoje smutki w brandy. Ale dość już o nim. Czy przez twą obecną uległość chcesz mi dać do zrozumienia, że wyrazisz chęć...

- Miłosierne nieba, wreszcie was znalazłam - wykrzyknęła lady Ophelia, otwierając drzwi i wchodząc do biblioteki.

Charley naopowiadała mi jakichś niestworzonych historii o przemytnikach, a Susan o rozwodach, i sama już nie wiem, na czym stoję, ale kiedy oznajmiono mi, że jest pan tutaj, Deverill, przyszłam od razu dowiedzieć się... - Urwała, przyjrzała się im ze zdumieniem, potem zapytała: - Wielkie nieba, a cóż wy wyprawiacie? Nie, żebym była tym choć trochę zdziwiona, zważcie, ale muszę wyznać, że nigdy...

Daintry wyprostowała się pospiesznie, odepchnęła dłonie Gideona i rzekła:

- Przepraszam ciocię, ciociu Ophelio, ale bardzo się obawiam, że się zakochałam. Naprawdę ogarnęła mnie miłość.

- Nonsens, dziecko, nic cię nie ogarnęło. Najgłupszy człowiek zorientowałby się, że wdepnęłaś w to z szeroko otwartymi oczami. Deverill, chciałabym, żeby mi pan powiedział...

- Ciocia nie jest na mnie zła? - przerwała jej nieco zaskoczona Daintry. - Wiem, że tak ciocia mówiła, ale sądziłam, że poczuje się ciocia choć trochę zawiedziona.

- Dobrze nieba, dziecko, tyle razy powtarzałam ci, że niezależność polega na tym, by samemu podejmować decyzje, a nie naginać się do czyichś życzeń. Jeżeli podjęłaś decyzję, że chcesz zostać damą zamężną, to muszę założyć, że znalazłaś mężczyznę, który podchodzi do ciebie nie tylko z uczuciem, ale i z szacunkiem. - Popatrzyła ostro na Gideona. - A przynajmniej mam nadzieję, że w tym przypadku tak jest.

- Tak jest, proszę pani - potwierdził potulnie.

- Dobrze. A teraz proszę mi powiedzieć, co było w tym czymś, czego mi pan dosypał do picia na balu?

Siedząca na kanapie para popatrzyła na nią z zaskoczeniem.

- Nie mam bladego pojęcia, co to było, proszę pani - odparł Gideon. - Proszki dostałem od Kingstona.

- Zdumiewający środek - ciągnęła lady Ophelia. - Muszę go zdobyć. To z tego powodu przyszłam z wami porozmawiać, ale jeżeli ich źródłem jest jakiś pan Kingston, napiszę do niego, by go powiadomić, że będą mi potrzebne na przyszły sezon. Nie mam wątpliwości, że znowu mnie ktoś wyciągnie do Londynu, jeżeli nie wtedy, to z pewnością za kil-

ka lat, kiedy Charlotta i Melissa będą miały swój debiut, a człowiek powinien z góry się przygotować. Ale już przestaję stać nad wami i mleć językiem. Widzę, że macie inne sprawy na głowie.

- Tak, pani - Gideon wyciągnął rękę do Daintry, ale znowu im ktoś przerwał.

- Dobry Boże, Gideonie - wykrzyknął Penthorpe, zaglądając przez otwarte drzwi - wciąż jeszcze mitręzysz tu czas? Musimy ruszać już w drogę, stary. Zanosi się na to, że wreszcie uda mi się pozatawiać swoje sprawy, i nie ma chwili do stracenia!

Gideon roześmiał się.

- Bardzo dziwnie brzmią takie słowa w ustach tak wielkiego guzdrały jak ty. Andy, możesz mi życzyć szczęścia.

- Dlaczego? - Penthorpe przeniósł wzrok z Gideona na Daintry. - Och, to. Dobry Boże, przecież wiedziałem. Jasne to było jak słońce. Nie mam wątpliwości, że z Gideonem będziesz dużo szczęśliwsza, moja droga. A teraz, psiakostka, jedźmy wreszcie! Bardzo panią przepraszam - zwrócił się do lady Ophelii - ale cholernie się spieszę.

- Widzę to - powiedziała. A potem, odwracając się do pary młodych ludzi, dodała surowo: - Niech się pan nią dobrze opiekuje, Deverill.

- Nie omieszka - obiecał Deverill, przytulił Daintry jeszcze raz i spoglądając na nią z figlarnym uśmiechem, dodał: - Jeżeli nie uda mi się nauczyć jej, by mnie słuchała, to zapewniam, że przynajmniej nauczę ją, czym grożą próby wzięcia pana domu pod pantofel.

A Daintry odrzekła mu ze słodyczą:

- To niebezpieczne złudzenia, sir, ale przecież nikomu nie zabrania się marzyć.

Drogie Czytelniczki!

Ponieważ często zadawano mi pytanie, skąd biorę pomysły do moich książek, będziecie może chciały poznać choć w części historię „Niebezpiecznych złudzeń”. Owe pomysły nasuwają mi się często przy okazji prowadzonych badań, a motyw przewodni tej książki objawił mi się, kiedy się dowiedziałam, że Anglicy, dążąc do zalegalizowania swojej dominacji nad Angielkami i do narzucenia im ograniczeń, posunęli się w pewnym momencie tak daleko, że żona mogła otwarcie i bezkarnie popełnić morderstwo, a konsekwencje za ten czyn ponosił mąż, do powieszenia włącznie. Była to stanowczo zbyt dobra okazja, bym jej nie wykorzyststała (mam na myśli, jako pisarka).

Kiedy zdecydowałam się dołożyć do tej mikstury jeszcze starszawą feministkę, chciałam, by jej poglądy miały jakąś głębię, a to oznaczało, że nie może ona powtarzać tylko jak papuga słów dobrze znanej osiemnastowiecznej feministki, Mary Wollstonecroft (która rzadko postępowała zgodnie z głoszonymi przez siebie poglądami), tak więc zaczęłam szukać innych książek, które lady Ophelia mogła czytać i na których mogła opierać swoje przekonania. Wyobraźcie sobie moje zdumienie, kiedy dowiedziałam się, że już w latach pięćdziesiątych osiemnastego wieku istniały powieściopisarki, takie jak Eliza Haywood, będące orędowniczkami praw kobiet i korzystające z wielu argumentów, którymi posługujemy się do dziś (łącznie z tymi, które na pierwszym miejscu stawiają kobiece prawo wyboru).

Oczywiście wielu pytanych o źródło pomysłów autorów zwraca uwagę, że najłatwiej jest wpaść na pomysł. Dużo trudniej jest przelać go na papier; kiedy już miałam załączek

pomysłu i pierwsze postacie, zostało jeszcze bardzo wiele do zrobienia: takie drobiazgi, jak stworzenie bohatera, bohaterki i treści! W końcu jednak wszystko znalazło się na swoim miejscu i mam serdeczną nadzieję, że „Niebezpieczne złudzenia” dostarczyły wam kilku godzin rozrywki i kilku okazji do śmiechu, wygwizdania czarnego charakteru i wiwatów na cześć bohatera i bohaterki. W końcu tak naprawdę po to tę książkę pisałam.

Szczerze oddana
Amanda Scott